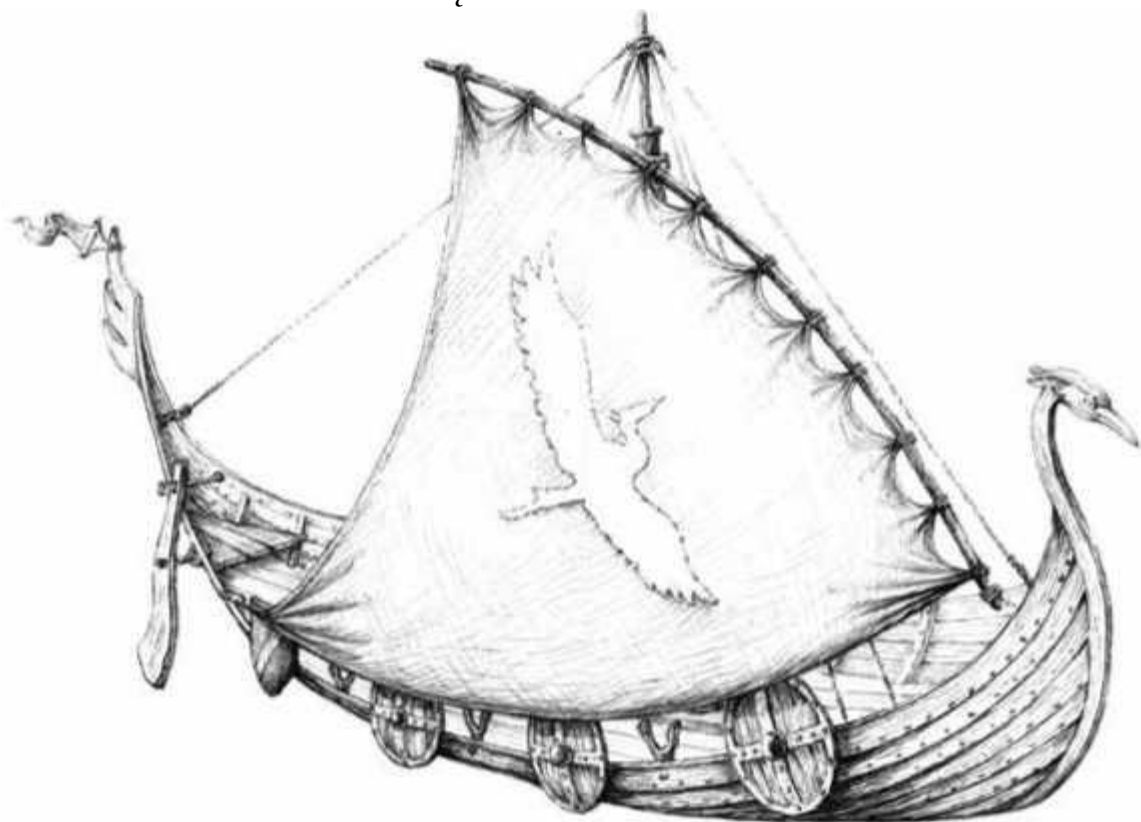


JOHN FLANAGAN



KSIĘGA TRZECIA

CZEŚĆ PIERWSZA



POŚCIG

ROZDZIAŁ 1



Ziemia! Widzę ziemię! – krzyknął Stefan z punktu obserwacyjnego na dziobie „Czapli”.
Wszyscy pobiegli, by wreszcie zobaczyć ląd – na razie w postaci dalekiej niewyraźnej linii na horyzoncie.

Hal odetchnął z ulgą. Ostatni raz widzieli ląd cztery dni wcześniej. Zmierzali ze wschodnich wybrzeży Morza Białych Sztormów na południe. Po tych kilku dniach, kiedy tak płynęli przed siebie, widząc dokoła tylko fale i nic poza tym, żadnych punktów orientacyjnych, dosłownie nic, zaczął dręczyć go niepokój. A jeśli nieprawidłowo odczytał wskazania kompasu słonecznego? A może w czasie, kiedy spał, Stig, który zmieniał go przy sterze, zboczył z kursu? A jeśli on sam popełnił błąd, jakiś banalny podstawowy błąd, i teraz płyną w złym kierunku?

Pomyślał, że za każdym razem, kiedy traci się z oczu ląd, istnieje ryzyko, że już nigdy więcej się go nie ujrzy.

Potrząsnął głową, bo nagle zdał sobie sprawę, że jego lęki były całkowicie nieuzasadnione. Cztery dni na oceanie to w końcu wcale nie tak długo. Znał Skandian, którzy żeglowali tygodniami, nie widząc lądu. Sam też to przeżył, tyle że na okrętach dowodzonych przez innych ludzi. Teraz to on był kapitanem.

Thorn wstał ze swojego ulubionego miejsca obok koferdamu. Szedł, kołysząc się, bez trudu dopasowując krok do ruchów łodzi. Uśmiechnął się do Hala. Spędził na morzu wiele lat, ale domyślał się, co musi przeżywać jego młody przyjaciel.

– Dobra robota – powiedział cicho.

Hal posłał mu przelotny uśmiech.

– Dzięki – odparł, starając się przybrać nonszalancką minę. Ale szybko skapitulował. – Muszę przyznać, że miałem kilka niespokojnych momentów.

Thorn uniósł jedną brew.

– Tylko kilka?

– Dwa, dokładnie rzecz ujmując. Jeden trwał przez pierwsze dwa dni. Drugi przez dwa kolejne. A tak poza tym było świetnie.

To, że młody skirl potrafił przyznać się do strachu, było oznaką rosnącej wiary we własne możliwości. Thorn pomyślał, że chłopak szybko dojrzeje. To normalne, kiedy ponosi się tak wielką odpowiedzialność, jak kierowanie łodzią. Tego, kto do niej nie dorośnie, przytłoczy ona swym ciężarem.

Stig wdrapał się na nadburcie i stanął na dziobie obok Stefana. Przysłonił oczy, odwrócił się i krzyknął:

– Widzę trzy wzgórza. Dwa większe, jedno małe. To małe jest pośrodku. Tam, po lewej stronie.

Hal zrobił zadowoloną minę. Thorn kiwnął głową z uznaniem.

– To chyba Przylądek Karlego Wzgórza – powiedział. – Zdaje się, że to był twój cel?

Hal wymierzył odległość niemal idealnie – imponujące osiągnięcie jak na świeżo

upieczonego skirla. Thorn był doświadczonym żeglarzem, lecz skomplikowane zasady nawigacji zawsze przyprawiały go o ból głowy.

Hal przybrał obojętną minę, próbując ukryć zadowolenie.

– Powinien znaleźć się dokładnie na wprost dziobu – mruknął, ale potem uśmiech znów pojawił się na jego twarzy. – Ale i tak nie najgorzej, co?

Thorn klepnął go w ramię.

– Nawet bardzo dobrze. Dla mnie, który zawsze trzymałem się wybrzeży, to wprost nie do pojęcia.

– Zdaje się, że nasz więzień zaczął interesować się otaczającym światem – zauważył Hal.

Rikard, madziarski pirat, któremu Thorn pomógł uciec z więzienia w Limmat, podniósł się i patrzył w kierunku lądu. Przez ostatnie dni siedział skulony koło masztu, swobodę jego ruchów ograniczał ciężki łańcuch, którym przykulili go do drzewca.

– Wie, że jest już blisko domu – odparł Thorn. – Ujście rzeki Schuyt znajduje się zaledwie kilka kilometrów dalej. A rzeką tą można dopłynąć do stolicy Madziarów.

– Uwolnimy go? – zapytał Hal.

Thorn potrząsnął głową.

– Najpierw musimy przekonać się, że mówi prawdę. Jeśli nie kłamał, kiedy wpłyniemy na wody rzeki Dan, powinien znaleźć się ktoś, kto potwierdzi, że „Kruk” płynął tą drogą kilka dni wcześniej. Rikard będzie musiał poczekać.

Kiedy opuścili port Limmat, Rikard, dotrzymując danego słowa, powiedział im, dokąd zmierza Zvac. Zvac był kapitanem pirackiego okrętu. Tej nocy, kiedy Czaple pełniły straż, skradł Andomal, najcenniejszy skarb Skandian. Teraz Hal i jego towarzysze próbowali ów skarb odzyskać.

Ścigali Zvacę przez Morze Białych Sztormów, lecz wielki czarny okręt, noszący imię „Kruk”, ciągle im się wymykał. Dogonili go w Limmat, porcie, leżącym na wschodnim wybrzeżu. Zvac z pomocą dwóch innych okrętów zaatakował miasto i zajął je. Drużyna Czapli odegrała zasadniczą rolę w bitwie, pokonała piratów i wygoniła ich z miasta. Wielu Madziarów zginęło, wielu dostało się do niewoli, ale Zvac wraz załogą zdołał im się wymknąć, a przedtem staranował i próbował zatopić skandyjski okręt, „Wilczy Wicher”.

Rikard twierdził, że „Kruk” zmierza w stronę rzeki Dan – był to potężny szlak wodny, biegnący od wybrzeży Morza Białych Sztormów daleko na południe, aż do Morza Spokojnego. U ujścia południowej odnogi Danu leżała twierdza Raguza, port, w którym rządziła rada, złożona z piratów i złodziei. Korsarze, grasujący na wodach Morza Białych Sztormów i Morza Spokojnego, często szukali tam schronienia, wiedząc, że mogą liczyć na ochronę przed żądnymi zemsty ofiarami. Każdy okręt, który chciał zatrzymać się w porcie, musiał zapłacić daninę, zwykle dziesiątą część łupów. Była to wysoka cena, lecz w zamian piraci zapewniali sobie bezpieczeństwo i nie musieli martwić się ewentualnymi prześladowcami.

Zvac wiozł na swym okręcie spory łup w postaci szmaragdów, zrabowanych z tajnej kopalni w Limmat. Część miała wprawdzie dostać się tym, którzy pomagali mu podczas ataku i okupacji miasta, wszyscy jednak zostali pokonani, zabici bądź uwięzieni. A Zvac zwiózł z całą zdobyczą. Dzięki tak bogatemu łupowi nie musiał podejmować kolejnych wypraw i wszystko wskazywało na to, że postanowił odpocząć i zebrać siły w pirackiej twierdzy.

Teraz „Czapla” zbliżała się do lądu, a Rikard chyba wyczuł na sobie wzrok członków drużyny, bo odwrócił się i kiwnął ręką na Thornę, który podszedł do niego.

– O co chodzi? – zapytał, choć właściwie domyślał się odpowiedzi.

– Puśćcie mnie wolno? – Pirat wskazał na zbliżający się brzeg.

Thorn potrząsnął głową.

– Obawiam się, że wolelibyśmy jeszcze trochę nacieszyć się twoim towarzystwem.
– Dotrzymałem słowa! Ty zaś obiecałeś, że mnie uwolnicie! – zaprotestował Rikard.
– Nie. Obiecałem, że cię uwolnimy, kiedy będziemy pewni, że powiedziałaś prawdę.
Obiecałem również, że w przeciwnym wypadku wyrzucę cię za burtę.

– Ale czy naprawdę musicie trzymać mnie skutego? – Rikard gniewnie potrząsnął łańcuchem, którym przywiązali go do masztu. – W końcu i tak nie mam dokąd uciec.

Thorn uśmiechnął się.

– To na wypadek, gdybyś chciał pozbawić mnie rozkoszy wrzucenia cię do wody. Nie zamierzam oddać inicjatywy w tej sprawie w twoje ręce.

Rikard spojrzał na niego spode łba i usiadł ciężko na pokładzie. Zrozumiał, że dalsze dyskusje nie mają sensu. Przez tych kilka dni zdążył się nauczyć, że Thorn nie należy do osób, które łatwo zmieniają zdanie.

– Wiem, że nie możesz się doczekać, by wrócić do Madziarii i dołączyć do kolejnej pirackiej drużyny – rzucił Thorn – ale na razie musisz pogodzić się z obecnym stanem rzeczy. – Potem odwrócił się i podszedł do steru, przy którym stał Hal, rozmawiający z Lydią i Stigiem.

– Zamierzasz przybić do brzeżu? – zapytała Lydia.

Hal wyduł wargi, po czym potrząsnął głową.

– Nie. Popłyniemy dalej wzdłuż wybrzeża, aż do ujścia Danu. Tam możemy zejść na ląd. Musimy sprawdzić, czy ktoś widział „Kruka”.

Ciągle martwił się, że Zovac popłynął w zupełnie innym kierunku, a oni zmarnowali całe cztery dni, szukając wiatru w polu.

– Chłopcom dobrze by zrobiło, gdyby się wreszcie wyspali. Zresztą mnie też.

Pokład „Czapli” bynajmniej nie był najwygodniejszym miejscem do spania. Wprawdzie między ławkami wioślarzy dało się rozłożyć legowiska, lecz łódź nieustannie kołysała się i podskakiwała na falach, a od czasu do czasu na pokład bryzgała woda, co uniemożliwiało głęboki i nieprzerwany sen.

– Jeszcze jeden dzień jakoś wytrzymają.

– I ja też? – uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Ty też. Przykro mi. Sen musi poczekać. Najpierw trzeba sprawdzić, czy na pewno zmierzamy w odpowiednim kierunku.

Lydia kiwnęła głową. Hal miał rację. I zapewne, jak przypuszczała, zaznał najmniej snu z nich wszystkich. Owszem, dzielił się obowiązkami ze Stigiem, który zmieniał go przy sterze, ale większą ich część wziął na siebie.

– A może warto sprawdzić w którymś z miast na wybrzeżu? – zaproponował Stig, lecz Hal potrząsnął głową.

– Jeśli widziano ich tutaj, to jeszcze nie znaczy, że popłynęli Danem. Mogli przecież udać się dalej na zachód wzdłuż wybrzeża.

Stig westchnął.

– No tak, to chyba oznacza kolejną noc na twardych dechach. Czemu ta łódź ma tyle żeber? Zawsze wbijają się w moje.

Hal uśmiechnął się szeroko.

– Postaram się nie zapomnieć o tym następnym razem, kiedy będę budował okręt. – Potem, jak to często bywa, kiedy ktoś poruszy temat snu, ziewnął potężnie.

Thorn spojrzał na niego z namysłem.

– Wygląda na to, że tobie również przydałoby się trochę odpoczynku.

Hal wzruszył ramionami i zamrugał prędko. Teraz, kiedy Thorn powiedział to głośno, zdał sobie sprawę, że jego oczy są strasznie suche i piekące.

– Nic mi nie będzie – odparł, lecz Thorn nie dał się zbyć.
– Uważam, że ktoś powinien czasem przejąć ster – oznajmił.
Stig odchrząknął znacząco.
– Ehm... Czy ktoś raczył zauważyć, że tu jestem? A może wzięliście mnie za filet z halibuta? – zapytał. – o ile dobrze pamiętam, przez ostatnie dni przejmowałem ster regularnie.
– Wiem o tym – odparł cierpliwie Thorn. – Chodziło mi o trzecią osobę.
– A ty byś nie mógł? – zapytała Lydia.
Thorn spojrział na nią.
– Mógłbym. Ale ustaliliśmy, że jeśli zacznie się bitwa, Stig i ja prowadzimy resztę drużyny i rozpoczynamy abordaż. Jesteśmy najlepszymi wojownikami. A Hal powinien mieć wolne ręce, by obsługiwać Zadymiarza.
Takie miano nadali ogromnej kuszy, królującej na dziobie łodzi.
– Masz jakiegoś kandydata? – zapytał Hal.
Pomysł Thorna był rozsądny, trzeci sternik odciążałby jego i Stiga. Wszystko wskazywało na to, że czeka ich długa i wyczerpująca podróż.
– Myślałem o Edvinie – odparł Thorn. – Stefan i Jesper dobrze sobie radzą przy podnoszeniu i opuszczaniu żagli, Ulf i Wulf mają wrodzony talent do trzymowania ich i ustawiania. Edvin zaś siedzi beczynnie.
Hal uśmiechnął się.
– Bardziej taktownie byłoby powiedzieć, że ma w sobie wielki niezrealizowany potencjał – odparł. – Ale w porządku, to dobry pomysł. Edvin jest bystry i chętnie się uczy. Na pewno szybko załapie. Od razu chodźmy z nim porozmawiać. – Kiwnął głową do Stiga, który przejął ster, i wraz z Thornem podszedł do Edvina, siedzącego obok Ingvara. Ingvar leżał bezwładnie na pokładzie – doznał obrażeń w czasie ataku na wieże strażnicze w Limmat.
Ale Edvin bynajmniej nie siedział beczynnie. W skupieniu pochylał głowę i wykonywał dziwne prędkie ruchy rękami, w których migwały dwa cienkie długie patyki, uderzając o siebie z cichym brzękiem. Na pokładzie między jego stopami leżał kłębek włóczki.
– Edvin? – zaczął Hal. – Co ty robisz?
Edvin uniósł głowę i uśmiechnął się.
– Robię na drutach – odparł. – Robię sobie ciepłą wełnianą czapkę marynarską.
Hal i Thorn spojrzeli na siebie.
– Zastanawiam się, czy to na pewno dobry wybór – powiedział Thorn.



ROZDZIAŁ 2



Na drutach, powiadasz? – Jesper zmarszczył podejrzliwie brwi, ale Stefan kiwnął głową na potwierdzenie swych słów.

– Na drutach. Miał wielki kłębek włóczki, druty i... i robił na drutach.

Wszyscy spojrzeli w stronę steru. Hal właśnie wprowadzał Edvina w subtelności sterowania łodzią. Stig i Thorn stali obok, przyglądając im się. Lydia zastąpiła Edvina w doglądaniu Ingvara. „Czapla” spokojnie płynęła przed siebie, pchana wiatrem od strony sterburty i załoga miała niewiele do roboty. Jesper i Stefan zaś, których zadanie polegało na podnoszeniu i opuszczaniu rejek z żaglami, przeszli na tył łodzi i gawędzili z bliźniakami.

– Nie jestem pewien, czy chcę, by u steru stał człowiek, który w wolnym czasie robi na drutach – oznajmił Stefan. Zdanie to tak naprawdę nie miało żadnego sensu, ale chyba dobrze wyraziło ich odczucia. Wszyscy jeszcze raz spojrzeli na Edvina.

– A właściwie to jak się robi na drutach? – zapytał Jesper.

Ulf wzruszył ramionami.

– To bardzo proste.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na niego. Jak to było do przewidzenia, teraz odezwał się Wulf.

– Doprawdy? W takim razie może nam wyjaśnisz.

Ulf zawahał się. Widział nieraz, jak jego matka, ciocia i babka robią na drutach i wydawało się to bardzo łatwe. Nawet nie musiały patrzeć na swoje ręce – w tym samym czasie potrafiły prowadzić swobodną konwersację na temat pogody czy cen solonego dorsza. Tak więc Ulf uznał, że musi być to bardzo prosta czynność. Szczególnie jeśli opanowała ją nawet jego ciotka.

Nagle zdał sobie sprawę, że pozostali wciąż patrzą na niego, czekając na odpowiedź. Machnął niedbale ręką.

– Cóż... bierze się druty...

– Druty do robienia na drutach? – zapytał Stefan. Ulf zmarszczył brwi, wyraźnie niezadowolony.

– Ależ to się rozumie samo przez się! – odparł z oburzeniem. – A niby jakie?

– Mam brzydkie skojarzenia – stwierdził Stefan.

– To już sam sobie jesteś winien – odparł Ulf.

– Mów dalej, Ulfie – powiedział Jesper do Wulfa. Ulf wywrócił oczami. „Tego to już trochę za wiele”, pomyślał.

– To ja jestem Ulf – rzucił. – Wulf to on.

– Jesteś pewien? – zapytał Stefan. Kąciki jego ust uniosły się w nieznacznym uśmiechu. – Według mnie, to on wygląda jak Ulf.

– A wiesz – wtrącił Wulf z namysłem, dostrzegłszy doskonałą okazję, by dokuczyć bratu – to całkiem możliwe. – Kiedy obudziłem się dziś rano, nie byłem do końca pewien, kim jestem.

Pomyślałem, że może to jakaś pomyłka i obudzili nie tę osobę, co trzeba.

– Dokładnie tak samo zareagowała nasza matka, kiedy się urodziłeś – odparował Ulf. – Spojrzała na ciebie i powiedziała: „O, nie! To jakaś pomyłka! Ten paskudny bachor nie może być moim synem!”.

Wulf wyprostował się, przybrał wojowniczą minę i spojrzał swemu bratu prosto w oczy.

– Ciekawe, skąd ty masz takie wiadomości.

– A stąd, że urodziłem się pierwszy i pamiętam, że czekałem całą wieczność, zanim wreszcie wylazłeś. Niestety, wszyscy przeżyli wielkie rozczarowanie – dodał triumfalnie. Był w swoim żywiole. Jako pierworodny miał pewną przewagę w tego rodzaju sporach.

Twarz Wulfa pokryła się purpurą.

– Naprawdę myślisz, że uwierzymy...? – zaczął, ale Lydia, stojąca kilka metrów dalej, przerwała cichym ostrzegawczym tonem:

– Dajcie spokój, chłopaki. Jesteśmy na morzu.

Spojrzeni na nią, a ona wskazała głową w stronę steru, wokół którego nadal tłoczyła się niewielka grupka. Wulf wykrzywił wargi w niepewnym grymasie. Hal zabronił bliźniakom kłótni na morzu. Do tej pory udawało im się powściągać naturalne skłonności, ale ostatnie cztery dni były całkowicie pozbawione wszelkich wrażeń i zaczęli się nudzić.

– Chyba nas nie słyszał – powiedział cicho Wulf i zmieształ się, kiedy Thorn odpowiedział, nie patrząc na nich:

– A owszem, słyszał.

Ulf i Wulf wymienili przerażone spojrzenia. W rzeczywistości Hal był zbyt pochłonięty udzielaniem Edwinowi lekcji sterowania, by zwracać na nich uwagę. Ale oni nie musieli o tym wiedzieć.

– Tak czy owak, wyjaśnij nam wreszcie, jak się robi na drutach – powiedział Wulf.

Ulf spojrzał na niego. Myślał, że już nie wrócić do tego tematu. Ale Wulf nie zamierzał tak szybko odpuścić.

– A więc... potrzebne są druty... takie do robienia na drutach – dodał Ulf prędko. – I kłębek wełny.

– Ile? – wtrącił Jesper.

Ulf zmarszczył brwi.

– Tylko jeden. Jeden kłębek.

Ale Jesper potrząsnął głową.

– Nie, nie. Ile drutów?

– Dwa – odparł Ulf groźnym tonem. – Dwa druty do robienia na drutach i jeden kłębek wełny.

– A jak by tak wziąć cztery druty, chyba wtedy można by robić na drutach dwa razy szybciej? – zapytał Stefan z podejrzanie niewinną miną. Ulf zmiażdżył go spojrzeniem, a potem podjął:

– Następnie należy owinąć wełnę dokoła drutów i tak jakby popychać je do przodu i do tyłu. No, właśnie tak robi się na drutach. Proste jak drut. – Zrobił szeroki gest ręką, jakby dla dopełnienia swych słów. Pozostali przypatrywali mu się sceptycznie.

Kiedy Lydia położyła wilgotny kompres na czole Ingvara, ten nagle otworzył oczy i zapytał:

– O czym oni bredzą?

Głos brzmiał słabo, co bardzo ją zmartwiło. Ingvar powinien już zacząć dochodzić do siebie. Uśmiechnęła się. Wiedziała, że ponura mina raczej nie przyczyni się do poprawy jego stanu.

– O robieniu na drutach – odparła. – Palanty.

Próbował kiwnąć głową, ale zdołał zaledwie lekko nią poruszyć. Mruknął coś niezrozumiale. Pochyliła się nad nim.

– O co chodzi?

Ingvar nie odpowiedział, zaśmiał się i skrzywił, najwyraźniej gwałtowny ruch sprawił mu ból. Lydia ujęła jego dłoń i ścisnęła delikatnie. Żałowała, że nic więcej nie może dla niego zrobić.

Odpowiedź Ulfa nie zadowoliła Jespera. Temat robienia na drutach bardzo go zaciekawił i chciał dowiedzieć się czegoś więcej. Ściśle rzecz ujmując, był tak znudzony, że w tym momencie zainteresowałyby go właściwie każdy temat. Odwrócił się i spojrzał na Lydię, która znów zaczęła przykładac mokry kompres do twarzy i karku Ingvara.

– Lydio, czy robienie na drutach jest trudne? – zapytał.

Przerwała i uniosła wzrok.

– A skąd mam wiedzieć? – odparła spokojnie.

Wzruszył ramionami.

– No, jesteś dziewczyną, a to takie dziewczynskie zajęcie, więc pomyślałem.

Nagle umilkł. Lydia wpatrywała się w niego bacznie, nic nie mówiąc. Jesper czuł się coraz bardziej niepewnie. W końcu odparła:

– Nie wiem. Ja nie robię na drutach.

– O – powiedział z ulgą, że w końcu przerwała niepokojącą ciszę. „Z Lydią nigdy nic nie wiadomo”, pomyślał. Różniła się od znanych mu dziewczyn, a długi sztylet, wiszący u jej pasa, zdawał się bardzo ostry.

– Ale umiem szyć – dodała. Zerknął na nią prędko. Coś w jej tonie podpowiadało mu, że to nie koniec. Nerwowo przełknął ślinę, wbiła w niego wzrok, aż spojrzał w drugą stronę. Czuł, że czeka na jakąś jego reakcję.

– Naprawdę?

– Tak. I jeśli jeszcze raz wyskoczysz z jakimś durnym męskoszowinistycznym tekstem, przyszyję ci dolną wargę do ucha.

Kilka razy skinął głową.

– Tak. Rozumiem. Wargę do ucha. Rozumiem. Może porozmawiamy o czymś innym, dobrze? – zaproponował, zwracając się do całej grupy.

– A o czym? – zapytał Wulf.

Jesper zerknął nerwowo na Lydię, która znów pielęgnowała Ingvara, z całkowicie obojętną miną.

– O czymkolwiek. Byle nie o robótkach ręcznych.



Edvin zaczynał chwytać, o co chodzi w sztuce sterowania łodzią. Spojrzał na linię kilwateru. Była prosta – nie tak idealnie jak linia, którą zostawiała za sobą „Czapla”, kiedy to Hal nią sterował, ale naprawdę wyglądała nie najgorzej.

– Niedługo będzie z ciebie sternik jak się patrzy, Edwinie – powiedział Thorn. Edvin zarumienił się z zadowoleniem. Potem wrócił do ćwiczeń: specjalnie zboczył z kursu o kilka stopni i zaczął ćwiczyć naprowadzanie łodzi na prawidłowy kurs. Zwolnił ster dosłownie na sekundę wcześniej.

– Dobrze – pochwalił go Hal. – Lydio, chcesz ze mną porozmawiać?

Dziewczyna stała opodal, jakby czekała, aż ktoś zwróci na nią uwagę. Kiwnęła głową

w stronę Edvina.

– Właściwie z Edvinem, jeśli możesz zwolnić go na chwilę. Mógłbyś spojrzeć na Ingvara? Mam wrażenie, że mu się pogorszyło.



ROZDZIAŁ 3



Myślałem, że zdrowieje – powiedział Hal, ruszając za Edwinem i Lydią w stronę Ingvara, leżącego na swym zaimprovizowanym posłaniu pośrodku pokładu. Potężny chłopak dostał strzałę podczas szturmu na Limmat.

Edvin zacisnął wargi. Miał zmartwioną minę.

– Ja też. Ale wczoraj mu się pogorszyło. I bynajmniej nie poprawiło się przez noc. Miałem nadzieję, że to chwilowe. Ale teraz... – nie dokończył.

Ingvar spał – o ile można nazwać to snem. Chyba trafniej byłoby powiedzieć, że leżał nieprzytomny. Powieki miał mocno zaciśnięte, rzucał głową na poduszce. Policzki mu się zapadły, skóra przybrała blady woskowy odcień, pod oczami widniały ciemne cienie. Edvin ukląkł obok Ingvara i delikatnie położył rękę na jego czole. Twarz Edvina przybrała jeszcze bardziej zmartwiony wyraz. Gestem dłoni dał znak Halowi, by dotknął czoła Ingvara.

Zrobiwszy to, Hal odwrócił się i rzucił Edwinowi przerażone spojrzenie.

– On płonie! – powiedział. Skóra Ingvara była gorąca i sucha.

Edvin przytaknął z nieszczęśliwą miną.

– Wiem – powiedział. – Myślałem, że na morzu mu się poprawi. Szpital w Limmat to było okropne ciemne duszne miejsce, pełne gorączkujących chorych. Orlog jeden wie, co można złapać, oddychając tak niezdrowym powietrzem. Sądziłem, że świeże morskie powietrze będzie dla niego lepsze, lekarz zgodził się ze mną. Zresztą, jak już mówiłem, z początku wyglądało na to, że zdrowieje.

– A co spowodowało pogorszenie? – spytał Hal.

– Jest bardzo słaby i źle śpi. A to oznacza, że nie ma jak odbudować sił, potrzebnych do zwalczania choroby. Wydaje mi się, że w ranę znów wdała się infekcja. Stąd gorączka.

– Możesz coś na to poradzić?

Podczas treningu drużyn Edvin, cichy skromny chłopak, przeszedł szkolenie medyczne, lecz było ono dość krótkie i pobieżne.

Wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Na pewno mogę jeszcze raz przemyć ranę i nadal przykładać mokre kompresy z nadzieją, że gorączka minie. Jeśli pomożemy mu ją przetrwać, jeśli pozwolimy mu porządnie wypocząć, jego stan powinien się poprawić. Tak przypuszczam.

Hal przez chwilę rozważał w myślach słowa Edvina. Potem spojrzał w kierunku lądu.

– Czy możesz dokonać tego tu, na pokładzie? – zapytał.

Edvin zawahał się, potem potrząsnął głową.

– Raczej nie. Za bardzo rzuca nami i kołysze.

Hal kiwnął głową. To była słuszna uwaga. Przez chwilę miał straszną wizję, co by się stało, gdyby łódź podskoczyła niespodziewanie na falach akurat w chwili, gdy Edvin będzie oczyszczał ranę.

– Ale kiedy się z tym uporasz, możemy znów wyruszyć na morze? – zapytał.

Nieszczęśliwy grymas na twarzy Edvina wystarczył za odpowiedź.

– Pokład nieustannie rusza się i kołysze. Nie sposób wypocząć w takich warunkach. Sam wiesz, jak to jest. Mięśnie spinają się, przygotowują na kolejny ruch łodzi. Instynktownie szykujesz się na uderzenie następnej fali. Ingvar musi porządnie się wyspać. To byłoby dla niego najlepsze lekarstwo. A nie wyśpi się, dopóki jesteśmy na morzu. Całkiem prawdopodobne, że właśnie to ciągłe spinanie mięśni pogorszyło jego stan.

– Jak długo?

Edvin wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może wystarczy jedna noc. Może dwie. Jeśli wypocznie porządnie, a ja zdołam zbić mu gorączkę, powinien szybko dojść do siebie. Trzeba przez cały czas okładać go zimnymi kompresami, wtedy temperatura spadnie.

– A jeśli nie?

– Wtedy może umrzeć – powiedział Edvin. Lydia rzuciła mu przerażone spojrzenie.

– Naprawdę jest aż tak źle? – spytała, on zaś w odpowiedzi kiwnął głową.

Hal odwrócił wzrok, przeklinając w myślach. Za każdym razem, kiedy już prawie dopadał Zavaca, coś stawało mu na przeszkodzie. Pod Limmat musiał wybrać: gonić dalej za piratami czy skazać Svengala i resztę drużyny „Wilczego Wichru” na śmierć w odmętach. Teraz musiał zmierzyć się z kolejną tego typu sytuacją. Stawką było życie Ingvara.

Prócz zwykłej troski o przyjaciela brał pod uwagę również pewien bardzo konkretny argument. Lydia najwyraźniej pomyślała o tym samym.

– Potrzebujesz pomocy Ingvara, jeśli chcesz użyć Zadymiarza – powiedziała cicho.

– Wiem.

Wielka kusza miała stanowić ich najważniejszą broń, gdyby doszło do starcia z „Krukiem”. Tylko Ingvar posiadał siłę, konieczną do naciągania ciężki i ładowania pocisków. Oczywiście, Ulf i Wulf również mogli tego razem dokonać. Ale ich zadanie na „Czapli” w trakcie bitwy morskiej miało polegać na ustawianiu żagli podczas kolejnych manewrów. Każdy członek załogi grał określoną rolę podczas starcia z wrogiem. A szczególna rola przypadała Ingvarowi.

Kiedy Hal o tym pomyślał, łatwiej przyszło mu podjąć decyzję. Wstał, przysłonił oczy dłonią i spojrzał na linię brzegu, wzdłuż którego płynęli.

– Znajdźmy jakieś odpowiednie miejsce na obóz – powiedział.



Musieli przepłynąć jeszcze spory kawałek, nim natrafili na takie miejsce. Linię brzegową w przeważającej części tworzyły płaskie otwarte plaże, smagane nieustającym wiatrem od północnego wschodu. Gdyby wiatr przybrał na sile, mogłoby to źle się dla nich skończyć.

Wreszcie Hal znalazł to, czego szukał. Teren w tym miejscu wznosił się, między niskie skaliste klify wrzynał się długi pas plaży. Wąskie przejście prowadziło do niewielkiej zatoczki. Hal kazał opuścić żagiel i zasiąść do wiosł. Chciał obejrzeć bliżej to miejsce. Okazało się idealne na obozowisko. We wschodniej części zatoczki ciągnęła się piaszczysta plaża, osłonięta cyplem od wiatru.

Chłopcy na kilka minut wsparli się na nieruchomych wiosłach, a Hal uważnie wodził wzrokiem dokoła, szukał wodnych wirów, które mogłyby wskazywać na obecność skał tuż pod powierzchnią i obserwował ruch fal, by upewnić się, że u wejścia do zatoczki nie czai się podstępna rafa.

– Stig! – zawołał. Pierwszy oficer rozkazał wiosłarzom przystąpić do akcji.

Hal skierował łódź do zatoczki. Stefan zajął jego pozycję na dziobie, teraz on wypatrywał w wodzie ewentualnych zagrożeń. Niczego jednak nie dostrzegł i „Czapla” skierowała się w stronę wąskiego pasa piachu, który upatrzył sobie Hal.

– Wciągnąć wiosła! – krzyknął, gdy znaleźli się zaledwie dwadzieścia metrów od brzegu. Wiosła zaklekotały w dulkach, a potem jeszcze raz o pokład.

– Thornie, wciągnij płetwę – rozkazał Hal i Thorn wykonał polecenie. Hal poczuł charakterystyczny, tak dobrze już mu znany ruch łodzi, pozbawionej płetwy, która miała za zadanie zmniejszać dryf. A potem dziób zaszurał na grubym piachu i łódź przechyliła się lekko na jedną stronę. Stefan, nie czekając na polecenie, zeskoczył na brzeg z kotwicą i wbił ją głęboko w piach.

Jak zwykle, gdy nagle ustawał ruch łodzi, nastąpiła ta dziwna cisza. Nagle zamilkł chór, tworzący muzyczne tło każdej podróży: pluskanie fal o kadłub, stłumiony pomruk masztów i olinowania. Hal miał wrażenie, że jego głos brzmi nienaturalnie głośno.

– Rozbijmy obóz.

Członkowie załogi szybko przystąpili do pracy. Mieli już spore doświadczenie w tej dziedzinie. Rozpięli na palikach wielki kawał brezentu, tworząc namiot w kształcie litery A. Edvin i Stefan zbudowali osobne schronienie dla Ingvara.

Po zakończonej pracy Stig podszedł do Hala i wskazując kciukiem Rikarda, zapytał:

– Zostawimy go na pokładzie?

Hal po chwili zastanowienia potrząsnął głową. Wprawdzie przywiązali Rikarda do masztu i niebezpieczeństwo, że ucieknie, było naprawdę niewielkie, jednak Hal nie chciał zostawiać go bez dozoru na pokładzie. Rikard miał im za złe, że go nie wypuścili, i Hal bał się, by nie uszkodził łodzi w ramach zemsty.

– Zabierzcie go na brzeg, przykucicie do drzewa i rzućcie na niego jakiś koc – powiedział. Potem spojrzął w niebo. Kilka obłoków przesunęło się po niebieskim tle, nie widać było ciemnych chmur, zwiastujących deszcz.

Ulf i Wulf odwiązali Rikarda od masztu i zaprowadzili go pod potężną sosnę, rosnącą na końcu plaży, jakieś dwadzieścia metrów od ich namiotu. Obwiązali łańcuch dokoła pnia, sprawdzili, czy na pewno jest odpowiednio przymocowany do skórzanych kajdanków na nadgarstkach Rikarda, potem podali mu koc.

– Rozgość się – powiedział Ulf. Pirat burknął tylko i rzucił spojrzenie spode łba w odpowiedzi na ich uśmiechy. Odwrócili się i ruszyli z powrotem do obozu.

– Zjedzmy coś. Umieram z głodu – powiedział Ulf.

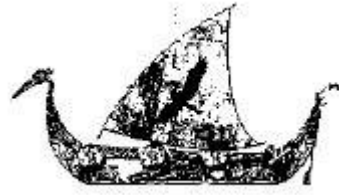
– Ty zawsze umierasz z głodu – zauważył Wulf.

– To dlatego, że jestem starszy od ciebie. Musiałem dłużej czekać na obiad.

Rikard odczekał, aż ich głosy ucichły, potem spojrzął na swoje dłonie. Skórzane kajdanki były sztywne i dopasowane, nie dało się ich przesunąć ani poluznić gołymi rękami.

Ale Rikard nie był zdany na siłę gołych rąk. Okrył się kocem i sięgnął do buta. W specjalnej pochwie, skrytej po wewnętrznej stronie sięgającej kolan cholewki i dodatkowo zamaskowanej listwą z miękkiej skóry, krył się długi ostry nóż. Wcześniej Rikard nie mógł się do niego dostać, na pokładzie stale obserwowali go członkowie załogi.

Uśmiechnął się lekko do siebie. Teraz sytuacja uległa zmianie.



ROZDZIAŁ 4



Hal pochylił się i wszedł do niewielkiego namiotu. Ingvar leżał na plecach, na miękkim posłaniu z sosnowych gałązek wystłanych grubym, miękkim kocem. Drugi koc okrywał jego ciało. Chłopak zamruczał coś przez sen i próbował go zrzucić.

Obok klęczał Edvin z naczyniem pełnym zimnej wody, na ziemi leżały mokre ręczniki. Chwycił ramię Ingvara, nie pozwalając mu, by zrzucił z siebie koc. Z troską stwierdził, że powstrzymał chorego bez większego trudu. Wcześniej siła Ingvara była wręcz legendarna, lecz teraz...

Edvin wyczuł obecność Hala i uniósł wzrok.

– Słaby jak kociak – stwierdził.

Hal kiwnął głową i ukląkł po drugiej stronie posłania.

Wyciągnął rękę i położył ją na czole Ingvara. Bił od niego prawdziwy żar. Hal przestraszył się.

– Chyba mu się pogarsza – powiedział ze smutkiem. – Czy mi się wydaje, czy gorączka skoczyła?

Edvin wzruszył ramionami, po czym zmoczył jeden z ręczników i zaczął przykładac go do czoła, twarzy i szyi Ingvara.

– Nie mam jak tego sprawdzić – powiedział – ale chyba masz rację. Bez wątplenia zbliża się kryzys.

Hal spojrział na nowy bandaż, oplatający ciało Ingvara powyżej bioder.

– Zmieniłeś opatrunek?

Edvin pobiegł za jego wzrokiem i kiwnął głową.

– Oczyszcilem ranę i zabandażowałem. Nic więcej nie mogłem zrobić.

Wilgoć na twarzy Ingvara już zdążyła wyschnąć. Chory, pozbawiony ulgi, którą dawał kompres, poruszył się niespokojnie na posłaniu. Edvin powstrzymał go łagodnie.

– Leż, Ingvarze – powiedział miękko. – Spokojnie.

Wziął kolejny ręcznik. Chłodzący kompres podziałał natychmiast, Ingvar znów poczuł ulgę i uspokoił się.

Hal przyglądał się Edvinowi. Był to chłopak niewielkiego wzrostu i, jak wszyscy członkowie drużyny Czapli, uchodził za wyrzutka w rodzinnym Hallasholm. Był jednak bardzo inteligentny i przykładowy. Kiedy podjął się jakiegoś zadania, wykonywał je bardzo starannie i do końca.

Hal uświadomił sobie nagle, że Edvin jest na skraju wyczerpania, zarówno z powodu psychicznego napięcia i troski o Ingvara, jak i czysto fizycznego wysiłku, związanego z pielęgnacją chorego. Hal wyciągnął rękę i wyjął mokry ręcznik z ręki Edvina.

– Zmienię cię na chwilę – powiedział. Kiedy Edvin spojrział na niego i już miał zaprotestować, dodał stanowczo: – I tak nie mam nic do roboty. A ty musisz wypocząć. Potrzebujesz przerwy. Idź, zjedz coś. Pozostali już skończyli, ale powiedziałem im, żeby

zostawili porcję dla ciebie.

Edvin rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

– Już zjedli? A kto gotował?

– Stig.

Edvin skrzywił się.

– Stig gotował? – Edvin pełnił wiele różnych funkcji w drużynie Czapli, między innymi funkcję mistrza kuchni i miał pewne zastrzeżenia co do zdolności swych towarzyszy z tej dziedziny. Na początku gotowali po kolei, według grafika, i rezultaty w większości przypadków okazały się zdecydowanie niejadalne. W końcu Edvin obwołał się jedynym kucharzem w drużynie, gdyż, jak to ujął, nie miał ochoty paść ofiarą zatrucia.

– Zrobił znaczne postępy – odparł Hal i uśmiechnął się szeroko. – Albo na początku oszukiwał i krył się ze swoim talentem, bo nie chciał tej roboty. Tak czy inaczej, złapał piękną rybę i zrobił zupę. Przejrzał twoje zapasy ziół i przypraw, a Lydia znalazła w lesie dziką cebulę.

Edvin nadal miał sceptyczną minę, więc Hal postanowił wyciągnąć asa z rękawa.

– Thorn wziął dokładkę.

Edvin unióśł brwi ze zdumieniem. Thorn był bardzo wybredny.

– W takim razie chyba spróbuję. – Podniósł się, przez chwilę patrzył, jak Hal pielęguje chorego towarzysza.

– Zawołaj mnie w razie czego – powiedział.

Hal kiwnął głową.

– Dobrze. Powiedz Lydii, żeby zmieniała mnie za dwie godziny. A ty się prześpij.

Zmoczył ręcznik, wyjął go i znów przyłożył do czoła Ingvara. Woda wysychała w przerażającym tempie na rozpalonej skórze. Edvin, uspokojony, że Ingvar jest w dobrych rękach, odwrócił się i wyszedł. Hal usłyszał westchnienie ulgi, kiedy chłopak wreszcie wyprostował plecy.



Było tuż przed świtem. Ptaki wyczuły zbliżający się wschód słońca i już rozpoczęły chóralne śpiewy w koronach drzew, rosnących wzdłuż plaży. Hal znów czuwał na posterunku obok Ingvara, zastąpił Lydię tuż po północy.

Kilka razy przysypiał, ale po chwili budziło go majaczenie chorego, walczącego z kolejną falą gorączki. Hal wytrwale zmieniał mokre kompresy, co jednak zdawało się całkowicie beznadziejnym zadaniem. Zauważył, że wiadro jest niemal puste i postanowił pójść po wodę.

Przez pewien czas stan Ingvara zdawał się poprawiać. Ataki, podczas których bredził i rzucał się na posłaniu, zdarzały się rzadziej. Przez chwilę Hal widział promyk nadziei, myślał, że przyjaciel może przetrwać kryzys i zaczyna zdrowieć. Ale potem znów mu się pogorszyło. Mokre kompresy właściwie przestały przynosić ulgę. Gorączka sama w sobie była czymś złym, a poza tym dodatkowo osłabiała i tak nadwątlone siły Ingvara. Jego ciało nie mogło zaznać odpoczynku, musiało walczyć z zalewającymi je falami gorąca. Wyczerpany, nie mógł walczyć z chorobą, która atakowała go z coraz większą mocą. Błędne koło.

Hal usłyszał czyjeś kroki. Podniósł głowę. Do namiotu wszedł Thorn.

Stary wilk morski przyjrzał się swemu młodemu przyjacielowi, jego zaczerwienionym oczom i wymęczonej twarzy.

– Jak długo tu siedzisz? – zapytał.

Hal niepewnie potrząsnął głową. Światło dnia na zewnątrz powoli przybierało na sile.

– Nie wiem – odparł głosem zmienionym ze zmęczenia. – Kilka godzin, jak

przypuszczam.

Thorn ukląkł i wyjął z jego ręki wilgotny ręcznik. Hal nie stawiał oporu.

– Nie pomożesz mi, jeżeli sam padniesz ze zmęczenia – zauważył.

Hal zwrócił na niego nieszczęśliwe spojrzenie.

– I tak mi nie pomogę. To beznadziejne. Tracimy go.

Ingvar otworzył oczy, zamruczał coś cicho. Thorn zmoczył ręcznik i przyłożył do czoła chłopca.

– Nie można tracić nadziei – powiedział stanowczo.

– I na razie go nie straciliśmy. Będziemy próbować tak długo, jak tylko się da. Na tym polega drużyna. Nie rezygnujemy, kiedy chodzi o życie kogoś z jej członków.

Hal opuścił ramiona i westchnął głęboko.

– Masz rację – powiedział. – Tylko że ta nadzieja wydaje się taka ulotna.

– I tak będzie aż do chwili, gdy nastąpi przesilenie – odparł Thorn. – Ale musimy wierzyć, że będzie lepiej. Musimy poświęcić Ingvarowi cały nasz czas, troskę i opiekę, wszystko, czego potrzeba, by wyzdrowiał.

– A jeśli nie wyzdrowieje?

Serce krwawiło Thornowi, kiedy patrzył na zrozpaczoną twarz Hala. Wiedział, że jego przyjaciel czuje się odpowiedzialny za stan Ingvara. I wiedział, że jest on za młody, by poradzić sobie z takim ciężarem.

– Jeśli nie – odparł – to przynajmniej będziemy wiedzieli, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Wszystko – powtórzył.

Przyglądał się bacznie Halowi, który wyprostował plecy, wziął głęboki wdech i opanował emocje.

– Masz rację – stwierdził. – Dziękuję, Thornie.

Wyciągnął rękę po ręcznik, ale Thorn ją odepchnął.

– Ja przy nim posiedzę – powiedział. – Musisz się przespać. Wyglądasz gorzej niż on.

Hal posłał mu zmęczony uśmiech i podniósł się z kolan, wyszedł, wyprostował plecy i obiema rękami rozmasował zeszywniały krzyż. Ziewnął i przeciągnął się. Potem powiódł wzrokiem dokoła. I nagle się rozbudził. Pod sosną leżał tylko zwinięty koc.

Rikard zniknął.



ROZDZIAŁ 5



Zmęczenie i senność minęły jak ręką odjął. Pobiegł przez polanę, nawołując pozostałych. Pierwszy zareagował Thorn, wyskoczył z namiotu i ruszył za Halem w stronę sosny, pod którą leżały koc i łańcuch.

Ulf właśnie stał na warcie i zaraz nadbiegł od strony plaży. Jego topór, przeciągnięty przez szlufkę u pasa, obijał się niezgrabnie o udo. Tuż za nim biegła Lydia.

– Musiał mieć nóż – powiedział Hal z goryczą. Spojrzał na Thorna, który wypatrywał uciekiniera między drzewami. – Ktoś za nim pobiegł?

Thorn spojrział na niego i potrząsnął głową.

– Wydostałem go z więzienia. Nie przypuszczałem, że może mieć broń. Byłem pewien, że go przeszukano.

Jego głos bynajmniej nie brzmiał przeprasząco. Być może popełnił błąd, ale łatwo było go usprawiedliwić. Poza tym teraz nie miało sensu bić się w pierś. Rikard miał przy sobie nóż. Przeciął więzy. I uciekł. Zamiast rozpaczać, Thorn zamierzał przyprowadzić go z powrotem.

– Jak myślisz, w którą stronę mógł pójść? – zapytał Ulf. Ruszył w stronę drzew, ale zanim zdążył zrobić dwa kroki, powstrzymał go okrzyk Lydii.

– Stać! – warknęła, a on spojrział na nią, unosząc brwi. Lydia podjęła, już łagodniejszym tonem: – Przepraszam. Musiałam cię powstrzymać, żebyś nie wpakował się na jego ślady i wszystkiego nie zdeptał.

– Ja się nie pakuję – odparł Ulf z godnością. – Ja krocę bardzo lekko.

– Przyjmuję do wiadomości – powiedziała Lydia. – W takim razie nie kroc bardzo lekko po jego śladach, proszę.

Ulf, usatysfakcjonowany, kiwnął głową.

– Cóż, skoro tak to ujmiesz.

W tym momencie zjawili się Stig, Jesper i Edvin.

– Co się stało? – zapytał Jesper odruchowo, ale odpowiedź właściwie nie była potrzebna.

– Rikard uciekł – odparła Lydia.

Jesper zaczerpnął powietrza, by zadać kolejne pytanie, lecz Thorn go uprzedził.

– Miał nóż. Rozciął skórzane kajdanki.

– To musiało chwilę potrwać – zauważył Stig. – Były zrobione z utwardzanej skóry, twarde prawie jak drewno.

– Miał na to całą noc – powiedział Hal. Podniósł kajdanki i przyjrzał im się. Na jednym pasku skóry widniały liczne krótkie szarpane nacięcia, drugi przecięto jednym prostym ruchem.

– Musiał zacząć od tego – stwierdził, wskazując na pierwszy pasek. – Miał związane ręce, więc nie szło mu zbyt sprawnie. Na pewno nie mógł przybrać wygodnej pozycji ani znaleźć punktu oparcia. – Naśladował ruchy człowieka, który ma związane ręce i próbuje przeciąć skórzane kajdany. – Na pewno zajęło mu to kilka godzin.

– Kiedy Hal zmienił mnie przy Ingvarze, jeszcze tu siedział – powiedziała Lydia

z namysłem. – Pamiętam, że widziałam go, kiedy wyszłam z namiotu i pomachałam do Jespera. – Spojrzała na niego. – Przypominasz sobie, czy był tutaj, kiedy schodziłeś z warty?

Jesper zmarszczył brwi.

– Chyba tak – odparł. – Tak. Jestem pewien, że tu był. – A potem zawahał się. –

W każdym razie tak mi się wydaje. Tak, całkiem możliwe. – Zmarszczył brwi. – Chociaż nie, nie jestem pewien. Nie patrzyłem w jego stronę.

– Jakie to ma znaczenie? – wtrącił Ulf. Lydia spojrzała na niego i odparła:

– Gdybyśmy wiedzieli, kiedy uciekł, moglibyśmy w przybliżeniu określić, jak daleko może być teraz.

Kiwnął głową z uznaniem.

Stig właśnie miał coś powiedzieć, gdy nagle od strony namiotu doszedł słaby okrzyk.

Edvin spojrzał na swych towarzyszy, wpatrzonych w leżące na ziemi łańcuchy. Brakowało tylko Stefana i Wulfa. Byli strasznymi śpiochami.

– Czy ktoś siedzi przy Ingvarze? – zapytał, a oni wymienili pełne poczucia winy spojrzenia. W zamieszaniu zapomnieli o chorym przyjacielu.

– Przepraszam, Edwinie... – zaczął Hal, ale Edvin już biegł w stronę namiotu.

– W porządku. W końcu to moja praca – krzyknął. Nastąpiła chwila ciszy. W końcu Thorn przypomniał im o najważniejszej sprawie.

– Dobra, w takim razie możemy uznać, że był tutaj co najmniej jeszcze godzinę po północy. Potem Stig zmienił Jespera. Przypuszczam, że Rikard odczekał jeszcze godzinę, żeby Stig zmęczył się i znudził.

Stig wyprostował się i odparł:

– Ja nigdy nie męczę się i nie nudzę, kiedy jestem na warcie.

Thorn spojrzał mu prosto w oczy.

– Każdy męczy się i nudzi, kiedy jest na warcie.

Stig skapitulował.

– No dobrze. Pewnie tak. Może trochę się zmęczyłem.

I może nawet trochę się znudziłem.

Thorn skierował wzrok na wschód. Niebo już szarzało, lecz słońca nadal nie było widać.

– Powiedzmy, że ma nad nami cztery godziny przewagi – stwierdził.

– Nad nami? – powtórzył Hal.

Thorn wzruszył ramionami.

– Niech będzie, że nade mną. Ja pójdę go szukać.

– A gdzie zamierzasz go szukać? – zapytała Lydia. Zawahał się i uniósł brew.

– Cóż, planowałem zacząć w lesie.

Lydia spojrzała na drzewa, potem znów na niego.

– To duży las. W którym kierunku zamierzasz pójść? Chyba zdajesz sobie sprawę, że wybór jest spory. Tylko północ odpada.

Na północy leżało morze. Tylko w tę stronę nie mógł pobiec Rikard.

– Potrafisz tropić? – podjęła. – Odnajdywać różne ślady i odpowiednio je czytać?

Thorn zawahał się. Wyrwał się ze swoją propozycją pod wpływem impulsu. Był wściekły na Rikarda, nie mógł znieść, kiedy ktoś zyskiwał nad nim przewagę, a już szczególnie taka szumowina jak Rikard. Ale teraz uświadomił sobie, że Lydia ma rację. Nie byłby jednak sobą, gdyby przyznał się do tego tak po prostu.

– Przypuszczam, że jego celem jest Pragma. To na wschód. Ja na pewno właśnie tam skierowałbym kroki.

– O ile jest aż tak głupi, że będzie szedł prosto przed siebie – odparowała Lydia. – On

wie, że ty wiesz, że on tam zmierza. Byłby idiotą, gdyby nie próbował kluczyć.

– On jest idiotą – odparł gniewnie Thorn i zaraz pożałował.

– Nie aż takim, skoro ukrył przed nami nóż. I skoro zdołał uciec.

– Do czego zmierzasz, Lydio? – wtrącił Hal. – Tracimy czas.

Spojrzała na niego i kiwnęła głową.

– Właśnie. Tracimy czas. I stracimy jeszcze więcej czasu, jeśli zaczniemy biegać bez sensu po lesie, próbując go odszukać. Potrafię go wytropić. W końcu tym właśnie się zajmuję. Możesz się do mnie przyłączyć, Thornie – dodała, on zaś skłonił się z przesadną unізonością.

– Och, dziękuję ci bardzo. A czemu nie mogłaś tego od razu powiedzieć?

– Ponieważ wiem, jak byś zareagował. „Nie. Lepiej mi się pracuje w samotności. To nie dla dziewczyny. Jednym okiem będę wypatrywał Rikarda, a drugim pilnował ciebie”. Takie tam. Mam rację?

Thorn odruchowo chciał zaprotestować, ale nagle zmienił zdanie i uśmiechnął się, trochę głupkowato.

– Mniej więcej – przyznał. – Dobra. Wyraziłaś swoją opinię. A teraz zbieramy manatki i ruszamy.

– Czy to naprawdę konieczne? – zapytał Hal. – Powiedział nam przecież, dokąd udał się Zavac.

Stary wilk morski z zapalem kiwnął głową.

– Owszem, konieczne. Kiedy przekonamy się, że „Kruk” rzeczywiście popłynął w górę rzeki Dan, wtedy z przyjemnością puszczyć go wolno. Nawet dam mu na rozpęd solidnego kopniaka. Ale do tego momentu jeszcze może okazać się potrzebny.

Hal kiwnął głową.

– To ma sens. W takim razie ruszajcie.

– Idę z wami – oznajmił Stig, ale Lydia potrząsnęła głową.

– Nie. Jeśli będzie nas troje, narobimy hałasu. Wystarczy, że Thorn będzie człapał.

– Jeszcze jeden komplement i zacznę zadzierać nosa. A nie chciałbym, żeby stracił swój szlachetny kształt – przerwał jej Thorn łagodnym tonem.

Spojrzała na niego. Nie uśmiechała się. Tak naprawdę wiedziała, że Thorn potrafi poruszać się niemal całkowicie bezgłośnie. Stig jednak nie mógł pochwalić się podobnymi umiejętnościami, a chciała oszczędzić mu przykrości.

Otworzył usta, by zaprotestować, lecz Hal go uprzedził.

– Lydia ma rację. Ich dwoje wystarczy. Ty zostajesz.

Stig zaczerwienił się. Już miał rzucić jakąś ripostę, ale odetchnął kilka razy i stłumił gniew.

– W porządku – powiedział. – Skoro tak mówisz.

„Interesujące”, pomyślał Thorn. Jeszcze całkiem niedawno Stig z pewnością zacząłby się wyklócać. „Widać wszyscy dorastają i to szybciej, niż mi się wydaje”.

Lydia z wdzięcznością kiwnęła głową w stronę Hala. Kiedy ruszyli przez polanę do obozu, postarała się znaleźć obok Stiga. Dotknęła jego ramienia, a on odwrócił się i zatrzymał. Kiedy zostali w tyle, powiedziała miękko:

– Nie chciałam mówić tego przy nim. Hal może cię potrzebować. Nie wiadomo, jak będzie z Ingwarem.

Widziała, że zrozumiał.

– Nie pomyślałem – odparł. A potem klepnął ją w ramię. – Powodzenia. Mam nadzieję, że przyprowadzisz tę podstępna żmiję z powrotem.

Uśmiechnęła się.

– Bez obaw. Ja mam go tylko wytropić. Przyprowadzi go Thorn.



ROZDZIAŁ 6



Thorn i Lydia zebrali się w ciągu pięciu minut. Wzięli ze sobą koce. Thorn zwinął swój razem z niewielką płachtą brezentu, która miała służyć im za namiot, w razie gdyby pogoda się zmieniła. Potem napełnił bukłak wodą i zarzucił go sobie na ramię. Lydia włożyła swój ciężki skórzany pas, z przytroczonymi doń sztyletem i atlatlem, prędko sprawdziła, ile jej zostało strzałek w kołczanie, a potem przełożyła taśmę przez głowę. Atlatl był to rodzaj broni, z którego wyrzucało się pociski w kształcie niedużych strzałek – nadawał on rzutowi większą siłę.

Podczas gdy się szykowali, Stig podszedł do torby z prowiantem, stojącej przy ognisku, i przygotował porcję suszonego mięsa, owoce i dwa małe bochenki chleba, które upiekł poprzedniego dnia. Potem podał to wszystko Thornowi.

– Gotowa? – zapytał Thorn, a Lydia przytaknęła. – W takim razie ruszamy.

– Nie bierzesz maczugi? – zdziwił się Hal. Zauważył, że ciężka proteza została w namiocie, wraz z resztą skromnego dobytku Thornia.

– Na Rikarda? Mam sakse. – Thorn poklepał pochwę u pasa, w której tkwił ciężki skandyjski nóż.

Hal kiwnął głową. Po chwili zastanowienia musiał przyznać, że Thorn rzeczywiście nie potrzebował maczugi, by spacyfikować Rikarda. Ciężka proteza tylko by przeszkadzała podczas wędrówki.

– Długo jeszcze będziemy tak stać i głądzić? – zapytała Lydia. – Niedługo południe, w tym tempie raczej niewiele zdziałamy.

Trochę przesadziła, bo słońce dopiero zaczynało wyglądać nad horyzont. Thorn spojrzał na Hala, uniósł brwi, uklonił się i dwornie zatoczył ramieniem.

– Wybacz, pani. Prowadź, proszę.

Prychnęła wzgardliwie i ruszyła w kierunku drzew. Thorn szedł tuż za nią.

– Tylko uważaj i nie zdeptaj śladów tymi swoimi wielkimi girami.

Thorn spojrzał na Hala i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Przedemną kilka naprawdę długich dni.

Lydia nie zareagowała. Hal uprzedził wszystkich, by zatrzymali się w odpowiedniej odległości od miejsca, w którym siedział Rikard. Pożegnali się chórem i życzyli im powodzenia. Lydia spojrzała na Hala.

– Opiekuj się Ingvarem – powiedziała. A potem odwróciła się. Przystanęła koło sosny i zaczęła rozglądać się uważnie dokoła. Tu i tam pośród piasku rosły kępy skąpej nadmorskiej trawy, ale nie tak gęsto, by nie odcisnął się na nich ślad buta. Kilka metrów dalej Lydia znalazła kolejny, potem trzeci. Prowadziły do lasu.

– Oby tak dalej – powiedziała do siebie. A potem rzuciła przez ramię: – Trzymaj się z tyłu.

Thorn miał wielką ochotę odpowiedzieć jakąś dosadną uwagą, lecz nagle stwierdził, że to polecenie ma sens. Nic więc nie powiedział i w milczeniu ruszył za Lydią. Pod drzewami

poranne światło tworzyło zagmatwany wzór jaskrawych błysków i ciemnych cieni. Kontrast między światłem i ciemnością sprawiał, że trudno było skupić wzrok. Lydia jednak szła pewnie przed siebie. Po chwili na wilgotnej ziemi ujrzeli kolejny odcisk obcasa.

– Powinien pozbyć się tych buciorów – stwierdziła. Rikard nosił ciężkie buty, jakich używa się na morzu, zaopatrzone w twarde podeszwy i obcasy. Wyglądały dość fantazyjnie i z pewnością doskonale sprawdzały się na okręcie, na zalewanym falami pokładzie. Natomiast nie nadawały się zbyt do biegania pośród gęstego poszycia, pnączy i korzeni, zaścielających dno lasu. Lydia wskazała niewielkie wgłębienie w warstwie liści, pokrywających ziemię.

– Tutaj się przewrócił.

Thorn pochylił się.

– Skąd wiesz? – zapytał pełen podziwu, że zauważyła taki mały dołek.

– Wyciągnął rękę, żeby złapać równowagę, ale padł jak długi i uderzył nią o ziemię – wyjaśniła rzeczowo. Rozejrzała się dokoła. Na widok wystających korzeni dodała:

– Pewnie potknął się o któryś z nich. O, jak się przyjrzeć, można zauważyć zadraśnięcie. Tu zaczepił butem.

Thorn, zaintrygowany, nachylił się i przyjrzał uważnie korzeniom. Rzeczywiście, na jednym z nich widniało lekkie zadraśnięcie, kora została w tym miejscu zerwana i pokazało się jaśniejsze drewno.

– Niezwykle – powiedział, spoglądając na Lydię z szacunkiem. – Skąd ty to wszystko wiesz? Jak, na przykład, zauważyłaś to wgłębienie w ziemi? Ja na pewno nie zwróciłbym na nie uwagi.

Uśmiechnęła się.

– To oznacza, że pewnie umarłbyś z głodu, gdybyś był zmuszony polować. Robię to od lat. Ćwiczysz koncentrację, uczysz się dostrzegać nawet najmniejsze ślady i znaki. Gdybyś jednak dostrzegł to wgłębienie, to co byś pomyślał?

Thorn wzruszył ramionami.

– Że to wgłębienie.

Kiwnęła głową.

– Właśnie. Staram się patrzeć na każdy ślad uważnie i zastanawiam się, w jaki sposób powstał. W końcu każda rzecz ma swoje wytłumaczenie.

– Ale mógłbym uznać, że to ślad po szyszce, która spadła z drzewa – zauważył Thorn.

– To musiałyby być bardzo ciężka szyszka – odparła Lydia. – Poza tym w takim przypadku musiałyby leżeć tu gdzieś w pobliżu.

Thorn uśmiechnął się.

– To prawda – powiedział. – Cóż, muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Wielkim wrażeniem.

– To nic takiego. Jeśli ćwiczysz coś wystarczająco długo, stajesz się w tym dobry – rzuciła niedbale.

Tak naprawdę jednak bardzo się cieszyła, że jej umiejętności wzbudziły podziw Thorn. Potrafił nieźle zaleźć jej za skórę, ciągle się z nią drażnił i powtarzał Halowi, że Lydia to prawdziwy anioł stróż. Thorn wyglądał jak zaniedbany podstarzały wilk morski, ale widziała go w akcji podczas ataku na Limmat i bardzo podziwiała niezwykle szybkość, zręczność i koordynację ręka-oko. Wiedziała, że to prawdziwy mistrz sztuki wojennej. A takim osobom niełatwo zaimponować.

Szła powoli przez las, pochylona, nieustannie wodząc wzrokiem dokoła, na boki, z góry do dołu i znów na boki, szukając śladów, które zostawił Rikard. Nagle zatrzymała się i wyprostowała.

– Halo. Wreszcie zmądrzał. – Odwróciła się do Thorn, który szedł kilka kroków za nią. – Gdzie leży Pragha?

Wskazał w lewo.

– Na wschodzie.

– A on poszedł na zachód. Na pewno stwierdził, że w ten sposób zmyli trop.

Nie powiedziała wprawdzie: „A nie mówiłam?”, ale Thorn poczuł się w obowiązku ją wyręczyć.

– Tak właśnie mówiłaś.

Uśmiechnęła się i był to uśmiech pełen zadowolenia.

– Właśnie. Tak właśnie mówiłam.

– Ale skąd wiedziałaś? – Thorn podszedł bliżej, rozglądając się dokoła w poszukiwaniu wskazówek. Niczego jednak nie znalazł. Lydia dotknęła jego ramienia.

– W górze – powiedziała. Thorn uniósł wzrok i skierował go na wskazany przez nią punkt, mniej więcej na wysokości ramienia. Dwie cienkie gałązki – wygięte w tył i złamane.

– Poszedł na zachód tą boczną ścieżką – powiedziała, wskazując wąską dróżkę między drzewami. – Widać, którędy szedł, połamał gałęzie na tym krzaku.

– Równie dobrze mogło to zrobić jakieś zwierzę – stwierdził Thorn, lecz Lydia potrząsnęła głową.

– To musiałyby być bardzo duże zwierzę. Poza tym zwierzęta zwykły poruszać się znacznie ostrożniej niż piraci. Widać, że gałązki zostały złamane niedawno, najwyżej kilka godzin temu. Drewno nadal jest świeże i wilgotne. Myślę, że jeśli sprawdzimy kawałek dalej. – Weszła na boczną ścieżkę, bokiem, by nie złamać kolejnych gałązek. Wprawdzie nie spodziewała się, że ktoś ich będzie śledził – było to działanie instynktowne, wyuczone przez lata poruszania się po gęstych lasach. Zrobiła jeszcze kilka kroków, po czym cicho zawołała:

– Aha! Jest nasz stary dobry znajomy bucik. Jak miło ze strony Rikarda, że nosi te ciężkie grzmoty.

Dała znak Thornowi, że ma iść za nią i ruszyła dalej przed siebie, wciąż rozglądając się dokoła, szukając kolejnych tropów i odnajdując je.

– Zdaje się, że wy, ludzie morza, nawet na lądzie musicie zostawiać za sobą coś w rodzaju kilwateru – skomentowała, po czym zdjęła z gałęzi niewielką białą nitkę i pokazała ją Thornowi. – Oczywiście – podjęła swobodnym tonem, jakby prowadziła niezobowiązującą konwersację, choć jej oczy wciąż biegały dokoła – szedł tędy po ciemku, więc nic dziwnego, że czasem wpadał na krzaki i tak dalej. – Wskazała na cienką kolczastą roślinę, oplatającą się dokoła gałęzi. Thorn spodziewał się kolejnej nitki materiału czy czegoś podobnego, lecz niczego nie zauważył. Potrząsnął głową.

– Rośnie tu więcej takich pnących roślin – wyjaśniła. – Widzisz? Ale wszystkie zwisają pionowo z gałęzi. A ta pod kątem około sześćdziesięciu stopni. Musiała zaczepić się o ubranie naszego przyjaciela, zapewne o skórzany kubrak, bo nie widać tu żadnej nitki czy kawałka tkaniny. Rikard poszedł dalej, pociągając za sobą pnące, które odczepiło się od kubraka, lecz zahaczyło o gałąź.

– Niesamowite – powiedział cicho Thorn.

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu musisz wypatrywać rzeczy, które wyglądają nietypowo, nie tak, jak można by się spodziewać. – Nagle zaśmiała się, przystanęła i wskazała na ziemię, w miejscu, gdzie ścieżka skręcała w prawo, omijając potężne drzewo, rosnące na wprost. Thorn podszedł bliżej. Dokoła grubego pnia widniały liczne odciski stóp.

– Widać, że biegł – wyjaśniła Lydia. – Lub przynajmniej szedł bardzo szybko. W lesie

było ciemno, Rikard nie zauważył, że ścieżka skręca i wpadł na drzewo. Tutaj widać jego ślady: szedł prosto przede siebie, a potem się cofnął. Widzisz, obcasy odcisnęły się mocniej w tym miejscu, bo na nie przeniósł się ciężar ciała.

– Tak, zauważyłem – odparł wyniośle.

Lydia spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę?

Kiwnął głową.

– Oczywiście. Szybko się uczę. Teraz, kiedy pokazałaś mi, jak to się robi, sądzę, że potrafiłbym opanować sztukę tropienia bez większych problemów. Muszę tylko trochę poćwiczyć, jakieś piętnaście-dwadzieścia lat.

– A może chciałbyś pójść przodem? – zaproponowała z zachęcającym gestem.

– Nie, nie. Widzę, że na razie całkiem nieźle sobie radzisz – odparł. – W razie kłopotów daj znać, to się zamienimy.

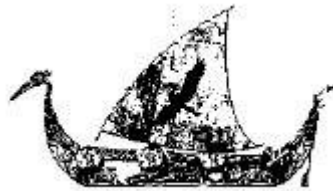
Pokręciła głową.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaki czasami jesteś nieznośny? – zapytała. Thorn przekrzywił głowę na bok i popadł w zamyślenie.

– Tak. Ale ta sztuka jest również tylko kwestią wprawy. A wprawiam się w niej nieustannie.

– Zauważyłam – mruknęła i ruszyła dalej. Po jakichś dziesięciu metrach zauważyła: – Chyba nieźle przywalił w to drzewo. Pewnie będzie miał guza na czole, kiedy go znajdziemy.

– A jeśli zacznie stawiać opór, to nawet kilka – odparł Thorn złowrogo. Tym razem w jego głosie nie pobrzmiwał nawet cień wesołości.



ROZDZIAŁ 7



Członkowie załogi kolejno dyżurowali przy Ingvarze. Wszystkich ogarnęło przygnębienie, gdyż jego stan nie poprawił się ani odrobinę. Przez cały dzień Ingvar właściwie nie odzyskał przytomności, dryfował gdzieś między jawą a snem.

Kiedy kolejny z chłopców przychodził, by zmienić swego poprzednika, za każdym razem powtarzało się to samo pytanie.

– Jakież zmiany?

I za każdym razem zapytany w odpowiedzi ze smutkiem potrząsał głową.

Ale tak naprawdę coś się zmieniało. Ingvar słabł coraz bardziej z godziny na godzinę, tylko nikt nie chciał głośno o tym mówić. Chłopcy wykonywali zwykłe czynności: ścinali gałęzie na ognisko, wietrzyli koce, naciągali mocniej linki przy namiocie – a wszystko to w pełnym przygnębienia milczeniu. A jeśli któryś czasem coś powiedział, to ograniczał się do zaledwie kilku słów, tłumiąc głos, jakby z obawy, że głośniejsze dźwięki mogą zaszkodzić choremu towarzyszowi.

Hal zwolnił Edvina z dyżurów przy Ingvarze. Początkowo Edvin próbował protestować.

– Pełnię funkcję medyka – powiedział. – To moja praca.

Hal potrząsnął głową.

– Nie jesteś w stanie zrobić nic ponad to, co potrafi każdy z nas – odparł. – Sam powiedziałeś, że możemy jedynie schładzać go i czekać, aż nastąpi przełom. Każdy z nas umie przykładać mokre kompresy. Wolałbym, żebyś znów zajął się gotowaniem. Zajmiesz czymś myśli, a jakość jedzenia z pewnością się poprawi.

Tak naprawdę Stig świetnie radził sobie w roli kucharza – ale jednak nie potrafił dorównać Edwinowi. Edvin w końcu zgodził się, choć niechętnie. Hal dodał:

– I chcę, żebyś porządnie się wyspał. Nie chcę mieć tu następnego chorego.

– Spałem dziś w nocy – zaprotestował Edvin. Hal spojrzał mu prosto w oczy. W końcu Edvin spuścił wzrok. – No dobrze, odpoczywałem. Nie mogłem zasnąć. Przez cały czas myślałem, jak mogę mu pomóc. – Urwał, po czym dodał z rezygnacją: – Ale niczego nie wymyśliłem. Przejrzałem podręcznik, który dostałem na kursie, szukając jakichś środków, zbijających gorączkę.

– I co znalazłeś?

Edvin wzruszył ramionami.

– Niewiele. Tylko tyle: „Zastosuj zimne okłady i czekaj, aż gorączka spadnie”. Gdybym tylko mógł podać mu jakieś lekarstwo, przynajmniej czułbym, że coś zrobiłem. A, była jeszcze krótka notka o korze wierzbowej. Zdaje się, że jakieś prymitywne plemiona na wschodzie używają tego do zbijania gorączki. Ale czy widzisz tu jakieś wierzby?

Hal położył rękę na ramieniu przyjaciela.

– A więc potwierdziło się, że robimy wszystko, co w naszej mocy. Każdy z nas poradzi sobie z tym nie gorzej, niż ty. Prześpij się, zbierz siły na inną okazję, kiedy będziesz nam

naprawdę potrzebny.

Edvin opuścił ramiona.

– Spróbuję. Tyle że czuję się... odpowiedzialny.

– Odpowiedzialny? Za to? Nie możesz przecież nic zrobić.

Edvin kiwnął głową.

– Właśnie to mam na myśli. Nie mogę nic zrobić. Nie mogę pomóc Ingvarowi. A na tym polega moja praca. Trenowałem umiejętności tylko w tej jednej jedynej dziedzinie, a teraz jestem bezradny. Pozostali ćwiczyli się w różnych sztukach walki, ty do roli skirla. Wszyscy się sprawdziliście. A kiedy przyszła kolej na mnie, od razu zawiodłem.

– To jakiś obłąd, Edvinie, i dobrze o tym wiesz. Podręcznik wyraźnie mówi, że nic więcej nie możesz zrobić. Nie licząc tej uwagi o wierzbie. Teraz idź odpocząć. Będziesz nam potrzebny.

Edvin westchnął głęboko.

– Skoro tak mówisz. Ale niestety, nie potrafię sprostać waszym oczekiwaniom.

Powlókł się do namiotu. Hal odprowadził go wzrokiem, a potem usiadł przy ognisku. Sięgnął po czajnik z kawą, który grzał się z boku, na rozżarzonych węglach, i nalał płynu do cynowego kubka. Kawa parzyła się dobrych kilka godzin wcześniej, ale Hal nie miał siły przygotować świeżej. Kilkoma haustami wypił gorzki, pełen fusów płyn, potem strząsnął resztki do ognia.

– Wyglądasz mniej więcej tak wesoło, jak ja się czuję.

To był Stig. Usiadł na pniu obok Hala. Obaj zapatrzyli się ponuro na szaroczerwony żar.

W końcu Stig znów przemówił.

– O czym rozmawiałeś z Edvinem?

Hal podniósł patyk i pogrzebał nim w ognisku. Płomienie buchnęły w górę.

– Czuje się winny, że Ingvarowi się nie polepsza.

– To idiotyczne. Przecież świetnie sobie poradził, wyciągnął strzałę, oczyścił i opatrzył ranę. Ja bym tego nie potrafił.

– Czuje, że powinien zrobić coś więcej, a nie tylko czekać beczynn timer.

Stig zacisnął usta i zamyślił się.

– Ale nic nie można zrobić, prawda?

– Oczywiście, że nie. Wspominał tylko, że wschodnie plemiona stosują w takich przypadkach korę wierzbową.

– Korę wierzbową? – Stig zmarszczył brwi. – Ale po co?

– Wygląda na to, że w celu zbiccia gorączki. Ale nie wiem jak. – Znów pogrzebał w ognisku, a kiedy ogień znów rozblęsnął, wrzucił patyk w płomienie i patrzył, jak liżą go długimi językami.

– Skrajem plaży przepływa strumień – powiedział Stig. Hal spojrzał na niego, zdumiony nagą zmianą tematu.

– I?

Stig wzruszył ramionami.

– Jeśli jest strumień, to mogą rosnąć nad nim wierzby. Może pójdziemy sprawdzić?

Popatrzyli na siebie.

– Chyba nie zaszkodzi, prawda? – odparł Hal.

Stig rozłożył ręce.

– I tak nie mamy nic lepszego do roboty.

Ruszyli więc w stronę strumienia, który płynął kilkaset metrów dalej. Przy ujściu do zatoki był wąski i wartki, ale dalej rozlewał się coraz szerzej i płynął bardziej leniwie.

A w odległości pół kilometra od plaży, w rozległym zakolu strumienia, rosła sobie niewielka

kępa wierzb.



– Jak to się podaje? – zapytał Stig.

Edvin popatrzył na stos wierzbowej kory, którą Stig i Hal przynieśli do obozu. Z namysłem podrapał się po głowie.

– Może trzeba utłuc na miazgę, namoczyć w gorącej wodzie i zrobić okład, taki kataplazm.

– No to do dzieła – powiedział Hal.

Edvin spojrział na niego i kiwnął głową. Teraz, kiedy miał konkretne zadanie, wstąpiła w niego energia. Naciął kory, rozbił ją w móżdżerzu, dodając trochę gorącej wody z czajnika, stojącego na żarze. Potem przełożył pastę do miseczki i podniósł się.

– Czas zacząć eksperyment – powiedział i ruszył do namiotu Ingvara. Pozostali, zaintrygowani, pobiegli za nim. Stig i Hal weszli do namiotu, a reszta stłoczyła się u wejścia. Stefan, pełniący dyżur przy Ingvarze, cofnął się pod płócienną ściankę. Spojrział podejrzliwie na miseczkę i zapytał:

– Co to za breja?

– Potłuczona kora wierzbowa – odparł Hal.

Ulf przybrał minę znawcy.

– Tak właśnie pomyślałem.

Jego brat prychnął.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz – powiedział złośliwie.

Ulf spojrział na niego.

– Chciałbym.

– Zamknijcie się, wy dwaj – przerwał mu Hal, nie podnosząc wzroku. Jego głos brzmiał spokojnie, lecz wyraźnie było w nim słyhać rozkazującą nutę. Ulf już otworzył usta, lecz nagle zmienił zdanie. Rozległo się ciche „klap”, kiedy je zamknął.

Edvin obnażył pierś Ingvara i rozsmarował na niej zieloną kleistą maź, złożoną z kory, wody i soków roślinnych. Pomyślał, że pasta się schłodziła, więc na pewno pomoże przynajmniej jako zimny kompres. Ingvar otworzył oczy, zamruczał, a potem jego głowa opadła na bok. Edvin odczekał jakąś minutę, po czym położył rękę na czole Ingvara.

– I co? – zapytał Hal.

Edvin desperacko potrząsnął głową. Usiadł na piętach, załamany.

– Może trzeba poczekać, może zadziała dopiero po chwili? – powiedział Stig.

Edvin spojrział na niego.

– A może nie.

– Edvinie... – zaczął Stefan.

Teraz Edvin spojrział na niego. Był zmęczony i przygnębiony. Przez moment wydawało mu się, że może pomóc Ingvarowi, ale ten moment już minął.

– Tak?

Stefan zrobił przeproszący gest.

– Cóż, wiem, że jesteś medykiem... To znaczy, odbyłeś szkolenie i w końcu...

– Które niewiele mi dało, jak widać – przerwał mu Edvin.

Stefan machnął ręką na znak, że nie zgadza się z jego słowami.

– Ale tak sobie pomyślałem, że kiedy moja mama dawała mi jakieś ziółka i tym podobne... – wskazał paskudną maź na piersi Ingvara – ...to zwykle robiła z tego wywar i kazała

mi pić.

– Chciałbyś to wypić? – Teraz Stig wskazał nieapetyczne błotko.

Stefan wzruszył ramionami.

– Nie. Ale nie chciałem pić większości z tych rzeczy, które podawała mi mama.

Edvin zamyślił się. Hal zauważył, że z jego twarzy znikł już wyraz ożywienia, który pokazał się, gdy Edvin poczuł, że może zrobić coś konkretnego, by pomóc Ingvarowi. A potem przeżył wielkie rozczarowanie. Hal pomyślał, że jego przyjaciel powinien odzyskać wcześniejszy entuzjazm.

– Co nam szkodzi spróbować, Edwinie? – powiedział.

Edvin podjął decyzję. Podniósł się i wyszedł z namiotu, rzucając przez ramię:

– Czemu nie.

Podszedł do ogniska, pozostali członkowie drużyny zaś pospieszyli za nim. Wziął garść kory, rozkruszył ją w moździerz, a potem wrzucił do wrzątku. Kiedy woda nabrała zielonkawego odcienia, wlał napar do kubka, precedzając go przez czystą lnianą szmatkę. Zamoczył palec i polizał.

– Gorzkie – stwierdził.

– To dobry znak – powiedział Jesper z przekonaniem. Wszyscy spojrzeli na niego. – Lekarstwo powinno mieć wstrętny smak – wyjaśnił. – Im gorzej smakuje, tym lepiej działa. Każdy to wie.

Hal po chwili zastanowienia stwierdził:

– A wiesz, chyba rzeczywiście tak jest. Nigdy nie próbowałem smacznego lekarstwa.

Pozostali zgodnie zamruczeli.

Edvin wrócił do namiotu, a oni znów ruszyli za nim. Stig i Hal weszli do środka, reszta ponownie stłoczyła się u wejścia.

Stig ukląkł obok Ingvara i podparł jego głowę i ramiona, tak by Edvin mógł wlać mu napar do ust. Ingvar parsknął, zakaszłał, a potem, kiedy Edvin odchylił jego głowę do tyłu, przełknął kilka haustów, potem znów zakaszłał i wypluł resztę naparu na własną pierś. Edvin jeszcze raz przystawił kubek do jego ust i poczekał, aż wypije resztę. Potem Stig ułożył głowę Ingvara na poduszce.

Wszyscy z napięciem wpatrywali się w chorego. Minęła minuta. Potem dwie. I trzy.

– Mam przyłożyć kompres? – zapytał Stefan. Edvin przytaknął, nie spuszczając wzroku z Ingvara. Po pięciu minutach ze smutkiem potrząsnął głową.

– Cóż, warto było spróbować – powiedział. – Dopiszcie to do listy moich porażek.

Podniósł się i wyszedł z namiotu, nic więcej nie mówiąc. Pozostali rozstąpili się, robiąc mu przejście. Zapadła nieprzyjemna cisza. W końcu przerwał ją Hal:

– Stefanie, już wystarczająco długo siedzisz przy Ingvarze. Kto ma cię zmienić?

– Ja. – Jesper podniósł rękę. Hal kiwnął głową i Jesper przesunął się w głąb namiotu.

Stefan odetchnął z ulgą. Wreszcie mógł podnieść się z kucek i rozprostować kości.

Zostawili Ingvara pod opieką Jespera, wyszli z namiotu i podeszli do ogniska. Edvin stał na plaży, zapatrzony w morze.

– Wiesz – powiedział Stig – naprawdę myślałem, że to pomoże.

Zaczął szykować prosty posiłek, złożony z chleba i solonego mięsa. Odłożył na bok porcje dla Edvina i Jespera. Hal postawił czajnik na ogniu. Zaczęli jeść w milczeniu. Nikt z całej piątki nie miał apetytu. Nikt nie wierzył, że Ingvar przetrzyma kolejny dzień. Gorączka była za wysoka, jego siły wyczerpywały się.

Niecałą godzinę później ich obawy potwierdziły się. Jesper wypadł z namiotu, tocząc dokoła zrozpaczonym wzrokiem.

– Ha! Edvin! Chodźcie tu szybko! Z Ingvarem jest naprawdę źle!

Wszyscy rzucili się w stronę namiotu, pełni najgorszych przeczuć. Jesper, półprzytomny z rozpacz, wpełznął Hala i Edvina do środka.

– Jest gorzej! – bełkotał. – Wygląda strasznie! To się stało tak nagle!

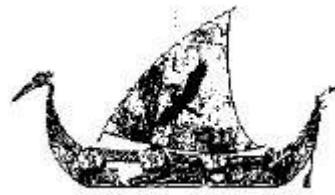
Pozostali stłoczyli się przy wejściu, przepychając się, bo wszyscy chcieli zajrzeć do środka – i jednocześnie bali się tego, co mogą zobaczyć.

Ingvar leżał na plecach, pojękując cicho. Poduszka pod jego głową, koszula i koc, materac – wszystko było mokre, pot dosłownie wylewał się wszystkimi porami jego ciała. Jesper spojrzał na nich z rozpaczą w oczach.

– Umiera, prawda?

Edvin walnął go w plecy. Mało brakowało, a Jesper padłby jak długi prosto na Ingvara.

– Nie, debil! – odparł Edvin radośnie. – Będzie żył. To jest przesilenie!



ROZDZIAŁ 8



Robi się ciemno. Niedługo trzeba będzie przerwać _ poszukiwania – powiedziała Lydia. Klęczała na jednym kolanie pośród liści, pokrywających ziemię, szukając śladów Rikarda. Podniosła się, otrzepała z wilgotnej kory i kawałków liści i podniosła wzrok ku koronom drzew. Thorn pobiegł spojrzeniem w tę samą stronę. Rzeczywiście, światło, przesączone przez listowie, powoli gasło.

– Raczej nie ma sensu iść dalej, skoro nie widzisz jego śladów – zgodził się Thorn. Kiwnęła głową.

– Mamy może jeszcze pół godziny, potem będziemy musieli przerwać. Nie chcę ryzykować, w kiepskim świetle łatwo zgubić trop. Jutro musielibyśmy zawrócić i stracilibyśmy więcej czasu niż teraz, jeśli przerwiemy poszukiwania.

– Dobrze – powiedział Thorn. Nie dyskutował, w końcu to była jej działka. Na razie doskonale sobie radziła, bez trudu odnajdywała najdrobniejsze ślady, które zostawił za sobą Rikard.

Thorn z przyjemnością na nią patrzył. Darzył wielkim szacunkiem ludzi, posiadających umiejętności, którymi on nie mógł się pochwalić, jak na przykład talenty żeglarskie Hala: wielka precyzja w nawigacji i wyczucie zmian wiatru i prądów.

Drobne ślady, które pokazywała i wyjaśniała mu Lydia, wydawały się tak oczywiste – kiedy już mu je pokazała. Wiedział, że tak już jest. Łatwo coś dostrzec, kiedy dostrzegł to coś ktoś inny i zwrócił na to coś naszą uwagę. Wiedział, że bez pomocy Lydie łaziłby po lesie na ślepo, a Rikard tymczasem szedłby sobie spokojnie w swoją stronę, coraz dalej i dalej. Ten obraz nasunął mu pewne pytanie:

– Jak myślisz, zbliżyliśmy się trochę do niego czy nie?

Lydia przystanęła i spojrzała na niego przez ramię.

– A skąd mam wiedzieć?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Myślałem, że może wy, tropiciele, potraficie stwierdzić takie rzeczy. Na przykład, kiedy tropi się zwierzę, można pogrzebać w jego odchodach i sprawdzić, czy są jeszcze wilgotne. I tym podobne.

Teraz odwróciła się do niego, marszcząc brwi.

– Nie wiem, czy uważałeś – odparła – ale do tej pory nie znaleźliśmy odchodów Rikarda. A nawet jeśli znajdziemy, na pewno nie zamierzam w nich grzebać. Ale jeśli ty masz na to ochotę, to proszę bardzo.

Thorn zrobił rozżaloną minę.

– To był tylko przykład.

– Bardzo marny.

Odwróciła się i znów zaczęła wypatrywać śladów pośród miękkiego poszycia. Po jakichś dwudziestu metrach oznajmiła, nie odrywając oczu od ziemi:

– Zauważyłeś, że skręca z powrotem na wschód?

Nie zauważył. Kiedy znajdował się na pokładzie i widział słońce na niebie potrafił orientować się w kierunkach świata niemal instynktownie. Ale tu, pośród leśnych ciemności, gdzie tarcza słoneczna była całkowicie niewidoczna, sprawa miała się zgoła inaczej – szczególnie tak jak teraz, kiedy światło powoli gasło.

Spojrzał na rosnące najbliżej drzewa, szukając mchu na pniach. Tutaj, w północnej części świata, mech porastał obficie od południowej strony. Lydia miała rację. Przez jakiś czas Rikard szedł na zachód, ale teraz zmienił kierunek. Ścieżka prowadziła na południowy wschód. I odbijała coraz bardziej w lewo.

– Miałaś rację – powiedziała. – Jego celem jest Pragma.

Thorn odchrząknął.

– Całkiem możliwe, że miałem rację – powiedział – ale sam nigdy bym go nie znalazł.

Robi niezłe kółko.

Zerknęła na niego z zainteresowaniem. Dotychczasowe doświadczenia podpowiadały jej, że dominujące samce – a Thorn z pewnością był jednym z nich – nigdy nie przyznają się do popełnionego błędu. Zwykle osobnik taki przechwala się i mętnie tłumaczy, by dowieść, że miał rację. Thorn najwyraźniej na tyle mocno wierzył w siebie, że potrafił przyznać się do pomyłki i oddać sprawiedliwość innym. Wiedząc jednak, jak bardzo lubi jej dokuczać, uznała, że lepiej nie okazywać mu szacunku i podziwu – które zresztą wciąż rosły.

W pewnym momencie ścieżkę przeciął wąski strumień. Lydia ostrożnie weszła do wody, która miała niecałe dziesięć centymetrów głębokości. Kiedy Thorn chciał ruszyć za nią, powstrzymała go, unosząc dłoń, a potem wskazała na odcisk obcasa w miękkim mule po drugiej stronie.

– Chyba jest niedaleko – powiedziała. – W zagłębieniu nadal widać wodę. Dzieli nas nie więcej niż dwie godziny marszu. Po dłuższym czasie woda by wyschła.

Thorn zatrzymał się pośrodku strumienia i zapatrzył na ślad.

– Czy to równie pewne źródło informacji jak odchody? – zapytał. Nie mógł powstrzymać lekkiego grymasu, który uniósł lewy kącik jego ust. Lydia popatrzyła bacznie na Thorną.

– Możliwe, że nie. Ale znacznie przyjemniejsze wizualnie – odparła, po czym gestem ręki dała mu znak, że może już wyjść na brzeg. Rozejrzała się. Teren wznosił się łagodnie. Kawalek dalej widniała niewielka polana.

– Możemy zatrzymać się tutaj na noc – zaproponowała. Thorn kiwnął głową. Weszli między drzewa. Polanę porastały paprocie i długie trawy. Udeptali je, by zrobić miejsce pod obozowisko.

Choć może było to niezbyt odpowiednie określenie. Oboje wiedzieli, że nie mogą rozpalić ognia, nawet nie musieli poruszać tego tematu. Znajdowali się za blisko tropionej zwierzyny. Thorn rozwinął niewielką brezentową płachtę, uniósł głowę i poniuchał.

– Myślisz, że będzie padać?

Lydia zrobiła to samo i odparła:

– Mało prawdopodobne.

Kiwnął głową.

– Też tak myślę. Ziemia jest wilgotna, więc użyjemy brezentu jako prześcieradła. Jeśli w nocy zacznie padać, po prostu się nim przykryjemy.

Kiedy brezent już leżał równo na ziemi, ułożyli na nim koce. Potem Thorn rozwinął paczkę z prowiantem, który przygotował dla nich Stig. Noc już skradała się pośród drzew. Zjedli skromny posiłek, złożony z suszonego mięsa, owoców i jednego bochenka czerstwego chleba. Lydia upiła porządny haust z bukłaka, po czym podała go Thornowi. Kiedy pił, uniosła głowę

i skierowała wzrok na wchód. Thorn zauważył ten ruch i oderwał buklak od ust.

– Czuję zapach dymu – powiedziała. Wciągnął powietrze w nozdrza i kiwnął głową. Niezwykłe, jak daleko potrafi dotrzeć zapach dymu z ogniska.

– Najwidoczniej czuje się bezpieczny – stwierdziła.

– A niby czemu miałyby być inaczej? – Pamiętaj, on nie wie, że potrafisz tropić. Sądzi, że wszyscy jesteście ludźmi morza i nie podejrzewa nas o takie umiejętności. Zatoczył spore koło, by zgubić ewentualny pościg. Zapewne sądzi, że nawet jeśli ktoś za nim poszedł, to znajduje się teraz wiele mil stąd. Przypuszczam, że jest z siebie bardzo zadowolony.

– A ja przypuszczam, że jest wściekły na siebie, bo nie wziął koca – odparła Lydia. – W lesie jest zimno i wilgotno. Pewnie dlatego rozpalil ogień.

– Kolejny dowód, że jest idiotą – stwierdził Thorn, rozłożył koc, położył się i owinął nim dokładnie. Pod głowę podłożył sobie zwinięty kubrak. Westchnął z zadowoleniem i zamknął oczy. Lydia przyglądała mu się przez chwilę.

– Chyba ktoś z nas powinien stać na warcie? – powiedziała.

Nie otwierając oczu, odpowiedział:

– Miło, że zgłosiłaś się jako pierwsza. Obudź mnie za dwie godziny.

– A więc nie zamierzasz wziąć pod uwagę faktu, że jestem delikatną kobietą?

– Nie ma mowy. To się nazywa równouprawnienie. Poza tym jestem stary i potrzebuję odpoczynku.

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się. Gdy jego oddech wyrównał się i zwolnił, wzięła swój koc i przeniosła się na skraj polany. Nie chciała siedzieć na otwartej przestrzeni, gdzie każdy z łatwością mógłby ją zauważyć. Wprawdzie było mało prawdopodobne, że ktoś się tu zjawi, wiedziała jednak, że ostrożności nigdy zbyt wiele. Usiadła pośród paproci na złożonym w kostkę kocu, opierając się plecami o pień zwalonego drzewa.

Stopniowo dźwięki lasu docierały do niej coraz wyraźniej. Cykanie świerszczy, kumkanie żab, czasami szum skrzydeł przelatującego ptaka.

Dziesięć minut później usłyszała głos, dochodzący od strony postaci, zawiniętej szczelnie w koc.

– Delikatna kobieto, teraz moja kolej!



Zmieniali się cztery razy. Thorn siedział na straży, gdy ptaki oznajmiły, że wstaje świt. Spojrzał na śpiącą dziewczynę ciekaw, czy tak nieomylny zwiastun nadchodzącego dnia trafi do jej świadomości. Wiedząc, jak doskonale radzi sobie w lesie, był gotów założyć się, że tak. I nie rozczarował się. Po kilku sekundach Lydia poruszyła się i usiadła na posłaniu. Powiodła wzrokiem dokoła i zatrzymała go na niewyraźnej postaci Thorn, siedzącego obok zwalonego pnia.

– Już prawie świt – stwierdziła i kiedy przytaknął, podjęła oskarżycielskim tonem: – Co znaczy, że jesteś na warcie od trzech godzin. Trzeba było mnie obudzić.

Wzruszył ramionami.

– To nie miałyby sensu. Nie chciało mi się spać, poza tym uznałem, że przyda ci się trochę snu. W końcu jesteś delikatną kobietą.

Kiedy tylko się przejaśniło, wyruszyli w drogę. Rikard kierował się prosto na wschód. Nietrudno było go śledzić. Zapach dymu, który zauważyli poprzedniego wieczoru, nadal wisiał w powietrzu, choć teraz wyczuwali raczej woń popiołów i żaru.

– Nie zdziwiłabym się, gdybyśmy za chwilę go dogonili – powiedziała Lydia, zniżając

głos.

– Myślisz, że jest śpiochem? – zapytał Thorn, również po cichu.

Kiwnęła głową.

– Nie należy do najsprawniejszych osobników. Ma nadwagę i jest w kiepskiej kondycji.

Wczoraj nieźle się nabiegał. A te jego buciory są ciężkie i niewygodne. Kiepski wybór na wycieczkę po lesie.

– Ludzie morza nie chodzą na wycieczki do lasu – odparł Thorn. – A na okręcie był pierwszym oficerem, więc nie hańbił się ciężką pracą.

– To co w takim razie robi pierwszy oficer?

– Patrzy, jak inni się męczą – wyjaśnił Thorn, a Lydia spojrzała na niego. Na jej wargach igrał ledwo dostrzegalny uśmiech.

– Brzmi jak definicja twojego stanowiska pracy – stwierdziła.

Thorn uniósł brwi.

– Potrafię wykonać każde zadanie na pokładzie – odparł z godnością. – Umieć wiosłować. Umieć ustawiać żagle. Umieć sterować. Po prostu nie mam ochoty tego robić.

– Zauważyłam – powiedziała, uśmiechając się szeroko. Nie od razu odpowiedział.

Wyciągnął rękę przed siebie i rzucił:

– Proszę, proszę, kogo my tu mamy?

Od razu zauważyła zwiniętą w kłębek postać, leżącą na niewielkiej polance z lewej strony ścieżki. To był Rikard, spał słodko obok wygasłego ogniska.

– To jak, zbudzimy Gryzeldę pocałunkiem prawdziwej miłości?

Lydia zmarszczyła brwi, zdezorientowana.

– Kto to jest Gryzelda?

– To tak zwana Śpiąca Panna z popularnej skandyjskiej baśni dla dzieci – wyjaśnił. – Tylko pocałunek prawdziwej miłości może ją obudzić. – Wskazał chrapiącą postać i zrobił zachęcający gest. Lydia prychnęła z pogardą.

– Sam go całuj, jeśli masz ochotę – odparła. – On na pewno nie jest moją miłością.

Lydia wyjęła strzałkę z kołczanu, umieściła ją w atlatlu i zaczęła się skradać. Zauważyła, że Thorn ruszył za nią – całkowicie bezgłośnie.

„Dobry jest”, pomyślała. „Cieszę się, że jesteśmy po tej samej stronie.”

Mimo że tak bardzo starali się zachować ostrożność, coś ostrzegło śpiącego Rikarda.

Może szósty zmysł, jakieś pierwotne przeczucie zbliżającego się niebezpieczeństwa, Lydia była bowiem pewna, że żadne z nich nie wydało nawet najdrobniejszego dźwięku. Nagle Rikard usiadł na posłaniu i spojrzał prosto na nich. Znajdowali się w odległości zaledwie dziesięciu metrów od niego.

Rikard wydał wrzask przerażenia, skoczył na równe nogi i rzucił się do biegu.

Lydia działała całkowicie instynktownie. Jej prawa ręka przesunęła się do tyłu, strzałka już tkwiła w atlatlu.

– Nie za... – zdążył powiedzieć Thorn.

Ręka Lydię przeniosła się do przodu, długa strzałka świsnęła w powietrzu i przemknęła między nogami Rikarda, na wysokości kolan. Drzewce złamało się z głośnym trzaskiem, ale spełniło zadanie: Rikard stracił równowagę, potknął się, zachwiał i wyłożył jak długi. Zanim zdążył się pozbierać, Thorn już był przy nim. Drewnianym hakiem zaczepił o przód skórzanego kubraka i podciągnął pirata do pozycji stojącej, po czym wymierzył mu ogłuszający cios lewą pięścią, w wyniku czego Rikard znów padł na ziemię.

I tym razem tam został.

Thorn spojrzał na złamaną strzałkę i z podziwem potrząsnął głową.

– To było niesamowite! Po prostu niesamowite! W życiu nie widziałem takiego rzutu.
Dosłownie ścięłaś go z nóg!

Zawahała się. Miała wielką ochotę po prostu przyjąć słowa uznania, lecz uczciwość zwyciężyła. Zawstydzona spuściła wzrok.

– Nie do końca. Tak naprawdę to spudłowałam. Mierzyłam w jego lewą nogę.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, a potem zapytał powoli:

– Chciałaś przebić jego nogę tym wielkim ostrym metalowym grotem? – Gdy przytaknęła, podjął: – A zastanowiłaś się, w jaki sposób przetransportujemy go z powrotem, jeśli wywalisz mu dziurę w łydce?

Wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że go zaniesiesz. W końcu też mógłbyś jakoś się wykazać.



ROZDZIAŁ 9



Słońce powoli chowało się za drzewami na zachodzie, kiedy Thorn, Lydia i Rikard wychynęli z lasu. Rikard miał wolne ręce. Thorn uznał, że nie ma powodu go związywać ani w ogóle w żaden sposób ograniczać jego swobody. Zanim wyruszyli, wziął pirata na bok i powiedział cicho:

– Sam widziałeś, co ta dziewczyna potrafi. Jeśli będziesz próbował uciec, przebije cię strzałą. I tym razem na pewno nie będzie celowała w nogi. Zrozumiano?

Rikard zerknął nerwowo na Lydię i oblizął wyschnięte wargi. Potem kilka razy kiwnął głową. A potem ruszyli przez las, Lydia na przedzie, za nią Rikard, a na końcu Thorn.

Gdy zostawili za sobą cienie lasu, Lydia nagle wydała radosny okrzyk i rzuciła się do biegu. Bo oto dojrzała potężną postać, poruszającą się z wolna w stronę ogniska.

– Ingvar! – wykrzyknęła, a gdy się odwrócił, podbiegła do niego i mocno wyściskała, o mało nie przewalając go przy tym na ziemię.

– Wyzdrowiałeś!

Wyszczrzył się szeroko. Bardzo wychudł, pod oczami miał ciemne sińce, ale wyglądał o niebo lepiej niż ostatnim razem, kiedy go widziała.

– Edvin mnie wyleczył – powiedział. – Dał mi do picia jakiś obrzydliwy napar, po którym piłem się jak świnia, a potem wyzdrowiałem.

Nadal nie wypuszczała go z uścisku. Zdążyła bardzo polubić tego wielkiego, nieco flegmatycznego chłopaka.

– Już myślałam, że cię stracimy – powiedziała. – Tak się cieszę, że wyzdrowiałeś!

Stig przyglądał się tej scenie z zainteresowaniem. Szczególnie zafrapował go fakt, że Lydia wciąż nie wypuszcza rekonwalescenta z objęć. Nagle z głośnym okrzykiem wyrzucił ramiona w powietrze i padł na ziemię, jęcząc żałośnie.

– O! Ja też mam gorączkę! Płonę! Normalnie płonę! – Przez kilka sekund tarzał się po ziemi, potem przestał i zerwał się na równe nogi. – A to dopiero! Wyzdrowiałem!

Wyciągnął ramiona w stronę Lydi, czekając na swoją kolej. Uniosła brew ze znaczącą miną.

– Spadówa – powiedziała. Stig wzruszył ramionami i wyszczrzył się szeroko.

– Cóż, zawsze warto spróbować. Widzę, że odnaleźliście naszego jeńca.

Rikard przyglądał się scenie powitania Lydi i Ingvara. Zerkał ukradkiem na drzewa za swoimi plecami, lecz nagle uświadomił sobie, że Thorn nie spuszcza z niego wzroku. Stary wilk morski uśmiechnął się. Nie był to zbyt przyjemny widok.

– Zły pomysł – powiedział do Rikarda. – Ruszaj. – Wyciągnął rękę w stronę obozowiska.

Wszyscy otoczyli Lydię, zarzucając ją gradem pytań. Odpowiadała z rezerwą, nie chciała, by wzięli ją za samochwałę. Ale po chwili dołączył do nich Thorn i uwolnił ją od tego zadania.

– Była niesamowita! – powiedział. – Po prostu niebywała. Potrafiła określić, którędy szedł Rikard ze zdumiewającą precyzją. „Spójrz”, mówi, „ten syfny obłoczek powietrza – to jego

wczorajszy oddech”. Albo: „Popatrz tylko, na tym kamieniu, odcisk jego małego palca u lewej stopy”. A raz powiedziała mi nawet, co Rikard jadł na obiad.

– Skąd to wiedziała? – zapytał Wulf. Thorn wiedział, że któryś z bliźniaków złapie przynętę. Uśmiechnął się przebiegle.

– Znaleźliśmy jego odchody i Lydia trochę w nich pogrzebała. Powiedziała mi, co jadł na obiad, kiedy obchodził urodziny, i jak ma na imię jego mama.

Chłopcy spojrzeli na Lydię i zupełnie odruchowo zrobili pół kroku w tył. Z zakłopotania i wściekłości oblała się rumieńcem.

– To nieprawda! – krzyknęła, piorunując Thorna wzrokiem.

Wyszczерzył się niewinnie.

– No, to ostatnie chyba rzeczywiście się nie zgadza. Coś mi się wydaje, że rzuciłaś na rybkę.

Zrobiła krok w jego stronę. Jej dłoń powędrowała do atlatlu, wiszącego u pasa.

– Jeszcze jedna taka uwaga i poczęstuję cię strzałką, staruszkę – ostrzegła.

Jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy.

– Mierz w nogi. Wtedy na pewno nie trafisz. Potrząsnęła głową z rezygnacją. Thorn zawsze musiał mieć ostatnie słowo. Był niepoprawny. Odwróciła się do pozostałych i oświadczyła:

– Przysięgam, że nie grzebałam w odchodach Rikarda. – Niektórzy nadal mieli sceptyczne miny, więc wrzasnęła: – NIE GRZEBAŁAM! – To chyba przekonało wszystkich. Wulf nadal wyglądał jednak na nieco zdezorientowanego. Zwróciła na niego spojrzenie.

– Naprawdę potrafiłaś określić, w którym miejscu wypuścił powietrze poprzedniego dnia? – zapytał. Lydia westchnęła, po czym uznała, że wszelkie tłumaczenia na nic się zdadzą.

– Jasne – odparła i ruszyła w kierunku namiotu. Hal dogonił ją i powiedział, kładąc rękę na jej ramieniu:

– Dobra robota. I witaj z powrotem.

– Dzięki. – Posłała mu uśmiech, ale zaraz spoważniała. – Jak ty sobie radzisz z Thornem? Potrafi być taki nieznośny! Ale jednocześnie jest po prostu nieprawdopodobny! Rikard zaczął uciekać, strzeliłam do niego, ledwo zdążył dotknąć ziemi, a Thorn już był przy nim. Podniósł go i znokautował jednym ciosem. Nigdy nie widziałam nikogo, kto potrafi poruszać się z taką szybkością!

Hal kiwnął głową.

– Tak, potrafi zaskakiwać, to prawda.

Lydia potrząsnęła głową.

– Ale bywa taki irytujący! Przysięgam, nie grzebałam w odchodach Rikarda. Dlaczego on opowiada takie rzeczy?

– Ponieważ cię lubi – odparł Hal z uśmiechem. – I podziwia. Dlatego się z tobą drażni. Nie zauważyłaś, jak mnie traktuje?

O tym nie pomyślała. Po chwili zastanowienia odparła niepewnie:

– Chyba masz rację. Ale... – Machnęła rękami i zmieniła temat. – Powiedz, jak Edvin wyleczył Ingvara?

Hal opowiedział pokrótce o korze wierzbowej.

– To co w końcu podziałało? Kataplazm czy herbatka?

Hal zmarszczył brwi.

– Nie jestem pewien. Uznaliśmy, że napar. Ale możliwe też, że kataplazm zadziałał dopiero po dłuższej chwili. A może kombinacja obu. Tak czy inaczej, Ingvar wyzdrowiał.

– Nadal jest bardzo słaby – stwierdziła. Hal przytaknął.

– Chcę, żeby jeszcze tę noc spędził na ładzie i porządnie wypoczął. Wyruszamy jutro rano.



Dopłynęli do ujścia rzeki Dan. Otworzyło się przed nimi, szerokie na co najmniej półtora kilometra. Był odpływ i rzeka wyrzucała do Morza Białych Sztormów kolejne ładunki przeróżnych odpadów z głębi ładu: pnie, gałęzie, liście, czasem nawet jakieś martwe zwierzę oraz warstwę brązowego mułu, wypłukanego z błotnistych brzegów. Brązowa plama barwiła powierzchnię morza na przestrzeni kilkuset metrów, by w końcu wymieścić się z jego wodami.

Brzegi rzeki były niskie i porośnięte gęstymi lasami. Wiatr od morza popychał „Czapłę”, nadając jej całkiem niezłe tempo. Kiedy łódź zakołysała się łagodnie na rzecznych falach, Hal wspiął się na burtę obok swego miejsca przy sterze, jedną ręką przytrzymując się baksztagu. Drugą ręką przysłonił oczy i zaczął bacznie wodzić wzrokiem po powierzchni wody, wypatrując wirów i prądów, które mogłyby zdradzać obecność płycizn, ławic i skał. Jednakże powierzchnia rzeki była gładka i spokojna.

Thorn podszedł do niego.

– To główny szlak handlowy. Oczyszczają rzekę regularnie, można płynąć nią w głąb ładu przez setki mil – powiedział.

– Tak właśnie wyczytałem w notatkach – odparł Hal.

– Ale sprawdzić nigdy nie zaszkodzi. – Zeskoczył lekko na pokład i potarł dłonie. –

W takim razie płyniemy spokojnie dalej i czekamy na rozwój wypadków.

Ujął ster i krzyknął do bliźniaków, by wybrali szoty. Kiedy wpłynęli na wody rzeki, wiatr zaczął wiać od strony lewej burty. Ulf i Wulf poluzowali żagiel, a potem poprawili szoty, tak że wydał się miękki łukiem. „Czapła” pruła drobne fale; u jej dziobu, tnącego wody, pchane nurtem w stronę morza, tworzyła się wysoka fala. Hal spojrział na brzeg, by sprawdzić, z jaką prędkością się poruszają. Z zadowoleniem kiwnął głową.

– Będzie szybciej, kiedy pływ się zmieni – zauważył Thorn.

– I tak jest dobrze.

I płynęli dalej. Rzeka bulgotała i szumiała dokoła „Czapli”, a oni coraz bardziej oddalali się od morza. To było dziwne, niemal niesamowite uczucie, widzieć po obu stronach zielone niskie brzegi zamiast pustki oceanu, ciągnącego się aż po horyzont. Skierowali się w stronę prawego brzegu. Po około piętnastu minutach Hal uznał, że znaleźli się wystarczająco blisko. Dał sygnał bliźniakom i skręcił lekko w lewo. Ulf i Wulf wybrali liny, a łódź przecięła ukośnie nurt rzeki. Na rzece było znacznie spokojniej niż na wodach Morza Białych Sztormów. Łódź kołysała się, owszem, ale przyjemnym łagodnym ruchem, na szczęście zupełnie nie przypominało to gwałtownego bujania, które tak im dało w kość na pełnym morzu.

Pozostali członkowie załogi, nie mając właściwie nic do roboty, rozsiedli się wygodnie na ławkach wioślarskich i odpoczywali. Ulf i Wulf od czasu do czasu poprawiali szoty, kiedy wiatr lekko zmieniał kierunek.

Po chwili dotarli do pierwszego zakrętu. Wstrzymali w napięciu oddech, ciekawi, co zaraz zobaczą.

Hal pomyślał, że istnieje wielka różnica między żeglowaniem po rzece, nawet tak potężnej jak ta, a płynaniem na otwartym morzu. Każdy zakręt stanowił zapowiedź czegoś nowego i ekscytującego – może nawet niebezpiecznego.

– Przygotujcie się do zwrotu przez rufę! – zawołał. Nie musiał nadmiernie wysilać płuc tak jak na morzu. Wszyscy zajęli swoje miejsca. Ulf i Wulf czekali przy szotach. Hal przesunął

ster, a kiedy łódź zaczęła skręcać, wydał kolejne polecenie:

– Zwrot przez rufę!

Bliźniacy poluzowali żagiel, a gdy „Czapla” zmieniła kierunek, wybrali go. „Czapla” minęła zakręt i ich oczom ukazał się kolejny odcinek rzeki.

Więcej drzew. Nadal niskie brzegi. Nic nowego, nic niepokojącego. Napięcie uszło z nich jak powietrze z przekłutego balonika. Hal spokojnie trzymał dłoń na sterze, wpatrzony w rozciągający się przed nimi długi monotony fragment rzeki. Pośrodku pokładu leżał Ingvar, na specjalnym łożu, które zrobił dla niego Hal. Zbił listewki w dwie ramy w kształcie litery X i zawiesił nosze na przyczepionych do nich linach. Kiedy łódź bujała, łoże kołysało się naprawdę nieznacznie.

Hal pomyślał, że właściwie na rzece nie ma takiego niebezpieczeństwa. Zaraz jednak uświadomił sobie, że przy silnym wietrze czy burzy ta płaska wodna wstęga może pomarszczyć się w setki krótkich podstępnych fal.

Obok posłania siedział Edvin, skupiony, nie odrywając wzroku od własnych dłoni. Hal przyjrzał mu się uważnie. Ich medyk znowu robił na drutach.

– Oto jak wygląda krwiożerczy wilk morski – powiedział Stig, który wcześniej przeszedł na dziób, gotów w razie czego służyć pomocą, a teraz wrócił na swoje zwykłe stanowisko obok steru.

– Nastaly nowe czasy – Hal wyszczerzył się od ucha do ucha. – A Edvin jest wilkiem nowego gatunku. Może, jak ładnie poprosisz, zrobi ci gustowny pokrowiec na topór.



ROZDZIAŁ 10



„Czapla” płynęła przed siebie miękkim zygzakiem, to prawym, to lewym halsem, zmieniając kierunek mniej więcej co dziesięć minut, od jednego brzegu do drugiego. Powierzchnia rzeki była gładka, wiał umiarkowany wiatr, więc chłopcy mieli niewiele do roboty, czasem tylko musieli podnieść bądź opuścić żagiel. Wszyscy rozłożyli się na ławkach i rozkoszowali się ciepłem słońca. Niektórzy nawet drzemali.

Thorn popatrzył na nich z niezadowoloną miną. Podeszedł do steru, gdzie Stig przekazywał Edwinowi tajemnice zawodu sternika. Nie żeby na tej spokojnej rzece można się było wiele nauczyć. Hal siedział na rufie wsparty plecami o tylną stewę i przyglądał się im. Spojrzał na Thorną i uśmiechnął się na widok jego chmurnego oblicza.

– Jaki szczęśliwy – rzucił.

Thorn prychnął gniewnie.

– To przypomina wycieczkę łódką z moją ciocią Hortensją – oznajmił z niesmakiem.

Hal pomyślał, że Thorn stanowczo za często przebywał w towarzystwie Svengala. Skirl „Wilczego Wichru” za każdym razem, kiedy chciał obrazowo wyrazić opinię na jakiś temat, przywoływał imię kolejnej wymyślonej cioci. Hal popatrzył na towarzyszy, którzy leżeli rozwaleni na ławkach bądź deskach pokładu. Ciężki maszt i żagla przesunął się lekko do tyłu i do przodu, w rytm kołysania łodzi.

– Całkiem przyjemnie, co? – zgodził się.

Thorn zrobił gradową minę.

– Zbyt przyjemnie! Potrzeba im pracy i dyscypliny. Znow kapcanieją. Edvin robi na drutach, na Gorloga!

Hal podniósł się i uważnie przyjrzał swojej drużynie. Tak, Thorn miał rację. To był jeden z problemów, związanych z taką długą podróżą: mieli za dużo czasu na odpoczynek. Przed szturmem na Limmat Thorn urządził im regularne treningi, dzięki którym nabrali krzepy i odpowiednio przygotowali się do boju. Gdyby „Kruk” pokazał się nagle za kolejnym zakrętem, najrozsądniej byłoby z ich strony podkulić ogon i zwiewać, gdzie pieprz rośnie. Hal z namysłem zagryzł wargi.

– Co proponujesz?

Thorn wskazał kciukiem w lewo, w stronę niskiego lesistego brzegu. Właśnie weszli w lewy hals i zmierali w jego stronę.

– Przybij do brzegu godzinę wcześniej. Powinni potrenować i porządnie się zmęczyć. Muszę pomóc im odzyskać formę, i fizyczną, i psychiczną. W każdej chwili powinni być gotowi, by przystąpić do walki. A w tej chwili nie są.

Hal kiwnął głową.

Pod koniec każdego dnia przybijali do brzegu i rozbijali obóz. Było to znacznie wygodniejsze niż spanie na pokładzie. Edvin mógł rozpalić porządne ognisko, przygotować gorący posiłek i coś do picia. Hal powiódł wzrokiem wzdłuż brzegu, szukając odpowiedniego

miejsca. Pół kilometra dalej trawiasty brzeg opadał łagodnie, a między gęsto rosnącymi drzewami widniał prześwit. Pokazał to miejsce Thornowi.

– Jak myślisz?

Stary wilk morski przysłonił oczy i spojrział we wskazanym kierunku. Kiwnął głową.

– Idealne.

Wszyscy trochę się zdziwili, kiedy Hal kazał przybić do brzegu. Spodziewali się płynąć jeszcze co najmniej przez godzinę. Słońce nawet nie dotknęło koron drzew na zachodzie – a dopiero taki widok oznaczał, że czas rozbić obóz.

Jak zwykle Hal idealnie wyliczył odległość. Żagiel opadł w dół, Stefan i Jesper zwinęli ciasno liny i płótno. Dziób z cichym zgrzytem zarył miękko w piasek.

A potem rozległo się zwykle trzaskanie i klekot, towarzyszące zbieraniu sprzętu. Hal przywiązał rumpel i dał znak Stefanowi, by ten zeskoczył na brzeg i zaczepił kotwicę. Pozostali wpatrywali się w niego z zaciekawieniem.

– Rozbijcie obóz – polecił.

W ciągu dziesięciu minut postawili namiot, pamiętając o wydzielonej części, by zapewnić Lydii nieco prywatności, rozpalili ognisko i nazbierali zapas gałęzi – dno lasu było usłane suchymi zwalonymi drzewami. Zapasy jedzenia ułożyli starannie obok ogniska. Odwiązali Rikarda od masztu i przywiązali do drzewa za pomocą łańcucha, oplatającego go w pasie.

Jesper znalazł strumień i napełnił wiadra. Postawił je obok ogniska i rozejrzał się z zaciekawieniem. Nadal było jasno. Zastanawiał się, czemu zatrzymali się tak wcześnie.

– Co teraz? – spytał, właściwie nie bardzo wiadomo kogo. Odpowiedź, którą usłyszał, trochę go zmartwiła.

– Teraz – oznajmił Thorn, rozkoszując się każdym słowem – teraz jesteście moi. Tylko moi.

Pozostałych również ogarnęło to straszne uczucie – Thorn trzymał w rękę swój sławetny kij. Zastanawiali się, skąd tu się wziął. Ostatnio widzieli go w Zatoce Schronienia. Thorn machnął nim w powietrzu, potem zaś narysował linię na ziemi.

– Dobra. Stanać w rzędzie. Tutaj. RUCHY!

Przepychając się, prędko utworzyli szereg. Ostatnie słowo, podane przez Thorną w najlepszym wojskowym stylu, dodało im energii. Ingvar doczłapał do swego miejsca na końcu szeregu, ale Thorn potrzęsął głową.

– Ty nie, Ingvarze. Jeszcze za wcześnie – powiedział łagodnie.

Ingvar spojrział na Thorną, pochylając się nieco do przodu, by zobaczyć wyraźniej jego zaniedbaną postać.

– Czuję się świetnie – odparł. – Poradzę sobie.

Thorn podszedł do niego.

– Pokaż ranę – rozkazał i Ingvar podciągnął koszulę. Thorn machnął kijem, pokazując, żeby się obrócił, i dodał: – Teraz druga strona. – Przez chwilę oglądał bacznie rany wlotową i wylotową. Skóra dookoła nadal była zaczerwieniona, rany nie do końca się zasklepiły, nawet nie utworzył się na nich strup. Jeszcze widać było wilgotne mięso.

– Nie jesteś gotowy – oznajmił Thorn. – Przy wysiłku rany mogłyby się otworzyć.

I przypuszczam, że jeszcze nie odzyskałeś sił. Została z ciebie skóra i kości.

Ingvar uparcie potrzęsął głową.

– Nie chcę, by myśleli, że się migam.

Thorn nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Ty? Nigdy w życiu. Ale nie szarżuj. Jeśli chcesz zrobić coś pożytecznego, możesz dokładać do ognia.

Ingvar niechętnie wyszedł z szeregu i pokuśtykał w kierunku ogniska. Jesper popatrzył za nim, a potem podniósł rękę.

– Thornie? Wydaje mi się, że ja też jeszcze nie odzyskałem sił.

Thorn posłał mu uśmiech. Był to przerażający widok.

– W takim razie tym, czego ci potrzeba, jest trening. Intensywny. To pomoże ci odbudować siły. A teraz zobaczymy, jak wysoko potrafisz skakać. Reszty też to dotyczy!

To były dobrze znane im tortury. Zaczęli skakać wysoko, klaszcząc przy tym nad głową. Thorn przechadzał się za ich plecami, wymachując kijem. Słyszając złowieszcze poświstywanie, chłopcy odruchowo zerkali do tyłu.

– Nie odwracać się! – ostrzegł. – Udawajcie, że mnie tu nie ma.

Posłusznie ćwiczyli, patrząc prosto przed siebie, a kij trafiał w tylną część ciała każdego, kto nie spełniał oczekiwań Thornia. Winowajca od razu zaczynał skakać wyżej i żwawiej, zwykle wydając przy tym kwik bólu i wściekłości.

– Świetnie, Jesperze! – rzucił radośnie Thorn, gdy Jesper dzięki tej nieco brutalnej zachęcie wykonał znacznie wyższy skok niż zwykle. – Wygląda na to, że siły ci wróciły!

Trwało to pół godziny. Thorn zadbał, by nikomu się nie nudziło, prócz skakania i klaskania nad głową kazał im biegać dokoła, potem zaś kucnąć i łaźić jak kaczki. I kwakać, co wprowadziło go w wyśmienity humor. Uniósł głowę i zobaczył Lydię, która również przyglądała się z uśmiechem osobliwemu stadku chłopców, którzy człapali, kołysząc się na boki i wydając z siebie dziwne dźwięki.

– Może zechcesz do nich dołączyć, księżniczko? Pokazałabyś tym niezgrabom, jak to się robi.

Lydia jednak potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję, ale nie skorzystam.

Thorn uśmiechnął się szeroko. Bardzo by się zdziwił, gdyby dała się skusić. Ale zawsze warto spróbować.

Po pół godzinie Thorn ogłosił przerwę. Kazał Stefanowi i Edwinowi przynieść drewnianą broń, służącą do treningów, która została na pokładzie, a potem ustawił chłopców w pary. Zaczęli trenować. Lydia przyglądała się z zainteresowaniem, jak Thorn chodzi między nimi, tu poprawia kąt trzymania tarczy, tam pokazuje bardziej skuteczny cios czy zamach.

– Pamiętajcie – zawołał – nie machajcie za mocno. Zachowujcie równowagę. Bo jak nie, to czeka was miłe ćwiczonko na obracających się pniakach!

Lydia była pełna podziwu. Thorn potrafił wychwycić każdą pomyłkę w walce na miecze czy topory, podchodził do danego chłopca, pokazywał mu prawidłową technikę i kazał uczniowi powtarzać tyle razy, aż opanował ją do perfekcji. Lydia sama nie potrafiła wyłapać błędów, ale kiedy potem widziała, jak Thorn tłumaczy i pokazuje, na czym polega prawidłowe wykonanie, dostrzegła też miękkość, siłę i wyważenie każdego ciosu.

Potrząsnęła z podziwem głową. „Gdzie on się tego wszystkiego nauczył?”, pomyślała.



Wieczorem, gdy siedzieli po obiedzie przy ognisku, zadała to pytanie Halowi i Stigowi. Thorn, zgodnie ze zwyczajem, oddalił się od obozowiska i odpoczywał w samotności. Chłopcy rozmawiali, a Edvin robił na drutach. Stig upewnił się, że Thorn znajduje się poza zasięgiem ich głosów – wiedział, że stary wilk morski nie znosi, kiedy ludzie rozmawiają o jego przeszłości. Pomyślał jednak, że Lydia należy teraz do drużyny i powinna wiedzieć.

– W Skandii co roku odbywają się zawody, a ich zwycięzca dostaje tytuł Potężnego.

Lydia zmarszczyła brwi. Nigdy o czymś takim nie słyszała.

– Tytuł Potężnego? – powtórzyła. – O co dokładnie chodzi?

– Tytuł ten dostaje największy wojownik w kraju – wtrącił Hal. – Młodzi mężczyźni ściągają na tę okazję do Hallasholm ze wszystkich stron. Zawody składają się z zapasów, biegów, survivalu, walki na broń wszelkiego rodzaju: miecze, topory i oszczyepy. I są rozgrywane przez eliminację.

– Czasem dosłownie – dorzucił Stig, uśmiechając się szeroko. Hal spojrział na niego, kiwnął głową i też się wyszczerzył.

– I, jak przypuszczam, Thorn w młodości zdobył ten tytuł. Potężnego, tak? – zapytała Lydia.

– Tak. Nas jeszcze nie było na świecie – powiedział Hal. – Musiał mieć wtedy dwadzieścia kilka lat. Walczył przeciwko mojemu ojcu i ojcu Stiga.

– I obu pokonał – dodał Stig.

Na twarzy Lydii pokazał się wyraz podziwu.

– To bardzo imponujące – stwierdziła. – I wiele wyjaśnia.

– I to jeszcze nie wszystko – dodał Stig, z wyraźną dumą w głosie. Zrobił pauzę dla dramatycznego efektu, po czym podjął: – Thorn wygrał trzy razy z rzędu.

Lydia uniosła brwi.

– Przypuszczam, że coś takiego nie zdarza się zbyt często?

– Nikt nie zdobył tytułu Potężnego więcej niż raz. Ani przed Thornem, ani po nim – odparł Hal cicho. – Gdyby Thorn nie stracił ręki w wypadku, byłby największym wojownikiem w dziejach Skandii.

Stig spojrział na niego.

– On jest największym wojownikiem w dziejach Skandii – stwierdził stanowczo. – Ręka nie ma znaczenia.

Hal spojrział na ciemną postać, siedzącą jakieś dziesięć metrów dalej, wpatrzoną w rzekę i gwiazdy.

– Wiesz – powiedział – chyba masz rację.



ROZDZIAŁ 11



W nocy zmieniła się pogoda. Wiatr nie wiał już z północy, tylko ze wschodu, przyniósł ze sobą nisko wiszące chmury i nieustający deszcz, siekący niemal horyzontalnie. Powierzchnia rzeki, poprzedniego dnia tak spokojna i błękitna, teraz poszarzała, pomarszczyły ją fale, wzbijane mocnymi podmuchami.

Zjedli śniadanie pod osłoną namiotu. Edvin, wiedząc z doświadczenia, jak kapryśna potrafi być pogoda, przygotował zawnoczu zapas drewna. Razem ze Stigiem rozstawili mniejszy namiot, w którym rozpalili ogień i przygotował ciepły posiłek: boczek i zapiekany chleb. Podsmażył też kartofle, które zostały z kolacji. Ingvar szybko pochłonał swoją porcję i przyszedł po dokładkę.

Lydia uśmiechnęła się.

– Wygląda na to, że masz się coraz lepiej. A twój apetyt to już na pewno.

Zerknął na nią i uśmiechnął się niepewnie.

– Straciłem sporo pysznych posiłków, muszę nadrobić zaległości.

Lydia pomyślała, że to niesamowite, ile mogą sprawić zaledwie dwa dni odpoczynku i dobre jedzenie. Twarz Ingvara nie była już tak wymizerowana i zapadnięta, ciemne cienie pod oczami znikły. Miał też więcej energii, poruszał się z większą pewnością. Jediną rzeczą, która nie pozwalała mu w pełni wrócić do normalności, była nie do końca zagojona rana. Musiał uważać i unikać wysiłku, żeby znów się nie otworzyła.

Hal, Thorn i Stig schowali się pod drzewem, w pewnej odległości od reszty drużyny.

– To będzie zimny i mokry dzień – stwierdził Thorn.

Hal uśmiechnął się.

– Zupełnie jak w domu.

Wepchnął ostatni kawałek chleba z boczkiem w usta, splukał łykiem miętowej herbaty, którą zaserwował im tego dnia Edvin, i skrzywił się. Była ciepła i rozgrzewająca, lecz smak niezbyt przypadł mu do gustu.

Stig zauważył jego minę i stwierdził:

– Musimy zdobyć kawę.

Kilka dni wcześniej wykończyli skromne zapasy.

– Będziemy mieli szczęście, jeśli nam się uda. Nie jest to zbyt popularny napój w tej części świata. Powinniśmy więc się cieszyć, że w ogóle dostaliśmy coś ciepłego do picia – odparł Thorn, po czym wytrząsnął fusy na ziemię i rozejrzał się.

Hal zrozumiał aluzję.

– Pora się zbierać – powiedział, a potem krzyknął do chłopców, żeby zwijali obóz i zanieśli wszystko na pokład.

„Czapla” bujała się i rzucała nieprzyjemnie na krótkich ostrych falach, wzbijanych podmuchami wiatru. Wszyscy kulili się żałośnie w zacinającym deszczu. Pokład łodzi był otwarty, nie mieli miejsca, w którym mogliby schronić się przed niepogodą. Wszyscy włożyli

kubraki ze skóry bądź baraniego futra, nikt jednak nie pomyślał o odpowiednim nakryciu głowy. Mokra strąka włosów kleiła im się do twarzy. Marzli i było im bardzo źle. Ale, jak to chłopcy – żaden z nich nie pamiętał, żeby zabrać czapkę. Oczywiście, póki siedzieli beczynnie, mogli osłonić sobie głowy brezentową płachtą czy ręcznikiem, ale przystępując do jakiegoś zadania, jak podnoszenie żagli, trzymywanie ich i tym podobne, musieli zrezygnować z nakrycia głowy, bo podczas pracy ręcznik czy kawałek płótna i tak by spadł bądź sfrunął w razie mocniejszego podmuchu.

Wyjątkiem był Edvin, który siedział w milczeniu, błogo uśmiechnięty, w swojej wspaniałej nowej czapce własnej roboty. Zwykle podwijał jej brzeg na wysokości brwi i koniuszków uszu, teraz jednak rozwinął dłuższe boki i tył, tak że zakryły całe uszy i kark. Wełna nadal była tłusta, więc deszcz nie wsiąkał w nią, tylko zbierał się na wierzchu i spływał. Dodatkowo Edvin owinał szyję ręcznikiem, by woda nie wlewała mu się za kołnierz. Siedział z zadowoloną miną obok Ingvara. Rekonwalescent skrył się pod brezentem, z przodu umieścił pod nim dwa patyki, by brezent nie zakrywał mu twarzy.

Jesper patrzył z zazdrością na Edvina – a właściwie na jego grubą wełnianą czapkę.

– Wygląda na ciepłą – powiedział, siadając obok. Edvin zerknął na niego i uśmiechnął się.

– I jest ciepła – powiedział, nie bez satysfakcji. Musiał znosić wiele przykrości i upokorzeń z powodu swego ulubionego hobby. Wciąż miał w pamięci zdanie: „To takie dziewczynskie zajęcie”.

Jesper wyciągnął rękę.

– Tak się zastanawiam, mogę przymierzyć? – spytał.

Edvin przez chwilę rozważał jego prośbę. W końcu potrząsnął głową.

– Masz mokre włosy. Zamoczysz czapkę w środku. A jest bardzo ciepła i przyjemna.

Jesper kiwnął głową. Widział, że pozostali członkowie załogi przypatrują im się i słuchają tej rozmowy.

– Pewnie tak. – Po chwili dodał: – A nie zrobiłbyś takiej dla mnie?

Edvin przekrzywił głowę z namysłem.

– A nie sądzisz, że to trochę... dziewczynskie zajęcie?

Jesper pospiesznie potrząsnął głową.

– Dziewczyńskie? A cóż jest dziewczynskiego w robieniu na drutach? – Nagle, poczuwszy na sobie wrogie spojrzenie Lydii, prędko dodał: – Poza tym, „dziewczyńskie” to przecież nie znaczy nic złego, prawda? Zapłaciłbym za włóczkę.

Edvin uśmiechnął się z wyrachowaniem.

– Zapłacisz nie tylko za włóczkę – odparł. – Zapłacisz za mój czas.

– Ależ oczywiście, jasna sprawa – zapewnił Jesper, choć ta wizja nie za bardzo przypadła mu do gustu. Liczył na to, że Edvin będzie po prostu zachwycony, mogąc wykazać się talentem do robótek ręcznych. Jednakże widok ciepłej grubej czapki był zbyt kuszący.

– A dla mnie też byś zrobił? – zawołał Wulf, a ułamek sekundy później jego brat oznajmił:

– Ja też chcę taką.

Spojrzeli na siebie.

– Zapłacę – dodał pospiesznie Wulf.

Ulf znów spojrzał na brata.

– Ja zapłacę więcej.

Nagle Stefan uświadomił sobie, że jeszcze nie dołączył do zakupowego szaleństwa.

– Ja też chcę czapkę – odezwał się.

Edvin bawił się wyśmianiem. Czekał z uśmiechem, gdy jego towarzysze przekrzykiwali się i licytowali, proponując coraz wyższe stawki. Edvin zdawał sobie sprawę, że propozycje te niewiele znaczą, bo żaden z nich nie miał pieniędzy.

– To jak zdecydujemy, kto jest pierwszy w kolejce? – zapytał.

Głos Stiga zagłuszył klójących się chłopców:

– Według stopnia. Jestem pierwszym oficerem, więc będę pierwszy.

Pozostali umilkli. Miny mieli bardzo nieszczęśliwe, ale Stig przewyższał ich nie tylko stopniem – on w ogóle był najwyższy i najsilniejszy z nich wszystkich. Edvin spojrzał jednak na Hala, który zajmował przecież najważniejszą pozycję w drużynie.

– A ty, Hala? Ty też chcesz czapkę?

Hal jako jedyny z chłopców miał kapelusze – stary bezkształtny i wysłużony kawałek pilśni z wąskim rondem. Thorn, który rzecz jasna wiedział, jak cenną rzeczą jest ciepłe nakrycie głowy, nosił wysłużoną futrzaną czapę. A Lydia, jako dziewczyna obdarzona znacznie większą dozą rozsądku, włożyła skórzany kaptur, wiązany na rzemyk pod brodą. Do Hala przemawiała jednak wizja jednakowych nakryć głowy dla całej załogi. Te czapki w jakiś sposób wynagrodziłyby im utratę rogatych hełmów, które dostali w nagrodę za zwycięstwo w zawodach drużyn. Jednakowe czapki pomogłyby im poczuć, że należą do drużyny i wzmocniłyby łączącą ich więź.

– Uważam, że każdy z nas powinien mieć taką czapkę. Lydia też – oznajmił Hal. – Zapłacę z funduszy, przeznaczonych na wyprawę.

Chłopcy powitali jego słowa pomrukiem uznania. Hal widział, że pomysł wszystkim się spodobał. Edvin był bardzo zaskoczony. Po kilku sekundach na jego twarzy pojawił się uśmiech. Oto w ciągu jednej chwili jego hobby zmieniło się z lekko podejrzanego dziwactwa, traktowanego przez wszystkich ze wzgardliwym rozbawieniem, w prawdziwie cenną umiejętność, która mogła przysłużyć się dobru całej drużyny. W dodatku miał na tym całkiem niezłe zarobić. Chłopcy, licytując cenę, obiecywali mu gruszki na wierzbie, ale Hal naprawdę dysponował pieniędzmi – które Thorn zabrał ze sobą, kiedy uciekali z Hallasholm – przeznaczonymi na zakup prowiantu i innych potrzebnych rzeczy podczas podróży.

– Będę potrzebował więcej włóczki.

– Nie ma problemu – odparł Hal. – Niedługo powinniśmy dotrzeć do jakiegoś miasta.

Kupisz wełnę, a my popytamy o „Kruka”.

– To kto dostanie pierwszy czapkę? – zapytał Jesper.

– Jakby nie patrzeć, to był mój pomysł.

Po chwili namysłu Hal odparł:

– To prawda. Ale ja jestem skirlem, więc pierwsza będzie dla mnie. Następna dla Stiga.

Reszta ciągnie losy.

Uśmiechnął się na widok markotnej miny Jespera. „Demokracja to świetny system”, pomyślał. „Ale czasem trzeba korzystać z przywilejów władzy.”



ROZDZIAŁ 12



Późnym popołudniem „Czapla” zawinęła do portu o nazwie Krall na zachodnim brzegu rzeki.

Było to niewielkie miasteczko. Mieszkańcy utrzymywali się dzięki statkom i łodziom, krążącym w dół i w górę rzeki. Sprzedawali na straganach różne przydatne rzeczy, jak płótno, części konstrukcyjne z drewna i żelaza i tym podobne. Na obrzeżach miasteczka stał zakład, w którym produkowano liny i sznury wszelkich rozmiarów, od cienkich faleni, służących do cumowania łódek, aż do grubych smołowanych lin, wykorzystywanych do takielunku.

W centrum znajdował się plac, na którym co drugi dzień odbywał się targ. Wzdłuż rzeki ciągnęły się, jak to zwykle w takich miejscach, tawerny i jadłodajnie, gotowe zaspokoić przeróżne gusta tych, którzy postanowili zatrzymać się w porcie na noc. Niektóre miejsca były przestronne, dobrze oświetlone i przyjemne dla oka, inne, te w mniejszych uliczkach, oddalonych od szerokiej alei, biegnącej wzdłuż rzeki, ciasne, obskurne i szemrane.

Czyli różnorodność typowa dla większości miast portowych, w każdym miejscu na świecie.

Sam port miał kształt litery U, dzięki czemu tworzył doskonale naturalne schronienie. Woda była tu głęboka nawet przy samym brzegu, wzmocnionym kamieniami, i cumowało tam kilka dużych okrętów. Pozostałe jednostki, mniejsze bądź wymagające naprawy, tłoczyły się dokoła długich rozchwianych drewnianych molach, które wybiegały na środek zatoki niczym palce u dłoni.

Hal jak zwykle polecił opuścić rejki z żaglami, tak bardzo charakterystyczne i rzucające się w oczy, i kazał drużynie zasiąść do wiosł. Zadymiarza przykryli wcześniej brezentową płachtą. Thorn stanął obok Hala i wodził wzrokiem wzdłuż brzegu. Po minucie czy dwóch znalazł to, czego szukał, i wyciągnął rękę.

– Tam.

Wskazywał na krótkie molo, na którego krańcu wznosił się niewielki drewniany budynek o płaskim dachu. Na tablicy, wiszącej nad drzwiami, widniał złoty krąg, przecięty dwiema czarnymi pionowymi liniami – uniwersalny symbol pieniądza.

– To biuro, w którym trzeba uiścić opłatę – powiedział Thorn. – Skieruj łódź w tę stronę.

Hal poprowadził „Czapłę” wzdłuż nabrzeża. Drewniana konstrukcja znajdowała się jakiś metr powyżej pokładu. Stig wdrapał się na nadburcie, a potem skoczył zwinnie na molo, chwycił cumy, które rzucili mu Stefan i Jesper, i zawiązał je dokoła pachołków. Ulf i Wulf wyrzucili wiklinowe odbijacze, zawieszane na krótkich linkach. Zaskrzypiały, gdy przyciągnęli łódź do molo.

Thorn sprawdził, że jego sakiewka wisi u pasa i że znajduje się w niej wystarczająca ilość monet. Potem kiwnął głową w stronę Hala.

– Chodźmy.

Wdrapali się na molo i ruszyli w stronę biura.

Poza tym, że Krall zarabiał na przepływających statkach dzięki temu, że podróżni zostawiali pieniądze w licznych tawernach, jadłodajniach i sklepikach, to, podobnie jak w innych portach rzecznych, spore wpływy pochodziły również z opłat nakładanych na każdy statek, który chciał zatrzymać się w Krall na dzień czy dwa, gdy członkowie załogi zapragnęli odrobiny odpoczynku i rozrywki. Pieniądze szły do kasy miejskiej i w teorii były przeznaczone na naprawę i utrzymanie portu. A w praktyce większość trafiała do kieszeni członków rady miasta.

Wysokie podatki ściągano również z tych, którzy zajmowali lokale w najlepszych miejscach, czyli nad samą rzeką.

Thorn zatrzymał się, szukając wzrokiem tablicy z wysokością opłat. Czasem ustalano je w zależności od rozmiarów danej jednostki. Niczego jednak nie znalazł. Odchrząknął i spojrzał na Hala.

– To znaczy, że wyznaczą sumę w takiej wysokości, na jaką wedle ich oceny nas stać – powiedział. – Plus jeszcze trochę. A ty myślałeś, że Zovac to groźny pirat.

Pchnął drzwi i weszli do środka. Biuro składało się z jednego pomieszczenia, którego okna wychodziły na rzekę.

Pośrodku biegł długi kontuar, oddzielający petentów od urzędników, siedzących przy biurkach po drugiej stronie. W tym momencie było ich trzech, dwa biurka stały puste. Jeden podniósł wzrok, potem wstał i podszedł do kontuaru. Pozostali w ogóle nie zwrócili na nich uwagi.

Było to krępawy człowiek, nieco mniej niż średniego wzrostu, najwyraźniej żywiący upodobanie do rozkoszy stołu. Nosił ciemnoszkarłatny kaftan, wyrzucony na ciężki skórzany pas, przy którym wisiał pęk kluczy. Mężczyzna był świeżo ogolony, miał obwisłe policzki i podwójny podbródek. Trochę się pocił.

– Czym mogę służyć? – zapytał.

Thorn pomyślał, że to całkowicie zbędne pytanie. Obcy wchodzili do tego biura tylko w jednym celu. Odpowiedział jednak uprzejmie:

– Chcielibyśmy zatrzymać się na jedną noc.

Ustalili na samym początku, że kiedy odwiedzają jakiś port, Thorn gra rolę kapitana. Skirl o twarzy tak młodej i świeżej jak twarz Hala mógłby tylko wzbudzić niepotrzebne zainteresowanie, a oni nie chcieli zwracać na siebie uwagi.

Urzędnik westchnął, jakby zawracali mu głowę bez powodu.

– Dobrze, w takim razie muszę obejrzeć wasz okręt – odparł i ruszył do wyjścia.

Z rękami na biodrach przeszedł po molo, przyglądając się „Czapli”. Członkowie załogi unieśli głowy na odgłos kroków. Mężczyzna poruszał ustami, zapewne licząc w myślach.

Potem popatrzył na załogę, w końcu na Thorną.

– Trochę młodzi.

Stig zrobił brzydka minę za jego plecami. Hal dał mu znak ręką, żeby się uspokoił. Na pewno nic by im nie pomogło, gdyby rozwścieczyli tego człowieka, szczególnie zanim wyznaczy wysokość opłaty.

Thorn popatrzył mu prosto w oczy i przez chwilę przytrzymał jego wzrok, nic nie mówiąc, aż tamten niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. Wiedział, że jego słowa mogły zabrzmieć prowokująco. W końcu Thorn powiedział:

– Są młodzi. Pracują za niskie stawki. To jakiś problem?

– Nie, nie! – Mężczyzna machnął ręką. Było coś niepokojącego w nieruchomym spojrzeniu Thorną. Celnik zerknął na Rikarda, przywiązanego do masztu. Wyraźnie było widać łańcuch, opasujący jego talię.

– Kto to? – zapytał, marszcząc brwi.

– Próbował uciec. Poza tym pyskował. Musiałem dać mu nauczkę – powiedział Thorn. Urzędnik wzruszył ramionami. Brzmiało to wiarygodnie. Potem podjął decyzję.

– Zostajecie do jutra? W takim razie piętnaście koron.

Korona była jednostką monetarną, używaną w Madzia – rii. To by wskazywało, że do portu Krall często zawijają okręty z tego kraju. Thorn jednak potrząsnął głową.

– Nie mam tyle. Dam ci siedem – rzucił bez ogródek. Potrząsnął sakiewką u pasa.

Rozległo się kuszące brzęczenie.

– Dwanaście – odparł tamten bez wahania.

– Dziewięć. I zapłacę w limmatańskich złociszach.

Limmatański złocisz był wart nieco więcej niż korona. Urzędnik myślał przez chwilę, po czym kiwnął głową. Uścisnęli sobie ręce i Thorn podał mu pieniądze.

– Możecie zacumować na stanowisku numer osiem, to przy drugim moło, licząc od tej strony – powiedział mężczyzna, wskazując im wolne miejsce. Wszystkie stanowiska były oznaczone numerami, namalowanymi wyblakłą farbą na popękanych wypaczonych deskach. Thorn pomyślał, że pieniądze z opłat raczej nie idą na utrzymanie portu.

– Jeszcze jedna rzecz – powiedział i urzędnik odwrócił się, zakładając kciuki za pas. – Szukamy czarnego okrętu o nazwie „Kruk”. Może przepływał tędy w ciągu ostatnich kilku...

Nie zdążył dokończyć, a ten już potrząsał głową.

– Nie! Nic więcej nie mów! Nie mieszam się w takie sprawy. Nie jestem biurem informacji. Nie zdradzam, kto właśnie przyplłynął ani kto odpłynął. To mnie nie dotyczy i nie zamierzam tego zmieniać.

– Mógłbym ci wynagrodzić stracony czas. – zasugerował Thorn, ale w odpowiedzi dostał tylko groźne spojrzenie.

– Nie wiesz, ile wart jest mój czas – powiedział mężczyzna. – Możecie tu zostać do południa jutrzejszego dnia. Jeśli do tego czasu nie odpłyniecie, będziecie musieli zapłacić za kolejny dzień. I żadnych awantur w mieście. – Jeszcze raz spojrzął na Rikarda, po czym odwrócił się na pięcie, wszedł do biura i trzasnął drzwiami.

– Sympatyczny gość – zauważył Hal.

Thorn wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że czerpią z madziarskich okrętów spore korzyści. Nie zamierza pozbawiać się źródła dochodu. Dobra, przenieśmy się na nasze miejsce.



– Ta. Widziałem czarny okręt dwa dni temu – powiedział jedenonogi mężczyzna. – Przyplłynął, został dwie noce, a potem popłynął dalej na południe.

Hal, Stig i Thorn wymienili szybkie spojrzenia. Jedenonogi marynarz zauważył to i pochylił się do przodu.

– To chyba jest warte następnego drinka, co?

Thorn kiwnął głową.

– Całkiem możliwe. O ile powiesz nam nazwę tego okrętu.

Znajdowali się w jednej z tych obskurnych tawern, w wąskiej bocznej uliczce, oddalonej od głównej alei, biegnącej wzdłuż rzeki. Jedenonogi sam podszedł do nich przed chwilą, zafascynowany widokiem pięknej protezy Thorn'a. Jego sztuczna noga była dość prymitywnie ociosany kawałkiem drewna.

– Nazywał się „Kruk”. A kapitan... – urwał, marszcząc brwi. – Coś na Z... Zara? Zamat? Nie... – Odwrócił się i krzyknął do starego marynarza, który siedział samotnie przy małym

stoliku na drugim krańcu zatłoczonego głośnego pomieszczenia, ze wzrokiem wbitym w zawartość kufla.

– Morgan! Jak się nazywał ten z czarnego okrętu? Zara, Zaba, jakoś tak, nie?

– Ciszej – powiedział Thorn. Nie wszyscy musieli wiedzieć, że szukają Zavaca. Było jednak za późno. Rozejrzał się dokoła. Kilku gości odwróciło się w ich stronę. Jakiś solidnie zbudowany śniady mężczyzna przy barze przypatrywał się im, a kiedy Thorn z kolei spojrzął na niego, odwrócił wzrok, jak gdyby nigdy nic.

Morgan oderwał wzrok od piwa i zmarszczył brwi, z wysiłkiem zbierając myśli.

– Zavac – zawołał w odpowiedzi, a jednonogi walnął triumfalnie w stół.

– Właśnie! Zavac! Wredny typ. To jak z tym drinkiem?

Thorn rzucił kilka monet na stół.

– Masz. I poczęstuj przyjaciela. Zasłużyliście.

Jednonogi popatrzył namiętnie na monety. Było tego więcej, niż zwykle zdołał uciąć w ciągu całego tygodnia. Zebrał je, a potem jeszcze raz spojrzął z nadzieją na rękę Thorn'a.

– To gdzie, mówiłeś, kupiłeś tę aligancką protezę? Gdzieś w okolicy?

Thorn potrząsnął głową.

– Na północy. W Skandii.

– Hmm. Szkoda. – Urwał i spojrzął na monety, leżące na stole. Próbował je policzyć, ale migają i rozmazywały mu się przed oczami. – Może jeszcze coś was interesuje? Mogę sporo opowiedzieć o okrętach, które zawijają do naszego portu.

– Nie. To wszystko – odparł Thorn. Nie mógł uwierzyć, że szczęście tak im dopisało. To była pierwsza tawerna, do której weszli, a Kuternoga był pierwszym człowiekiem, którego zapytali o „Kruka”. W dodatku nawet nie musieli go szukać, sam do nich przyszedł. Thorn wyczuwał podekscytowanie swych młodych towarzyszy.

– Wracajmy na łódź – powiedział, podnosząc się. Jeszcze raz spojrzął na Kuternogę. – Dzięki za pomoc.

Stary marynarz pomachał ręką w powietrzu.

– Zawsze do usług. Zawsze. I pozdrówcie ode mnie Zabara.

Gdy wychodzili, Thorn spojrzął przelotnie na klienta przy barze. On jednak zdawał się nie zwracać na nich uwagi. Pozostali, którzy odwrócili się w ich stronę, kiedy Kuternoga rozmawiał z Morganem, też chyba stracili zainteresowanie. Thorn z zadowoleniem ruszył w ślad za swymi towarzyszami.

Mężczyzna przy barze siedział bokiem, by móc ukradkiem obserwować Skandian. Teraz zaczekał, aż drzwi zamkną się za nimi, ześliznął się ze stołka i także ruszył do wyjścia.

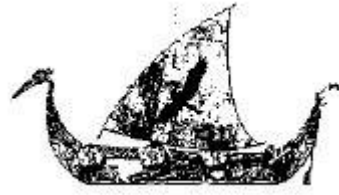
Mijając Kuternogę, popchnął go niby przypadkiem, tak mocno, że tamten spadł z krzesła. Pochylił się i pomógł mu wstać.

– Za dużo gadasz, przyjacielu. Czas zamknąć gębę – szepnął mu do ucha.

Nikt nie zauważył, jak cienkie ostrze sztyletu wbiło się w bok starego człowieka. Okrzyk bólu zatonął pośród pijackich wrzasków. Kuternoga osunął się na stół. Mężczyzna poklepał go przyjaźnie po plecach.

– Tak, tak, prześpij się. Dobrze ci to zrobi.

A potem pospiesznie wyszedł z tawerny. Zdażył dostrzec na końcu uliczki sylwetki trzech Skandian, zmierzających w stronę rzeki. Ruszył za nimi, kryjąc się w cieniu.



ROZDZIAŁ 13



To molo, przy którym stała zacumowana „Czapla”, chodził wartownik. Miał na sobie kolczugę, hełm z utwardzonej skóry, w rękę trzymał włócznię, a u jego pasa wisiał krótki miecz. Skinął głową na powitanie Thornowi, Halowi i Stigowi, którzy spieszyli w stronę łodzi.

Molo zadygotało pod prędkimi krokami całej trójki. Zeskoczyli na pokład. Pozostali, widząc ich pośpiech, zebrali się dokoła.

– Byli tu? – zapytał Stefan.

Thorn przytaknął.

– Mają nad nami parę dni przewagi. – Spojrzał na Jespera. – Zdobyłeś wszystkie potrzebne zapasy?

Podczas gdy Stig, Hal i Thorn poszli szukać informacji na temat „Kruka”, Jesper i Edvin udali się na targ, by kupić najpotrzebniejsze rzeczy.

– Większość jest. Niestety, nie udało mi się zdobyć kawy – oświadczył Edvin.

– Nic się na to nie poradzi – odparł Thorn.

Podszedł do Rikarda, który obserwował ich ze swojego miejsca koło masztu. Sięgnął do sakiewki i wyjął klucz. Potem pochylił się i otworzył kłódkę, spinającą łańcuch, zebrał go, zwinął i rzucił na pokład koło ławek wioślarskich. Rikard przyglądał mu się podejrzliwie.

– Co ty robisz? – zapytał niepewnie. Zdążył zauważyć, z jaką błyskawiczną prędkością potrafi poruszać się Thorn i wiedział, że rozważa w tym przypadku jest wysoce wskazana. Thorn machnął szeroko ręką, jakby Rikard był dokuczliwym owadem.

– Jesteś wolny. Powiedziałaś prawdę, teraz możesz odejść.

Rikard zmarszczył brwi. Nie bardzo wiedział, co o tym myśleć.

– Ale dokąd? – zapytał. – Jest środek nocy. Dokąd mam iść?

– Dokąd tylko ci się zamarzy. Tak się umówiliśmy: ty powiesz, dokąd udał się Zovac, a ja cię wypuszczę. Potwierdziło się to, co mówiłeś, więc pora, bym dotrzymał mojej części umowy. No, idź. – Znów machnął ręką.

– Ale... jest środek nocy – powtórzył Rikard.

Thorn niecierpliwie potrząsnął głową.

– Już to mówiłeś. Jesteśmy w porcie, tutaj to wczesna pora. Tawerny będą otwarte jeszcze przez wiele godzin. Szczerze mówić, chciałbym pozbyć się ciebie jak najprędzej.

Pozostali zamruczeli zgodnie. I nie był to zbyt przyjemny dźwięk. Rikard zrozumiał, że może uznać się za szczęściarza, jeśli uda mu się ująć cało z tej przygody. Nadal jednak się wahał.

– Jak mam dotrzeć do Praghi? – zapytał. – Jestem bez pieniędzy.

– Sądzę, że mógłbyś zarobić po drodze – odparł Thorn. – Choć to by było wbrew twojej naturze. – Niechętnie sięgnął do sakiewki, odliczył trzy limmatańskie monety i trochę drobniaków, które dostał w tawernie. Podał je Rikardowi, który nachmurzył się.

– Nie za wiele tego.

Thorn podszedł do niego, bardzo blisko, a kiedy przemówił, jego głos zabrzmiał bardzo

groźnie:

– To lepsze niż stryżek. Nie zapominaj. Bo taki właśnie miałeś wybór. Oczywiście, jeśli zmieniłeś zdanie, możemy jeszcze wykonać wyrok, tu i teraz.

Rikard spojrział na pieniądze, potem na Thorną. Podjął decyzję, wsadził je do kieszeni i potruchtał w stronę burty. Wsiadał na tę łódź z niczym i tak też odchodził. Wskoczył na molo i pobiegł przed siebie, nie oglądając się, jakby z obawy, że Thorn może zmienić zdanie.

– Nie zapomnij do nas pisać! – zawołał Jesper i pomachał mu na pożegnanie. Reszta zaczęła się śmiać. Hal szybko przerwał tę radość.

– Dobra – powiedział stanowczo. – Ruszamy! Zamac ma nad nami kilka dni przewagi, chcę go dopaść, nim dotrze do Raguzy.

Wszyscy pospieszyli na swoje stanowiska i zaczęli przygotowywać się do drogi.

Wartownik, zaalarmowany hałasem, ruszył w ich kierunku i krzyknął do Hala:

– Ej, tam! Na pokładzie! Co wy wyprawiacie?

– Zbieramy się do drogi – odparł Hal, ale jeszcze zanim dokończył to zdanie, wartownik potrząsnął głową.

– Na pewno nie teraz. Nie wolno wypływać z portu ani wpływać do niego między zachodem a wschodem słońca.

– To jakiś absurd! – odparował Hal. – Nie ma powodu, dla którego mielibyśmy zostać dłużej.

Ale wartownik był niewzruszony.

– Jest bardzo wiele powodów. Radni wydali takie zarządzenie, ponieważ chcą mieć pewność, że nikt nie odpłynie stąd w pośpiechu, bo zrobił coś, czego powinien się wstydzić.

Więc nic z tego, jasne?

Hal westchnął z rezygnacją. Spojrział na postać wartownika, rysującą się na tle nieba.

– Myślisz, że potrafiłbyś nas powstrzymać, gdybyśmy się uparli?

Wartownik wskazał kciukiem na coś ponad ramieniem Hala.

– Ja pewnie nie. Ale oni z pewnością.

Hal odwrócił się. Pośrodku portu unosiła się na wodzie łódź strażników, zaopatrzona w osiem wiosel. Na pokładzie znajdował się tuzin uzbrojonych mężczyzn. Hal opuścił ramiona.

– O – powiedział. – Tak, oni pewnie daliby sobie radę. – Rozejrzył się dokoła, sfrustrowany. – W takim razie chyba jednak zostaniemy.

– Chyba jednak tak.



Mężczyzna z tawerny patrzył na biegnącego Rikarda, który raz obejrzał się przez ramię, jakby spodziewał się, że Thorn zmieni zdanie. Kiedy dobiegł do końca molo, nie zatrzymał się, lecz skręcił w pierwszą boczną uliczkę. Byle dalej od nieubłaganego spojrzenia Thorną.

Mężczyzna miał na imię Vargas i pracował jako trzeci oficer na „Kruku”. Został w mieście, by poczekać na dostawę lin, które Zamac zamówił w warsztacie. Takielunek „Kruka”, wszystkie liny, podtrzymujące maszt, były już stare i wystrzępione. Zamac wiedział wcześniej o warsztacie i postanowił skorzystać z okazji. Kupowanie bezpośrednio wychodziło taniej, bo kupcy brali swoją prowizję. Okazało się jednak, że najgrubszych lin akurat brakuje, a Zamac nie chciał tracić czasu i czekać, aż zostaną zrobione. Dlatego właśnie Vargas został w Krall. Potem miał wynająć szybki skif i dołączyć do załogi.

Liny już leżały w łódce, starannie zwinięte. Vargas miał ochotę spędzić jeszcze jedną noc w mieście i nacieszyć się jego urokami, lecz teraz pomyślał, że powinien zawiadomić Zamacą

o drużynie młodych Skandian, którzy płyną za nimi i są już naprawdę niedaleko. Nie bał się, że strażę mogą go złapać. Mały skif nie rzucał się w oczy tak jak statek czy większa łódź. I łatwo było go wziąć za jedną z łodzi rybackich, które pływały nocą po rzece.

Miał jednak jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Rozpoznał Rikarda, wiedział, że pracował on na „Rai”. I domyślił się, że zdradził Skandianom, w którą stronę zmierza „Kruk”. Teraz Skandianie upewnili się, że Rikard mówił prawdę, i puścili go wolno. Rikard miał pecha, że Vargas zobaczył go tej nocy na nabrzeżu.

Vargas nienawidził zdrajców.

Rikard przystanął i obejrzał się z niepokojem przez ramię, jakby spodziewał się, że Skandianie mogą zawołać go z powrotem. Potem pospiesznie skręcił w ciemną uliczkę.

I zaraz się zatrzymał – bo drogę zagroził mu Vargas.

– Halo, przyjacielu – powiedział z uśmiechem. – Chyba się znamy. Czy ty przypadkiem nie byłeś na „Rai”, w załodze Nagya?

Rikard zawahał się. Alexander Nagy był kapitanem na „Rai”. Rikard pomyślał, że ten człowiek rzeczywiście wydaje mu się znajomy. I wydawał się nastawiony przyjaźnie. Może szczęście uśmiechnęło się do niego i trafił na dawnego towarzysza wypraw? Może ten człowiek pomógłby mu dostać się do Pragi?

– Zgadza się. Ale ja nie do końca cię kojarzę. Na jakim jesteś okręcie?

Vargas, wciąż z uśmiechem na twarzy, podszedł bliżej.

– Na „Kroku” – odparł. W oczach tamtego mignął strach: dowód jego zdrady. – Okręcie, który wydałeś wrogom.

Zrobił krok w przód, wsadził nóż pod żebra Rikarda, kierując ostrze w górę, i dźgnął go kilka razy, aż wreszcie sięgnął serca i zatrzymał jego bicie.

Rikard zadrżał i zatoczył się do tyłu, kiedy Vargas wyszarpnął ostrze z jego ciała. Przycisnął ręce do rany, z której buchała krew. Spojrzał na Vargasa, nie do końca pojmując, co się dzieje.

A potem padł martwy na brudny bruk.

Vargas upewnił się, że Rikard nie żyje, po czym odwrócił się i pobiegł ciemnymi alejkami w stronę rzeki, gdzie czekał jego skif.



– Zwińcie posłania i wszystkie pozostałe rzeczy – polecił Hal. – A potem do wiosł. Stig, przygotuj się do odwiązania cum.

Wszyscy zaczęli się krzątać. „Czapla” szykowała się do wypłynięcia w dalszą drogę. Słońce dopiero co wzniosło się nad wschodnim brzegiem rzeki i miasto kąpało się w bladym blasku. Rozległ się stukot wiosł, kiedy chłopcy podnieśli je z pokładu i umieścili w dulkach. Stig zszedł na molo. Był przypyływ i burta łodzi znajdowała się na tym samym poziomie co stare zniszczone deski, z których je zbudowano. Stig podszedł do cumy dziobowej i już miał ją odczepić, kiedy Hal uniósł rękę.

– Chwileczkę – powiedział. Zauważył, że w ich stronę spiesznym krokiem zmierza grupa mężczyzn. Przez chwilę miał ochotę zignorować ich i po prostu jak najszybciej opuścić port. Ale zaraz zrezygnował z tego pomysłu. Łódź strażników, krążąca u wyjścia z portu, i tak zaraz by ich dogoniła.

Kiedy mężczyźni byli już niedaleko, Thorn podszedł i stanął obok niego.

– Halo – powiedział cicho. – Co my tu mamy?

Grupa składała się z dziesięciu uzbrojonych mężczyzn – żołnierzy ze straży miejskiej,

sądząc po stroju – i jeszcze jednego, który wyglądał na ich przywódcę. Poza tym towarzyszył im urzędnik, z którym rozmawiali poprzedniego dnia. Najwyraźniej zmierzali w stronę „Czapli”, inne statki po drodze mijali obojętnie. I rzeczywiście, zatrzymali się obok nich. Oficer kiwnął głową w stronę Stiga.

– Zostaw cumy – rozkazał – i wracaj na pokład.

Stig zrobił wojowniczą minę. Hal wiedział, że nie ma sensu wdawać się w dyskusje.

– Zrób, co mówią – powiedział. Stig spojrział na niego, potem na oficera, potem zaś wzruszył ramionami i wszedł na pokład.

A oficer i urzędnik za nim. Hal uniósł brwi. To było złamanie etykiety, obowiązywało niepisane prawo, że należy zapytać o pozwolenie, zanim wejdzie się na pokład cudzego okrętu. Poczul niepokojący ucisk w głębi brzucha.

Thorn zrobił krok w przód.

– Jakiś problem?

Oficer wyprostował się jak struna. Był o kilka cali niższy od starego wilka morskiego. Zdążył jednak zauważyć, że nie ma on jednej ręki.

– Możliwe – odparł. – W jednej z bocznych uliczek znaleziono martwego mężczyznę. Dostał nożem w serce.

Thorn wysunął dolną wargę.

– Ale co my mamy z tym wspólnego?

Dowódca pogrzebał w sakiewce u pasa i wyciągnął z niej trzy limmatańskie złocisze.

– Miał je przy sobie – powiedział. – Popytaliśmy tu i tam, a ten człowiek – tu wskazał celnika – powiedział, że jesteście jedynymi ludźmi w mieście, którzy płacili mu w takiej walucie. A kiedy zobaczył ciało, rozpoznał ofiarę. Powiedział, że widział tego człowieka na pokładzie waszej łodzi, przykutego łańcuchem do masztu.

– I sądzicie, że to ja go zabiłem? – zapytał Thorn, a dowódca straży z przekonaniem kiwnął głową.

– Według mnie, tak to właśnie wygląda. I dopóki nie udowodnisz, że było inaczej, nigdzie nie popłyniecie.

ROZDZIAŁ 14



Niby dlaczego miałbym go zabić? – zapytał Thorn.

– Ja już nie mam z nim nic wspólnego. Zapłaciłem mu i puściłem wolno. Były z nim same kłopoty.

Oficer wzruszył ramionami.

– Na pewno znalazłby się powód. Wiemy, że nie żyliście w zgodzie. Armant – wskazał na pękatego urzędnika – powiedział, że przykułeś go łańcuchem do masztu. Podobno tłumaczyłeś, że ci pyskował i musiałeś dać mu nauczkę. Może potem znów się pobiliście. Sam powiedziałaś, że były z nim kłopoty. Więc poszedłeś za nim i go zabiłeś.

Thorn kiwnął głową z namysłem.

– W takim razie po co miałbym zostawiać mu limmatańskie monety? Czemu nie zabrałem ich ze sobą? Przecież to dowód przeciwko mnie, prawda? Jak stwierdził obecny tu urzędnik, nie są zbyt popularne w tej części świata.

Oficer przez chwilę zastanawiał się nad słowami Thorna, w końcu otworzył usta, by odpowiedzieć:

– No tak, ale kto inny jak nie ty miałby go zabić?

Thorn uniósł brwi.

– Może jakiś złodziej? A może zaraz powiesz, że w Krall, jako jedynym ze wszystkich portów, w których byłem, nie spotyka się tego rodzaju ludzi?

– W takim przypadku, jak wytłumaczyć obecność monet? Oryginalny złodziej, zabija człowieka i nie zabiera jego sakiewki.

Thorn wzruszył ramionami.

– Mógł zostawić je z tego samego powodu, dla którego ja bym ich nie zostawił. Są niespotykane. Zostaje popełnione morderstwo. Kilka dni później jakiś człowiek próbuje płacić limmatańskimi złociszami. Przecież w ten sposób od razu się demaskuje.

Dowódca przez chwilę rozważał jego słowa, zaciskając wargi w wąską krzywą linię. Musiał przyznać, że rozumowanie Skandianina było całkiem logiczne. Nie zamierzał jednak tego mówić.

– Cienko. Bardzo cienko. W tym momencie mam denata i człowieka, który sam przyznał, że między nim i denatem istniał konflikt. To znacznie bardziej konkretne dowody niż jakaś hipoteza o złodzieju, który zabija człowieka, ale nie bierze jego pieniędzy, bo taką walutę rzadko spotyka się w tej części świata. Bardziej prawdopodobne, że złodziej zabiłby go, zabrał sakiewkę, nie sprawdzając, co jest w środku, i uciekł. Później może i stwierdziłby, że limmatańskie monety mogą stanowić dowód rzeczowy i pozbyłby się ich. Ale tak po prostu zostawić sakiewkę? Nie sądzę.

Jesper zrobił krok do przodu.

– A znaleźliście przy nim perłę? – zapytał.

Dowódca zmarszczył brwi.

– Perłę? Jaką perłę?

– Rikard nosił na szyi perłę, zawieszoną na srebrnym łańcuszku. – Odwrócił się i spojrzał na Hala i Stiga. – Prawda? – zapytał. Zgodnie pokiwali głowami. – Była to dosyć duża rzeczna perła w różowawym odcieniu. Nawet chciałem ją od niego kupić, ale odmówił. Sam chętnie bym mu ją zabrał – wyznał.

Thorn w ostatniej chwili powstrzymał się, by nie potrząsnąć głową z dezaprobatą. Owszem, to było całkiem zmyślne kłamstwo. Tylko że Jesper, jak wiele osób wierzących, że potrafią przechytryć wszystkich dokoła, zrobił podstawowy błąd. Przesadził. Bardzo próbował zamieszać i stworzyć pozory prawdopodobieństwa swej historii, ale skierował podejrzenia na samego siebie.

Kapitan utkwiał w nim wzrok.

– I może właśnie to zrobiłeś – powiedział. – Poszedłeś za nim, wbijeś mu nóż w serce i zabrałeś perłę. – Zwrócił się do jednego z żołnierzy: – Czy denat miał na szyi perłę, kiedy go znaleźliście?

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie przypominam sobie. Jestem pewien, że gdyby miał, tobym zauważył. – Spojrzał na pozostałych strażników. Wszyscy niepewnie potrząsnęli głowami. Żaden z nich nie zauważył perły. Ale żaden też nie zamierzał przysięgać, że perły nie było.

– Ja jej nie wziąłem! – zaprotestował Jesper, zbyt późni uświadomiwszy sobie swą pomyłkę. – Przez całą noc byłem na pokładzie.

Dowódca przyglądał mu się przez chwilę. „Ta hipoteza jest znacznie lepsza”, pomyślał. Teraz miał prawdziwego podejrzanego, który sam przyznał, że chciał zdobyć perłę, którą denat nosił na szyi.

– Potrafisz to udowodnić? – zapytał.

Jesper popatrzył na swych towarzyszy, lekko spanikowany.

– Oni mogą to potwierdzić! – odparł, lecz dowódca zrobił sceptyczną minę i potrząsnął głową.

– To twoi przyjaciele, oczywiście, że będą cię osłaniać – powiedział. – Czy ktoś jeszcze może potwierdzić, że nie opuścili łodzi przez całą noc?

Jesper otworzył i zamknął usta kilka razy. Nikt nie przychodził mu do głowy.

– Owszem, jest taka osoba – powiedział spokojnie Hal.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na niego. Wskazał na wartownika, stojącego u wejścia na molo.

– Wartownik był tutaj przez całą noc. Widział, jak wracaliśmy na nabrzeże i jak Rikard szedł do miasta, kiedy Thorn puścił go wolno. Potem przyszedł nam powiedzieć, że nie możemy wypłynąć przed świtem. On może potwierdzić, że nikt z nas nie ruszył się z pokładu po odejściu Rikarda. Czy to wystarczy?

Dowódca straży wyszedł na molo i przywołał wartownika. Hal i Thorn wymienili wściekle spojrzenia. Wreszcie zdobyli konkretne informacje na temat Zavaca, wiedzieli, że ma nad nimi zaledwie dwa dni przewagi, a teraz ten durny urzędas marnował ich cenny czas. Hal bardzo się niecierpliwił z powodu opóźnienia, chciał jak najszybciej wyruszyć i dopaść Zavaca, nim ten dopłynie do Raguzy.

Wartownik ruszył w ich stronę. Na powitanie uderzył włócznią w deski molo, aż echo poszło.

– Czy ktoś opuszczał tę łódź ostatniej nocy? – zapytał go dowódca.

Mężczyzna bez namysłu potrząsnął głową.

– Nie! – odparł zdecydowanie.

Thorn rozłożył ręce, wnętrzem do góry.
– A nie mówiłem? Czy teraz możemy...
– W każdym razie nie w czasie, kiedy ja stałem na warcie – dodał mężczyzna, lekko przeproszającym tonem.
Thorn westchnął głośno.
Dowódca spojrział na niego, a potem znów zwrócił się do wartownika:
– Czyli kiedy?
– Zacząłem o czwartej rano, skończyłem o ósmej. W tych godzinach nikt nie opuścił łodzi. Za to gwarantuję.
– A kto pełnił wartę przed tobą? – zapytał Thorn z irytacją.
Wartownik spojrział na niego, a potem zwrócił się do dowódcy:
– Dellon. Miał wartę od północy do czwartej. Ja go zmieniłem. Anson miał zmienić mnie, ale coś się spóźnia – dodał z niezadowoleniem.
– Nic nas nie obchodzi, kto ma cię zmienić – powiedział cierpko Thorn. – Gdzie ten cały Dellon?
Wartownik wzruszył ramionami.
– Pewnie w domu. – Potem, przewidując kolejne pytanie, dodał: – Nie wiem, gdzie mieszka. Widujemy się tylko podczas służby.
– O, na Gorloga – mruknął Thorn.
Dowódca nie zareagował.
– A kto może wiedzieć? I kto może wiedzieć, kto pełnił wartę przed nim i znać adres tej osoby?
– Powinni wiedzieć w biurze. To oni wyznaczają kolejność wart.
Dowódca kiwnął głową w ramach podziękowania i zwrócił się do jednego ze swoich ludzi:
– Idź do biura i dowiedz się, gdzie mieszka ten Dellon. A potem go tu przyprowadź. – Wyciągnął palec w stronę innego mężczyzny. – Ty sprawdź, kto pełnił wartę przed nim, znajdź go i też przyprowadź.
Obaj żołnierze zaszalutowali, odwrócili się na pięcie i ruszyli powoli w stronę biura. Thorn nie wytrzymał i ryknął:
– I RUSZAĆ SIĘ!
Nie obejrzel się, by sprawdzić, kto wydał z siebie ten wrzask. Wystarczył im rozkazujący ton głosu. Przyspieszyli, a molo zatrzęsło się pod ich krokami.
Thorn spojrział na dowódcę.
– I co, teraz czekamy?
Dowódca sztywno kiwnął głową.
– Właśnie tak.
Thorn odwrócił się i spojrział na rzekę.
– Cudownie – stwierdził, krzywiąc się.
Minęło pół godziny, nim wrócił jeden z żołnierzy, przyprowadzając ze sobą wartownika, który pełnił służbę między ósmą o dwunastą w nocy. Owszem, widział, jak Thorn, Hal i Stig wrócili z miasta, widział też, jak Rikard zszedł z pokładu. Potwierdził, że w czasie jego warty nikt nie opuścił łodzi.
– No i proszę! – warknął gniewnie Thorn. – Czego jeszcze chcesz? Rikard opuścił nas o dziewiątej. Ten człowiek był tutaj przez kolejne trzy godziny, potwierdził, że nikt z nas nie poszedł za Rikardem. Przeciwnie, widział, że zbieramy się do wypłynięcia z portu. – Spojrział na wartownika, który przytaknął.

– Zgadza się. Powiedziałem im, że nie mogą wypłynąć przed świtem.

– W takim tempie – zauważył Thorn – będziemy mieć szczęście, jeśli wyruszymy przed zapadnięciem zmroku! Naprawdę mam już tego dosyć. Zamierzam za chwilę wypłynąć i koniec.

Dowódca dał znak jednemu ze swoich ludzi, który wystąpił naprzód, trzymając włócznie w gotowości pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

– Mam tu oddział uzbrojonych ludzi, gotowych was powstrzymać – powiedział dowódca.
– Chyba o tym zapomniałeś.

– A ty chyba zapomniałeś, że jesteśmy Skandianami, a nie jakimiś tchórzliwymi piratami czy szczurami lądowymi. Gdybyśmy naprawdę chcieli odpłynąć, tobyśmy to zrobili.

I nim ktokolwiek zdążył zareagować, zrobił krok w stronę strażników, lewą ręką błyskawicznym ruchem chwycił włócznie pośrodku, kierując kciuk w dół, po czym przekręcił ją o sto osiemdziesiąt stopni i pociągnął w swoją stronę – a wszystko to stało się bardzo szybko. Żołnierz, zaskoczony, poczuł, że broń wyslizguje mu się z ręki. A sekundę później Thorn przysunął ostry jak nóż grot do szyi kapitana, trzymając włócznie w jednym ręku, jakby ważyła nie więcej od niewielkiego noża.

Pozostali żołnierze błyskawicznie sięgnęli po broń, ale zamarli, widząc kapitana w niebezpieczeństwie. Członkowie załogi „Czapli” zerwali się na równie nogi, jak na rozkaz. Rozległ się zwielokrotniony dźwięk stali, ocierającej się o skórę, kiedy wyciągnęli saksy z pochw.

Przez chwilę zdawało się, że zaraz rozpęta się awantura. Potem jednak Thorn prychnął z pogardą i rzucił włócznie na deski molo, wciąż patrząc kapitanowi prosto w oczy.

– Tak właśnie bym zrobił, gdybym naprawdę chciał odpłynąć – powiedział. – Podziękuj swej pomyślnej gwiazdzie, że jestem cierpliwym człowiekiem. Ale ostrzegam, moja cierpliwość się kończy.

Na szczęście w tym momencie wrócił drugi z żołnierzy, prowadząc Dellona. Ten potwierdził, że nikt nie opuszczał pokładu „Czapli” podczas jego warty. Dowódca z wielką niechęcią zwrócił się do Thorna:

– Świetnie. Wygląda na to, że chyba mówicie prawdę – zaczął, ale Thorn podniósł rękę i wtrącił:

– *Wygląda na to, że chyba mówimy prawdę?* Przed chwilą ledwo uszedłeś z życiem i zawdzięczasz to tylko mojej pobłażliwości. Jesteś pewien, że chcesz narażać się na takie ryzyko, obrażając mnie?

Dowódca spojrzał w zimne oczy Thorna. Przypomniawszy sobie, co poczuł, kiedy ostry grot włóczni dotknął jego szyi i jak błyskawiczne były ruchy Thorna. Uświadomił sobie, że to nie jest żaden bezbronny jednoręki kaleka, lecz niebezpieczny człowiek. Nerwowo przełknął ślinę.

– Przepraszam – powiedział zduszonym głosem. – Tak, mówicie prawdę. Jesteście wolni.

– Najwyższy czas – odparł Thorn z wyraźnym obrzydzeniem. Dał znak Halowi. – Wyprowadź „Czapkę” z portu!

– Stig! Odcumuj łódź! Reszta do wiosła!

Stig zeskoczył lekko na molo, odwiązał cumę dziobową, następnie rufową i rzucił je na deski pokładu. Potem przyłożył dłonie do tylnej stewy, odepchnął łódź i skoczył z powrotem na pokład. Chłopcy, siedzący po lewej stronie, dodatkowo odepchnęli łódź wiosłami, a potem na polecenie Hala wszyscy, ci po lewej i ci po prawej stronie, zaczęli wiosłować i „Czapka” pomknęła przed siebie.

Kiedy już znaleźli się w odpowiedniej odległości od molo, wiosłarze po lewej zaczęli wiosłować do przodu, a ci po prawej do tyłu i w ten sposób zrobili zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

– Obie naprzód – rozkazał Hal i wyprowadził „Czapłę” z portu. Thorn zerknął na wskaźnik wiatru – długi proporczyk znajdował się w pozycji poziomej.

– Postawmy żagle, jak najszybciej – powiedział do Hala. – Już i tak straciliśmy mnóstwo czasu przez te bzdury.



ROZDZIAŁ 15



Zavac właśnie spędzał miło czas w tawernie w Bayrath, dużym mieście na południe od Krall. Tam znalazł go Vargas.

Teraz, żeglując po spokojnych wodach Danu i wiedząc, że już za kilka dni znajdzie się w Raguzie, Zavac czuł się tak, jakby ktoś zdjął z jego ramion wielki ciężar. Przez tych kilka tygodni nie dotarły do nich żadne wieści o ścigającej ich skandyjskiej łodzi i Zavac uwierzył, że zdołał uciec. Przypuszczał, że kiedy wpłynął na wody Danu i skierował się w stronę Raguzy, oni nie popłynęli jego śladem. Oczywiście, Skandianie zwykli żeglować po morzach i zapewne pomysł, by pływać po wąskiej – stosunkowo – rzecze, musiał wydać im się nienaturalny. Przypuszczalnie nadal błakali się teraz po wodach Morza Białych Sztormów tą swoją śmieszoną łódeczką, w każdym porcie szukając informacji na temat „Kruka”.

I za każdym razem odpływając z niczym.

Dał znak właścicielowi tawerny, że życzy sobie jeszcze jeden dzban brandy i odchylił się na krześle, wzdychając z zadowoleniem.

Usłyszał, że ktoś otwiera drzwi, do środka wpadł przeciąg. Zavac podniósł wzrok. To był Vargas, rozglądał się, najwyraźniej go szukał. Zavac uniósł wysoko rękę.

– Tutaj! – zawołał i Vargas zaczął przeciskać się przez zatłoczoną tawernę.

– W samą porę. Napij się.

Nalał mocnego trunku do dodatkowej szklaneczki, stojącej na stole. Vargas kiwnął głową w podzięcie, wychylił drinka i otarł usta wierzchem dłoni.

– Złe wieści – oznajmił.

Uśmiech znikł z twarzy Zavaca.

– Co się stało? Nie dostałeś lin, które zamówiłem? Obedrę tego partacza ze skóry.

Przysięgał na trzech bogów, że będą gotowe na czas!

Vargas potrząsnął głową i machnął ręką.

– Nie, nie – powiedział. – Wszystko w porządku, liny leżą w skifie, ludzie już zaczęli ładować je na „Kruka”.

Zavac zmarszczył brwi.

– W takim razie o co chodzi?

– O skandyjską łódź.

– A co z nią? – warknął Zavac. – Ta łódź jest jak jakaś zmora, przekleństwo. Nie mów, że znów ją widziałeś.

– Owszem, widziałem. Mają tylko parę dni opóźnienia w stosunku do nas. Chociaż teraz może trochę więcej.

– Co? – wściekł się Zavac. – Jak to możliwe, że tak szybko nas dogonili?

Vargas wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

– Nieważne jak. Faktem jest, że płyną za nami. Trochę namieszałem im w szykach, więc pewnie zostaną dłużej w Krall, ale wcześniej czy później popłyną dalej.

– Jak oni nas znaleźli?! – pieklił się Zavac. – Skąd wiedzieli, że płyniemy rzeką? – Wyrzucił z siebie wiązaną przekleństw i z wściekłością walnął pięścią w stół. Właściciel tawerny uniósł głowę. Czuł, że szykują się kłopoty. Sięgnął pod bar i upewnił się, że ciężka nabijana łąkami pałka leży pod ręką.

Vargas odczekał, aż Zavacowi minie atak wściekłości i powiedział spokojnie:

– Zostaliśmy zdradzeni. Widziałem z nimi Rikarda.

Zavac zmrużył oczy, próbując sobie przypomnieć, kim jest ten człowiek.

– Rikard? Kto to, na Siniego Demona, jest Rikard?

– Imię brzmiało jakoś znajomo.

Vargas znów upił brandy. Wiedział, że w takich sytuacjach lepiej się nie spieszyć. Zavac miał nieprzewidywalny temperament, co często prowadziło do różnych nieszczęsnych skutków.

– Pływał na „Rai” – wyjaśnił po chwili. – Był pierwszym oficerem.

Tak, teraz Zavac sobie przypominał.

– Zgadza się – powiedział łagodnie. A potem znów zmarszczył brwi. – Ale czy przypadkiem nie wyłapali ich wszystkich Skandianie, kiedy spaliliśmy okręt?

– Tak sądziliśmy. Ale jakimś sposobem zdołał uciec. I jakimś sposobem trafił na pokład skandyjskiej łodzi. Był z nimi, kiedy przyплыnęli do Krall. Przykuli go do masztu. Moim zdaniem, oszczędzili go w zamian za informacje na nasz temat.

– A my – powiedział Zavac z namysłem, owijając sobie na palcu jeden z długich loków, okalających jego twarz – umówiliśmy się z Nagyem i jego ludźmi w Raguzie.

– Tak więc wiedział, że popłyniemy rzeką – dokończył Vargas, a Zavac powoli pokiwał głową. Spojrzał na niego spod opuszczonych powiek.

– Skąd wiesz o tym wszystkim? – zapytał podejrzliwie. Inaczej nie byłby sobą.

Vargas nie poczuł się urażony. Znał swego kapitana od wielu lat i wiedział, że ludzie, którzy nie są podejrzliwi, długo w tym biznesie nie przetrwają.

– Zobaczyłem Skandian w jednej z tawern – odparł. – Tego wielkiego z protezą...

Zavac znów zaklął.

– Myślałem, że to jakiś nieszkodliwy pijaczek! Zawsze krążył po nabrzeżu w Hallasholm, kiedy tam byliśmy. Pamiętasz?

Vargas przytaknął.

– Prawdopodobnie szpiegował nas dla tego bufona, którego nazywają oberjarlem – stwierdził. – Ale to żaden pijaczek i na pewno nie jest nieszkodliwy. Było z nim jeszcze dwóch. Taki wysoki blondyn i niższy, ten pół-Aralueńczyk.

Zavac i jego ludzie udawali, że „Kruk” potrzebuje naprawy i przedłużali swój pobyt w Hallasholm – przez ten czas starali się zebrać jak najwięcej informacji o dwóch drużynach, które miały konkurować ze sobą w ostatnich zawodach. Już wcześniej zaplanowali, że skradną Andomal, bezcenną bursztynową kulę, tej nocy, kiedy młodzi zwycięzcy będą pełnić przy nim straż.

Zavac zawsze wierzył, że warto poznać wroga – bądź też potencjalną ofiarę.

– Tego trzeba mieć na oku – powiedział, kiedy Vargas wspomniał o Halu. – Jest przebiegły jak szczur.

Vargas wykrzywił usta w pogardliwym uśmiechu.

– Nie tak znowu bardzo – odparł. – W końcu zostawił swoich towarzyszy śpiących i poszedł sobie, kiedy mieli pilnować skarbu.

– Może. Ale szybko się uczy. Sam widziałeś, co zrobił w Limmat. A potem, kiedy staranowaliśmy tamten wilczy okręt, mało nas nie dopadł. I pewnie by dopadł, tylko że zawrócił z pomocą.

Vargas nadal nie był przekonany.

– No to miał szczęście – stwierdził, lecz Zovac potrząsnął głową.

– Nie lekceważ ich, Vargasie. To byłby poważny błąd. A więc jak się o nas dowiedzieli?

– Cóż, najwyraźniej Rikard powiedział im, że płyniemy Danem, ale oni prawdopodobnie mu nie ufali. Kiedy widziałem ich w tawernie, pytali ludzi, czy ktoś może widział „Kruka”. Jeden pijany dureń powiedział, że tak, widział, jak przepływaliśmy. Ściśle rzecz biorąc, darł się na całą knajpę. Zaraz potem wyszli, a ja poszedłem za nimi do portu.

Zovac zaklął cicho.

– Głupi staruch. Wszyscy, mieszkający nad tą rzeką wiedzą, że nie udziela się informacji obcym. Chętnie bym go dorwał.

– Za późno. – Vargas uśmiechnął się ponuro. – Ja już to zrobiłem. Wychodząc, poczęstowałem go nożem i ułożyłem go na stole, wyglądał, jakby zasnął.

– Świetnie! – stwierdził Zovac ze złośliwą satysfakcją. – A co stało się potem?

– Poszedłem za nimi do portu i patrzyłem, jak uwalniają Rikarda. Wcześniej przykuli go do masztu. Jednoręki dał mu trochę pieniędzy i puścił wolno. Poczekalem, aż Rikard wejdzie w jakąś boczną uliczkę i dopadłem go. – Urwał dla dramatycznego efektu. – I zapewniam cię, że więcej nikogo nie zdradzi. Potem odplłynąłem po kryjomu i przybyłem tutaj, żeby ci o wszystkim powiedzieć.

– A więc są najwyżej dzień lub dwa stąd.

– Raczej trochę więcej. Nie mogli wypłynąć przed wschodem słońca. Zresztą, przypuszczam, że potem też mieli pewne opóźnienie. – Na widok pytającej miny Zavaca wyjaśnił: – Zostawiłem Rikarda na ulicy, by od razu znaleziono jego ciało. Władze wiedziały, że przyplłynął razem ze Skandianami. Poza tym został przy nim dowód rzeczowy. Trzy limmatańskie monety, które dali mu na pożegnanie. Zostawiłem je w sakiewce. Przypuszczam, że nikt inny w tym czasie nie płacił taką monetą.

– I władze zabiorą ich na przesłuchanie – powiedział Zovac powoli.

Vargas kiwnął głową.

– To niemal pewne. Choćby po to, by dostać łapówkę. Tak więc trochę zyskaliśmy na czasie. Pomyślałem jednak, że może dałoby się zatrzymać ich na trochę dłużej w Bayrath. W końcu gatmeister jest twoim przyjacielem, prawda?

Gatmeister był to tytuł człowieka, rządzącego miastem, odpowiednik burmistrza.

– On przyjaźni się z każdym, kto ma odpowiednio wypchaną sakiewkę – odparł Zovac cynicznie. – Na szczęście moja jest wypchana.

– I żaden okręt nie przepłynie tędy bez jego zgody – dodał Vargas.

To było sedno sprawy. Bayrath zostało zbudowane w przewężeniu rzeki, w najwęższym miejscu mierzyła ona zaledwie dwieście metrów. Dodatkowo członkowie rady miejskiej kazali po obu stronach zbudować moło i zamknąć rzekę zaporą z trzech masywnych bali.

Każdy okręt, który chciał popłynąć dalej, musiał wpłacić sporą sumę do kasy miejskiej – lub raczej, ściśle rzecz ujmując, do kasy gatmeistera.



Doutro, gatmeister miasta Bayrath, spojrział na stos złotych monet, leżący na stole. Mężczyzna wyglądał imponująco, był wysoki i dobrze zbudowany, miał orli nos, wystające kości policzkowe i ciemnobrązowe głęboko osadzone oczy. Włosy lekko siwiały na skroniach, co nadawało mu dystyngowany wygląd. Wrażenie wzmacniał strój, wykończona złotą taśmą purpurowa opończa i cienka złota opaska na głowie.

– Więc powiadasz, że chciałbyś, aby ten statek został dłużej w naszym mieście? – zapytał niezobowiązująco.

Zavac przytaknął.

– Tak, łódź i cała załoga. Jest ich dziewięciu. Stary jednoręki Skandianin i ośmiu chłopców.

– A na jak długo mam ich zatrzymać?

Zavac starannie odliczył jeszcze pięć złotych monet i dołożył je do stosu na stole, jedną po drugiej, z wielkim namaszczeniem.

– Najlepiej na stałe – odpowiedział.

Gatmeister zacisnął wargi. Jeszcze jedna moneta dołączyła do poprzednich dziesięciu.

– Oczywiście, potrzebny mi jakiś pretekst, żeby ich aresztować – powiedział.

– Zabili Rikarda – odparł Zavac, po czym gwoli wyjaśnienia dodał: – Pierwszego oficera na „Rai”, okręcie Nagya.

Gatmeister znał prawie wszystkich piratów, bywających w Raguzie i pływających po Danie. Piratów i miasto od dawna łączył korzystny dla obu stron układ. Piraci płacili gatmeisterowi myto za każdym razem, gdy chcieli, by otworzył im zaporę – czyli dość często. W zamian dostawali znaczną zniżkę. Obie grupy, piraci i członkowie rady miejskiej, czerpali z tego interesu spore zyski. A kiedy jakiś kapitan potrzebował pomocy, tak jak teraz Zavac, gatmeister zawsze był gotów rozważyć jego prośbę.

Za odpowiednią opłatą.

Tym razem widocznie wynosiła ona jedenaście złotych monet. Doutro powoli pokiwał głową. Zupełnie go nie interesowało, czy Skandianie rzeczywiście zabili Rikarda. Co więcej, było mu całkowicie obojętne, czy Rikard żyje czy nie. Tyle że jego śmierć dawała mu idealny pretekst do zatrzymania załogi „Czapli”.

– W takim razie mogę aresztować ich pod zarzutem morderstwa. Potem przesłucham ich, uznam winnymi i powieszę.

Zavac skinął głową.

– Możesz też skonfiskować ich łódź i wszystkie należące do nich rzeczy.

Przez chwilę Doutro nic nie mówił. Potem wyciągnął rękę i podzielił stosik pieniędzy na trzy mniejsze. Otworzył szufladę po swojej stronie stołu i wrzucił monety do środka. Zabrzęczały w przyjemny dla ucha sposób.

– Nie widzę problemu – powiedział.



ROZDZIAŁ 16



„Czapla” minęła zakręt. Wiatr wiał prosto w jej lewą burtę.

– Przed nami miasto! – zawołał Stefan ze swego miejsca na dziobie. Niepotrzebnie. Nie dałoby się nie zauważyć zabudowań, wznoszących się na lewym brzegu.

Nim opuścili Krall, Hal kupił mapę. Była dość schematyczna i niezbyt bogata w szczegóły, ale lepsza niż nic.

– To musi być Bayrath – powiedział. – Mapa pokazuje, że leży w przewężeniu rzeki. Poluzujcie żagiel, żebyśmy mogli rzucić okiem! – zawołał do bliźniaków.

Wykonali polecenie. Dzięki temu wiatr popychał „Czapłę” z mniejszą siłą i łódź zwolniła. Głośny szum fali dziobowej zmienił się w ciche pomrukiwanie.

– A co to, tam pod wodą? – zapytała Lydia, wskazując na wąski przesmyk między dwoma molami, wybiegającymi z obu brzegów na środek rzeki. Pod powierzchnią widniała jakaś ciemna linia. Hal potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

– Nie wiem – odparł. – Mapa nic na ten temat nie mówi.

– To zaporą – powiedział cicho Thorn. U krańca każdego moła stała zacumowana łódź, zamiast masztu pośrodku pokładu wznosił się żuraw. Kiedy podpłynęli bliżej, dostrzegli ciężkie liny, biegnące ukośnie od żurawi i niknące pod powierzchnią wody. – Za pomocą tych lin otwiera się i zamyka zaporę.

– Ale po co mieliby ją zamykać? – spytał Stig.

Thorn spojrział na niego.

– Żeby ludzie płacili im za to, że ją podniosą. To się nazywa myto – wyjaśnił cierpliwie.

Stig potrząsnął głową z niesmakiem.

– To oburzające! – stwierdził. – Wydaje im się, że cała rzeka jest ich własnością? Nie mają prawa zatrzymać ruchu.

– Nie twierdzą, że cała – odparł Thorn. – Tylko ta część. Reszta jest za darmo.

– Opuśćcie żagiel – polecił cicho Hal. Po chwili wytracili prędkość i łódź zaczęła dryfować, kołysząc się delikatnie. Drobne fale uderzały o kadłub, wydając zwykle plum-plum-plum.

Zapora znajdowała się tuż za portem. Podczas gdy Hal przyglądał się jej uważnie, Stig głośno wyrażał swe oburzenie na ludzi, mieszkających w nadrzecznych miastach.

– To zwykle pasożyty! Nic tylko wyciągają łapy i wyłudniają pieniądze od uczciwych podróżnych. Najpierw Krall, teraz to. Ktoś powinien przypląć tu kilkoma wilczymi okrętami i puścić ich z dymem.

Thorn uśmiechnął się szeroko.

– Mówisz jak prawdziwy wilk morski, Stigu. Może jeszcze będą z ciebie ludzie.

– Może za kilka lat sam się tym zajmę – zapowiedział groźnie Stig.

Hal, który przyglądał się uważnie mołu po stronie miasta, wreszcie zobaczył to, czego szukał – drewniany budynek, oznaczony symbolem koła, przeciętego dwiema kreskami. Obok

znajdowały się miejsca, przeznaczone do cumowania.

– Chyba widzę biuro – powiedział. – Wyciągnijcie wiosła, podplyniemy i zapłacimy, nieważne, ile zażądamy.

Zaczęli wiosłować, a Hal łagodnym łukiem skierował „Czapkę” w stronę molo. Kiedy uznał, że nadszedł odpowiedni moment, kazał załodze zaprzestać wiosłowania i pociągnął ster, ustawiając łódź prawie równolegle do drewnianego pomostu. Stig, który już czekał na nadburciu, zeskoczył na drewniany pomost. Jesper i Stefan wyrzucili wiklinowe odbijacze, by łódź nie otarła się o deski.

– No to powtórka z rozrywki – powiedział Thorn. – To już się robi nudne.

Tym razem jednak sprawy przybrały zupełnie inny przebieg. Zdążył postawić jedną nogę na molo, a drugą nadal dotykał nadburcia, gdy ze środka biura i zza budynku wychyła się grupa uzbrojonych mężczyzn. Prędko utworzyli półkole i otoczyli Stiga i Thorna. Pozostali członkowie drużyny nadal znajdowali się na pokładzie.

Thorn szybko ocenił sytuację, a jego lewa ręka spoczęła na rękojeści saksy. I zaraz się cofnęła. Mężczyzn było co najmniej dwudziestu, w dodatku byli w pełnym rynsztunku, mieli tarcze, hełmy i kolczugi, a sześciu z nich trzymało w dłoniach potężne łuki z naciągniętymi do połowy cięciwami. Nie miałoby szansy w starciu z nimi.

Jeden z mężczyzn, oficer, sądząc po jakości zbroi, zobaczywszy, że Thorn zabrał rękę z rękojeści noża, wystąpił naprzód.

– Dobrze rozumiesz, Nordyku – powiedział. – Wolałbym jednak, byście wszyscy pozbyli się tych noży.

Tu wskazał czubkiem miecza na sakwę, wiszącą u pasa Thorna. Thorn, widząc, że nie ma wyjścia, rozpiął pas lewą ręką, owinął go dokoła pochwy z nożem i rzucił na pokład. Kątem oka zobaczył, że Stig mierzy wzrokiem odległość, dzielącą go od najbliższego żołnierza. Jego dłoń błędziła koło rękojeści saksy. Thorn nie był pewien, czy dowódca to zauważył czy nie. Ale co najmniej dwóch łuczników zauważyło z pewnością.

– Zapomnij, Stig – powiedział cicho. Stig spojrział na niego prędko i stwierdził, że Thorn ma rację. Rozluźnił mięśnie, napięte ramiona lekko opadły. Potem za przykładem Thorna odpiął pas i rzucił go na pokład.

– Teraz reszta – rozkazał dowódca, wyciągając miecz w kierunku członków załogi, przyczajonych czujnie na pokładzie. Wszyscy spojrzeli na Hala, który wzruszył ramionami i kiwnął głową.

– Zróbcie, co mówią – powiedział. Rozległa się seria głuchych uderzeń, kiedy ciężkie noże spadły na pokład. Nie czekając, aż ktoś mu tego zabroni, Edvin zebrał saksy i włożył je do schowka obok ławek dla wiosłarzy.

– Zostaw – powiedział oficer. Za późno. Potem wzruszył ramionami. – Nieważne. Zejdźcie na molo. Pojedynczo.

– Pewnie nie ma sensu pytać, o co chodzi? – powiedział Thorn.

Dowódca uniósł brwi.

– Ależ dlaczego? Aresztuję was. Jesteście oskarżeni o morderstwo.

– Morderstwo? – powtórzył Hal, tracąc panowanie nad sobą. – Niby kogo miałibyśmy zamordować? Dopiero co zdążyliśmy przypluć!

Dowódca zmierzył go obojętnym wzrokiem.

– Widocznie jesteście bardzo niebezpieczni, skoro działacie tak szybko. Dostałem rozkaz, by zaprowadzić was do gatmeistera na przesłuchanie.

– To jakiś absurd! – odparł Hal. Thorn położył rękę na jego ramieniu.

– Nie trać niepotrzebnie energii. Coś mi się wydaje, że stoi za tym Zamac. – Mówiąc te

słowa, popatrzył bacznie na oficera i zauważył mimowolny ruch oczu, które na sekundę spoczęły na nim, a potem odwróciły się. To potwierdziło jego przypuszczenia.

– Kapitanie! – zawołał jeden z żołnierzy. Dowódca spojrział w jego stronę. Żołnierz trzymał Lydię za ramię. – Jest z nimi jakaś dziewczyna!

Ingvar zamruczał gniewnie.

– Nie odzywaj się – powiedział Hal półgłosem.

Ingvar posłuchał niechętnie. Dowódca wpatrywał się w kartkę papieru, którą wyjął zza pazuchy. Jak Hal się domyślał, nakaz aresztowania. Dowódca zmarszczył brwi.

– Nie ma tu nic o dziewczynie – powiedział. – Mam aresztować jednorękiego Skandianina i ośmiu chłopców.

– Ja nie jestem z nimi, kapitanie – powiedziała Lydia pospiesznie. Wystąpiła naprzód, składając dłonie błagalnym gestem. – Widzisz chyba, że nie pochodzę ze Skandii!

Kapitan przyjrzał się dziewczynie, a potem pozostałym członkom drużyny. Wszyscy mieli jasną skórę i niebieskie oczy. Dziewczyna zaś wyróżniała się ciemnymi włosami i oliwkową skórą. Zdecydowanie nie wyglądała na Skandiankę.

– Zdradziecka krowa! – mruknął Jesper, po czym jęknął z bólu, gdy Stig wsadził mu łokieć pod żebro.

– Zamknij się, debilu! – syknął Stig.

– Jestem zwykłą pasażerką! Zapłaciłam za przejazd. – Lydia splótła dłonie błagalnym gestem. – Pochodzę z Krall. Moi rodzice nie żyją, teraz mam zamieszkać u mojego wuja w Raguzie. – Spojrzała na Thornę i dodała gniewnie: – A oni mnie wykorzystali. Musiałam zapłacić podwójną stawkę!

„Nieźle”, pomyślał Thorn. Potem warknął w jej stronę:

– Ciekawe, że wcale nie próbowałaś negocjować. Błagałaś, żebyśmy cię zabrali! Już sama nie wiedziałaś, jak dziękować. Założę się, że wpłatałaś się w jakąś awanturę i musiałaś uciekać z Krall. Mówiłem chłopakom, że nic dobrego z tego nie będzie, ale ty ich przekonałaś tymi wielkimi brązowymi oczami!

– Milczeć – rzucił kapitan z roztargnieniem. Znów spojrział na nakaz aresztowania. Nie, nie było tam nic o żadnej dziewczynie. A jej historia brzmiała prawdopodobnie. Wiedział, że Skandianie ścigali jakiś okręt, zmierzający w stronę Raguzy. Podjął decyzję.

– Dobrze – powiedział. – Pójdiesz z nami. Niech gatmeister zdecyduje, co z tobą zrobić. Pozostali, stanąć dwójkami.

Czuple ustawiły się w podwójny szereg, a żołnierze otoczyli ich, trzymając broń w gotowości. Lydia, nie czekając, aż kapitan zdecyduje inaczej, stanęła obok niego, dając subtelnie do zrozumienia, że nie ma nic wspólnego z aresztowanymi.

– Sierżancie – zawołał kapitan. Nim sierżant wydał rozkaz, Thorn zwrócił się do kapitana:

– Jedna rzecz. Tak z czystej ciekawości. Kogo to niby zamordowaliśmy?

Kapitan spojrział na niego z wyższością, jakby chciał podkreślić swą pogardę dla Skandian w ogóle, a tego jednorękiego obszarpańca w szczególności.

– Pewnego Madziara – odparł wyniośle. – Był to uczciwy pracowity człowiek.

Thorn prychnął z rozbawieniem.

– Taki się jeszcze w Madziarii nie urodził – odparł. – Ta kraina to gniazdo piratów i złodziei. A czy ów niedościgły wzór cnót ma jakieś imię? Uważam, że byłoby uczciwie, gdybyś aresztując mnie, przynajmniej powiedział, kogo zabiłem.

Kapitan znów wsunął dłoń do kieszeni i wyjął nakaz aresztowania. Spojrział na kartkę, złożył ją i schował.

– Miał na imię Rikard – odparł.

Wiadomość tę członkowie drużyny Czapli powitali chóralnym jękiem. Dowódca uniósł brwi i spojrzał na nich.

– Zdaje się, że o nim słyszeliście... – powiedział.

– Owszem, słyszeliśmy – przyznał Thorn. – Niesamowite, ile kłopotów może sprawić jeden nieboszczyk.



ROZDZIAŁ 17



Doutro spojrział na aresztowanych, którzy weszli do jego gabinetu i ustawili się w rzędzie na wprost wielkiego stołu, służącego mu za biurko. Był bardzo ostrożnym człowiekiem i kazał związać im ręce, zanim wprowadzono ich do środka.

Okazali się zaskakująco młodzi, za wyjątkiem jednego, którego uznał za przywódcę. Jego włosy, broda i wąsy były siwe, długie i w nieładzie, ubranie zaś obszarpane i połatane. Pozostali członkowie drużyny nosili proste stroje ludzi morza, skórzane bądź futrzane kubraki, wełniane bluzy i spodnie, buty z foczego futra. Czterech z nich, jak zauważył z pewnym zdumieniem, miało również robione na drutach czapki, całkiem zmyślne i praktyczne.

Odczekał z minutę, nic nie mówiąc, tylko przyglądając im się bacznie po kolei. Zwykle metoda ta bardzo skutecznie skłaniała więźniów do mówienia. Zaczynali jąkać się, tłumaczyć i protestować, często przy okazji zdradzając fakty, które woleliby raczej zachować w tajemnicy. Na tych jednak najwyraźniej to nie podziało. Stali w milczeniu, przypatrując mu się, a jeden, ogromny chłopak, rozglądał się dokoła, mrużąc oczy, jakby niedowidział.

– Co macie do powiedzenia na swoją obronę?

Pytanie to skierował do starszego mężczyzny, zakładając, że to on będzie reprezentował całą grupę. Skandianin wzruszył ramionami, skrzywił się i odpowiedział:

– Prócz stwierdzenia, że to jakiś stek bzdur? Właściwie nic.

Doutro uniósł brwi.

– Jesteście oskarżeni o morderstwo, a ty nazywasz to stekiem bzdur? Ja bym powiedział raczej, że to dość poważna sprawa.

– Przesłuchano nas w Krall i oczyszczono z podejrzeń o zabicie Rikarda – odparł Thorn. Kiedy wspomniał imię Madziara, Doutro znów uniósł brwi, udając zaskoczenie.

– A więc przyznajesz, że znasz imię ofiary? Podejrzane.

– Niby czemu? – zapytał Thorn. Cień uśmiechu błąkał się w kąciку jego ust. – To twój kapitan zdradził nam jego imię.

Doutro rzucił kapitanowi wściekle spojrzenie, a ten oblał się czerwienią.

– To prawda. Ale oni już wcześniej je znali. To było oczywiste.

– Owszem – wtrącił Thorn. – Podróżował z nami. Nie kryliśmy tego faktu. Ale w Krall udał się w swoją stronę.

Władze stwierdziły, że nie mamy nic wspólnego z jego śmiercią.

Doutro spojrział na jakieś papiery na stole, przełożył je, wyjął którąś kartkę na wierzch i udawał, że ją czyta. W rzeczywistości był to raport, dotyczący konieczności naprawy liny przy zaporze, ale aresztowani nie mogli przecież o tym wiedzieć.

– Tak twierdzisz – powiedział miękko. – Najwyraźniej jednak pojawiły się nowe dowody. Bardzo obciążające. Muszę was zatrzymać. Czeka was proces.

– A co to za nowy dowód? – zapytał Hal. Doutro spojrział na niego z zaskoczeniem. Nie spodziewał się, że któryś z młodzieńców się odezwie. Pomyślał, że ten wygląda na pewnego

siebie, emanował autorytetem.

– Dowiedcie się podczas procesu – oznajmił.

Młodzieniec przybrał ironiczny wyraz twarzy.

– Coś mi się wydaje, że ten nowy dowód zjawiał się razem z łapówką od Zavaca – powiedział. Bacznie wpatrywał się w oczy gatmeistera, ten jednak nie zareagował na dźwięk imienia Zavaca. Nie okazał też jednak zdziwienia ani zaciekawienia. Hal pomyślał, że to bardzo znamienne.

– Sugerujesz, że w Bayrath sprawiedliwość można kupić i sprzedać? – zapytał Doutro.

Tym razem odpowiedział starszy mężczyzna:

– Założmy, że tak jest. Chętnie skorzystamy z okazji i kupimy trochę. Damy dwa razy tyle, co Zavac.

Doutro przez chwilę miał taką minę, jakby zamierzał ulec pokusie.

– A skąd wiesz, ile on dał? – zainteresował się.

Chłopak odparował:

– A więc zapłacił ci, żebyś nas aresztował?

Doutro nie potrafił zapanować nad wściekłą miną. Niechcący wpadł w pułapkę.

Najwyraźniej zlekceważył tych obszarpańców z Północy, potraktował ich jak jakichś naiwnych dzikusów, niezdolnych do wyrafinowanych gier i podstępów. Gniewnie wyciągnął palec w stronę Hala.

– Nie odzywaj się niepytany!

Hal uśmiechnął się lekko.

– To jak z naszą propozycją? – podjął Thorn. – Zapłacimy za naszą wolność.

Ale Doutro już podjął decyzję. Ci Skandianie byli sprytniejsi, niż przypuszczał. Uznał, że najlepiej będzie ich się pozbyć. Możliwe, że zapłaciliby mu sporą łapówkę, ale to byłby jednorazowy zarobek. Zavaca z pewnością nie nazwałby swoim przyjacielem, ale regularnie bywał on w Raguzie i stanowił źródło stałego dochodu.

– Zapłacicie za swoją zbrodnię – stwierdził zimno. – Proces odbędzie się pierwszego dnia następnego tygodnia.

Już miał ich odesłać, lecz kapitan podniósł rękę. Doutro spojrzał na niego. Spotkanie ze Skandianami bardzo popsuło mu humor.

– Co jest? – warknął.

– Była z nimi dziewczyna. Co mamy z nią zrobić? – Już wcześniej wspominał mu o Lydii.

Doutro zabębnił palcami o blat. Zupełnie o niej zapomniał. Machnął ręką.

– Wprowadź ją. Zobaczymy, co nam powie.

Kapitan podszedł do drzwi, otworzył je i dał znak Ly – dii, by weszła do gabinetu.

Niepewnie podeszła do biurka, zerkając lęklivo na Thorną i chłopców.

– Jak się nazywasz, dziewczyno? – zapytał Doutro.

– Lydia Demark – odparła cicho, drżącym ze zdenerwowania głosem. – Nie mam nic wspólnego z tymi ludźmi. Zapłaciłam za miejsce na ich łodzi, to wszystko.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie – wtrącił Thorn wzdorliwie – ta dziewczyna to podstępna złodziejka i oszustka. Bardzo jej się spieszyło, żeby zniknąć z Krall. Zapłaciła nam podwójnie, żebyśmy tylko ją stamtąd zabrali.

– Kazaliście mi zapłacić podwójnie! – odparła Lydia gniewnie. – Wiedzieliście, że nie mam wyjścia! – Urwała, jakby pożałowała, że wymknęły się jej te słowa. „Interesujące”, pomyślał Doutro. Bez wątplenia miała coś za uszami. „Może da się to jakoś wykorzystać”.

– Widziałaś tego mężczyznę, Rikarda, który został zamordowany, na pokładzie ich łodzi?

– zapytał.

Oderwała wzrok od Thorny i odparła, znów przybierając łagodny i uległy ton głosu:

– Tak, panie. Ten tutaj... – wskazała na Thorny, rzucając mu wzgardliwe spojrzenie – ...klócił się z nim przez cały czas. Słyszałam, jak groził, że...

– To kłamstwo! – przerwał jej Jesper, czerwony z wściekłości. Ingvar, który stał obok niego, wsadził mu łokieć pod żebra, by go uciszyć. Doutro zachęcająco kiwnęła głową do dziewczyny, która spjrzała na Jespera. Z jej oczu wyzierał lęk.

– Byłabyś gotowa powtórzyć to w sądzie? – zapytał Doutro aksamitnym głosem. Lubił dotrzymywać procedur i stwarzać pozory, że sprawiedliwości stało się zadość. Pokazowe procesy, takie jak ten, były doskonałą okazją, by przekonać innych ludzi do płacenia, w razie gdyby znaleźli się w podobnej sytuacji.

Dziewczyna kilka razy kiwnęła głową.

– Tak, panie. Powiem wszystko, co zechcesz – odparła cicho.

Thorn prychnął z pogardą.

– To tak czynisz sprawiedliwość?

Doutro rzucił mu wściekle spojrzenie.

– Przymknij się – rzucił. Potem znów spjrzał na dziewczynę. Była młoda i może nawet atrakcyjna – gdyby odpowiednio ją przysposobić. Najważniejsze, że łagodna i uległa. Mógłby zrobić z niej służącą albo sprzedać komuś jako niewolnicę.

Wskazał kciukiem na drzwi.

– Wyprowadź ich – rozkazał.

– Dziewczynę też? – spytał niepewnie kapitan. – Mam ją wsadzić razem z nimi?

– Oczywiście, że nie, durniu! – Doutro zastanawiał się, czemu otaczają go sami idioci. – Jeśli zamkniesz ich w jednej celi, pewnie ją zabiją! – Urwał i zamyślił się. – Zabierz ją do mojego domu i umieść w izolatce. I postaw strażnika pod drzwiami.

Kapitan i trzech jego podwładnych wyprowadziło aresztantów z gabinetu. Thorn przystanął w drzwiach, odwrócił się i powiedział do Doutro:

– Tak się zastanawiam. Mówiłeś, że istnieje nowy dowód w sprawie śmierci Rikarda. Tylko że my opuściliśmy Krall od razu, kiedy tylko oczyszczono nas z zarzutów. Żaden statek nie mijał nas po drodze do Raguzy. Jak w takim razie wiadomość z Krall dotarła tutaj przed naszym przybyciem?

Doutro i Thorn przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem gatmeister spuścił wzrok na leżące na biurku papiery.

– Wyprowadzić – rozkazał.



Zaprowadzono ich do celi. Znajdowała się ona w tym samym budynku co biuro gatmeistera, pod ziemią. Trochę światła i powietrza wpadało przez jedno małe zakratowane okienko umieszczone na wysokości dwóch metrów od podłogi. Stig podciągnął się i wyjrzał. Okienko znajdowało się tuż nad ziemią, wychodziło na ciemną uliczkę. Podłogę i ściany celi zbudowano z twardego kamienia, w regularnych odstępach umieszczono w ścianach metalowe klamry, służące do przykuwania więźniów. W tym momencie żadna nie była w użyciu. Pod ścianami leżały kupki brudnej słomy, zapewne spełniające rolę posłań. Miejscami woda przeciekała przez szpary w kamieniu i spływała na podłogę. Powietrze było wilgotne i zataęchłe. Drzwi zrobiono z żelaznej kraty, którą tworzyły grube pręty, pionowe i poziome. Widać było przez nie korytarz, słabo oświetlony jedyną pochodnią.

– Uroczę mieszkanie – powiedział Hal, kiedy krata zatrzasnęła się za ich plecami. Kapitan dał znak strażnikowi, by zamknął celę. Skrzypnął ciężki zamek, zagrzecotał klucz. Potem żołnierze i strażnik odeszli. Ich buty zadudniły na kamiennej podłodze.

– Gdybym wiedział, że będę miał towarzystwo, tobym posprzątał – usłyszeli głos, dochodzący z rogu celi.

Wszyscy odwrócili się, zaskoczeni. Spodziewali się, że będą w celi sami. Mężczyzna podniósł się i wyszedł z cienia. Był szczupły, mógł mieć około trzydziestki. Jego ubranie wyglądało na kosztowne, mimo że zdążyło pokryć się więziennym brudem i zawilgnąć. Twarz miał raczej mało charakterystyczną, ciemne włosy i cienki wąs, kiedyś zapewne starannie układany na wosk – teraz zwisał bezkształtnie.

– Jestem Pedr – powiedział, a oni przedstawili się po kolei. Potem podjął: – Za co was wsadzili?

– Oskarżono nas o morderstwo – odparł Hal. Pedr cofnął się, wyciągając przed siebie ręce w przychylenie paniki. – Nie zrobiliśmy tego – dodał Hal.

Pedr uniósł brew.

– Oczywiście. Wszyscy więźniowie są niewinni. Za wyjątkiem mnie.

– A co ty zrobiłeś? – zapytał Ingvar.

Pedr popatrzył na niego i stwierdził:

– Rany, ale olbrzym z ciebie. Ja oszukiwałem w kości. Nie mam zamiaru zaprzeczać ani twierdzić, że jestem niewinny.

– Dlaczego?

– Ponieważ moją ofiarą był nie kto inny, jak Doutro we własnej osobie – wyjaśnił i westchnął ciężko. – Tak więc tkwię tu i czekam, aż moja żona znajdzie pieniądze na kaucję. Lub raczej łapówkę.

– Cóż, my nie mamy tak dobrze – powiedział Hal. – Nasz proces odbędzie się pierwszego dnia przyszłego tygodnia. I zdaje się, że już uznano nas winnymi.

– Musimy po prostu jakoś się stąd wydostać – powiedział Thorn. – Mam nadzieję, że Lydia coś wymyśli.

– Lydia? – powtórzył Jesper gniewnie. – Niby czemu mielibyśmy na nią liczyć? Sam słyszałeś, że się nas wyparła. To wstrętna zdrajczyni, zrobi wszystko, żeby uratować własną skórę.

Nagle zauważył, że wszyscy patrzą na niego. Powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy, na których malował się wyraz potępienia.

– Co? – zapytał wojowniczo.

Odpowiedział Ingvar.

– Nic nie rozumiesz, prawda? Lydia jest na zewnątrz. Nie została zamknięta tutaj razem z nami. Jej plan się powiódł.

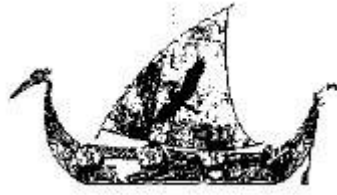
Na twarzy Jespera pojawił się wyraz nagłego olśnienia. Zarumienił się z zażenowania, bo zdał sobie sprawę, że wszyscy prócz niego od początku rozumieli, co zamierza Lydia.

– O... – powiedział. – Chyba masz rację.

Hal obejrzał dokładnie podłogę, znalazł suche miejsce, rzucił na nie wiązkę słomy i usiadł, obejmując kolana rękami, z zamyśloną twarzą.

– Nawet jeśli nas stąd uwolni – powiedział – nadal będziemy mieć spory problem. Mianowicie: jak pokonać zaporę? Kiedy wypływaliśmy z Krall, obejrzałem dokładnie mapę. Nie ma innej drogi na południe.

– To nie do końca prawda – wtrącił Pedr. – Jest jeszcze Dzikie Bystrze.



ROZDZIAŁ 18



Rezydencja Doutro znajdowała się w odległości kilku przecznic od biura. Była to imponująca trzypiętrowa budowla, wzniesiona na niewielkim wzgórzu, z widokiem na rzekę, i podobnie jak inne budynki dookoła, świeżo odmalowana i dobrze utrzymana.

– Ekskluzywnie – mruknęła Lydia do siebie, idąc za kapitanem szeroką brukowaną ulicą. Zdecydowanie była to dzielnica, w której mieszkały wyższe warstwy, znacznie różniąca się od nędznych, zatłoczonych i wąskich uliczek, które mijali po drodze do biura Doutro.

Kapitan, by zapobiec wszelkim próbom ucieczki, związał jej dłonie z przodu, a do pęt przywiązał dwumetrowy rzemień, który mocno ścisnął w rękę, prowadząc Lydię w stronę oślepiająco białego budynku. Zauważyła, że drzwi i framugi okien pomalowano farbą w żywym chabrowym kolorze. Wyglądało to bardzo ładnie.

Kapitan minął szerokie schody, wiodące do głównego wejścia i skierował się do znacznie skromniejszych i mniej ozdobnych bocznych drzwi. Zapukał mocno. Po chwili w progu stanął wielki łysy mężczyzna, ubrany w sięgającą ziemi opończę z szarej wełny. Przyjrzał się kapitanowi, a potem Lydii, z wyraźnym niesmakiem.

– O co chodzi? – zapytał.

– Doutro nas przysłał – odparł kapitan. Widać było, że tych dwóch za sobą nie przepada.

– Macie zamknąć ją w pokoju i postawić strażnika pod drzwiami. Każ służącej, niech da jej wodę do mycia i czyste ubranie. – Ponieważ tamten zmarszczył gniewnie brwi, dodał stanowczo: – To rozkaz gatmeistera.

Łysy zawahał się, po czym niechętnie kiwnął głową. Nawet jeśli nie był zachwycony, że kapitan mu rozkazuje, nie mógł ryzykować i przeciwstawiać się poleceniom gatmeistera.

– Dawaj ją tutaj – powiedział, wyciągając rękę po rzemień, na którym kapitan prowadził Lydię. Kapitan jednak nie podał mu go, tylko rozwiązał pęta, krępujące nadgarstki Lydii, zwinął rzemień i schował go za pazuchę. Pchnął Lydię w stronę łysego, a ten chwycił jej ramię w żelazny uścisk. Pociągnął Lydię za sobą do środka i bez słowa zatrzasnął drzwi.

Lydia rozejrzała się dokoła. Znajdowali się w kuchni – obszernym niskim pomieszczeniu. Na jednym jego krańcu królowało wielkie palenisko, środkiem biegł długi drewniany stół do pracy. Nad nim wisiły w rzędach garnki i rondle, zniszczone od długiego używania i starannie wyszorowane. W odległym kącie pomieszczenia pracowały trzy kobiety w fartuchach i kucharskich czapkach. Wszystkie przerwały pracę i spojrzały na nowo przybyłą. Łysy odwrócił się w ich stronę, nadal wściekły na kapitana z powodu jego wyniosłego zachowania.

– Wracajcie do pracy! – warknął. – To nie powinno was interesować, więc przestańcie się gapić i do roboty!

– Nie ty wydajesz tu rozkazy, Milo! – odparowała najstarsza z kobiet. – To moja kuchnia!

Łysy zrobił krok w jej stronę. Wyglądał bardzo groźnie.

– Trzymaj jęzor za zębami, Dana! Jestem majordomusem i jeśli poskarżę się panu na ciebie, czeka cię chłosta!

Milo, pochłonięty kłótnią, chwilowo nie zwracał uwagi na Lydię. Zauważyła niewielki nóż, leżący nieopodal na stole. Prędko chwyciła go i wsunęła w rękaw.

Dana zaśmiała się wzgardliwie.

– Nasz pan z pewnością nie skaże mnie na chłostę! Za bardzo kocha swój strudel jabłkowy. Tylko ja potrafię zrobić ciasto tak lekkie i kruche, by spełniło jego wymagania!

Milo rzucił jej spojrzenie spode łba. Wiedział, że Dana ma rację. Odwrócił się z wściekłością, znów chwycił Lydię za ramię i pociągnął za sobą przez kuchnię. Znaleźli się w obszernym holu. Sądząc po skromnym wyposażeniu i rodzaju umeblowania, nadal byli w części domu, przeznaczonej dla służby. Na końcu holu znajdowały się wąskie schody, prowadzące na piętro. Milo przystanął, wciąż nie wypuszczając ramienia Lydii z bolesnego uścisku, i wrzasnął:

– Erlic! Gdzie jesteś? Rusz się i chodź tutaj!

– Już idę, Milo! – odpowiedział piskliwy głos. Potem otworzyły się boczne drzwi, przez które wszedł młody mężczyzna, w wieku około dwudziestu lat. Miał na sobie proste ubranie, poplamione i wyblakłe. Był chudy, miał zaciętą podejrzliwą twarz, pokrytą czerwoną wysypką, którą zaczął drapać.

– Zostaw głowę w spokoju! – krzyknął Milo. Młodzieniec opuścił rękę, która drgała konwulsyjnie. Widać miał wielką ochotę znowu się podrapać.

– Zabierz ją na trzecie piętro, do izolatki. I trzymaj straż pod drzwiami.

Erlic odwrócił się bokiem i cofnął nieznacznie, jakby bał się Milo i planował czmychnąć.

– Ale ja muszę wyczyścić buty pana – zaprotestował.

– W takim razie zaprowadź dziewczynę na górę, zamknij ją i wróć po buty. Możesz wyczyścić je, stojąc na straży.

Erlic kiwnął głową kilka razy, unikając wściekłego spojrzenia Milo.

– Tak. Tak właśnie zrobię – mruknął pod nosem.

– NO TO ZRÓB! – zagrział Milo, a Erlic odskoczył do tyłu. Zebrał się jakoś w sobie i uklonił się przełożonemu.

– Tak, Milo. Chodź, idziemy! – rzucił Erlic do Lydii. Wyciągnął rękę i już chciał chwycić ją za ramię, ale odepchnęła go. Wzruszył ramionami i dał znak, by szła za nim. Kiedy już byli na schodach, dobiegł ją głos Milo:

– Wszystkie drzwi i okna w tym domu są zamknięte. A klucze mam ja. Tak więc nie próbuj uciekać. Będiesz mogła wyjść, kiedy ci pozwolę. Zrozumiano?

Kiwnęła głową, próbując przybrać postawę zastraszonej więźniarki.

– Tak jest – odparła potulnie.

Potem, gdy Milo wykonał władczy gest ręką, odwróciła się i zaczęła wspinać się za Erlikiem po schodach. Schody między drugim a trzecim piętrem były znacznie węższe niż te na dole, sufit na trzecim piętrze zaś znacznie niższy. Lydia domyśliła się, że tu znajdują się pokoje służby. Erlic poprowadził ją kolejnym wąskim korytarzem do tylnej części budynku. Po obu stronach ciągnęły się w regularnych odstępach solidne drewniane drzwi. Lydia wyciągnęła rękę i nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się do środka. W szparze mignął skromnie umeblowany pokój. Erlic odwrócił się, kiedy klamka skrzypnęła.

– Co ty wyprawiasz? – pisnął. Lydia wzruszyła ramionami od niechcenia.

– Tylko patrzę – odparła, zamykając drzwi.

Potrząsnął głową.

– To nie patrz! – ostrzegł. A potem puścił ją przed sobą, by mieć na nią oko, popychając, żeby szybciej się ruszała. Zatrzymał się na końcu korytarza. Byli na tyłach domu. Znajdowały się tam tylko jedne drzwi, zamykane na prosty rygiel. Klucza nie było widać.

Erlic podniósł rygiel i kiedy drzwi się otworzyły, wepchnął Lydię brutalnie do środka, po czym je zatrzasnął. W przeciwieństwie do drzwi, które wypróbowała po drodze, te otwierały się na zewnątrz. Odwróciła się, wściekła z powodu tak prostackiego traktowania i zobaczyła, czemu w drzwiach nie ma klucza ani zamka. W środku nie było klamki – tak więc osoba, znajdująca się w pokoju nie mogła podnieść rygla.

Rozejrzała się po pokoju. Był mały – trzy metry na trzy. Pod jedną ścianą stało drewniane łóżko, przykryte siennikiem i wytartym brązowym pledem, obok mały sosnowy stolik, na nim zaś wyszczerbiony kubek, proste krzesło – i to wszystko. Żadnej szafy, nawet wieszaka za zasłonką. Tylko gołe ściany.

Było jeszcze niewielkie okno. Lydia podeszła do niego i przyjrzała mu się uważnie. Okno miało wielkość około metra kwadratowego. Było podzielone na dwie połówki, każda z nich otwierała się na zewnątrz. Małe szybki tkwiły w ciężkich ramach, zrobionych z twardego drewna i tworzących wystarczająco skuteczne kraty. Okno było zamknięte od zewnątrz prostą poziomą belką, umieszczoną na metalowych wspornikach. Lydia pomyślała, że musi istnieć jakiś sposób, by podnosić belkę od wewnątrz. Zauważyła otwór, wywiercony w górnej części framugi. Zapewne kiedyś biegł przezeń sznurek, obwiązany dokoła rygla. Usunięto go, gdy zamontowano belkę na stałe. Teraz okna, podobnie jak drzwi, nie dało się otworzyć od środka.

Lydia podeszła do łóżka, podniosła róg materaca i wsunęła nóż pod spód. Zaraz potem usłyszała, że ktoś otwiera drzwi. Prędko odskoczyła od łóżka i odwróciła się. To była jedna z kobiet, które pracowały w kuchni. W tle majaczył Erlic, nerwowo obserwując drzwi. Lydia pomyślała, że gdyby tylko zdołała wydostać się na korytarz, bez trudu by się z nim rozprawiła.

Kobieta postawiła na podłodze duże wiadro z wodą i rzuciła na łóżko jakieś ubrania.

– Milo powiedział, że masz się umyć – oznajmiła.

– I włożyć tę sukienkę.

Wyszła równie nagle, jak się zjawiła. Lydia podeszła do wiadra. Było pełne wody. Gorącej wody, o czym świadczyły unoszące się nad nim kłęby pary. Zawiniątko, leżące na łóżku, składało się z szarej wełnianej sukienki, starej i połataniej, lecz czystej, myjki i kawałka mydła, zawiniętego w ręcznik.

– Czemu nie, mogę się umyć – mruknęła. Zaczęła się rozbierać, ale nagle coś jej przyszło do głowy. Podniosła krzesło i przyjrzała mu się. Nogi na wysokości jakichś dwudziestu centymetrów od siedzenia były połączone cienkimi poprzecznymi prętami, umocowanymi za pomocą czopów. Miały one na celu zapewniać krzesłu stabilność. Położyła rękę w miejscu złączenia, wyłamała pręt i tak uzbrojona, podeszła do drzwi.

Kiedyś również w środku musiała znajdować się klamka. Nadal widać było otwór. Lydia pochyliła się i zbliżyła doń oko. Patrząc pod kątem, widziała koniec rygla. Wsunęła drewniany pręt w otwór po klamce i skierowała go ukośnie w wąską przestrzeń między rygłem a drzwiami, aż pręt zablokował rygiel. Teraz nikt nie mógłby niespodziewanie otworzyć drzwi. Lydia rozebrała się i umyła z przyjemnością w ciepłej wodzie.

Chłapała niedbale, rozlewając wodę na gołe deski podłogi. Już prawie skończyła, gdy nagle usłyszała chrobot rygla. Poruszył się i zaraz zatrzymał. Uśmiechnęła się do siebie, patrząc na sosnowy pręt, sterczący z otworu w drzwiach. Pręt ruszał się w górę i w dół, gdy Erlic bezskutecznie próbował unieść rygiel. Dopiero po chwili zauważył jego koniec, wystający z otworu po zewnętrznej stronie. Lydia usłyszała piskliwy urażony głos.

– Co ty zrobiłaś? Złamałaś zamek!

Włożyła własne ubranie – w razie ucieczki długa suknia tylko by jej przeszkadzała – i podeszła do drzwi.

– Odsuń się od drzwi, z boku – zawołała. – Jak będziesz mnie śledził, gały wydrapię.

Usłyszała kroki – odszedł od drzwi. Potem skrzypnęło krzesło, gdy usiadł na nim, mruczając coś do siebie. A potem rozległ się kolejny dźwięk, który Lydia zidentyfikowała jako szuranie szczotki o skórę. Erlic czyścił buty gatmeistera. Lydia uśmiechnęła się złowieszczo, chwyciła pręt i wysunęła z otworu w drzwiach. Pomyślała, że jeszcze może jej się przydać.

Podeszła do łóżka. Nie było poduszki, więc zwinęła sukienkę, by podłożyć ją sobie pod głowę. Wyciągnęła się na twardym szorstkim materacu. Światło, wpadające przez pozbawione zasłon okno, podpowiadało jej, że jest późne popołudnie bądź wczesny wieczór. Pomyślała, że nie ma sensu uciekać, kiedy jest jeszcze jasno. Zaczeka, aż zrobi się ciemno. W którymś momencie pewnie przyniosą jej coś do jedzenia. A jak już sobie pójdą, spróbuje się stąd wydostać. Miała już dwa pomysły.

A do tej chwili równie dobrze mogła odpocząć i nabrać sił.



ROZDZIAŁ 19



Dziki Bystrze? – powtórzył Hal za Pedrem. – Co to takiego?

Pozostali członkowie drużyny podeszli bliżej, zaciekawieni. Pedr uśmiechnął się ponuro.

– Nikt nie wybrałby tej drogi – powiedział. – O ile miałby wybór.

Hal machnął ręką, zniecierpliwiony tym dramatycznym efekciarstwem. Pedr najwyraźniej był człowiekiem, który uwielbiał słuchać własnego głosu. Takie typy nigdy nie potrafią odpowiedzieć w prosty sposób na proste pytanie.

– Załóżmy, że nie mamy wyboru – oświadczył. I nagle uświadomił sobie, że chyba rzeczywiście nie mają.

Pedr powiódł wzrokiem po twarzach Skandian, by upewnić się, że go słuchają.

– To wąski kanał, odnoga rzeki, jakieś cztery kilometry na północ stąd. Mijaliście go po drodze.

Hal wzruszył ramionami.

– Nie przypominam sobie niczego szczególnego – powiedział. – Widzieliśmy kilka wąskich odnóg. Myślałem, że to martwe koryta, nie są zaznaczone na mapie.

– Dziki Bystrze też można nazwać martwym korytem – odparł Pedr z krzywym uśmiechem. – A kto odważy się nim popłynąć, najpewniej sam będzie martwy.

– Mógłbyś skończyć z tą aktorską emfazą i dać nam krótką jasną odpowiedź?

Pedr zrobił krok w tył i uniósł brwi.

– Cóż, jeśli zamierzacie nadal traktować mnie w tak niegrzeczny sposób, może zachowam te informacje dla siebie – powiedział, unosząc kąciki ust w wyniosłym uśmiechu. Hal domyślał się, że Pedr uwielbia znajdować się w centrum zainteresowania. I zamierzał odpowiedzieć na ich pytania wtedy, kiedy mu się to spodoba.

Tak przynajmniej było do chwili, gdy Ingvar pochylił się i chwycił go za nadgarstek.

– Uważam, że to bardzo zły pomysł – powiedział cicho i zaczął wykręcać rękę Pedra.

Ten, poczuwszy porażającą siłę uścisku, zbladł gwałtownie. Ściśnięte kości zaczęły ocierać się o siebie. Ból stał się nie do wytrzymania. Pedr otworzył usta, chwytając powietrze, sięgnął wolną ręką do nadgarstka i bezskutecznie próbował rozewrzeć palce Ingvara.

– Tak – wystękał. – Zły pomysł. Zgadzam się. Proszę... puść mnie...

Ingvar przytrzymał jego spojrzenie przez kilka sekund, a potem gwałtownie rozluźnił uścisk. Pedr poleciał do tyłu. Przez cały czas nieświadomie pochylał się w stronę Ingvara, instynktownie próbując ulżyć bólowi.

– To teraz opowiedz nam o tym bystrzu – polecił Hal.

Pedr potarł nadgarstek i rzucił Ingvarowi mściwe spojrzenie. Uznał jednak, że lepiej odpowiedzieć na pytanie po prostu, bez zbędnych ozdobników.

– Jak już wspominałem, jest to wąski kanał, liczący około czterech kilometrów.

W miejscu, gdzie odbija od rzeki, stoi mała rybacka chata. Jeśli wiecie, czego szukać, na pewno bez trudu to znajdziecie.

– Ale co znajdziemy? – zapytał Stig.

Pedr zerknął na niego, potem na Hala, który, jak zauważył, przeważnie mówił w imieniu całej grupy.

– No więc kiedy rzeka mija Bayrath, skręca na wschód i wije się licznymi zakrętami na odcinku prawie dziesięciu kilometrów. – Na widok zniecierpliwionego wzroku Hala dodał pospiesznie: – To potrzebna informacja, przysięgam, powinniście to wiedzieć.

Hal kiwnął głową i Pedr podjął:

– Jak zapewne wiecie, znajdujemy się na wyżynie. Rzeka dzieli się na dwie odnogi – północną i południową. Północna, ta którą płynęliście, wpada do Morza Białych Sztormów. Druga odnoga, Dan Południowy, skręca w stronę Raguzy. Okrąża miasto i płynie dalej. Na przestrzeni kolejnych dziesięciu kilometrów teren obniża się o jakieś pięćdziesiąt metrów. Teren, przez który płynie bystrze, o którym mówię, również opada o pięćdziesiąt metrów, tyle że w tym przypadku woda spływa wąskim wąwozem, długim na jakieś trzysta metrów.

– A więc to właściwie wodospad – stwierdził Hal.

Pedr zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Nie do końca. Koryto stanowi ciąg progów rzecznych. Ale ponieważ teren gwałtownie się obniża, wąwóz zaś jest naprawdę wąski, woda płynie z ogromną prędkością.

– A więc to rzeczywiście bystrze – stwierdził Hal, a Pedr przytaknął. – Ale czy da się je przepłynąć? Większą łodzią czy niedużym okrętem?

Pedr wzruszył ramionami.

– Powiadają, że niektórzy tego dokonali. Ale ja nigdy nie spotkałem takiej osoby. Z tego, co słyszałem, byłoby trudno przeprowadzić tamtędy większą jednostkę. Nieduża łódź pewnie ma szansę.

– „Czapla” nie jest duża – zauważył Edvin.

Ulf potrząsnął głową.

– Ale nie jest to też mała łódka.

Wulf nie wytrzymał.

– Edvin nie powiedział, że nie jest mała. Powiedział, że.

– Zamknij się – przerwał mu Hal. Wulf natychmiast posłuchał. – Co się dzieje dalej z tym bystrzem?

Pedr kilka razy kiwnął głową, dając do zrozumienia, że to dobre pytanie.

– Właśnie o to chodzi. Kiedy już skończą się progi, bystrze płynie dalej dość spokojnie na odcinku jakichś dwóch kilometrów. Potem Dan znów skręca i bystrze wpada do niego.

– A więc znajdziemy się z powrotem na rzece. W dodatku, wybierając tę drogę, zaoszczędzimy na czasie, bo nie będziemy musieli pokonywać szeregu zakrętów, ciągnących się na przestrzeni ośmiu kilometrów – powiedział Hal z namysłem. Pedr spojrział na niego jak na szaleńca i potrząsnął głową.

– Najprawdopodobniej zostałyby z was garstka drzazg – stwierdził. – Wasz okręt rozbiłby się na skałach, a wy potonęlibyście i tyle.

– Jesteś żeglarzem? – zapytał nagle Hal.

Pedr, zaskoczony, odparł po chwili wahania:

– Nie.

– I nigdy nie widziałeś tego miejsca?

– No, właściwie nie całkiem. Ale.

– Po prostu odpowiedz na pytanie. Czy widziałeś Dzikie Bystrze?

– Skoro ujmiesz to w ten sposób, to nie.

– Tak, ujmuję to w ten sposób. Właściwie wszystko, co możesz powiedzieć na ten temat,

to że istnieje taka odnoga rzeki i że może być tam bardzo niebezpiecznie.

Pedr nic nie powiedział. Było to dość brutalne podsumowanie. Hal popatrzył po twarzach towarzyszy. Wszystkie były skupione. Ale żadna nie zdradzała strachu.

– A tak naprawdę – dodał – czy mamy jakiś wybór?

Thorn przyglądał im się uważnie, nic jednak nie powiedział. To oni musieli podjąć decyzję, nie zamierzał niczego sugerować. Przywódcą był Hal, jemu mieli udzielić odpowiedzi.

A zrobił to Stig.

– Nie. Nie mamy.

Pozostali zamruczeli zgodnie. Edvin dodał rozsądnie:

– Możemy przynajmniej sprawdzić, jak to wygląda.

– I tak zrobimy – powiedział Hal.

Ulf podniósł rękę.

– Yyy... a nie zapomnieliście o czymś? Przede wszystkim musimy się stąd wydostać.

Wulf rzucił bratu wzgardliwe spojrzenie.

– Chyba nie sądzisz, że Hal nie zdążył do tej pory niczego wymyślić?

Ulf wzruszył ramionami i zwrócił się do Hala:

– To jak się stąd wydostaniemy? – zapytał. Hal rozłożył ręce bezradnym gestem i uśmiechnął się krzywo.

– Naprawdę nie mam pojęcia – powiedział. – Ale mam nadzieję, że Lydia na coś wpadnie.

Rozległy się kroki w korytarzu. Wszyscy odwrócili się w stronę wejścia. Na ciemnym tle ukazała się sylwetka dozorca, a za nią zamajaczyły postaci kilku uzbrojonych strażników.

– Zostać na miejscach! – rozkazał. Zachrobotał klucz w zamku, krata otworzyła się i na więźniów, siedzących pod ścianą, padła struga przytłumionego światła. Dozorca odszukał wzrokiem Hala i wskazał na niego.

– Ty! Wstawaj! Gatmeister chce z tobą porozmawiać.

Hal zaczął się podnosić. Ingvar położył rękę na jego ramieniu.

– Nie idź – powiedział z niepokojem w głosie. Hal uśmiechnął się i wstał.

– Spokojnie, Ingvarze. Rozmowa nie boli.

Nie miał pojęcia, jak bardzo się pomylił.



Doutro spojrział na Hala, którego wprowadzono do gabinetu. Tak jak poprzednio, siedział za swoim wielkim biurkiem, na którym leżały rozrzucone papiery. Wyciągnął rękę, dając Halowi znak, by podszedł. Hal stanął we wskazanym miejscu i czekał, bo nie było krzesła, na którym mógłby usiąść. Wyczuł obecność innych osób, odwrócił się i zobaczył, że pod ścianą, plecami do niej, stoją dwaj żołnierze. Zdjęli helmy i zbroje, teraz strój każdego z nich składał się z pikowanej lnianej podkoszulki z krótkim rękawem, grubych płóciennych spodni, ściśniętych pasem, przy którym wisiał miecz, oraz wojskowych butów ze skórzanymi podeszwami, wiązanych długimi rzemieniami wokół łydek.

– Patrz na mnie – powiedział zimno Doutro.

Hal odwrócił się. Gatmeister wpatrywał się w niego z namysłem. Nawet powieka mu nie drgnęła.

– Zastanawiałem się nad waszą propozycją – powiedział. – Stwierdzam, że może być dla mnie korzystna.

– Jaką propozycją? – zapytał Hal, zdezorientowany.

– Twój przyjaciel zasugerował, że możecie zapłacić więcej niż ten. Zovac, o którym wspominaliście.

Hal uśmiechnął się, ale uśmiech ten pozbawiony był radości.

– Po co udajesz, że nie znasz Zavaca? – spytał. – W tym momencie to niczemu nie służy.

– No dobrze. Powiedzmy, że go znam. I powiedzmy, że oferujecie mi dwa razy więcej pieniędzy, niż on. Mógłbym puścić was wolno.

Hal przyglądał mu się przez chwilę. Twarz Doutro niczego nie zdradzała. Głos był spokojny i obojętny.

– Powiedzmy, że wystąpilibyśmy z taką propozycją – powiedział Hal ostrożnie. – Co wtedy?

– Musiałbym zobaczyć dowód na to, że dysponujecie odpowiednią sumą – odparł Doutro rzeczowo i odwrócił wzrok, jakby stracił zainteresowanie tematem rozmowy. Jak pomyślał Hal, stanowczo zbyt rzeczowo. I zbyt obojętnie. Nagle uświadomił sobie, do czego zmierza Doutro.

– Przeszukaliście moją łódź – powiedział. Doutro znów spojrzał na niego. Nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Hal jednak już wiedział, że jego podejrzenia były słuszne. Doutro wcale nie chciał wyciągnąć od nich łapówki. Nie musiał. Byli jego więźniami, mógł odebrać im wszystko. Tylko że najpierw musiał to znaleźć. Rozkazał więc swoim ludziom przeszukać „Czapkę”. Wrócili jednak z pustymi rękami.

Nic dziwnego. Wszystkie wartościowe przedmioty: płócienny worek Thorna, pełen monet i biżuterii, kilka osobistych rzeczy, należących do członków drużyny i niewielka paczuszka, którą powierzyła mu Lydia, kiedy opuścili Limmat, leżały w specjalnie zaprojektowanej skrytce na śródpokładzie. Ten, kto nie wiedział o skrytce, z pewnością by jej nie znalazł. Wyjmowany panel był idealnie dopasowany i składał się z kilku deseczek o różnej długości, nie tworzył regularnego kształtu, który z łatwością rzucałby się w oczy.

Hal wiedział, że najczęściej takie skrytki znajdują się w dość oczywistych miejscach – na dziobie bądź na rufie, przeważnie pośrodku. Dlatego właśnie wybrał takie nietypowe miejsce – mniej więcej w jednej trzeciej długości łodzi, patrząc od rufy, przesunięte nieco w lewo. Nie było w tym żadnej logiki ani symetrii. Żeby je znaleźć, złodziej musiałby zerwać cały pokład. Kolejne słowa Doutro potwierdziły jego przypuszczenia.

– Gdzie wasze pieniądze? – spytał zimno.

Hal uśmiechnął się.

– Tam, gdzie ich nigdy nie znajdziesz.

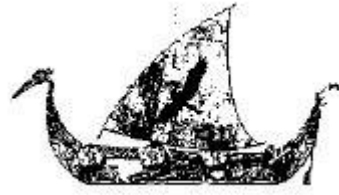
Kiedy usłyszał prędkie kroki za swoimi plecami, było za późno. Żołnierz chwycił go za ramiona, unieruchomił je i pociągnął Hala do tyłu, aż ten stracił równowagę. Drugi żołnierz ruszył na niego z przodu, z uniesionymi rękami, zaciśniętymi w pięści.

– Zmuscie go do mówienia – polecił Doutro.

Hal próbował zrobić unik przed pierwszym ciosem, ale ten z tyłu mocno go trzymał. Wielka pięść odbiła się od jego policzka. Jęknął z bólu. Zobaczył, jak pięść zamierza się do następnego ciosu i chciał się skulić, ale był unieruchomiony. Znów poczuł uderzenie – tym razem trafiło w nos. Ciepła krew spłynęła na górną wargę. Łzy napłynęły mu do oczu – normalna reakcja na uderzenie w nos. Jak przez mgłę ujrzał pięść, ponownie zbliżającą się do jego twarzy i poczuł obezwładniający ból. Tym razem dostał w łuk brwiowy. Żołnierz miał pierścień na palcu. Hal czuł, że przeciął on brew, jego twarz spłynęła krwią.

Kolejne ciosy spadały raz za razem, po chwili zlały się w jeden nieprzerwany ciąg bólu, aż przestał zauważać kolejne uderzenia.

A potem stracił przytomność.



ROZDZIAŁ 20



Światło, wpadające przez okno, powoli słabło. Lydia przypuszczała, że jest już wczesny wieczór. W pokoju nie było świecy ani lampy, nic. Zapewne uznano, że osoby, przebywające w tym pomieszczeniu – izolatce, jak go określił Doutro – nie są na tyle godne zaufania, by umieścić tu źródło otwartego ognia. Znów zagrzecgotał rygiel i do środka weszła ta sama kobieta, co poprzednio. Lydia usiadła na łóżku i postawiła stopy na podłodze.

– Nie ruszaj się! – Z korytarza dobiegł piskliwy głos Erlica. Tak jak poprzednio, czujnie obserwował wnętrze pokoju. Lydia wzruszyła ramionami i została na miejscu. Kobieta zostawiła wiadro przy drzwiach, potem pode – szła do stołu i postawiła na nim tacę. Lydia poczuła zapach jedzenia. Zaburczało jej w brzuchu. Nie jadła przez cały dzień. Cokolwiek znajdowało się na tacy, pachniało bardzo przyjemnie.

Kobieta wskazała na stół – powiedziała, zupełnie niepotrzebnie:

– Jedzenie.

Potem sprawdziła, czy w dzbanku nie brakuje wody i zadowolaniem stwierdziła, że nie. Potem odwróciła się w stronę drzwi.

– Chwileczkę – powiedziała Lydia i kobieta spojrzała na nią. – Muszę skorzystać z łazienki.

Nie było to prawdą, miała jednak nadzieję, że w ten sposób dowie się czegoś na temat zwyczajów, panujących w tym domu, i sprawdzi, czy pozwolą jej się po nim poruszać i w jakim zakresie. Kobieta wskazała na wiadro przy drzwiach.

– Proszę bardzo – powiedziała, po czym znów odwróciła się i wyszła. Drzwi zatrzasnęły się za nią.

Lydia wstała i podeszła do stołu. Jedzenie podano na cynowym talerzu, obok leżała duża łyżka, nie było noża ani widelca. „Zero ognia. Żadnych ostrych przedmiotów”, pomyślała. Była to potrawka z kurczaka i ziemniaków, do tego kawał razowego chleba. Jak już zdążyła zauważyć, jedzenie pachniało bardzo apetycznie. Usiadła przy stole, ostrożnie, pamiętając o brakującej listewce. Szybko rozprawiła się z obiadem, a resztki sosu wytarła kawałkiem chleba.

Zapomniała się na chwilę i rozparła na krześle, które zachwiało się pod jej ciężarem. Bez poziomego pręta nie było już stabilne. Czknęła cicho. Cóż, po latach spędzonych w lesie na samotnych polowaniach, maniery Lydii i jej obycie towarzyskie pozostawiały wiele do życzenia.

„Przynajmniej nie zamierzają mnie zagłodzić”, pomyślała. Nagle przemknęło jej przez głowę, że jedzenie mogło być zatrute. Zaraz jednak wzruszyła ramionami. Po co niby miałoby to robić? Doutro uważał ją za zwykłą bezdomną dziewczynę, może drobną kryminalistkę, kogoś zupełnie bez znaczenia.

Wstała i zaczęła chodzić niespokojnie po pokoju. Z korytarza dobiegło skrzypnięcie – widać Erlic zmienił pozycję na krześle. Podeszła do okna. Próbowała wyjrzieć, ale pole widzenia miała bardzo ograniczone. Okno znajdowało się w ścianie szczytowej. Po drugiej stronie dość szerokiej ulicy widziała rząd budynków. Ten bezpośrednio naprzeciw był o jedno piętro niższy

od domu Doutro. Na oko oceniła, że znajduje się w odległości jakichś ośmiu metrów – za daleko, żeby skoczyć. Ale już zdecydowała, że ucieknie przez okno.

Nagle coś jej przyszło do głowy. Podeszła do łóżka i odsunęła siennik. Tak jak miała nadzieję, łóżko zbudowano z drewnianej ramy, na której rozpięto siatkę z dwóch długich kawałków sznura, przeplecionych równolegle i przecinających się pod kątem prostym. Wzięła nóż, odcięła dłuższy sznur i zaczęła przeciągać go przez otwory w drewnianej ramie. Po chwili trzymała w ręku pięciometrową linę. To samo zrobiła z drugim kawałkiem, który, jak się okazało, mierzył cztery metry. Potem położyła materac na miejsce, ostrożnie układając go na wąskich szczebelkach. Zapadł się pośrodku, ale nawet gdyby ktoś wszedł do środka, w tym stłumionym świetle niczego by nie zauważył – przynajmniej taką miała nadzieję.

Usiadła i czekała. Za oknem było już ciemno, tylko księżyc rzucał nieco blasku do wnętrza pokoju. Lydia zauważyła, że nad drzwiami znajduje się niewielkie półkoliste okienko, otwór w murze, przypuszczalnie zapewniający dopływ powietrza. Z korytarza wpadało przezeń trochę stłumionego światła.

Minęła godzina i nikt nie przyszedł, by zabrać tacę, więc Lydia uznała, że pewnie już nikt nie zjawi się aż do rana. Podniosła się i na palcach podeszła do drzwi, pochyliła się i przyłożyła ucho do otworu w desce. Przez kilka pierwszych sekund – cisza. Potem zaskrzypiało krzesło, kiedy Erlic zmienił pozycję. Uśmiechnęła się okrutnie. Wszystko wskazywało na to, że miał spędzić na tym krześle całą noc.

Wzięła do ręki nóż, po cichu zakradła się do okna i wsunęła ostrze w szparę między skrzydłami, tuż pod rygłem. Poczowała irytację – nóż okazał się za krótki. Ciężkie framugi miały większą grubość, niż wynosiła długość ostrza.

Schowała nóż i zacisnęła usta. To była kluczowa część jej planu. Nie pomyślała, że nóż może okazać się za krótki i że nie da się otworzyć za jego pomocą okna. Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Po cichu podeszła do łóżka i wyjęła pręt, którym wcześniej posłużyła się do zablokowania rygla w drzwiach. Ostrugała listewkę na długości jakichś piętnastu centymetrów, nadając jej ostry płaski kształt. Co jakiś czas sprawdzała, czy już mieści się w wąskiej szparze między skrzydłami okna. Kiedy wreszcie się udało, wsunęła ją tuż pod rygiel i zaczęła powoli go podnosić. Jednak okna od dawna nikt nie otwierał i nie było to takie proste. Poczowała, że pręt zaczyna się wyginać.

Serce tłukło się w piersi jak szalone. Odczekała kilka minut, by je uspokoić. Gdyby pręt złamał się w szparze, nie wiadomo, czy zdołałaby wyjąć tę złamaną część. Nie mogłaby w żaden sposób podnieść rygla, bo szpara zostałaby zablokowana. Czuła narastającą frustrację. A pomysł wydawał się taki prosty. Wsunąć ostrze noża w szparę, podnieść rygiel. A teraz być może wszystko na nic, bo nóż okazał się o centymetr za krótki, a pręt za słaby.

Tłumiąc przekleństwo, wsunęła nóż w szparę, pod pręt, wzmacniając go i usztywniając w ten sposób na niemal całej długości. Potem zaczęła pchać do góry jeszcze raz – najpierw delikatnie, potem coraz pewniej i mocniej. Poczowała, jak pręt wygina się na końcu, tam, gdzie nie sięga ostrze noża. Przerwała. Serce podeszło jej do gardła. Potem spróbowała jeszcze raz, stopniowo zwiększając nacisk. Nagle poczuła lekki ruch.

Znów zaczęła pracować i rygiel podniósł się o pół centymetra. W następnej chwili wyskoczył ze wsporników i poleciał w dół. Lydia wstrzymała oddech. Usłyszała ciche uderzenie, gdy spadł na bruk. Odczekała chwilę, czy ktoś zareaguje, ale widocznie nikt niczego nie zauważył. Z ulgą wypuściła powietrze z płuc, a potem podeszła do stołu, by zebrać potrzebne rzeczy.

Wsunęła nóż do kieszeni, zwój sznura zarzuciła sobie na ramię i po raz ostatni rozejrzała się po pokoju. Nie znalazła niczego więcej, co mogłoby się przydać. Podeszła prędko do okna,

otworzyła je i przelożyła lewą nogę przez framugę. Drugą nogą odepchnęła się od podłogi.

W tym momencie drzwi się otworzyły.

Zamarła. Światło z korytarza załało pokój. Erlic wpatrywał się w nią, niepomierne zdumiony, z ręką na klamce.

– Co ty wyprawiasz? Złaż natychmiast! – rozkazał. A potem popełnił bardzo poważny błąd. Zamiast zamknąć drzwi i podnieść alarm, wpadł do pokoju i podbiegł do Lydii, by ją powstrzymać.

Zeskoczyła na podłogę. Kiedy wyciągnął rękę, by chwycić ją za ramię, zrobiła krok w przód, prawą nogę wsunęła za jego nogę, obróciła się na prawej stopie i walnęła go w szczękę wypukłą częścią wewnętrznej strony dłoni, rozwierając palce, by ją usztywnić.

Zakończenia nerwowe w szczęce Erlica natychmiast wysłały wiadomość do jego mózgu. Zgasł jak zdmuchnięta świeczka. Gdy się zachwiał, Lydia zablokowała prawą nogą jego nogę i osunął się z hukiem na podłogę. Pochyliła się nad nim. Oddychał, ale stracił przytomność. Podeszła do drzwi i zamknęła je. Rygiel zaskoczył na miejsce. Odwróciła się i spojrzała na nieruchome ciało na podłodze.

Sznur był jej potrzebny, więc nie mogła go związać. Musiała jednak jakoś go unieszkodliwić, bo nie wiedziała, jak długo pozostanie nieprzytomny. Prawdopodobnie nie więcej niż minutę czy dwie. Rozejrzała się po pokoju, potem chwyciła pled i zwiniętą suknię, która wcześniej służyła jej za poduszkę.

Kilka razy ciasno owinęła suknię dokoła jego głowy i szyi, i związała mocno rękawami. Gdyby zaczął krzyczeć, i tak nikt by go nie usłyszał, bo materiał wytłumiłby dźwięk. Potem rozpięła pas Erlica, owinęła chłopaka kocem, spięła pasem, zaciskając tak ciasno, jak tylko zdołała, i sprawdziła jeszcze, czy ramiona Erlica są unieruchomione.

– Chyba da radę – mruknęła. Już miała wyjść przez okno, gdy uderzyła ją pewna myśl. Podeszła prędko do drzwi i wcisnęła w otwór pręt, tą stroną, której nie przystrugowała, gdy otwierała okno. W ten sposób znów zablokowała rygiel. Potem złamała pręt tuż przy otworze. Gdyby teraz ktoś chciał wejść do środka, musiałby najpierw wyciągnąć złamany kawałek pręta z otworu.

Zadowolona, że zrobiła wszystko, by opóźnić odkrycie jej ucieczki i pościg, podeszła do okna i wyjrzała. Dach był stromy, pokryty łupkowymi dachówkami. Dotknęła jednej. Na szczęście ostatnio nie padało, dachówka była gładka, lecz nie śliska.

Lydia zdjęła buty, wiedząc, że bosa stopy będą miały lepszą przyczepność, i zatknęła je z tyłu za pasek. Jeszcze raz spojrzała na nieszczęsnego Erlica, po czym wyszła na dach, twarzą zwrócona w stronę szczytu, i zaczęła się wspinać.

Mocno przyciskała dłonie i stopy do dachówek. Wykorzystując znaną sobie technikę, zawsze podnosiła tylko jedną nogę albo rękę, tak by pozostałe trzy kończyny zapewniały jej jak największe oparcie. Poruszając się tak niczym jakiś gigantyczny pajak, wdrapała się w końcu na samą górę i usiadła okrakiem na kalenicy. Odetchnęła z ulgą i powiodła wzrokiem dokoła. Księżyc znajdował się w połowie swej nocnej wędrówki, rzucał łagodne światło na morze dachów. Dom Doutro, jak już wcześniej zauważyła, był jednym z najwyższych w okolicy i w dodatku leżał na wzniesieniu. Widok był wspaniały. Gdy skierowała wzrok w stronę portu, zobaczyła maszty zacumowanych tam okrętów.

Ale nie przysłała tu po to, by podziwiać widok na port. Podniosła się i stawiając stopy po obu stronach kalenicy, przeszła na tył domu.

Tak jak miała nadzieję – było to zresztą powszechne w takich miastach jak Krall – z tyłu budynku biegła wąska uliczka, znacznie węższa od tej bocznej. Uliczką tą podjeżdżały pod dom pojazdy służb miejskich, zbierające śmieci i nieczystości. Spojrzała na budynek naprzeciwko.

Stał niżej od domu Doutro i znajdował się w odległości zaledwie trzech metrów od niego.

Łatwy skok – o ile zapomni o dwudziestometrowej przepaści, ziejącej pod spodem.

Znów usiadła na kalenicy i spojrzała w dół. Mruknęła z zadowoleniem, bo jej nadzieje się spełniły. Dom Doutro był wyposażony w potężny dźwig, dzięki któremu można było wciągać na wyższe piętra cięższe meble, zamiast nosić je po wąskich schodach. Podobny dźwig znajdował się również naprzeciwko.

Lydia zdjęła zwój liny z ramienia, rozwinęła ją, a na jednym końcu zawiązała sporą pętlę. Zaczepiła ją o hak przy dźwigu, a drugi koniec obwiązała sobie w tali. Potem cofnęła się nieco, resztę liny podtrzymując wyciągniętą w bok ręką. Nagle wyobraziła sobie, jak biorąc rozpęd, zaplątuje się w linę, zsuwa się z dachu i spada prosto w przepaść między budynkami. Prędko odsunęła od siebie ten przerażający obraz.

Zrobiła osiem długich kroków w tył, zatrzymała się i skierowała wzrok przed siebie, śledząc spojrzeniem linię dachu, wiodącą właśnie wprost nad tę otchłań. Potem zerknęła na dach budynku po drugiej stronie. Nawet jeśli chybi, lina zapewne uratuje jej życie. Albo przeciwnie, pociągnie za sobą niczym wielkie wahadło i ciśnie jej ciałem o mur domu Doutro. Tę myśl również prędko odsunęła od siebie.

Potem, nie czekając, aż jakaś kolejna przerażająca wizja przyjdzie jej do głowy, wzięła rozbieg.

Biegła lekko, stawiając stopy na kalenicy. Dotarła do skraju i skoczyła, wypuszczając linę, która poleciała w dół, tworząc luźny łuk.

Lydia nie odrywała oczu od dachu naprzeciwko, lecz czuła, że pod jej stopami rozwiera się ciemna czeluść i próbuje ją wciągnąć.

A potem skoczyła i nagle znalazła się po drugiej stronie. Dach budynku był niższy i nie tak stromy jak ten na domu Doutro. Wylądowała na stopach, z lewej strony kalenicy, kolana ugięły się z wysiłku. Uderzyła nimi o twarde dachówki i jęknęła z bólu. Straciła równowagę i poleciała do przodu, prędko podciągnęła się, wytěżając wszystkie siły. Stopy straciły oparcie, Lydia zaczęła czołgać się gorączkowo do góry, chwyciła się kalenicy, wypuściła ją, znów chwyciła.

Podciągnęła się, usiadła okrakiem na kalenicy i odczekała chwilę, by jej oddech się uspokoił, a serce zwolniło. Potem przeczołgała się na skraj dachu i pociągnęła linę, by odczepić ją z haka. Udało się dopiero za trzecim razem. Lina spadła w ciemną czeluść.

Lydia spojrzała w dół. Zauważyła, że jedno z okien jest otwarte. Znajdowało się cztery metry niżej, trochę w prawo od niej. Zwinęła linę, zarzuciła pętlę na hak, po czym zaczęła schodzić powoli, szukając stopami oparcia na ceglany murze. Lina zaskrzypiała złowieszczo. Lydia zastanawiała się, czy jest ona bardzo stara i zużyta. Ale było za późno, by teraz się tym martwić. Spuściła się po linie, aż znalazła się na wysokości otwartego okna. W pokoju nie paliło się światło, Lydia miała nadzieję, że nikogo tam nie ma. Przeszła wzdłuż ściany do okna, odbiła się, rozhuściła i wskoczyła do środka, nogami do przodu, jednocześnie wypuszczając linę z ręki. Uderzyła o podłogę, zaplątała się we własne ręce i nogi, po czym prędko podniosła się i rozejrzała dokoła.

Znajdowała się w sypialni, należącej do kobiety, sądząc po różnych falbankach i koronkach, zdobiących pościel. I rzeczywiście, w łóżku spała starsza kobieta.

To znaczy, spała jeszcze chwilę wcześniej. Teraz, na dźwięk ciężkiego uderzenia, usiadła na pościeli, oszołomiona i zdezorientowana, koronkowy przymarszczony czepeczek opadł jej na oczy. Powiodła wzrokiem dokoła, zobaczyła Lydię, otworzyła usta i przycisnęła do nich rękę, przerażona.

– Kim jesteś? – zapytała drżącym głosem.

Lydia uniosła dłoń uspokajającym gestem.

– Jestem Lydia. Jak się masz? – zapytała z uśmiechem. Pomyślała, że złodzieje raczej nie mają w zwyczaju przedstawiać się po imieniu. – Szukam Geralda. Jest tu gdzieś?

To było pierwsze, co jej przyszło do głowy. Uznała, że zabrzmiało całkiem nieźle – a z pewnością znacznie lepiej niż „przyszłam cię ograbić” czy „przyszłam zabić cię w twoim własnym łóżku”. Stwierdziła, że najlepiej zagaić jakąś rozmowę, powiedzieć cokolwiek, byle kobieta nie zaczęła krzyżeć. Ku zaskoczeniu Lydii, starszka wskazała na drzwi i powiedziała:

– Jego pokój jest po drugiej stronie. – Głos kobiety zdradzał wielkie zdumienie. Lydia zrobiła wielkie oczy i na chwilę straciła rezon. Zaraz jednak doszła do siebie i odparła:

– No tak! Przepraszam, że przeszkodziłam. Pomyliłam pokoje. Ależ idiotka ze mnie. W takim razie już sobie idę.

– Jesteś przyjaciółką Geralda? Może powinnaś zapukać.

– Nikt by w to nie uwierzył – powiedziała do siebie, kręcąc głową. Popatrzyła w głąb korytarza i zobaczyła schody, prowadzące na dół. Schodząc – na czubkach palców, bezszelestnie jak duch – usłyszała jeszcze, jak kobieta woła:

– Geraldzie? Masz gości.

Na szczęście nie spotkała nikogo więcej. Przeszła przez ciemny milczący dom, znalazła tylne drzwi, otworzyła je i wyszła na wąską uliczkę, którą przed chwilą pokonała – dwadzieścia metrów ponad ziemią.

– A teraz czas wyciągnąć chłopaków z więzienia – powiedziała cicho do siebie.



ROZDZIAŁ 21



Słyszeli kroki w korytarzu, potem krata otworzyła się i do środka wrzucono bezwładne ciało. Nim zdążyli oprzytomnieć i zareagować, drzwi zatrzasnęły się, a klucz przekreślił się w zamku.

Pierwszy z miejsca zerwał się Thorn. Przeciął celę trzema długimi krokami i ukląkł obok nieprzytomnego, leżącego twarzą do kamiennej posadzki. Odwrócił go i skrzywił się na widok sińców i ran. Podparł bezwładne ciało i ułożył je sobie na kolanach.

Kiedy pozostali rozpoznali w nieprzytomnej postaci swego skirla, rozległ się chór okrzyków wściekłości i przerażenia. Tylko Pedr został na swoim miejscu pod ścianą. Siedział w tej celi już od kilku tygodni i przyzwyczyił się do widoku współwięźniów, wracających z pogawędki u Doutro.

– Hal? Wszystko w porządku? – zapytał Edvin. Ukląkł obok Thornia i odwrócił twarz Hala do słabego światła pochodni, sączącego się z korytarza. Pozostali członkowie drużyny stłoczyli się dokoła, znów wznosząc okrzyki wściekłości na widok twarzy Hala. Edvin spojrzał na Stiga, skrzywionego gniewnie.

– Podaj mi dzban z wodą – poprosił. – I znajdźcie jakiś czysty kawałek materiału.

Dzban z wodą stał na półce we wnęce, obok zniszczonego cynowego kubka. Racjonowali wodę, bo nie wiedzieli, jak często będzie uzupełniana. Niewiele tego było na dziewięć osób – a właściwie nawet dziesięć, licząc Pedra. Stig podniósł dzbanek i podał go Edwinowi.

Druga prośba okazała się trudniejsza do spełnienia. W celi nie było żadnego czystego kawałka materiału. Rozglądali się dokoła bezradnie jakby w nadziei, że nagle się pojawi za sprawą jakichś czarów. Ingvar rozwiązał problem – zdjął kurtkę, oderwał rękaw lnianej koszuli i podał go Edwinowi.

– Dzięki – powiedział Edvin, nie patrząc na niego. Zmoczył tkaninę i zaczął zmywać szybko krzepnącą krew z twarzy Hala, wyzymając tkaninę nad opuchlizną i sińcami na policzkach i łukach brwiowych.

Potem ostrożnie obmył usta Hala. Najwyraźniej była to bolesna operacja, bo skirl zamrugał i spojrzał na zmartwionego Edvina, marszcząc czoło.

– Au. Delikatnie, co? – Słowa były zduszone i zniekształcone przez spuchnięte wargi, ale wszyscy odetchnęli z ulgą, widząc, że Hal odzyskuje przytomność.

– Co się stało? – zapytał Ulf. Jego głos zdradzał wielką troskę. Hal usiłował uśmiechnąć się, by dodać mu otuchy, ale ruch wywołał gwałtowny ból. Hal drgnął, uniósł rękę, dotknął wargi i znowu drgnął.

– A jak myślisz? – powiedział gniewnie Wulf. – Pobili go. Oto, co się stało. Chyba nawet najgorszy debil by się domyślił.

– Nic dziwnego, że od razu się zorientowałeś – odparował Ulf. – Miałem na myśli: kto to zrobił i dlaczego?

– To dlaczego nie zapytałeś w ten sposób? To, co powiedziałeś, było.

– Zamknijcie się – przerwał mu Ingvar. Jego głos brzmiał dość groźnie. Bliźniacy odwrócili się prędko i spojrzeli na niego. Stał tuż za ich plecami, z rękami rozcapierzonymi jak szpony. Bracia ujrzeni w myślach tę samą wizję: Ingvar chwyta obu za kołnierze i tłucze ich głowami o siebie.

Zamknęli się więc.

Hal zaśmiał się słabo i skrzywił, gdy pęknięta warga znów dała znać o sobie.

– Dobrze wiedzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniały – powiedział.

– Dobrze widzieć, że potrafisz się z tego śmiać – stwierdził Stig. – Kiedy się stąd wydostaniemy, dopadnę tego całego Doutro i nogi mu z pleców powyrywam.

– Będziesz musiał ustawić się w kolejce – rzucił Ingvar groźnie.

Stig zerknął na wielkoluda. Nigdy wcześniej nie widział na jego zwykle łagodnej twarzy wyrazu takiej wściekłości. Stig zrobił polubowny gest ręką.

– Jak sobie życzysz, Ingvarze. Z przyjemnością ustąpię ci pierwszeństwa.

Ingvar tylko zaśmiał się w odpowiedzi. Głęboki donośny rechot dobył się z głębi jego potężnej piersi. Brzmiało to bardzo pierwotnie. Bliźniacy ucieszyli się, że tak szybko przerwali kłótnię.

Edvin skończył obmywać twarz Hala, znów zanurzył szmatkę w wodzie, zwinął ją i włożył w lewą dłoń chłopaka.

– Więcej nie mogę zrobić – powiedział. – Przyłóż kompres do policzka. Zimno sprawi, że opuchlizna zniknie.

Delikatnie poprowadził rękę Hala, aż dotarła do fioletowej opuchlizny na policzku. Ten siniec i przecięty luk brwiowy – w miejscu, gdzie trafił pierścień oprawcy – to były najgorsze obrażenia. Skaleczenie już zaczynało się zasklepieć, nie miało sensu nic z tym robić.

– O, lepiej – powiedział Hal. – Jedna zaleta mieszkania w piwnicy: woda jest zawsze chłodna.

Wszyscy zaczęli się śmiać. Żarcik był dość cienki, ale śmiali się głównie dlatego, że im ulżyło. Ich skirl wyraźnie miał się lepiej, skoro potrafił żartować – nie szkodzi, że cienko.

– To dlaczego cię pobili? – zapytał Thorn, stwierdziwszy, że Hal może już mówić.

Hal spojrzał na niego.

– Doutro był bardzo ciekawy, gdzie znajduje się na „Czapli” sejf. Chyba troszkę się zdenerwował, że nie chciałem mu powiedzieć. – Hal na chwilę zabrał kompres z twarzy, odczekał, aż się schłodzi i przyłożył go jeszcze raz. – Gdybym wiedział, że będzie tak bolało, pewnie bym to zrobił.

– To raczej by go nie powstrzymało – rzucił Pedr ze swojego miejsca pod ścianą.

Wszyscy spojrzeli na niego, a on dodał: – Doutro lubi patrzeć, jak ktoś cierpi.

– Doprawdy? – powiedział Thorn, groźnie mrużąc oczy. – Może, nim opuścimy Bayrath, powinniśmy jakoś wpłynąć na zmianę jego upodobań.

– Łatwo powiedzieć – odparł Pedr sarkastycznym tonem. – Na razie jednak jakoś nie zapowiada się na to, żebyście mieli opuścić Bayrath. Doutro przesłucha was pierwszego dnia, drugiego skaże, a trzeciego powiesi.

Zapadła cisza. Potem przemówił Stefan:

– Wiesz, wydaje mi się, że coś za bardzo cię to cieszy. A to z kolei nie cieszy mnie.

Ulf kiwnął głową.

– Ani mnie. Może należałoby skopać ci tyłek.

Wulf też kiwnął głową.

– Tym razem zgadzam się całkowicie z moim bratem.

Podnieśli się obaj i ruszyli w stronę Pedra, który przycisnął się do ściany, jakby liczył na

to, że to go uratuje. Lecz niestety, ściana nie mogła mu dostarczyć odpowiedniej kryjówki. Thorn najpierw chciał powstrzymać bliźniaków, ale potem wzruszył ramionami. Również jemu Pedr działał na nerwy z tym swoim wiecznym wymądrzaniem się i sarkastycznymi uwagami.

Ulf pochylił się nad nieszczęsnym Pedrem i już miał chwycić go za kołnierz i odsunąć od ściany, kiedy coś twardego trafiło go w głowę – i spadło z grzechotem na podłogę.

– Auć! – wykrzyknął, pocierając guza i rozglądając się dokoła. – Co to było? – Spojrzał w dół i zobaczył, że na podłodze leży kamyk. Jeszcze kilka sekund wcześniej na pewno go tam nie było. A więc ktoś musiał go rzucić.

– Czyja to sprawka? – zapytał głośno, coraz bardziej wściekły.

– Wulfie, to ty? – usłyszał głos Lydii. Dochodził z wąskiego okienka nad jego głową.

– Lydia? To ty rzuciłaś we mnie kamieniem? Poza tym jestem Ulf.

– O, na Gorloga, jakie to ma znaczenie? – powiedział Stig gniewnie i podszedł prędko do okna. – Lydio, to ty?

– Tak. Przepraszam, Wulfie, po prostu musiałam jakoś zwrócić twoją uwagę. Nie wiedziałam, czy to wasza cela.

– Jestem Ulf – powtórzył Ulf, urażony. Stig mruknął coś pod nosem i odsunął go na bok. Spojrzał w górę i zobaczył palce Lydii w wąskiej szparze między prętami. Pomachała nimi.

– Jest tam Hal?

Stig odwrócił się i spojrzał na Hala leżącego na podłodze, a częściowo na kolanach Thorny. Thorn potrząsnął głową.

– Jest. Ale kiepsko z nim.

– Co się stało? – zapytała, wyraźnie zmartwiona. – To coś poważnego?

– Nie. Ma siniaki i parę drobnych ran, ale wyjdzie z tego. A jak ty zdołałaś uciec?

– Och... to było bardzo proste. Wysłałam przez okno na dach, przeskoczyłam na sąsiedni budynek, potem zeszłam na dół i przybiegłam tutaj.

Stig uniósł brwi.

– Tak po prostu?

Zignorowała sarkazm i podjęła:

– Pytanie brzmi: jak was stąd wydostanę? Jak wygląda wasza sytuacja? Okno jest bardzo wąskie, w dodatku znajduje się równo na poziomie ziemi. Nic nie widzę.

Stig rozejrzał się dokoła, zupełnie odruchowo, bo przecież wiedział doskonale, jak wygląda ich cela.

– Znajdujemy się w dużym lochu – powiedział. – Kamienne ściany i podłoga, tylko to jedno okno i zakratowane drzwi. Zamknięte, oczywiście – opowiadał. Nastąpiła chwila ciszy.

– Gdzie jest klucz? – zapytała w końcu. – Da się go jakoś zdobyć?

Potrząsnął głową i nagle uświadomił sobie, że Lydia przecież go nie widzi.

– Nie sądzę. Dozorca nosi go przy pasie i zawsze jest z nim trzech czy czterech strażników.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, tym razem dłuższa. Lydia musiała przetrwać wszystkie informacje. Kiedy znów się odezwała, wyczuł w jej głosie frustrację. Po wszystkim, co przeszła, co ryzykowała, okazało się, że nie może im pomóc.

– A gdybym powiedziała, że jestem waszą znajomą i przyszedłam w odwiedziny? Może by mnie wpuścili – zaproponowała, czując od razu, że to niewykonalne.

– A potem powaliłabyś na ziemię wszystkich pięciu i nas uwolniła? – powiedział Stig.

– Ja tylko rzuciłam pomysł! – odparła gniewnie. – Może ty masz jakiś?

Stig musiał przyznać w myślach, że nie. Ale nie zamierzał głośno tego mówić. Jesper podniósł się i podszedł do Stiga.

- Lydio, tu Jesper. Myślisz, że potrafiłabyś odnaleźć drogę do „Czapli”?
- Ależ oczywiście! – Słyszałać było, że nadal jest wściekła i uważa pytanie za stratę czasu.
- Port leży zaledwie kilka ulic stąd. Ale nie mogę żeglować w pojedynkę, prawda?
- Nie, nie możesz – odparł cierpliwie Jesper. – Ale gdybyś dostała się na pokład, tak żeby nikt cię nie zobaczył, mogłabyś przynieść mi coś, co pewnie rozwiązałoby nasz problem.
- Nagle gniew Lydii minął. Zapytała z wyraźnym zainteresowaniem:
- A co to takiego, Jesperze? I gdzie to znajdę?
- To mały płócienny futerał, zestaw narzędzi. Leży w mojej skrytce koło ławki wioślarskiej. Po lewej stronie, druga ławka, licząc od dziobu.
- Dobra. Ławka po lewej stronie, druga, licząc od przodu – powtórzyła Lydia.
- Od dziobu – poprawił ją Stig mechanicznie.
- To ma jakieś znaczenie? – zapytała kąśliwie. – Co jest w tym futerale?
- Jesper zawahał się, ale w końcu odpowiedział, z pewnym zakłopotaniem:
- Mój zestaw wytrychów.
- Stig spojrział na niego, unosząc wysoko brwi.
- Twój zestaw wytrychów? Myślałem, że z tym skończyłeś?
- Jesper wzruszył ramionami.
- To pamiątka – odparł. – Nie potrafiłem się jej pozbyć.
- I bardzo dobrze – stwierdziła Lydia. – Wróć najszybciej, jak się da. Nigdzie się nie ruszajcie.
- Usłyszeli stłumiony odgłos jej kroków na bruku. Stig i Jesper spojrzeli na siebie.
- A jak niby mielibyśmy się ruszyć?

ROZDZIAŁ 22



Lydia pobiegła uliczkami, wiodącymi do portu. Trzymała się w cieniu budynków, przemykając od jednego do drugiego, stąpając bezgłośnie w butach z jeleniej skóry. Kiedy oddaliła się od reprezentacyjnej części miasta i znalazła w dzielnicy portowej, uliczki stały się węższe i ciemniejsze. Domy mieszkalne i budynki urzędów ustąpiły miejsca magazynom i małym zakładom rzemieślniczym. Często całą ulicę oświetlała tylko jedna, stojąca u jej krańca latarnia. Była to nędzna i niebezpieczna część miasta. Od czasu do czasu widziała inne postaci, przemykające bocznymi uliczkami.

Raz stanęła twarzą w twarz z potężnym mężczyzną w krótkiej opończy z kapturem. Minęli się akurat pod jedną z tych nielicznych latarni i Lydia zobaczyła tylko dolną część jego twarzy. Reszta kryła się w cieniu kaptura. Zdażyła dostrzec gęstą ciemną brodę. I wpatrzone w nią nieruchomo oczy.

Mężczyzna zatrzymał się i przez chwilę myślała, że do niej podejdzie. Wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła nóż, kierując ostrze w górę, jak to zwykle robią nożownicy. Ostrze było krótkie, ale uchwyciło światło latarni i rzuciło jego odbłask na ścianę. Pozycja, w której trzymała nóż i jej pewna siebie mina chyba zniechęciły nieznanego, bo tylko prychnął i pospieszył dalej, naciągając kaptur mocniej na twarz.

Odwróciła się i popatrzyła za nim. On też stąpał bezgłośnie i chciała się upewnić, że naprawdę sobie poszedł i nie zamierza zająć jej niespodziewanie od tyłu. Mężczyzna jednak pospieszył w swoją stronę, nawet się nie obejrzał i po chwili wchłonął go ciemny cień.

Za to wybrzeże dla kontrastu aż lśniło od światła. Wzdłuż brzegu ciągnęły się tawerny i jadalnie, każda z nich błyszczała rzędami okien i szyldem nad drzwiami. Ze środka dochodziły śmiechy, czasem gniewne okrzyki, czasem dźwięk tłuczonego szkła i rozbijanych mebli. A czasem roześmiane lub pokrzykujące gniewnie postaci wychodziły na ulicę i ruszały przed siebie przez nabrzeże. Po tej stronie rzeki, która bezpośrednio sąsiadowała z rzeką, nie stały żadne zabudowania. Wzdłuż brzegu cumowały okręty i mniejsze jednostki, a gdzieś pod kątem prostym do nabrzeży wybiegały w rzekę mola. Przy tych molach, wyglądających jak rozcapierzone palce, również stały zacumowane okręty i łodzie.

Lydia wolała iść właśnie tą stroną, nie miała ochoty narażać się na zaczepki gości, wychodzących z knajp. Poza tym nie musiała tak się kryć, ulica była bardzo ruchliwa.

Wszystkie okręty i łodzie również były oświetlone, wysoko na masztach wisiały latarnie. Lydia przystanęła na chwilę, by trochę ochłonać, po czym ruszyła w stronę mola, na którym stało biuro, tam bowiem zostawili „Czaple”. Pamiętała kilka charakterystycznych rzeczy, które widziała po drodze, gdy maszerowali wzdłuż rzeki do gabinetu Doutro, więc szła pewnie przed siebie.

Pośród lasu masztów i lin ujrzała symbol pieniądza na budynku urzędu celnego, oświetlony pochodniami, płonącymi po obu stronach tablicy. Przyspieszyła kroku, ale po chwili przystanęła, osłupiała.

„Czapla” nie stała już w tym miejscu, gdzie ją zostawili. Lydia rozglądała się dokoła gorączkowo, zastanawiając się, czy przypadkiem nie jest to jakieś inne biuro, ale prędko upewniła się, że nie pomyliła drogi.

„Czapli” jednak nie było.

Przystanęła i oparła się plecami o słupkę, sięgający jej do pasa, do którego przywiązano kilka ciężkich cum. Obok łagodnie kołysał się na falach jednomasztowiec, z tych używanych do połowu ryb. Myślała gorączkowo, zastanawiając się, co mogło stać się z ich łodzią. Dlaczego ją przeniesiono. I dokąd.

I nagle doznała olśnienia. Molo, na którym stało biuro, służyło tylko do krótkich postojów. Okręty cumowały tam przez pięć-dziesięć minut, a kiedy kapitan zapłacił myto, odpływały, robiąc miejsce kolejnym podróżnym. Doutra nie pozwoliłyby, żeby jakaś łódź, która nie wiadomo jak długo miała zostać w porcie, i to bez opłaty, zabierała przestrzeń w tym miejscu. Na pewno kazał ją dokądś przenieść.

Tylko dokąd?

Wodziła wzrokiem po masztach i figurach dziobowych. Basen był zapchany okrętami, które w oczach Lydii zlewały się w jedną niekształtną masę. Wiedziała, że doświadczony żeglarz, Hal czy Stig, bez trudu potrafiłby odróżnić poszczególne jednostki. Ale ona nigdy wcześniej nie żeglowała i wszystkie okręty wyglądały dla niej tak samo.

– Zastanów się – powiedziała do siebie. – Pomyśl. A potem patrz.

Logika podpowiadała, że nie mogli zabrać „Czapli” gdzieś daleko. Pomyślała, że Doutra na pewno jest takim typem, co to regularnie zatrzymuje siłą okręty, by wymusić na nich dodatkową opłatę. I pewnie trzyma je gdzieś tu w pobliżu.

Zwolniła kroku, uważnie przyglądając się wszystkim jednostkom, zacumowanym przy molo, wybiegających na środek rzeki. Wysokie maszty, zwieńczone latarniami, kołysały się lekko w rytm drobnych fal, łagodnie uderzających o brzeg. Zmrużyła oczy, bo wszystko znów zaczęło się zlewać. Przyglądała się każdemu maszтови z osobna, lecz nigdzie nie było widać „Czapli”.

Nagle uderzyła ją pewna myśl. Oto szuka wysokiego masztu pośród innych wysokich masztów. A przecież maszt „Czapli” był znacznie niższy od tych wszystkich tutaj. Musiała więc kierować wzrok niżej, szukając krótkiego ciężkiego masztu. I rzeźby głowy czapli, zdobiącej dziób.

Przyspieszyła kroku i po chwili znalazła się na wysokości biura. Na razie wciąż nie widziała tego, czego szukała. Poszła dalej, zostawiając biuro za swoimi plecami.

I oto przy następnym molo, za linią ciemnej wody, pomarszczonej refleksami światła latarni, zobaczyła „Czaple”.

Częściowo zasłaniał ją jakiś inny okręt, zacumowany w ten sposób, że jego dziób stykał się z rufą „Czapli”. W odróżnieniu od innych jednostek, tych dwóch nie oświetlały latarnie na masztach. A więc nikogo nie było na pokładzie.

Zawahała się. Od molo dzieliła ją odległość jakichś czterdziestu metrów. Pomyślała, że lepiej przyjrzeć się „Czapli” z daleka, nie podchodzić bliżej, żeby nikt jej nie zobaczył. Nikt nie powinien widzieć, że interesuje się zatrzymaną łodzią. Na pewno gdzieś tu był wartownik. Nie chciała wzbudzić jego podejrzeń.

Podeszła jeszcze kilka kroków bliżej. Gdzie on może być? Na pewno ktoś musi stać na warcie. Nagle go zobaczyła, na samym końcu molo. Teraz wracał powolnym krokiem, rozglądając się, wyraźnie znudzony. Zatrzymał się przy okręcie, zacumowanym obok „Czapli”, podszedł na skraj pomostu i przez chwilę wypatrywał uważnie. Może usłyszał jakiś dźwięk? Po chwili ruszył dalej, zadowolony, minął „Czaple”, w ogóle na nią nie patrząc, i skierował się

w stronę nabrzeża.

Był uzbrojony. U jego boku wisiał krótki miecz, w rękę tkwiła włócznia. Miał na sobie kolczugę, ale hełmu nie. Zatrzymał się pod latarnią, zawieszoną na wysokim słupie u wejścia na molo i powiódł wzrokiem po nabrzeżu. Lydia miała wielką ochotę schować się za wielkim głazem, leżącym tuż obok. Powstrzymała się jednak. Wiedziała, że ruch przyciągnąłby uwagę wartownika. Znajdowała się w cieniu, między dwiema latarniami, które świeciły wartownikowi prosto w oczy. Gdyby naprawdę zależało mu na tym, by wiedzieć, co się dzieje na nabrzeżu, stanąłby inaczej, bo przecież tak niewiele widział. Ale on tylko markował robotę.

Ziewnął, zasłaniając usta wierzchem dłoni, potem odwrócił się i znów zaczął powolnym krokiem przemierzać pomost. Słyszała uderzenia jego ciężkich butów o deski. Szedł, odwrócony do niej plecami, więc prędko przebiegła w stronę wejścia na molo. Na szczęście nie było zamknięte żadną bramką. Leżały na nim przeróżne rzeczy: zwoje lin i żagli, wiosła, wiklinowe odbijacze, pół tuzina wiewiórek, rzuconych niedbale na stertę.

– Pewnie z jakiejś skonfiskowanej łodzi rybackiej – mruknęła do siebie. Doutro był sprytny. Kiedy przywłaszczał sobie czyjąś łódź, pozbawiał ją całego wyposażenia i sprzedawał je osobno. W ten sposób mógł uzyskać wyższą cenę.

Lydia posuwała się ostrożnie przed siebie, nie spuszczać wzroku z wartownika. Kiedy znalazł się daleko, wśliznęła się na molo. Zgięta w pół, przemknęła na drugą stronę, by oddalić się od części oświetlonej latarniami i schronić w półmroku. Była wytrawną łowczynią, w lesie umiała poruszać się szybko, lecz bezgłośnie. A tutaj, na gołych deskach, bez przeszkód w postaci zwalonych pni czy suchych gałązek, było to dziecinnie proste. Dotarła do stosu wiewiórek i stanęła za nim, trzymając się brzegu pomostu.

Wartownik znajdował się teraz na samym końcu molo. Odwrócił się i ruszył z powrotem. Tym razem nawet nie spojrzął na żaden z okrętów. Lydia pomyślała, że to dobry znak. Najwyraźniej mężczyzna zaczynał się nudzić. Pewnie był na warcie już od wielu godzin. Znów przeszedł aż do wejścia na molo, tym razem jednak nie zatrzymał się, lecz od razu zawrócił. Lydia przykucnęła za stosem wiewiórek i zamarła w bezruchu.

Wartownik przeszedł obok niej w odległości zaledwie dwóch metrów. Kiedy ją mijał, zauważyła, że oczy ma spuszczone, utkwione w deskach pomostu. Tak, zdecydowanie znudzony. Gdy znalazł się kilka metrów dalej, wyszła z kryjówki i ruszyła za nim, stawiając kroki w tym samym momencie, co on, tak by nie zdradzić się żadnym dźwiękiem.

Wartownik minął „Czapkę”. Lydia pozwoliła mu przejść jeszcze kilka metrów, po czym prędko podbiegła do skraju molo i zeskoczyła na pokład. Liny zatrzęszczały lekko, a odbijacze skrzypnęły, gdy łódź poruszyła się pod jej ciężarem. Lydia ukucnęła w obniżonej części pokładu, między ławkami dla wioślarzy. Na szczęście te drobne dźwięki nie zwróciły uwagi wartownika. Powłókł się obojętnie dalej. Lydia, wciąż skulona, przebiegła na lewą stronę i znów schowała się między ławkami. Nie podnosząc się z kucek, podeszła do ławki Jespera i zajrzała do schowka, umieszczonego poniżej poziomu pokładu.

Schowek był pusty. Wsunęła rękę do środka i pomacała. Ani śladu płóciennego futerału. Sprawdziła, czy to na pewno ta ławka. Potem zauważyła, że coś leży pod jej stopami. Schyliła się i spojrzała. Obok podpórek na stopy leżał niewielki stos jakichś przedmiotów. Niedokończony model okrętu, bramowany futrem skórzany kubrak, kiel morsa na rzemyku.

I nagle ją olśniło. No tak, przecież ludzie Doutro przeszukali łódź. Jasna sprawa. Wyrzucili na pokład te przedmioty, które w ich oczach nie przedstawiały większej wartości – czyli praktycznie wszystkie, prócz rzeczy, znajdujących się w skrytce. Rozejrzała się. Na szczęście klepki, za którymi, jak wiedziała, znajduje się skrytka, były nienaruszone. A więc żołnierze niczego nie znaleźli. Odetchnęła z ulgą. Gdyby wpadło im w ręce to niewielkie

zawiniątko, które powierzyła Halowi przed wyjazdem z Limmat, na pewno bardzo by się ucieszyli.

Miała nadzieję, że nie uznali za cenny przedmiot płóciennego futerału, zawierającego zestaw narzędzi. Powiodła wzrokiem po pokładzie i wreszcie go zobaczyła – leżał koło następnej ławki, odrzucony wzgardliwie przez tego, kto go znalazł. Tasiemki były częściowo rozwiązane. Zajrzała do środka. Narzędzia dziwnego kształtu i niewiadomego przeznaczenia leżały na swoich miejscach, w specjalnych kieszonkach. Żadna z nich nie była pusta, więc Lydia uznała, że niczego nie brakuje. Wsadziła futerał za pazuchę i podczołgała się do masztu – tam stała w chwili, kiedy żołnierze Doutra przyszli zaarrestować członków drużyny.

Oczy jej załśniły na widok pasa z bronią. Leżał obok koferdamu, tam, gdzie go upuściła. Wszystko było na miejscu: atlatl i długi sztylet – zwykła praktyczna broń, pozbawiona wszelkich ozdób, stalowe ostrze, osadzone w drewnianej rękojeści i połączone z nim mosiężną obręczą. Tylko Lydia wiedziała, jak doskonałej jakości jest to stal. Najwyraźniej żołnierze też nie zwrócili na to uwagi.

Zapięła pas poniżej wąskiego paska, którym spinała swą długą tunikę. Z przyjemnością poczuła znajomy ciężar na biodrach. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo jej go brakowało.

Znów usłyszała niespieszne kroki wartownika. Położyła się płasko między ławkami, w razie gdyby przyszło mu do głowy przeszukać łódź. Po chwili ruszył dalej, w stronę brzegu.

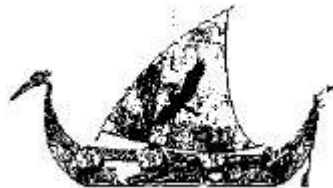
Znów przystanął. Nie mogła go za to winić. Miał potwornie nudną pracę, biedak musiał łączyć w tę i z powrotem po molo, przy którym stały zacumowane tylko dwie całkowicie puste jednostki.

No, puste przynajmniej przez większość czasu.

Znów usłyszała jego kroki. Wystawiła głowę i zobaczyła górną część jego ciała. Tak, poszedł sobie. Włócznie niedbale przerzucił na ramię. Lydia pomyślała, że za chwilę pewnie oprze ją o ścianę biura, by pozbyć się niewygodnego i niepotrzebnego ciężaru.

Teraz znikł z jej pola widzenia. Wyszła z obniżenia między ławkami i przeczłgała się na brzuchu na drugą stronę. Potem wyjrzała ostrożnie. Wartownik znajdował się w dwóch trzecich swej zwykłej trasy. Miała mnóstwo czasu na ucieczkę. Podciągnęła się i weszła na molo, potem, skulona w kucki, przemknęła na słabiej oświetloną stronę. Jeszcze raz upewniła się, że wartownik zmierza w przeciwnym kierunku, pobiegła na nabrzeże, przecięła ulicę i znikła w mroku. Wartownik dotarł do krańca molo, ziewnął i splunął w ciemne wody rzeki.

„Kolejna nudna noc”, pomyślał. „W tym mieście nic się nie dzieje.”



ROZDZIAŁ 23



Powinieneś wstać i trochę się poruszać – powiedział Edvin. Hal zmarszczył brwi.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że jestem cały w sińcach i obolały?

– Właśnie dlatego powinieneś się ruszać. Inaczej zeszywniejesz i kiedy stąd wyjdziemy, w ogóle nie będziesz mógł się ruszać – nie dawał za wygraną Edvin.

– Mnie też się wydaje, że to dobry pomysł – poparł go Stig.

Hal spojrział na niego. Łatwo było mu mówić. To nie jego sprali na kwaśne jabłko.

– A może jeszcze mam zatańczyć? Wtedy na pewno szybko się rozruszam.

Stig wzruszył ramionami.

– Jeśli tylko masz ochotę, to proszę bardzo.

Hal mruknął pod nosem coś mało pochlebnego. Chodziło o krótką analizę porównawczą możliwości intelektualnych Stiga i cierpiącego na demencję barana. Nie protestował jednak, kiedy Edvin pomógł mu się podnieść. Jęknął, kiedy pod wpływem ruchu ból przeniknął stłuczone mięśnie i kości.

Ingvar od razu znalazł się przy nim.

– Wszystko w porządku, Halu? – zapytał.

Hal rzucił mu wściekle spojrzenie.

– Jasne. Te dziwne dźwięki to objaw rozkoszy, wywołanej przedśmiertnymi drgawkami, które tak cudownie szarpią mym ciałem.

Zrobił na próbę kilka kroków, wspierając się na ramieniu Edvina. Pomyślał, że ma on rację, ale nie zamierzał przyznawać tego głośno. Rzeczywiście, ruch z pewnością stanowił najlepsze lekarstwo na obolałe mięśnie. Powoli pokonał całą długość celi i poczuł, że sztywność zaczyna opuszczać jego ciało. Był młody i bardzo sprawny, a obrażenia, choć bolesne, były powierzchowne. Doszli do ściany i odwrócili się. Edvin nadal mu towarzyszył, ale odsunął się nieco, żeby Hal sam sobie radził.

– Jesperze! Jesteś tam?

To znowu był głos Lydii, tak jak poprzednio dochodził z wysokiego zakratowanego okienka. Wszyscy spojrzeli na wąski otwór w murze i zobaczyli jej palce. Poruszyła nimi na powitanie. Hal odsunął się od Edvina, zapominając o bólu, i podbiegł do okna. Jesper był krok za nim.

– Lydio! – zawołał łagodnie. – Przyniosłaś narzędzia Jespera?

– Hal? – Wyraźnie słyszał ulgę w jej głosie. – Wszystko w porządku?

– Tak. Masz te narzędzia? – powtórzył. Ręka Lydii znikła, kilka sekund później zaś zobaczyli w otworze futerał z szarego płótna. Lydia zaczęła przepychać go między prętami.

– Mam – powiedziała. – Oto one.

Jesper z uznaniem kiwnął głową.

– Doskonale! – pochwalił, stając tuż pod oknem. – Rzuć je!

Futerał o wymiarach jakieś dwadzieścia centymetrów na dziewięć prześliznął się między

prętami, na chwilę zawisł na brzegu parapetu, po czym z metalicznym szczęknięciem wpadł prosto w nadstawione dłonie Jespera. Jesper prędko rozwiązał sznurek i sprawdził zawartość. Z zadowoleniem stwierdził, że niczego nie brakuje.

– Tak! – szepnął triumfalnie.

– To to? – zapytała Lydia z niepokojem. Nagle przestraszyła się, że może przyniosła nie ten zestaw narzędzi. W końcu nie miała pojęcia, jak wyglądają wytrychy.

– Sądząc po minie Jespera, tak – odparł Hal. – Dobra robota, Lydio. Miałaś jakieś problemy?

– Właściwie nie. Zaczumowali „Czaple” przy innym molo. Zajęło mi kilka minut, zanim ją znalazłam – odparła. – A, i wygląda na to, że ktoś przeszkukał łódź.

– Zrobił to Doutro. Próbował znaleźć skrytkę.

– Tak właśnie przypuszczałam. Ile czasu potrzebuje Jesper, żeby otworzyć drzwi?

Hal spojrział na Jespera, który już stał przy ciężkiej kracie, i powtórzył pytanie. Jesper zmarszczył brwi, z namysłem przyglądając się zamkowi.

– Dajcie mi parę minut. Zamek jest dość stary. To nie powinno długo potrwać.

Hal powtórzył jego słowa Lydii. Po chwili stwierdziła:

– Mogę trochę rzucać się w oczy, leżąc tak na ulicy z twarzą przyklejoną do okna.

Poczekam na was w bocznej uliczce, przy głównym wejściu.

– W takim razie do zobaczenia – powiedział Hal. Ręka Lydii znów wsunęła się do środka, palce pomachały na do widzenia. Potem rozległy się ciche kroki, a po chwili umilkły w oddali. Hal odwrócił się, by sprawdzić, jak sobie radzi Jesper.

Dziurka od klucza znajdowała się, rzecz jasna, na zewnątrz i Jesper musiał wysunąć rękę przez kraty, by jej dosięgnąć. Przyjrzał się tajemniczym narzędziom w futerale i wybrał dwa: cienki metalowy pręt, którego koniec wyginał się w dół pod kątem prostym i drugi, mniej więcej tej samej grubości, ale dwa razy dłuższy, o końcu łagodnie wygiętym w haczyk wielkości mniej więcej jednej trzeciej obwodu koła. Drugi koniec obu prętów był płaski i szeroki, co zapewniało dłoni dobre oparcie.

Jesper wysunął przez kratę pierwszy wytrych. Zaciśnął usta, maksymalnie skupiony, bo pracował całkowicie na wyczucie. Wsunął wytrych w zamek na kilka milimetrów, po czym obrócił go delikatnie. Rozległo się ciche szczęknięcie. Jesper z zadowoleniem kiwnął głową.

– Ta część operacji za nami – powiedział. – Trochę dziwnie. Zawsze pracuję od drugiej strony. Włamuję się, a nie wyłamuję.

Rozejrzał się. Wszyscy przyglądali się z zafascynowaniem. Skinął głową w stronę Stiga, stojącego najbliżej.

– Chodź, potrzyмай – poprosił. Stig podszedł bliżej, wyciągnął rękę przez kraty i chwycił płaski koniec wytrycha, który podał mu Jesper. – Trzymaj w jednej pozycji i nie ruszaj – powiedział Jesper. – Tym wytrychem można podnieść pozostałe zapadki. – Wysunął przez kratę wytrych o haczykowatym zakończeniu. – Potem wsadzę ten do środka i zamek powinien się otworzyć.

Marszcząc brwi, zaczął pracować w skupieniu. Wszyscy wstrzymali oddech. Jesper mruknął z niezadowoleniem. Pierwsza próba się nie powiodła. Teraz wszyscy westchnęli, rozczarowani. Odwrócił się i skrzywił.

– Nie tak szybko. Jest bardziej oporny, niż przypuszczałem. Podaj mi wytrych, Stigu.

Haczykowaty wytrych wsadził sobie między zęby i wziął od Stiga ten wygięty pod kątem prostym. Przekręcił go delikatnie w zamku. Znów usłyszeli słabe szczęknięcie. Jesper dał znak Stigowi, by znów potrzyмай wytrych. Potem jeszcze raz zaczął pracować drugim wytrychem, wsadził go do zamka i przesunął wzdłuż zapadek, wyczuwając wrażliwymi palcami, jak stawiają

opór.

Znów rozległo się szcęknięcie i jeszcze jedno, zaraz potem. Jesper, marszcząc brwi, wsunął wytrych głębiej, wyczuwając mechanizm zamka. Jego nadgarstek wygiął się przy tym pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i im dalej wsuwał wytrych, tym bardziej słabła jego siła nacisku.

W końcu rozległo się trzecie szcęknięcie i Jesper z zadowoleniem wypuścił oddech. Wysunął wytrych z zamka i wyszczerzył się do Stiga.

– Dobra – powiedział. – Teraz ty. Obróć wytrych, delikatnie, ale stanowczo.

Stig zawahał się. Nie miał pojęcia, czego tak naprawdę oczekuje Stig, a nie chciał wszystkiego zepsuć.

– W którą stronę?

– W lewo – odparł Jesper, po czym, zanim Stig zdążył obrócić wytrych, poprawił się pośpiesznie: – Nie! W prawo!

Stig spojrzał na niego.

– To w którą?

Jesper skrzywił się.

– W prawo. Wybacz. Zapomniałem, że pracuję z drugiej strony.

Stig potrząsnął głową i zaczął obracać wytrych w zamku. Przez chwilę nic się nie działo, więc zwiększył nacisk.

– Delikatnie – ostrzegł go Jesper.

Stig zazgrzytał zębami.

– Próbowałem delikatnie i nie podziałało.

Znów zaczął obracać wytrychem, stopniowo zwiększając nacisk. Nagle rozległo się głośne metaliczne „klank” i zamek się otworzył.

Pozostali członkowie drużyny głośno wyrazili swój podziw. Jesper delikatnie poklepał Stiga po muskularnym ramieniu.

– Tak jak mówiłem, delikatnie, ale stanowczo – powiedział.

Stig otarł czoło. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że się spocił. Potem pchnął kratę o kilka centymetrów, bo bał się, by przypadkiem się nie zatrasnęła, wyjął wytrych z zamka i podał go Jesperowi.

– Któregoś dnia będziesz musiał mi wytłumaczyć, jak to się robi.

– O, to bardzo proste – zaczął ksiązę złodziei. – W każdym zamku są... – urwał, kiedy Stig podniósł rękę.

– Powiedziałem „któregoś dnia”. To z pewnością fascynujące, ale teraz musimy się stąd zabierać.

– Jakiś pomysł, Thornie? – zapytał Hal. Na morzu to on rządził, ale Thorn był ich przywódcą podczas bitew, a Hal miał przecucie, że być może w najbliższej przyszłości będą zmuszeni stanąć do walki.

– Zróbmy to subtelnie – odparł Thorn. – Pójdziemy po schodach do pomieszczenia dla strażników, po cichu i dyskretnie. Potem znokautujemy wszystkich, których tam zastaniemy i skierujemy się do głównego wyjścia. Jeśli ktoś będzie próbował nam przeszkodzić, zostanie potraktowany równie bezwzględnie.

– I to ma być subtelne?

Thorn spojrzał na niego i wzruszył ramionami.

– Na tyle, na ile to możliwe. W każdym razie ta część z wchodzeniem po schodach jest subtelna. No, może powinienem był powiedzieć „zróbmy to jak najprościej”. – Odwrócił się w stronę otwartej kraty, ale powstrzymał go głos, dobiegający z głębi celi.

– A co ze mną? – To był Pedr. Wyciągnął przed siebie dłonie, odwrócone wnętrzem do góry, w błagalnym geście.

– Co z tobą? – powtórzył Hal. – Możesz pójść z nami.

– Ale ja nie chcę – odparł Pedr piskliwym głosem. – Kiedy moja żona wpłaci kaucję, będę wolny. A jeśli ucieknę z wami, Doutro zacznie mnie szukać i będę musiał opuścić Bayrath.

– W takim razie zostań – powiedział Hal.

Pedr jednak nadal miał zastrzeżenia.

– Jeśli zostanę i nie podniosę alarmu po waszym wyjściu, oberwie mi się za was – wyjaśnił. – Nie moglibyście mnie zwięzać albo coś?

Hal rozejrzał się po celi i potrząsnął głową.

– Nie mamy czym – zauważył słusznie. Stig położył mu rękę na ramieniu.

– Chyba wiem, jak rozwiązać ten problem – powiedział. Podszedł do Pedra, uśmiechnął się, ten odwzajemnił uśmiech, trochę nerwowo, niepewny, co Stig zamierza zrobić. A potem Stig poczęstował go mocnym prawym sierpowym. Pedr wyrznął na ziemię. Na szczęście wiązka brudnej słomy zamortyzowała upadek. Stig spojrzał na nieprzytomnego Pedra, leżącego z rozrzuconymi na boki nogami i ramionami.

– Miałem już trochę dosyć tego jego gładzenia – wyjaśnił.

Thorn uśmiechnął się szeroko.

– Dobra robota. Niezwykle subtelna.

– Mniej więcej jak samiec morsa – skomentował Stefan. Thorn rzucił mu niewinne spojrzenie.

– Samce morsa potrafią być bardzo subtelne, jeśli tylko chcą.

– Idziemy? – zaproponował Hal. – Lydia pewnie już się zastanawia, co z nami.



ROZDZIAŁ 24



Przelecieli przez pomieszczenie dla straży niczym huragan, Thorn, Stig, Ulf i Wulf na przedzie. Dozorca i trzech strażnicy nie mieli szans. Parę sekund i wszyscy leżeli na podłodze, nieprzytomni.

Przynajmniej w tym pomieszczeniu nie brakowało odpowiedniego wyposażenia, dzięki któremu drużyna miała pewność, że strażnicy nie podniosą alarmu po odzyskaniu przytomności. Na kołkach, wbitych w ścianę, wisiało chyba co najmniej z tuzin kajdanków. Hal i Stig zdjęli cztery komplety i podali je Stigowi i Thornowi. Skuli nieprzytomnych mężczyzn w ten sposób, że nadgarstki jednego połączyli z kostkami następnego. Powstała z tego dziwna spleciona masa. Ingvar zdjął płaszcz, wiszący na drzwiach i pociął go na pasy, którymi zakneblowali nieszczęśników.

Edvin przyjrzał się plątaninie ciał.

– Czy przypadkiem nie dajemy zbyt wyraźnie do zrozumienia, że uciekliśmy? – zapytał.

Hal przechylił głowę z namysłem.

– Otwarta cela świadczy o tym bardzo wyraźnie – odparł – więc to tutaj można uznać tylko za potwierdzenie.

Potem ruszyli do wyjścia na parterze. Nikogo więcej nie spotkali po drodze. W końcu był to budynek urzędowy, a nie garnizon, a większość pracowników dawno temu poszła do domu.

Kiedy wyszli na ulicę, rozglądając się ostrożnie, z wylotu bocznej uliczki usłyszeli cichy głos. Była to Lydia, która czekała na nich, kryjąc się w cieniu. Pospiesznie dołączyli do niej.

– Tędy – wskazała przed siebie.

Thorn zawahał się, jeszcze raz spojrzął na budynek, w którym urzędował gatmeister, zatrzymał wzrok na oświetlonym oknie na trzecim piętrze.

– On tam jest, prawda? – zapytał.

Lydia pobiegła za jego wzrokiem i kiwnęła głową.

– Pewnie tak. Gdzieś tam w każdym razie znajduje się jego gabinet. A czemu pytasz?

Thorn wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Mam ochotę złożyć mu wizytę. Podziękować za to, jak potraktował Hala.

– Ja też – wtrącił Ingvar. Wychynął z ciemności i stanął obok Thorna.

– Zapomnijcie. – Głos Hala brzmiał bardzo stanowczo. Spojrzeli na niego. – Jesteśmy wolni, nikt nas nie szuka. Jeśli teraz tam wrócimy, mogą nas znowu pojmać.

– Jestem gotów zaryzykować – odparł Thorn, a Ingvar kiwnął zgodnie głową. Hal jednak był nieprzejednany.

– Narazilibyście na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale również nas wszystkich. Dla kilku minut zemsty. To ja od nich dostałem i ja mówię, żebyście odpuścili. Rozprawimy się z Doutro innym razem.

Przez chwilę Thorn miał taką minę, jakby zamierzał się zbuntować. Potem jednak ustąpił

i uśmiechnął się szeroko do przyjaciela.

– Masz rację – przyznał. – Pewnie właśnie dlatego jesteś skirlem.

– Pewnie tak – zgodził się Hal. – A teraz ruszajmy do portu.

Lydia poprowadziła ich przez ciemne uliczki i wąskie zaułki. Tak jak i ona poprzednio, po drodze spotykali czasami jakieś postaci, skradające się w ciemnościach. Ale na widok grupy młodych Skandian zaraz zniknęły jak niepyszne.

Teraz, kiedy Lydia znalazła już drogę, dotarli nad rzekę w ciągu pięciu minut. Jeszcze chwila i znaleźli się naprzeciwko moła, przy którym cumowała „Czapla”. Stłoczyli się w cieniu jakiegoś sklepienia i obserwowali sytuację.

– Jest tylko jeden wartownik – powiedziała Lydia. – O, widać go.

Rzeczywiście, wartownik powoli szedł po moło w stronę ulicy.

– Co z nim zrobimy? – zapytał Hal.

Stig uśmiechnął się szeroko.

– Uważam, że tym razem też należy podzielać subtelnie. Poczekajcie.

Nim zdążył wyjść na jasno oświetloną ulicę, Hal chwycił go za ramię.

– Co ty wyprawiasz?

Stig wzgardliwie wskazał kciukiem wartownika, który przystanął i zaczął się drapać.

– Spójrz na niego! Nudzi się jak mops. Nie spodziewa się żadnych kłopotów. Śmiem przypuszczać, że będzie bardzo wdzięczny za chwilę niezobowiązującej pogawędki.

Hal zamyślił się. Uznał, że przyjaciel chyba ma rację. W końcu moło nie należało do miejsc, w których zachowywano jakieś wzmożone środki ostrożności. Można było swobodnie wejść na nie z ulicy. Wartownika postawiono tu właściwie tylko na wszelki wypadek. Hal kiwnął głową.

– Dobrze. Tylko bądź ostrożny. – Zęby Stiga zaśniły w ciemności.

– Będę subtelny. To właściwie mniej więcej to samo.

Wyszedł na ulicę i przeszedł na drugą stronę. Kciuki założył za pasek, zaczął gwizdać jakąś niezbyt melodyjną melodię i jak gdyby nigdy nic przyglądał się okrętom w porcie. Wartownik spojrział na niego z zaciekawieniem. Tak jak przewidział Stig, ucieszył się z drobnej odmiany w nudnej rutynowej pracy.

Stig wolnym krokiem ruszył w stronę wejścia na moło. Nagle przystanął i zaczął przyglądać się okrętowi, zacumowanemu obok „Czapli”. Wszedł na moło. Wartownik zagroził mu drogę, luźno dzierżąc włócznie przed sobą.

– A ty dokąd? – zapytał. Stig oderwał jedną rękę od paska i wskazał na okręt.

– Chciałem się przyjrzeć. Piękny, co? – Okręt wykończono błyszczącym drewnem i mosiężnymi okuciami, połyskującymi w słabym świetle latarni. Był świeżo pomalowany i doskonale utrzymany. Prezentował się wspaniale i raczej nie służył do przyziemnych, czysto praktycznych celów.

– Nic dziwnego – odparł wartownik. Nie pierwszy raz ktoś podziwiał ten okręt. Wartownik dodał z nutą dumy przypisanej właścicielowi w głosie: – To prywatny jacht gatmeistera.

Stig zagwizdał z podziwem.

– Doutro ma jacht? – powiedział takim głosem, jakby był pod wielkim wrażeniem. – A do czego on mu służy?

Wartownik, słysząc, że nieznajomy mówi o gatmeisterze po imieniu, całkiem się uspokoił. Tego typu ludzie z reguły zajmowali wyższe miejsce w łańcuchu pokarmowym niż zwykły wartownik. Oparł włócznie o pomost i pochylił się lekko do przodu.

– O, zabiera współników na wycieczki, kiedy chce dostarczyć im rozrywki. Wozi ich po

rzece. Dziewczyny, piwo, dużo dobrego żarcia. Widywałem naprawdę dzikie balangi na tej łajbie, powiadam ci.

Wcale nie widywał, ale chciał zrobić na nieznanym wrażenie człowieka, który wie, co dzieje się w mieście. Stig skinął głową z podziwem.

– Nie wątpię. A nie wiesz, ile za nią chce?

Wartownik zrobił zdumioną minę.

– Jak to? Co masz na myśli?

Stig wskazał na okręt.

– Na tabliczce napisano, że jest na sprzedaż – powiedział. Jego rozmówca odwrócił się.

Stig westchnął. To było aż za proste. Wartownik pięknie wyeksponował szczękę i nawet nie zdążył zauważyć miażdżącego lewego sierpowego.

Kolana ugięły się pod nim i padł na deski pomostu. Stig złapał jeszcze włócznię, która wymknęła się z bezwładnej dłoni, by nie narobiła hałasu, uderzając o pokład. A potem zmarszczył nos. Mógł sobie oszczędzić wysiłku. Wartownik, odziany w kolczugę, tak huknął o drewniane molo, że i tak nikt nie usłyszałby słabego szczęknięcia włóczni.

Pochylił się, chwycił nieprzytomnego za przedramiona i prędko zaciągnął go za stos więcierzy, za którym wcześniej chowała się Lydia. Potem wrócił, podniósł włócznię i zabrał ją, w razie gdyby jakiś przechodzień zaczął się zastanawiać, gdzie jest jej właściciel. Rozejrzał się, upewnił, że nikt go nie widzi, po czym wrócił do swych towarzyszy.

Kilka sekund później grupka ciemnych postaci przecięła ulicę i wbiegła na molo, kryjąc się po nieoświetlonej stronie.

Hal podszedł do Stiga.

– Żadnych problemów?

– Zupełnie go zaskoczyłem. Ale wiesz co? Ten elegancki okręcik, zacumowany obok naszej „Czapli” to prywatny jacht Doutro – odrzekł Stig.

Hal przez chwilę przyglądał się okrętowi.

– Doprawdy? – powiedział z namysłem. A potem, sprawdzwszy, że nikt z przechodniów nie patrzy w ich stronę, przywołał drużynę.

– Dobra. Wejdźcie na pokład i zajmijcie stanowiska. – Polizał palec i chwilę potrzymał go w powietrzu. Wiał wiatr od lądu. – Kiedy tylko odbijemy od molo, stawiamy żagle.

Kiedy tamci wchodzili na pokład, poprosił Thorną:

– Zrób pochodnię, dobrze? Mam ochotę narobić trochę zamieszania.

Thorn kiwnął głową i podszedł do stosu przeróżnych sprzętów, leżących obok skonfiskowanych więcierzy. Nie brakowało między nimi smołowanej liny i suchego płótna. Wziął po kawałku i owinął nimi kawałek drewna. Rozejrzał się dokoła. Zobaczył, że pod latarnią stoi naczynie z olejem, którym napełniano szklany pojemnik. Przyniósł go i otworzył, połał olejem płótno, aż nasiąkło porządnie.

Hal stał przy sterze i właśnie zdejmował pętlę, którą nim opuścili „Czaple” zablokował rumpel, by nie walił o burtę pod wpływem ruchów wody. Kątem oka ujrzał błysk saksy Thorną, gdy uderzył nią o krzemień. Potem jeszcze raz. Potem przerwał. I nagle pokazał się nieśmiały blask, z którego po chwili wyrósł żółty płomień. Nasączone olejem płótno i smołowana lina szybko zajęły się ogniem. Thorn podniósł się z kucek, przeszedł przez molo i zeskoczył na pokład „Czapli”. Stig już czekał przy cumie dziobowej. „Czaple” zacumowano dziobem w stronę rzeki, co znacznie ułatwiało im zadanie.

– Rzuć! – zawołał Hal. Usłyszał miękkie uderzenie, gdy lina spadła na pokład. Teraz Stig podbiegł do cumy rufowej i tę również rzucił na pokład. Potem sam wskoczył do łodzi, która zakołysała się pod jego ciężarem.

– Prawy żagiel! – zawołał Hal. Stefan i Jesper postawili żagiel. Ingvar i Lydia, stojący na dziobie, odpychali łódź wiosłami od molo, tak by dziób skierował się w stronę środka rzeki. Liny zagrzechotały w blokach – ten dźwięk podpowiedział Halowi, że bliźniacy już pracują przy szotach. „Czapla” zaczęła pruć ciemne wody rzeki, z każdą sekundą nabierając prędkości. Hal uśmiechnął się do Thorny, który stał tuż obok z płonąca pochodnią w lewej ręce.

– Może chcesz już się tego pozbyć? – zapytał, pokazując na pochodnię, a potem na wspaniały okręt, który znajdował się teraz w odległości zaledwie paru metrów od rufy „Czapli”. Thorn kiwnął głową i rzucił pochodnię na pokład okrętu, a konkretnie na zwój lin. Przez chwilę nic się nie działo, a potem smołowana lina zajęła się ogniem. Płomienie buchnęły w górę i po kilku sekundach zajął się cały takielunek. Pożar na pokładzie statku, gdzie znajduje się tyle suchego drewna i smołowanych lin, to poważna sprawa.

Hal usłyszał, jak ktoś krzyknął ostrzegawczo, a potem po lewej stronie zobaczył łódź strażników. Wiosłowali w ich kierunku. Potem usłyszał głos Lydii, która wykazała się refleksem i krzyknęła:

– Pali się!

To było idealne usprawiedliwienie ich obecności na rzece. Nikt normalny w takiej sytuacji nie czekałby beczynnie, aż jego własny okręt zajmie się ogniem, tylko starałby się jak najprędzej oddalić od źródła zagrożenia. Lydia jednak jeszcze nie skończyła.

– Okręt gatmeistera płonie! Sprowadźcie pomoc! – krzyknęła, wskazując na okręt, którego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle płomieni.

To wystarczyło, by odwrócić uwagę strażników. Kiedy usłyszeli, że płonie okręt, należący do najpotężniejszego człowieka w Bayrath, cała reszta przestała ich obchodzić. Hal usłyszał, jak jeden ze strażników wydaje rozkazy, a potem długa niska łódź minęła ich z lewej strony, spiesząc na ratunek okrętowi Doutro. Nagle kaskada iskier spadła na łódź strażników i sternik w ostatnim momencie zdołał pociągnąć rumpel i zrobić zwrot w drugą stronę. Widocznie uznał, że w tej sytuacji jednak lepiej się nie wychylać. W końcu gatmeister nie był jego przyjacielem ani bliską mu osobą.

„Czapla” wypłynęła już z portu. Po lewej stronie ciągnęły się stojące nieruchomo łodzie i zapora. Hal spojrzał w prawo, by upewnić się, że są sami na rzece.

Potem skierował „Czaplę” w prawo. Gdy nabrali prędkości, rozległ się tak dobrze im znany szum fali dziobowej.

Thorn obejrzał się przez ramię. Już cały okręt stał w ogniu. Na twarzy Thorny pokazał się szeroki uśmiech.

– Czy ja się nie przesłyszałem? – zapytał. – Ten okręt naprawdę należał do Doutro?

– Owszem – odparł Hal zdawkowo, a Thorn pokręcił głową z rozanieloną miną.

– Cudownie – stwierdził. – Po prostu cudownie.



ROZDZIAŁ 25



Nie wszczęto pościgu.

Wszyscy żołnierze i strażnicy byli zajęci gaszeniem pożaru, pochłaniającego okręt Doutro. Po kilku minutach maszt spadł na molo, stosy desek i skonfiskowanego sprzętu zajęły się ogniem. Kiedy „Czapla” pokonywała pierwszy zakręt, nocne niebo rozświetliła ognista luna.

Lydia przeszła na tył łodzi i stanęła koło steru, wpatrzona w pomarańczowy blask, widoczny nad cyplem, który właśnie okrążali.

– No tak, to chyba skutecznie odwróciło ich uwagę – stwierdziła. Hal uśmiechnął się do niej. Ale Stig z namysłem potarł podbródek.

– Wiecie, tak myślę... – zaczął powoli, a Hal zawołał do Edvina, stojącego na śródpokładziu:

– Edvin! Zapisz dzisiejszą datę. Właśnie wydarzyło się coś niespotykanego.

– Bardzo śmieszne – parsknął Stig. Edvin podniósł wzrok znad robótki i potrząsnął głową. – Mógłbym się wypowiedzieć? – zapytał Stig. Hal zrobił łaskawy gest wolną ręką.

– Bardzo prosimy.

– A więc tak sobie my... – Stig urwał, bo zdał sobie sprawę, że jeśli znów powie „myślałem”, narazi się na kolejne sarkastyczne uwagi, i podjął: – ...tak się zastanawiałem... tak, właśnie, zastanawiałem się. Dlaczego nie próbujemy czegoś podobnego, zamiast porywać się na przeprawę Dzikim Bystrzem?

– Podobnego do czego? – zapytał Hal.

Stig wskazał na lunę na niebie.

– Moglibyśmy wznieść kolejny pożar i kiedy wszyscy będą zajęci gaszeniem go, otworzyć zaporę i po prostu przez nią przepłynąć.

– Teraz? – zapytał Thorn.

Stig niecierpliwie potrząsnął głową.

– Nie. Teraz wszyscy są w stanie pogotowia. Moglibyśmy wrócić jutro w nocy. Prześliznąć się do miasta, wznieść pożar, wrócić na łódź i przepłynąć przez zaporę.

Hal przez chwilę rozważał ten pomysł, ale potem potrząsnął głową.

– Zbyt ryzykowne – uznał. – To jednak trochę co innego wypłynąć z portu, kiedy wszyscy są zajęci gaszeniem pożaru a przepłynąć przez zaporę. W takim przypadku musielibyśmy zrobić abordaż na jedną z tych łodzi, stojących obok zapory, pokonać załogę, a potem jeszcze wykombinować, jak działa mechanizm. Przez ten czas już by nas zauważono.

Stig zacisnął wargi i zamyślił się.

– Pewnie tak – przyznał w końcu. Słysząc było jednak, że nie jest do końca przekonany.

– W dodatku – podjął Hal – stracilibyśmy kolejny dzień, a na to nie możemy sobie pozwolić.

– Słuszna uwaga – zgodził się Stig. – Ale może nie zapominajmy całkiem o takim rozwiązaniu.

Hal kiwnął głową. Chciał, żeby wszyscy członkowie drużyny dzielili się swoimi pomysłami. Gdyby od razu odrzucił pomysł Stiga, zniechęciłby pozostałych.

– Jasne, nie zapominajmy – uśmiechnął się. – Musimy brać pod uwagę różne opcje, póki nie zobaczymy tego Dzikiego Bystrza.

– Z opisu wydaje się dość przerażające – stwierdził Stig.

– Pamiętaj – Hal wzruszył ramionami. – Pedr nie był człowiekiem morza, nie wiedział nic na temat łodzi i okrętów. Poza tym nigdy nie widział bystrza na własne oczy. Ludzie lubią przesadzać. Pewnie w rzeczywistości wygląda to znacznie lepiej.



– W rzeczywistości wygląda to znacznie gorzej – powiedział Stig. Hal musiał się z nim zgodzić. Patrząc na Dzikie Bystrze, czuł, że opuszcza go odwaga.

Wczesnym świtem znaleźli odnogę i skręcili w nią. W miarę, jak posuwali się do przodu, stawała się coraz węższa, nurt zaś coraz szybszy, woda pędziła wzdłuż brzegów, gładka i lśniąca jak olej z powodu wielkiej prędkości.

Brzegi zaś wznosiły się coraz wyżej, a bystrze zaczęło opadać w dół. Z powodu tak wielkiej prędkości Hal z trudem panował nad sterem. Opuścili żagiel i zasiedli do wiosła.

Bystrze wiło się licznymi zakrętami, więc Hal nie wiedział, co ich za chwilę czeka. Słyszał jednak głęboki huk, gdzieś tam z przodu, stały, monotony i wciąż przybierający na sile. Wreszcie zobaczył miejsce, w którym mogli się zatrzymać: niewielkie wcięcie, osłonięte wystającą skałą, gdzie nurt się uspokajał, a brzeg tworzył płaską i łagodną linię.

– Wiosła wstecz! – krzyknął, nieco głośniejszy niż zamierzał. Wioślarze siedzieli przy wszystkich sześciu wiosłach, teraz wsparli się na nich, by łódź wytraciła prędkość. Zadrżała, zwolniła i skręciła lekko, unoszona prądem zbliżyła się do brzegu i po chwili otarła o niego dziobem.

Stefan szybciej niż zwykle zeskoczył na brzeg, obwiązał cumę dokoła potężnego drzewa, a jej koniec przywiązał do pacholka.

– A więc chodźmy rzucić okiem na to Dzikie Bystrze – powiedział Hal.

Hal, Stig i Thorn zeszli na brzeg i zaczęli wspinać się po stromym zboczu. Czekало ich niełatwe zadanie. Ziemia była miękka i błotnista, skały, nieustannie skrapiane wodnym pyłem, mokre i śliskie. W końcu wdrapali się na samą górę i spojrzeli na wodę, płynącą wąskim nurtem daleko pod nimi. „Czapla”, zacumowana bezpiecznie za skalistym cyplem, wyglądała jak zabawka. Hal wskazał na miejsce, gdzie nad rzeką unosiła się wysoko drobna mgiełka rozpylonej wody, chwytając promienie porannego słońca.

– Chyba zmierzamy w tamtym kierunku – powiedział.

Thorn z powątpiewaniem potrząsnął głową.

– Wygląda groźnie – stwierdził.

Potem ruszyli przed siebie i po pół godzinie dotarli do miejsca, z którego mogli obejrzeć bystrze w pełnej okazałości. Woda, gładka i ciemna, pędziła w dół między stromymi brzegami, które gdzieniegdzie zbliżały się do siebie na odległość zaledwie pięciu metrów. W najwęższych miejscach woda nabierała jeszcze większej prędkości. Skały wznosiły się pionowo, nigdzie nie było widać miejsca, w którym można by przybić do brzegu. A więc nie będą mogli zatrzymać się aż do samego końca.

Przez jakieś trzysta metrów rzeka tworzyła prosty odcinek. Powierzchnia wody była czarna i gładka jak jedwab – za wyjątkiem miejsc, w których wynurzały się mokre lśniąca skały. Woda kłębiła się dokoła nich i rozbijała w fantazyjnych pióropuszcach piany, w powietrzu unosiła

się delikatna mgiełka wodnego pyłu. U wylotu wąwozu odbite w niej promienie słońca tworzyły dziesiątki tęczy.

– Jeśli będziemy trzymać się środka, powinno się udać – stwierdził Stig, próbując w ten sposób przekonać siebie samego w takim samym stopniu jak pozostałych. – Te skały wystają bliżej brzegu, nie pośrodku, gdzie woda jest głębsza.

– Za wyjątkiem tej jednej – zauważył Thorn, wskazując swym drewnianym hakiem przed siebie.

Rzeczywiście, w jednym miejscu, mniej więcej w jednej trzeciej szerokości koryta rzeki, patrząc od lewego brzegu, wyrastała ogromna czarna skała. Woda rozbijała się o nią brutalnie i bryzgała wysoko w górę. Stig zagwizdał cicho.

– Wygląda paskudnie – stwierdził. I miał całkowitą rację. W dodatku, żeby było jeszcze gorzej, rzeka, która do tej pory płynęła mniej więcej w prostej linii, tutaj skręcała w prawo pod kątem trzydziestu stopni. Skała znajdowała się po zewnętrznej stronie łuku.

– Jeśli w nią walniemy, to po nas – powiedział Thorn. Hal spojrział na niego, po czym ukląkł i podpierając podbródek na dłoni, zaczął uważnie przyglądać się fatalnemu zakrętowi.

– To tylko tak źle wygląda – powiedział w końcu. Przyjaciele popatrzyli na niego jak na kogoś niespełna rozumu.

– I może chcesz powiedzieć, że wygląd o niczym nie świadczy? – zapytał Stig, ale Hal potrząsnął głową i wyciągnął rękę przed siebie.

– W miejscu, gdzie woda rozbija się o skałę, wytwarza się dodatkowe ciśnienie. Woda gromadzi się przy skalnej ścianie i nie ma dokąd odpłynąć. I wtedy, tak jakby się cofa. Tak mi się wydaje. Jeśli ustawimy się odpowiednio, woda odrzuci nas od skały.

– A jeśli nieodpowiednio? – zapytał Stig.

Hal wzruszył ramionami.

– Wolę się nie zastanawiać.

Przez chwilę milczał, obliczając w myślach prędkość i siłę nurtu.

– Dwóch będzie musiało ostro wiosłować – stwierdził w końcu.

Stig zmarszczył brwi.

– Po co tracić energię na wiosłowanie? Przecież nurt nas uniesie.

– Właśnie o to chodzi – odparł Hal. – Musimy poruszać się trochę szybciej niż rzeka, bo inaczej nie będę mógł sterować. Posadźmy przy wiosłach Ulfa i Wulfa. Reszta stanie na dziobie i rufie i w razie czego będzie odpychać łódź od skał. – Urwał, zagryzł wargi i po namyśle dodał:

– Potrzebuję dłuższego rumpla. Takiego, który zapewni większy nacisk i pozwoli pokonać siłę nurtu.

– Użyj wiosła – poradził Thorn.

Hal kiwnął głową.

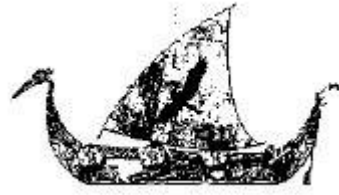
– Chyba powinno być dobrze. – Nagle podniósł się i otrzepał kolana z wilgotnej ziemi. – Dobra, rzućmy okiem jeszcze raz i spróbujmy zapamiętać, w którym miejscu są te skały. A potem wracamy na „Czaple” i ruszamy dalej.

– Chcesz to zrobić teraz... dzisiaj? – Głos Stiga brzmiał bardzo cicho na tle huku wzburzonej wody.

– Nie mamy czasu do stracenia. A odkładanie na później nie uczyni tej przeprawy łatwiejszą – odparł Hal.

Stig spojrział ponuro na rzekę, kłębiącą się w dole.

– Jesteś pewien? – zapytał.



ROZDZIAŁ 26



Ruszyli w drogę powrotną, ślizgając się na zdradliwym błotnistym brzegu. W końcu wychynęli spomiędzy drzew. Wpatrywało się w nich siedem par oczu. Jesper zapytał głośno o to, o czym wszyscy myśleli:

– I jak?

Hal, Stig i Thorn popatrzyli prędko na siebie.

– To chyba wystarczająca odpowiedź – stwierdził Jasper. Hal jednak zaczął go zapewniać:

– Nie, nie! Nie jest wcale tak strasznie. Naprawdę. – Zwrócił się do pierwszego oficera: – Prawda, Stigu? – Stig jednak zawahał się o sekundę za długo.

– Nie, nie. Wygląda... trochę dziko. Ale damy sobie radę.

Słowa „mam nadzieję” wisiały w powietrzu niewypowiedziane, wszyscy jednak jakby je usłyszeli. Hal powiódł wzrokiem po przybitych twarzach.

– Będzie dobrze. Tylko musimy sprawnie współpracować – powiedział.

Jesper nadal miał sceptyczną minę.

– Może powinniśmy jednak rozważyć pomysł Stiga – zaproponował. Kiedy Hal spojrział na niego, zdezorientowany, dodał: – Może powinniśmy spróbować sforsować zaporeę.

Stefan mruknął jakoś tak niezdecydowanie. Bliźniacy zrobili niepewne miny. Edvin również się wahał. Tylko Lydia zachowała obojętność. Nie znała się na żeglowności, nie rozumiała całej sytuacji i nie wiedziała, jakie rozwiązanie będzie najlepsze.

Ingvar wystąpił do przodu i popatrzył Halowi prosto w oczy.

– Halu, czy naprawdę uważasz, że nam się uda?

Hal zawahał się, a potem przytaknął.

– Tak, Ingvarze. Tak sądzę – odparł z przekonaniem. W dużej części problem wynikał z tego, że pozostali członkowie załogi nie widzieli bystrza. Owszem, było ono przerażające, ale ich wyobraźnia czyniła je znacznie straszniejszym, niż było w rzeczywistości.

Ingvar kiwnął głową.

– A więc skoro Hal twierdzi, że się uda, to ja jestem gotów zaryzykować – oznajmił.

Pozostali poparzyli na siebie z zakłopotaniem. Jesper zaszurał stopami.

– Problem sprowadza się do pytania – zaczął Thorn – na ile wierzycie w zdolności Hala jako sternika. I w jego umiejętność racjonalnej oceny sytuacji. – Zwykle stary wilk morski nie brał udziału w tego typu rozmowach i powstrzymywał się od podejmowania decyzji, chyba że chodziło o bezpośrednią walkę z wrogiem. Podobnie jak Hal domyślał się, że na osąd chłopców ma wpływ strach przed nieznanym i chciał skupić ich uwagę na bardziej konkretnych aspektach całego przedsięwzięcia.

I poruszył bardzo istotną kwestię. Wszyscy zdążyli już poznać talent Hala, niebywałą zdolność, z jaką potrafił ocenić prędkość, mierzyć kąty i odległości. Na chwilę zapadła cisza, potem zaś Jesper kiwnął głową.

– Dobrze – powiedział. – Spróbujmy.

Pozostali przyłączyli się zgodnie do niego i nastrój w drużynie zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Hal skorzystał z okazji i od razu przedstawił podział ról podczas czekającej ich przeprawy.

– Ulf i Wulf, wy będziecie wiosłować. Łódź musi poruszać się z nieco większą prędkością od nurtu rzeki, bo inaczej stracę panowanie nad sterem. Musimy utrzymać kurs środkiem rzeki i wszystko będzie dobrze.

– Nie licząc tego ostatniego zakrętu – dodał Stig bez zastanowienia. Hal miał ochotę kopnąć go w kostkę. Wszyscy z napięciem spojrzeli na Stiga.

– Co z tym ostatnim zakrętem? – zapytał Edvin.

Stig spojrział na Hala z przeproszącą miną.

– Bystrze przez cały czas tworzy prosty odcinek, ale na końcu skręca w prawo – wyjaśnił Hal. – Z jednej strony wznosi się potężna skała, którą trzeba jakoś wyminąć. Stigu, chcę, byś stanął na dziobie i w razie potrzeby odpychał nas wiosłem.

– Ja też mogę to robić – powiedział Ingvar, po czym dodał z wahaniem: – Tylko że nie widzę zbyt dobrze.

– Możemy pracować razem – wtrąciła Lydia. – Ja ustawię wiosło w odpowiedniej pozycji, a ty będziesz pchał. – Ingvar od razu wyjaśniał. Nie cierpiał, kiedy nie mógł się na nic przydać z powodu kiepskiego wzroku.

– To chyba wystarczy – stwierdził Hal. Od razu poczuł się bezpieczniej, gdy wyobraził sobie Ingvara, stojącego na dziobie i z całej siły odpychającego łódź od wielkiej czarnej skały. Spojrział na Thornę, który potrzęsął głową.

– Ja się chyba nie nadaję – stwierdził stary wilk morski. – Moja proteza jest pierwszorzędnej jakości, ale nie da się poruszać nią z taką zręcznością.

Hal przytaknął. Pomyślał o tym samym, ale nie chciał głośno tego mówić. Pomyślał też, że jeszcze nie tak dawno temu Thorn nigdy by się nie przyznał do jakiegokolwiek słabości. Hal miał dla niego inne zadanie.

– W takim razie stań koło masztu i wypatruj skał, korzeni i wszelkich innych przeszkód. Edvin, Jesper i Stefan, wy staniecie na rufie i też będziecie odpychać łódź wiosłami. Kiedy Stig i Ingvar będą odpychać „Czapkę” od tej wielkiej skały, musicie pilnować, by nie trafiła w nią rufę. Zrozumiano?

Wszyscy pokiwali głowami. Teraz, kiedy każdy miał jakieś zadanie, strach przed nieznanym nieco ustąpił. Hal odczepił rumpel, a zamiast niego przywiązał do steru wiosło. Pokręcił nim na próbę, poczuł, jak ster przecina wodę. Dziób łodzi unieruchamiała cuma, więc poruszyła się tylko rufa. Pozostali przyglądali się z zainteresowaniem.

– W ten sposób zwiększy się siła nacisku – wyjaśnił. Potem uchwycił spojrzenie Edvina i powiedział: – Edwinie, kiedy cię zawołam, rzucasz wszystko i biegniesz mi pomóc. Mogę potrzebować dodatkowej pary rąk. – Potem wziął głęboki wdech. – Dobra. Wszyscy na stanowiska.

Członkowie drużyny ruszyli do wyznaczonych sobie zadań, na pokładzie rozległ się tupot kroków. Ulf i Wulf zasiedli na ławkach żeglarskich. Kiedy Ulf zajął miejsce przy lewej burcie, Wulf spojrział na niego, podpierając się pod boki.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał.

Ulf podniósł wzrok.

– Dzisiaj będę wiosłować po tej stronie.

Wulf zazgrzytał zębami.

– To ja wiosłuję z tej strony. Zawsze tak było.

– Cóż, drobna zmiana nie zaszkodzi – odparł lekko Ulf. Wulf już wszedł między ławki, kiedy Hal go powstrzymał:

– Znów zaczynacie? Nie zapominajcie, co obiecaliście.

– Nie jesteśmy na morzu – odparł Wulf. – Tamta zasada dotyczy tylko sytuacji, kiedy jesteśmy na morzu.

– Rzeka to jakby część morza – powiedział Hal. – W końcu wpada do niego, prawda?

– Pewnie można tak powiedzieć – zgodził się Wulf, a Ulf pokiwał głową z namysłem.

– Na pewno warto tę kwestię rozważyć.

– Tak czy inaczej, pamiętajcie, co obiecał wam Ingvar. – Hal odwrócił się w stronę dziobu i zawołał: – Ingvarze!

Potężny chłopak odwrócił się i ruszył w ich stronę. Kiedy znalazł się koło bliźniaków, przystanął i zmierzył ich wzrokiem. Ingvar z bliska przedstawiał dość niepokojący widok.

– Ingvarze, jak uważasz, czy rzekę można uznać za część morza? – zapytał Hal.

Ingvar przytaknął.

– O, zdecydowanie.

Ulf i Wulf popatrzyli na siebie. Hal uśmiechnął się do nich lodowato, a potem wskazał głową na czarną rozpedzoną rzekę.

– Chcielibyście wylądować w tej kipieli? – spytał, a oni pospiesznie potrząsnęli głowami i zaczęli zapewniać, że nie, oczywiście wcale nie uważają, że byłaby to przyjemna kąpiel, o nie. Hal spojrział znacząco na ławki wiosłarskie i bracia pokornie zajęli swoje miejsca, Ulf po lewej, a Wulf po prawej stronie.

– Dziękuję ci, Ingvarze – powiedział Hal.

– Zawsze do usług. – Ingvar ruszył z powrotem, ostrożnie wymijając zwoje lin i stopy sprzętu. Hal zauważył ukradkowe uśmiechy na niektórych twarzach i spojrział podejrzliwie na bliźniaków. Ich drobne przedstawienie odwróciło uwagę pozostałych od czekającego ich niebezpieczeństwa. Zastanawiał się, czy zrobili to specjalnie. Zaraz jednak uznał, że nie warto się nad tym głowić. Nawet jeśli tak, ich pokrętna natura nie pozwoliłaby im się do tego przyznać.

– Odwiąż cumy, Stefanie – polecił. Stefan odwiązał cumę od pacholka, po czym ją zwinął. Łódź zaczęła wierzgać niczym nerwowy rumak, mimo że znajdowali się na spokojnych wodach.

– Obie wstecz – zawołał Hal. Ulf i Wulf zaczęli wiosłować w tył. – Obie w przód – polecił teraz Hal. Poruszył sterem, a łódź natychmiast odpowiedziała. Długie pióro wiosła działało z większą siłą niż rumpel, dziób prędko zatoczył łuk.

Znaleźli się na środku rzeki, bystry nurt natychmiast porwał ich ze sobą.

– Nie przestawajcie wiosłować! – krzyknął Hal, gdy popędzili do przodu. Gdyby stracili panowanie nad łodzią, nurt porwałby ją jak bezwładny kawałek drewna. Hal poczuł, że rufa zaczyna skręcać w lewą stronę, więc poruszył sterem, by utrzymać łódź pośrodku koryta. Ryk rzeki odbijał się echem od stromych ścian kanionu. Nie rosło tu ani jedno drzewo, nie było miejsc, w których można by przybić do brzegu – tylko kamienne ściany, wyrastające pionowo z wody na dziesięć metrów albo i więcej.

„Czapla” pomknęła przed siebie. Z góry powierzchnia wody wyglądała na gładką, ale z bliska okazało się, że oddaje ona kształt dna, raz opada, to znów unosi się w miękkich fałdach. Łódź kołysała się na nich i podskakiwała. Dziób skierował się ostro w dół, pruł rzekę, wzdłuż burt wznosiły się wysokie fale, pryskała spieniona woda. Hal wyczuwał teraz doskonale każdy ruch „Czapli” i cały czas pracował sterem, by utrzymać kurs.

– Skąły! – krzyknął Thorn, wyciągając rękę w prawo. Stig natychmiast zareagował, podbiegł do sterburty i oparł wiosło o czarny lśniący kształt, wystający z wody. Hal poczuł, że

dziób skręca w lewo, co z kolei sprawiło, że rufa skierowała się w prawo, w stronę skały. Gorączkowo wychylił wiosło od siebie i przytrzymał tak, aż zostawili czarny kiel w tyle – mijając go zaledwie o dwa metry.

„Czapla” znów rzuciła się do przodu, w dół rzecznej progę, prosto we wzburzone wody. Kątem oka Hal zobaczył, jak Stefan traci równowagę, pada na pokład i prędko się podnosi. Znów zarzuciło rufę. Tym razem Hal nie mógł zapanować nad jej ruchem.

– Ulf! Wstecz! – krzyknął. – Wulf, naprzód! Z całej siły!

Połączone siły wiosła, pracujących w przeciwnych kierunkach, i wiosła sterowego, sprawiły, że dziób nakierował się z powrotem na prawidłowy kurs.

– Obie naprzód! – zawołał.

Serce waliło mu w piersi jak szalone, w gardle zaschło. Ta chwila, gdy poczuł, że traci kontrolę nad łodzią, była naprawdę przerażająca.

Pomknęli dalej, skały po obu stronach migwały w niesamowitym tempie. Thorn krzyknął do Stiga, który odepchnął łódź od kolejnej zdradzieckiej skały. Tym razem dołączyła do niego Lydia, a Ingvar stanął tuż za nią w gotowości, by na jej polecenie pchnąć wiosłem z całej siły.

Hal poczuł szarpnięcie, dziób oddalił się od skały. Pomyślał, że to dobrze wróży, bez trudu powinni pokonać zakręt na samym końcu. Instynktownie poprawił położenie steru. Znów za burtą mignęła skała, zaledwie parę metrów dalej. Teraz jednak uznał tę odległość za bezpieczny margines.

Poczuł, jak pokład rośnie pod jego stopami, kiedy „Czapla” uniosła się na wypukłości pośrodku rzeki. Najwidoczniej w tym miejscu znajdowało się jakieś wybrzuszenie w dnie. Przygiął kolana i przygotował się, że łódź zaraz zacznie myszkować. Przez kilka sekund „Czapla” ślizgała się w dół, odwrócona pod kątem w stosunku do głównego nurtu, ale Hal pchnął ster, opierając się prawą stopą o burtę, by zwiększyć siłę nacisku, i po chwili dziób ustawił się w prawidłowej pozycji. Nagle łódź zanurzyła się w jakimś niewidzialnym zagłębieniu, woda wdarła się na pokład przez dziób i burty. Po kilku sekundach Hal był całkowicie przemoczony.

Pomyślał, że jeśli to się powtórzy, będą musieli zacząć wybierać wodę. Wyraźnie czuł, że łódź zrobiła się cięższa. Dziwna sprawa, ale to chyba pomogło – teraz zdawała się bardziej stabilna i nie szarpała nią tak na wszystkie strony.

Spojrzał w lewo. Edvin, Stefan i Jesper odpychali się wiosłami od skały, ledwo widocznej nad powierzchnią wody. Ciężko przełknął ślinę. Nie zauważył wcześniej tej skały. Po chwili Thorn krzyknął i wskazał na kolejną przeszkodę, która mogła im zagrozić, Stig, Ingvar i Lydia znów przystąpili do pracy. Rzeka ryczała na nich, dźwięk odbijał się od skał, atakował ich zmysły. Rzeka była niczym złośliwa żywa istota, która próbowała uspić ich czujność, by po chwili zaskoczyć ich spiętrzoną falą albo wepchnąć brutalnie w jakiś rów, aż woda przyskała wysoko ponad masztem.

Pędzili przed siebie w przerażającym tempie. Hal nigdy wcześniej nie przeżył niczego podobnego. Czuł, jak teren obniża się coraz bardziej gwałtownie, jak z każdym metrem nabierają coraz większej prędkości. Ulf i Wulf wiosłowali zacięcie. Hal poruszał sterem. Wychylał go i przyciągał do siebie. Nagle przyszła mu do głowy przerażająca myśl, że nie powinien naciskać zbyt gwałtownie, bo może go złamać. Wtedy łódź wymknęłaby się spod kontroli i popędziła z nurtem, skazana na łaskę i niełaskę rozszalałej wody. Nie miał jednak wyboru, bo rzeka walczyła z nim, próbowała odebrać panowanie nad jego ukochaną „Czaplą”. Zaczął wymyślać rzece, wyzywać ją na pojedynek, prowokować. Słowa ginęły w ryku kipieli, gotującej się między skalnymi ścianami.

Usłyszał, jak Thorn coś krzyczy – niesamowite, ale głos starego wilka morskiego potrafił pokonać grzmot wodnego żywiołu – i pobiegł wzrokiem za jego ręką.

Przed nimi widać już było ostatni zakręt i wielką czarną skałę, zagradzającą im drogę. Z góry wyglądała całkiem zwyczajnie. Ale z dołu – jak ogromny klif, prawdziwy skalny mur.

Teren opadł gwałtownie i popędzili w dół z zabójczą prędkością. Skała była coraz bliżej. Hal przesunął ster, by zwrócić dziób w drugą stronę, ale nurt unosił ich i pchał prosto na skałę.

Widział, że Stig coś krzyczy, wydaje polecenia Lydii i Ingvarowi, lecz jego słowa ginęły, zagłuszone hukiem rzeki. „Czapla” nadal mknęła obłąkańczo przed siebie.

– Edvin! – krzyknął Hal. – Pomóż mi!

Edvin ruszył w jego stronę przez przechylony pokład. Całym ciężarem ciała wsparł się na sterze razem z Halem. Powoli łódź zaczęła zmieniać kierunek, dziób już nie mierzył prosto w czarną masę skały. Ale nurt nadal pchał ich na nią. Wtedy Stig wychylił się za lewą burty i wsparł wiosło o skałę. Lydia ustawiła się tuż za nim, a Ingvar stanął na samym końcu i we trójkę walczyli z nieubłaganim żywiołem. Hal znów przekonał się, co potrafi zdziałać siła Ingvara. Dziób odwrócił się od skały. Widział jednak, że to nie wystarczy. Że za chwilę rozbiją się o tę czarną złowrogą granitową ścianę. Bardziej poczuł, niż usłyszał paskudne szorowanie burty o skałę. Ogarnęła go rozpacz.

A potem, tak jak przewidział, cofająca się woda uderzyła w nich i pchnęła w prawo.

– Do tyłu! – krzyknął do Edvina i razem wsparli się na sterze, by łódź nie otarła się rufą o skałę, gdy „Czapla” obróciła się gwałtownie.

Przez chwilę czarna masa zawisała przed jego oczami, zdawała się tak bliska, że mógłby jej dotknąć. A potem znikła – „Czapla” znów pomknęła przed siebie, prując wodę dziobem i wznosząc wysokie pióropusze piany. Hal widział, jak Ingvar potyka się, a Lydia próbuje mu pomóc. Potem oboje padli na pokład. Stig przyglądał się temu ze śmiechem.

Nagle brzegi jakby się rozstały, koryto rzeki rozszerzyło się i „Czapla” wypłynęła na spokojne wody.



ROZDZIAŁ 27



Stopniowo koryto poszerzało się coraz bardziej, a nurt zwalniał. Unosili się z prądem, tylko od czasu do czasu Ulf i Wulf machnęli wiosłem, jeśli Hal chciał posłużyć się sterem. Widział, że wszyscy są wyczerpani, zarówno psychicznie, jak fizycznie. Sam też tak się czuł – przerażająca przeprawa Dzikim Bystrzem całkowicie pozbawiła go sił. Kiedy zobaczył pas ziemi, skierował łódź w stronę brzegu. Po chwili dziób zarył miękko z tak dobrze znanym im łagodnym dźwiękiem.

Stefan zeskoczył na brzeg, obwiązał cumę wokół drzewa i wrócił do łodzi. Jesper przywiązał koniec cumy do pachołka. Ruchy obu chłopców były pozbawione zwykłej sprężystości.

Pozostali członkowie drużyny patrzyli na nich apatycznie. Ogarnęło ich dziwne zniechęcenie. Podekscytowanie i strach, które narastały w nich podczas niebezpiecznej przeprawy, nagle znikły i zostało tylko wyczerpanie – adrenalina, przez cały czas krążąca w ich żyłach, nagle zaczęła opadać.

– Zatrzymamy się tu na jakąś godzinę – oznajmił Hal. Spojrzał na Edvina. – Mógłbyś przygotować coś do jedzenia?

Nie jedli od wypłynięcia z Bayrath. Członkowie drużyny powoli podchodzili do burty i zeskakiwali na brzeg. Poruszając się jak lunatycy, na polecenie Edvina zaczęli zbierać drzewo, potem zaś rozpalili ognisko. Thorn napełnił czajnik wodą z rzeki. Powiesił go nad ogniem i oznajmił:

– Dzisiaj żadnej ziołowej lury. Napijemy się kawy.

Edvin sprawdził zapasy.

– Niewiele już zostało – stwierdził, ale Thorn potrząsnął głową.

– To wykończymy zapasy. Nie ma co zostawiać na później. Potrzebujemy czegoś ciepłego i mocnego do picia. Teraz, w tej chwili.

Stig i bliźniacy przyłączyli się zgodnie do Thorny. Edvin kiwnął głową. Pomyślał, że wcześniej czy później musi nadejść ta chwila, gdy skończą się zapasy. A mocny orzeźwiający smak kawy kusił znacznie bardziej niż ziółka o ziemistym posmaku.

Tymczasem Hal obejrzał dokładnie dziób „Czapli”. Pamiętał to nieprzyjemne uczucie, kiedy otarli się o skałę na ostatnim zakręcie. Chciał od razu sprawdzić, czy to coś poważnego.

Od razu się uspokoił. Tylko jedna deska wgniotła się i popękała. Na klepce widniała blizna świeżego drewna, długości jakichś trzydziestu centymetrów. Prócz tego odleciała część materiału uszczelniającego i wypadł gwóźdź, którym klepka była przybita do ramy. Ale na szczęście klepka nie pękła, te niewielkie uszkodzenia można było z łatwością naprawić.

Tyle że akurat w tej chwili Hal nie miał na to ochoty.

– Zajmę się tym wieczorem – powiedział do siebie.

Woń skwierczącej wołowiny od razu poprawiła wszystkim humor – i zaostrzyła apetyt. Stłoczyli się dokoła ogniska, a Edvin zaczął nakładać obfite porcje mięsa i podpieczonego

chleba. A najlepsze – jak stwierdził Hal w myślach – że rozwiązały im się języki i zaczęli z podekscytowaniem wspominać najbardziej przerażające momenty przeprawy przez Dzikie Bystrze.

Przyglądał się im z zadowoleniem. Ingvar przyniósł mu talerz z jedzeniem i kubek kawy.

– Dzięki – powiedział Hal. – Dobrze się dzisiaj spisałeś. Kiedy przystępowałeś do akcji, od razu czuło się różnicę.

Ingvar z powagą skinął głową.

– Podziękuj Lydii – powiedział. – Bez niej nie byłoby ze mnie żadnego pożytku. Ona jest niesamowita.

Hal wyczuł przesłanie, ukryte w tych słowach. Przyjaciel popatrzył na niego i znacząco pokiwał głową, jakby chciał podkreślić swoje stwierdzenie. Ingvar swatką? Hal trochę się zdziwił, ale również kiwnął głową w odpowiedzi.

– Wiem, Ingvarze. – Nagle coś przyciągnęło jego wzrok. Wskazał na koszulę Ingvara. – Co to?

Tuż pod paskiem widniała czerwona plama, znacząca również spodnie Ingvara na biodrze. Ingvar spojrzał, ostrożnie dotknął plamy i skrzywił się.

– O, chyba rana znów się otworzyła, kiedy odpychałem się od tej ostatniej skały – powiedział. – Nic nie szkodzi. Od razu ją zabandażowałem.

Hal popatrzył na niego uważnie.

– Powiedz Edwinowi, żeby na to spojrzał, kiedy tylko znajdzie wolną chwilę. Nie możemy ryzykować, Ingvarze. Będę cię potrzebował, kiedy dogonimy „Kruka”.

– Nic mi nie będzie, Halu. Po prostu trochę przesadziłem, to wszystko.

– Niech Edvin na to spojrzy – powtórzył Hal tonem nieznoszącym sprzeciwu. Ingvar pokornym gestem rozłożył ręce.

– Dobrze – obiecał. Hal wyrzucił fusy w trawę, podszedł do ogniska i umył talerz i kubek w misce z gorącą wodą, którą wcześniej przygotował Edvin. Wytarł naczynia i schował je do płóciennego zawiniątka, w którym Edvin trzymał sprzęt kuchenny. Popatrzył na twarze przyjaciół. Nie zobaczył już na nich tego wyrazu pustki i udręki, który pojawił się, gdy minęło niebezpieczeństwo. Widocznie krótki odpoczynek wszystkim dobrze zrobił.

– Lepiej ruszajmy dalej – powiedział. – Pomyślcie, że podczas kiedy my tu siedzimy, Zavac wciąż płynie w stronę Raguzy. – Spojrzał na pierwszego oficera. – Wydadź polecenia.

Słuchając, jak Stig wrzeszczy na wszystkich, każe im gasić ognisko, zbierać sprzęt i naczynia, pomyślał, że dobrze być skirlem.



Gdy zostawili bystrze za sobą, odnoga rzeki wprawdzie znacznie się rozszerzyła, lecz nadal była znacznie węższa od głównego koryta, więc płynęli dalej, wiosłując. Nie musieli specjalnie się wysilać, powierzchnia wody była spokojna, nurt pchał ich w odpowiednim kierunku. Po godzinie wypłynęli na wody Południowego Danu. Hal kazał wciągnąć wiosła i postawić żagiel. Wiał lekki wiatr od lewej burty. Hal utrzymał łódź na długim łagodnym halsie, jak zwykle rozkoszując się tym niezwykłym uczuciem, że łódź jest żywym stworzeniem, które daje mu subtelne sygnały drżeniem, przechodzącym przez deski kadłuba, aż do jego stóp.

Lydia i Stig podeszli do niego. Nikt nic nie mówił, w milczeniu cieszyli się swoim towarzystwem. Thorn oparł się plecami o koferdam i zasnął, naciągając na oczy swoją nową czapkę. Pozostali odpoczywali na ławkach wiosłarskich. Edvin obejrzał ranę Ingvara, tak jak prosił Hal. Krwawiła, ale skąpo.

– Nie ma się czym martwić – zapewnił Edvin i zmienił opatrunek. – Tylko nie wysilaj się za bardzo przez kolejne dni.

– A konkretnie? – zapytał Ingvar.

Po chwili namysłu Edvin odpowiedział z kamienną twarzą:

– Na przykład ja na twoim miejscu przez jakiś dzień czy dwa nie wyrzucałbym Ulfa i Wulfa za burtę.

Ulf od razu się rozpromienił.

– To bardzo zachęcające – powiedział.

Wulf również nadstawił uszu i dorzucił:

– Mało powiedziane.

Ulf wyprostował plecy.

– Myślisz, że...

Edvin szybko jednak rozwił ich nadzieje.

– Chociaż po zastanowieniu stwierdzam, że jednak takie drobne ćwiczenia fizyczne mogłyby ci dobrze zrobić. Bylebyś za bardzo nie szarżował – powiedział do Ingvara, niby ignorując bliźniaków.

Ingvar z powagą kiwnął głową.

– Zapamiętam – odparł, po czym spojrzął znacząco na Ulfa i Wulfa, którzy milczeli czujnie. Edvin, zadowolony, usiadł na ławce i wrócił do przerwanej robótki na drutach.

– Dla kogo? – zapytał Wulf, spoglądając na niedokończoną czapkę.

– Dla ciebie... O ile mnie nie wkurzysz – odparł Edvin, podnosząc wzrok. Jego palce poruszały się szybko, druty szczękały rytmicznie, a czapka rosła w oczach, rząd za rzędem. Wulf nic nie powiedział. Miał naprawdę wielką ochotę na taką czapkę i uznał, że milczenie będzie najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

A potem Hal zawołał ich, by zajęli swe zwykłe stanowiska przy żaglach. Ten etap podróży dobiegał końca. Hal ocenił, że jeśli mają wyminąć następny cypel, muszą już teraz przejść do następnego halsu. Przez kilka minut na pokładzie panowało zwykłe zamieszanie, gdy jeden żagiel wędrował w dół, a drugi w górę. Kiedy chłopcy wybrali szoty, łódź obrała nowy kurs. Dziób przecinał drobne fale, marszczące powierzchnię rzeki.

Okrzyki zakręt i ich oczom ukazał się kolejny odcinek rzeki.

– Halo – powiedział Stig. – A to kto?

Odezwał się pierwszy, ale wszyscy zdążyli zauważyć okręty – wszyscy, za wyjątkiem Ingvara, rzecz jasna.

Było ich pięć, cztery z nich, o szerokich głębokich kadłubach i niewielkich żaglach, płynęły obok siebie, tocząc się po rzece z wyraźnym wysiłkiem. Hal pomyślał, że wyglądają jak grupka starszych pań, które zmierzają na targ, sapiąc z wysiłku, spieszą się, by dotrzeć na miejsce, zanim sąsiadki zwiną im sprzed nosa najlepszy towar, ale nie potrafią biec już szybciej.

Z piątym okrętem sprawa miała się zupełnie inaczej. Był smukły i szybki, zaopatrzone w wysoki maszt i duży prostokątny żagiel, w tym momencie wygięty w prężny łuk. Smukły okręt popędzał tamte cztery pękate niczym pies, pilnujący stadka tłustych leniwych owiec. Wzdłuż burty wisiało dziesięć tarcz, widać było też osiem dulek. Bez wątplenia był to okręt wojenny.

– Dwudziestu ludzi na pokładzie, może nawet więcej – stwierdził Thorn.

Hal popatrzył dokoła ze zdumieniem. Nikt nie zauważył, kiedy stary wilk morski podniósł się ze swego miejsca przy koferdamie. Ale z pewnością musiał to zrobić, jeszcze zanim Stig się odezwał. Może jakoś wyczuł obecność obcych okrętów?

Tymczasem obcy również zauważyli „Czapkę” i okręt wojenny skierował się w ich stronę, robiąc szeroki łuk, prostokątny żagiel obrócił się dokoła masztu. Okręt pochylił się do przodu,

u dziobu pokazała się biała piana.

– Sprawdzają nas – powiedział Hal. – Na wszelki wypadek trzymajcie broń w gotowości.

Nie musiał wydawać tego polecenia, członkowie drużyny zawsze mieli topory i miecze pod ręką. Po prostu chciał, by zachowali czujność. Zauważył, że tarcze nadal wiszą na swoich miejscach. Gdyby nieznajomi je zdjęli, daliby tym samym wyraźny znak, że gotują się do konfrontacji.

Przesunął ster. Kiedy pokonali bystrze, znów wymienił wiosło na rumpel. Wiosło, które dobrze posłużyło na szybkich wodnych progach i dawało większą siłę nacisku, teraz byłoby mało praktyczne i nieporęczne. Dziób „Czapli” skrzył odrobinę.

Okręt natychmiast zareagował i nakierował dziób prosto na nich. Hal zmrużył oczy.

Sternik oddał ster jednemu z członków załogi i podszedł prędko do burty. Miał na sobie hełm i kolczugę, u jego pasa wisiał długi miecz.

Mężczyzna stanął na dziobie i zamachał obiema rękami, kierując ich wnętrze w dół. Znaczenie tego gestu było oczywiste. Zatrzymajcie się. Potem uniósł prawą rękę, kierując jej wnętrze na zewnątrz – międzynarodowy znak pokoju. Hal zaczął myśleć gorączkowo. Tamta załoga miała nad nimi znaczną przewagę liczebną. Nie chciał tak łatwo zrezygnować z jedyne go atutu, jaki posiadali. Bo w razie czego mogła uratować ich tylko niezwykła szybkość i zwrotność „Czapli”. Czuł jednak, że nieznajomi nie zamierzają ich atakować.

– Poluzujcie szoty! – krzyknął.

Kiedy Ulf i Wulf wykonali polecenie, skierował „Czaplę” w lewo, prosto pod wiatr. Kilka sekund później obcy okręt również ustawił się w takiej pozycji. Teraz oba dryfowały na wodzie w odległości pięciu metrów od siebie, kołysząc się łagodnie na falach. Figura dziobowa obcego okrętu miała kształt jastrzębia. Czapla i jastrząb zdawały się kłaniać sobie wzajemnie.

– Posłuchajmy, co nam powie – rzekł Hal.



ROZDZIAŁ 28



Skiper przyłożył zwinięte dłonie do ust, tworząc coś w rodzaju trąbki, i zawołał:

– Mogę przejść do was na pokład? Chcę porozmawiać.

Hal zawahał się. Powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy. Stig wzruszył ramionami. Lydia miała obojętną minę. Zauważył jednak, że dotyka jednej ze strzałek w kołczanie – być może całkowicie bezwiednie. Thorn spojrział na niego i krótko kiwnął głową. Hal ucieszył się, bo od razu poczuł, że może przystać na prośbę nieznajomego. Coś mu podpowiadało, że tamci nie mają wobec nich złych zamiarów.

– Powiedz, że tylko jeden człowiek – polecił Stigowi, bo skirlowi nie wypada wrzeszczeć na cały regulator do jakichś obcych okrętów. Stig przekazał wiadomość, a mężczyzna kiwnął głową.

– Tylko ja – zgodził się. – Łapcie.

Trzymał w ręku zwiniętą linę i teraz rzucił ją w stronę „Czapli”. Stig chwycił ją, gdy przelatywała nad jego głową i zaczął ciągnąć, stękając z wysiłku. Ulf i Wulf pospieszyli na pomoc.

Tymczasem okręt zwrócił się dziobem w ich stronę. Zrobili kilka kroków w przód, nie przestając ciągnąć, i „Czapla” również się obróciła. Łódź i okręt niemal zetknęły się dziobami.

Kiedy mężczyzna zaczął szykować się do przeskoczenia na ich pokład, Stig, stojący na dziobie, uniósł rękę.

– Zostaw miecz – powiedział. Mężczyzna rozpiął pas z mieczem i rzucił go na deski pokładu.

– Zapomniałem, że mam go przy sobie – powiedział, po czym lekko przeskoczył nad przepaścią, dzielącą okręt i „Czaplę”, nawet nie spojrzawszy na rękę, którą wyciągnął do niego Stig. „To człowiek morza”, pomyślał Stig. Czapla i jastrząb teraz jakby mierzyły się wzrokiem z bliska, podskakując na drobnych falach.

Wulf przywiązał linę. Nieznajomy uniósł pytająco brwi, pokazując w kierunku rufy, a Stig dał mu znak, by szedł przodem. Po drodze mężczyzna rozglądał się z zainteresowaniem. Jego uwagę przyciągnęły szczególnie rejki i trójkątne żagle. Popatrzył na grupkę, stojącą koło steru i zwrócił się do Thorny:

– Co to za łódź?

Thorn potrząsnął głową i wskazał na Hala.

– Zapytaj skirla – odparł. Nagle uświadomił sobie, że ludzie mieszkający tak daleko na południu na pewno nie znają tego skandyjskiego słowa i poprawił się: – Kapitana.

Mężczyzna zrobił zdziwioną minę na widok młodego chłopaka. Szybko jednak otrząsnął się i wyciągnął rękę na powitanie. Zetknęli się krótko przedramionami.

– Wybacz. Mam na imię Mannoc, jestem kapitanem tego okrętu. Nazywa się „Morski Jastrząb”. – Tu wskazał okręt ruchem głowy. – Eskortuję tamtych kupców do portu Drogha. Mógłbym zapytać, co to za łódź i skąd jesteście?

„I co tu robicie?” Hal wyraźnie słyszał to niewypowiedziane pytanie. Przyjrzał się mężczyźnie. Wyglądał na dwadzieścia kilka lat, raczej bliżej trzydziestki, był dobrze zbudowany, kilka centymetrów niższy od Stiga, lecz równie mocno umięśniony i atletyczny. Miał jasne włosy do ramion, zebrane z tyłu w kucyk. Hal dostrzegł teraz, że jego hełm wieńczy figurka srebrnego jastrzębia, miniaturka figury dziobowej. Mężczyzna był świeżo ogolony, miał otwartą twarz i szczerze niebieskie oczy. Zwrócił je na Halą, odpowiadając na jego spojrzenie. Hal uznał, że wygląda na uczciwego człowieka.

Choć, rzecz jasna, wiedział, że wygląd potrafi zmylić. Gdyby piraci i złodzieje wyglądali na piratów i złodziei, nigdy nie zdołaliby zaskoczyć żadnej ofiary. Ale... nieznajomy budził w nim sympatię.

– To jest „Czapla”, a my jesteśmy drużyną Czapli – powiedział, wskazując na towarzyszy. Mannoc zmarszczył brwi. Termin „drużyna” brzmiał dla niego trochę obco. – Pochodzimy ze Skandii, ostatnio byliśmy w Limmat, na wschodnim wybrzeżu Morza Białych Sztormów.

Mannoc kiwnął głową. Tę nazwę znał.

Hal zaczerpnął powietrza, po czym podjął:

– A teraz zmierzamy do Raguzy.

Oczy nieznajomego zmrużyły się podejrzliwie, zmarszczka przecięła czoło. Mimowolnie zrobił pół kroku w tył, a jego ręka instynktownie powędrowała do pasa, gdzie zwykle wisiał miecz. Hal odczekał chwilę, a potem dodał:

– Ścigamy pirata imieniem Zavac. Jest kapitanem czarnego okrętu o nazwie „Kruk”.

Widać było, że Mannocowi te imiona nie są obce. Nim zdążył coś powiedzieć, Stig wtrącił:

– A kiedy go już dorwiemy, to go zatopimy.

Wszyscy zgodnie wydali gniewny pomruk. Lydia wystąpiła do przodu i dodała:

– I zabijemy Zavaca.

Tym razem pomruk przybrał na sile, brzmiał niemal dziko, niebezpiecznie. Mannoc rozluźnił spięte mięśnie. Wyraz podejrzliwości znikł z oczu.

– A więc zakładam, że nie przepadacie za piratami – powiedział. Odpowiedzi udzieliła Lydia.

– Zaatakowali moje miasto i zabili mojego dziadka. – W jej głosie wyraźnie brzmiała nienawiść.

– A wcześniej skradli nam coś bardzo cennego i wystawili na pośmiewisko całą naszą drużynę.

Mannoc powoli pokiwał głową. Powiódł wzrokiem po twarzach Skandian. Malowała się na nich mieszanina determinacji i gniewu. Znał Zavaca. Przez ostatnie lata nieraz natykał się na czarny okręt. Spotkania te z reguły okazywały się pomyślne dla Zavaca. I oto ci młodzieńcy zamierzali dopaść i zatopić „Kruka”.

Nagle pewna myśl pojawiła się w głowie Mannoca: wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Nadal jednak nie miał całkowitej pewności.

– No dobrze – powiedział. – Wasza opowieść brzmi całkiem logicznie. Ale tamte statki znajdują się pod moją opieką i nie zamierzam stracić żadnego z nich – dodał, wskazując na flotę, złożoną z czterech statków kupieckich.

– Z naszej strony nie musisz niczego się obawiać – odparł Hal.

Mannoc popatrzył na niego.

– Możliwe. Nie sądzę, byście byli piratami, ale muszę mieć pewność. – Rozejrzał się dokoła i wskazał na zalesiony brzeg. – To jest niebezpieczny odcinek rzeki. Znajdujemy się tylko

dwa dni od Raguzy, piraci często czyhają tutaj na zdobycz. Zwykle przybywają barkasami. Są to duże, poruszane wiosłami łodzie, załoga każdej z nich liczy po dwunastu-piętnastu ludzi. Wyskakują niespodziewanie z kryjówek przy brzegu i atakują przepływające statki kupieckie. Barkasy są szybkie i zwrotne, zwykle przybywają całą flotą. Moja praca polega na tym, by z nimi walczyć.

– A co to ma z nami wspólnego? – zapytał Hal. Ale chyba już wiedział. Mannoc spojrział na niego.

– Nie wiem. Myślę, że jesteście tymi, za których się podajecie, ale nie mam pewności. Dlatego nie chcę, żebyście zbliżali się do statków kupieckich.

Hal wzruszył ramionami.

– Nie ma problemu. Spieszymy się, więc wyminiemy je i popłyniemy dalej.

Ale Mannoc potrząsnął głową.

– Nie chcę puszczać was przodem. Moglibyście gdzieś się schować, potem wyskoczyć z kryjówek i zaatakować któryś ze statków. Chcę, byście płynęli za mną, tak żebym ja nie widział was, a wy mnie.

– A jeśli się nie zgodzimy? – zapytał Stig wojowniczo. Hal rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie – nie miał najmniejszej ochoty klócić się z nieznajomym – ale Mannoc odpowiedział spokojnie:

– W takim przypadku będę musiał was zatopić. – Spojrział na Thornę, który prychnął śmiechem.

– Może okazać się, że to wcale nie takie proste – powiedział. – Ci chłopcy są młodzi, ale są doskonale wyćwiczeni.

– Nie wątpię. Ale ja mam na pokładzie dwudziestu pięciu ludzi, samych zaprawionych w boju wojowników.

Znow spojrzał na Halę. Zapadła cisza. Potem powiedział rozsądnym tonem:

– Słuchaj, wierzę wam na słowo. W dziewięciu dziesiątych jestem przekonany, że nie stanowicie dla nas zagrożenia. Ale muszę mieć pewność, dziesięć dziesiątych. Nie chcę z wami walczyć i przypuszczam, że i wy nie macie ochoty walczyć ze mną. Nie mogę przez całą drogę oglądać się przez ramię i sprawdzać, czy czegoś nie knujecie.

– Mówiłem, że bardzo się spieszymy. Nie mamy czasu do stracenia – powiedział Hal.

Mannoc wzruszył ramionami.

– Nic na to nie poradzę. Ale jeśli nasze spotkanie skończy się bitwą, stracisz jeszcze więcej czasu. Zrobię, co w mojej mocy, żeby te tłuste kupieckie krowy ruszały się najszybciej, jak potrafią. Nalegam jednak, byście zostali z tyłu, w odpowiedniej odległości, tak żebym was nie widział. Drogha znajduje się zaledwie cztery godziny stąd.

Hal popatrzył prędko na przyjaciół. Widział po minie Stiga, że ten wolałby zignorować prośbę Mannoca, ale Stig zawsze był porywczy. Thorn uniósł brwi i zacisnął wargi. Hal mógł się tylko domyślać, że w ten sposób stary wilk morski dał do zrozumienia, iż uważa stanowisko Mannoca za rozsądne. Lydia, jak zwykle, pozostała obojętna. Hal zawahał się, potem przypomniał sobie, że jest skirlem i musi podjąć decyzję.

– Dobrze – zgodził się. – Puścimy was przodem. Ale płyncie najszybciej, jak tylko się da. Mannoc uśmiechnął się z wdzięcznością. Podał rękę Halowi, a ten ją uściśnił.

– Każę im zasiać do wioseł – obiecał. Popatrzył na pozostałych i kiwnął głową. – Dzięki. Jeśli kiedykolwiek będziecie czegoś potrzebować, dajcie znak.

– Całkiem możliwe, że przyda nam się pomoc, jeżeli „Kruk” dotrze do Raguzy przed nami – nastroszył się Stig.

– Daj spokój – powiedział Hal. Stig zarumienił się, a potem wzruszył ramionami.

Mannoc jeszcze raz skinął głową, po czym odwrócił się i ruszył w stronę dziobu, wydając rozkazy swoim ludziom. Odwiązał linę, łączącą „Czapłę” i „Morskiego Jastrzębia” i lekko przeskoczył na swój okręt. Członkowie załogi już wyciągnęli wiosła i natychmiast wprawili je w ruch. Zaskrzypiały liny i żagiel pofrunął w górę masztu. Okręt dokończył manewr, po czym zrobił zwrot w lewo i ruszył w kierunku czterech statków kupieckich, które znajdowały się teraz jakieś trzysta metrów dalej.

– Powinniśmy byli mu powiedzieć, żeby pilnował swoich spraw – powiedział Stig zaczepnym tonem.

Thorn nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu.

– Dokładnie to właśnie robił – zauważył.

– Mogliśmy sprawdzić, czy mówi poważnie. Założę się, że tylko blefował – dodał Stig, ale Lydia się nie zgodziła.

– On nie blefował. Nie widziałeś jego oczu? Moim zdaniem, to nie jest typ, który rzuca słowa na wiatr.

– Postaw się w jego sytuacji – powiedział Hal do Stiga. – Odpowiada za te statki, ma doprowadzić je bezpiecznie do Droghi. Wszędzie na rzece jest pełno piratów, jak miał sprawdzić, że my nimi nie jesteśmy? A stając do walki z nim, musielibyśmy liczyć się z tym, że będą ranni. Raczej nie moglibyśmy ścigać Zavaca, gdyby kilku z nas zostało wyłączonych z gry.

Stig już miał odpowiedzieć, ale po namyśle zrezygnował. Musiał przyznać, że Hal słusznie mówi. Czasami lepiej nie przystępować do walki – szczególnie w tych przypadkach, kiedy naprawdę nie jest to konieczne.

– Pewnie masz rację – powiedział z wahaniem. Potem urwał i uśmiechnął się ze smutkiem. – Nie, na pewno masz rację. Czasami zdarza mi się, że coś mówię, a nie przemyśle sprawy.

– Tylko czasami? – zapytał Hal.

Stig podrapał się po głowie.

– Cóż. Przypominam sobie taki przypadek, kiedy przemyślałem. Miałem wtedy dziesięć lat.

Hal uśmiechnął się od ucha do ucha, zadowolony, że znów zapanował między nimi dobry nastrój. Rozejrzał się dokoła. „Czapla” dryfowała spokojnie, unoszona nurtem, zwrócona burtą w jego kierunku.

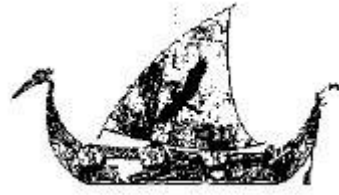
– Nie ma sensu tak dryfować – stwierdził. Już miał krzyknąć do Ulfa i Wulfa, kiedy uświadomił sobie, że wiosłowali przez kilka ostatnich godzin. – Stefan, Jesper! – zawołał więc. – Weźcie wiosła. Wiosłujcie powoli. Zmienimy was za godzinę. A na razie możemy odpocząć i nacieszyć się piękną pogodą.

I popłynęli dalej, minimalnie szybciej od prądu rzeki. Kiedy pokonali kolejny zakręt, konwój znikł im z oczu. Widać Mannoc dotrzymał słowa i przekonał kupieckie statki, by rozwinęły maksymalną prędkość. „Czapla”, częściowo dryfując, częściowo popychana siłą wioseł, pokonała kolejny zakręt, tym razem w lewo.

Dalej rzeka płynęła prostym odcinkiem przez jakieś ćwierć kilometra, następnie skręcała w prawo, okrążając wysoki zalesiony klif.

Hal spojrzał w górę i nagle zobaczył słup dymu.

– Podnieście żagiel! – krzyknął. – Zdaje się, że nasz przyjaciel Mannoc znalazł się w tarapatkach.



ROZDZIAŁ 29



„Czapla”, pchana wiatrem, który wypełniał żagiel, mknęła przed siebie niczym pies myśliwski, spuszczone ze smyczy. Drobne fale rozbijały się o kadłub z rytmicznym pum-pum-pum. Czasami uderzała weń jakaś większa fala i biała piana bryzgała na pokład.

– Tarcze i broń! – zawołał Thorn. Na „Czapli” zapanował ruch, wszyscy rzucili się zdejmować tarcze, wiszące wzdłuż burt. Hal spojrzał na gigantyczną kuszę, stojącą na dziobie i przykrytą brezentem.

– Ingvar! – krzyknął. – Przygotuj Zadymiarza.

– Już się robi. Mam go załadować?

Już miał przytaknąć, gdy przypomniał sobie o plamie krwi na koszuli Ingvara.

– Nie. Ulf i Wulf mogą to zrobić. – Zamyślił się. Kiedy zacznie się bitwa, bliźniacy będą zajęci przy żaglach. To znaczyło, że ma tylko jedną szansę, może wystrzelić tylko jeden pocisk. Raczej nie będą mogli rzucić szotów, przybiec i ponownie załadować Zadymiarza. Dał znak Stigowi, by na chwilę przejął ster, podszedł do swojego schowka na końcu rzędu ławek i wyjął pas z mieczem i kuszę.

Zbliżali się do zakrętu. Słup dymu był coraz gęstszy i ciemniejszy. Hal pomyślał, że pewnie pali się jakiś okręt. Zakręt znajdował się po ich prawej stronie, więc nie musieli zmieniać żagli. Wszystkie te myśli przeleciały mu przez głowę jednocześnie. A potem minęli zalesiony cypel i rzeka znów otworzyła się przed nimi.

Najpierw jego wzrok przyciągnął płonący statek. A więc jego przypuszczenia się sprawdziły. Był to jeden ze statków kupieckich, przechylony mocno na jedną stronę, zanurzał się coraz głębiej. Nagle oderwała się od niego jakaś długa smukła łódź i pospieszyła za pozostałymi statkami.

Uciekały niczym niezgrabne stado krów, trzy inne łodzie prawie je doganiały. „Morski Jastrząb” zawrócił, by odciąć drogę ostatniej łodzi. Sternik rozkazał wiosłarzom przy jednej burcie wiosłować wstecz, a przy drugiej w przód. Łódź obróciła się i już miała umknąć „Morskiemu Jastrzębowi”, ale Mannoc przewidział ten ruch.

Przesunął ster i kiedy piraci skręcili w lewo, „Morski Jastrząb” też zrobił zwrot i teraz płynął prosto na nich. Z łodzi pirackiej dobiegły okrzyki przerażenia. Potem rozległ się paskudny trzask – „Morski Jastrząb” walnął w burtę tamtych. Przez chwilę pchał łódź przed sobą, a potem, kiedy klepki poszycia zaczęły pękać i trzaskać, skierował dziób w dół, niczym topór i wywalił nim wielką dziurę.

Łódź zaczęła tonąć, członkowie załogi skakali do wody, chwytając wiosła czy cokolwiek, co mieli pod ręką i co mogło utrzymać ich na powierzchni. Atak ten jednak sprawił, że okręt Mannoca stracił korzystną pozycję między łodziami piratów a flotą kupiecką. Pozostałe łodzie pomknęły przed siebie, wiosłarze pracowali jak szaleni, gorączkowo bijąc wodę na białą pianę.

Podczas ataku „Morski Jastrząb” wytracił prędkość. Teraz zawrócił powoli, by rzucić się w pogoń za piratami. Jedna z łodzi zatoczyła łuk i zaczęła wracać, by przeciąć mu drogę.

Pozostałe nadal ścigały statki kupieckie.

Thorn w ciągu sekundy ocenił sytuację. Wskazał na pierwszą łódź, tę, którą zobaczyli obok płonącego statku.

– Bierzemy tę! – krzyknął. – Stig i ja przeskoczmy na pokład od strony rufy, a wy popłyniecie dalej, za tą drugą! – Pochylił się, odwiązał protezę w kształcie haka i zastąpił ją ogromną maczugą, której używał podczas walk.

Hal kiwnął głową. Plan Thorn'a wydał mu się całkowicie racjonalny. Ich dwóch przeciwko załodze piratów, liczącej dwudziestu ludzi? Łódź była wąska, jeśli Thorn i Stig dokonają abordażu przez rufę, do walki przeciw nim będzie mogło stanąć również tylko dwóch ludzi naraz. A Hal był pewien, że piraci nie mają szans w starciu z Thornem i Stigiem.

Uznał jednak, że mimo wszystko nie zaszkodzi ich wspomóc.

– Przejmij ster! – zawołał do Edvina, który posłusznie ujął gładki drewniany rumpel. Hal chwycił kuszę i kołczan i pobiegł na dziób, wołając Lydię, by do niego dołączyła. Teraz zrozumiał, że Thorn był bardzo przewidujący, proponując, by przyuczył Edvina do pracy sternika.

Łódź piratów znajdowała się w odległości czterdziestu metrów przed nimi. Hal pochylił się, by ustawić kuszę. Usłyszał świst – Lydia wypuściła strzałkę z atlatlu. Podniósł wzrok i zobaczył, jak jeden z piratów, trafiony strzałką, unosi się na czubkach palców, po czym pada bezwładnie na siedzącego obok wiosłarza, który wypuszcza wiosło z ręki. Wiosło wpadło do wody, łódź skręciła w prawo, sternik gorączkowo próbował utrzymać kurs.

Hal uniósł naładowaną kuszę, wymierzył i wystrzelił. Chciał trafić sternika, chybił jednak dosłownie o kilka centymetrów. Bełt przeleciał tuż obok i trafił w ramię człowieka, siedzącego przed nim. W tym samym czasie Lydia wypuściła kolejne dwie strzałki. Jedna utknęła w poszyciu kadłuba. Druga trafiła wiosłarza, który odwrócił się i uniósł lekko, by na nich spojrzeć. Siła uderzenia rzuciła nim do tyłu. Przeleciał przez burtę. Czerwona wstęga krwi zabarwiła wodę.

Hal znów wystrzelił. Odległość się zmniejszyła i tym razem nie chybił. Sternik osunął się na ster, łódź skręciła gwałtownie. Edvin poszedł za jej ruchem i ustawił „Czapłę” z tyłu, tak że płynęła w kilwaterze łodzi pirackiej. Hal pochylił się, by załadować kolejny bełt, już wsunął stopę w strzemię, gdy nagle poczuł czyjąś rękę na ramieniu.

– Odsuń się – rzucił szorstko Thorn. Hal uświadomił sobie, że to nie był dotyk ręki, lecz drewnianej maczugi. Posłusznie odsunął się, a Thorn i Stig przeszli na dziób i stanęli na nadburciu. Odczekali, aż „Czapla” podpłynie bliżej do łodzi pirackiej, na odległość mniej więcej metra.

– Bierzmy ich! – Thorn wydał skandyjski okrzyk wojenny, przeskoczył wodną przepaść i wylądował na pokładzie barkasu. Ułamek sekundy później to samo zrobił Stig. Łódź zakołysała się gwałtownie pod ich ciężarem, ale byli doświadczonymi żeglarzami i nie stracili równowagi. W przeciwieństwie do piratów, którzy, zaskoczeni, polecili do przodu, na ławki i wiosła. Łódź jeszcze przez chwilę kołysała się i bujała.

Nim zdążyli się pozbierać, Thorn i Stig ruszyli przed siebie niczym żywe tarany. Wielka maczuga Thorn'a i topór, którym Stig wymachiwał nad głową, zmiatały z ich drogi każdego, kto próbował im przeszkodzić. Tak jak Hal przewidział, jednocześnie mogło stawić im czoło tylko dwóch piratów. Tak naprawdę przewaga liczebna okazała się działać na niekorzyść napastników, bo wpadali na siebie i tylko nawzajem sobie przeszkadzali, próbując uniknąć ciosów straszliwej dwójki. Niektórzy rozwiązali ten problem w bardzo prosty sposób: skakali do wody i najszybciej, jak tylko potrafili, płynęli do brzegu. W przeciwieństwie do Skandian, związanych z morzem, ci ludzie wyrosli nad rzeką i wszyscy potrafili pływać. Niektórzy jednak zostali w łodzi

i postanowili stawić czoło miażdżącym ciosom maczugi i topora, który ze świstem migał w powietrzu niczym przerażający krąg światła. Ich próby okazały się jednak daremne. Prędko dołączyli do swych towarzyszy i znaleźli się w wodzie – tylko że w odróżnieniu od nich bynajmniej nie pływali.

Thorn obejrzał się i krzyknął do Hala, który nadal stał na dziobie:

– Gońcie za tamtymi! Potem po nas wróćcie!

Nie było wątpliwości, że całkowicie opanowali sytuację. Hal odwrócił się i zawołał do Edvina:

– Odbijamy! Płyniemy za tamtą łodzią!

Hal rozejrzał się i szybko ocenił sytuację. Rufa łodzi, którą zaatakował „Morski Jastrząb” wystawała zaledwie na metr czy dwa nad powierzchnią wody. Dokoła, niczym piłki rozsypane na falach, sterczały głowy uciekających piratów. Z prawej strony „Morski Jastrząb” walczył z kolejną łodzią, która wcześniej szerokim łukiem skierowała się w stronę płycizny przy brzegu, a potem zaatakowała okręt Mannoca od strony rufy. Przyczepiła się do niej niczym złośliwy pasożyt. Członkowie załogi dostali się na pokład i teraz toczyła się na nim krwawa bitwa.

Czwarta łódź, korzystając z tego, że „Morski Jastrząb” nie mógł jej zagrozić, popędziła za flotą handlową i właśnie doganiała powolne statki. Hal dostrzegł, że na pokładzie prócz wioślarzy znajduje się spora grupa mężczyzn. Stali na pokładzie, potrząsając bronią i wykrzykując obraźliwe uwagi w stronę bezradnych kupców. Hal myślał gorączkowo. Oceniał odległość. Musieliby wykonać dwa zwroty, by dogonić piratów. Obliczył, że powinno się udać.

Na pokładzie znajdowało się prawie trzydziestu mężczyzn, więc abordaż nie wchodził w rachubę – szczególnie że Stig i Thorn nadal byli zajęci gdzie indziej. W tej sytuacji mógł pomóc wyłącznie Zadymiarz.

Hal wiedział, że ma tylko jeden strzał.

– Przygotuj się do zmiany kursu! – krzyknął do Edvina. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie przejąć steru, ale liczyła się każda sekunda. – Prawy żagiel w dół! Ster w lewo! Lewy żagiel w górę!

Jesper i Stefan podbiegli do fałów. Prawy żagiel załopotał i zjechał w dół, w tym samym czasie lewy pofrunął w górę. Bliźniacy wybrali szoty. A Edwin skrzył łagodnie w lewo – łódź wykonała idealny zwrot.

Piraci, widząc to, uznali, że „Czapla” się wycofuje, i że zwycięstwo już jest po ich stronie. Zaczęli jeszcze głośniejsze wrzeszcze i szydzić z przeciwników.

Hal zajął miejsce z tyłu Zadymiarza. Minę miał ponurą.

– Cieszcie się, cieszcie – mruknął. Spojrzał na stojącą obok Lydię. – Zajmij ich uwagę. Lydia skinęła głową.

– Na razie odległość jest zbyt wielka. Zrobię, co trzeba, kiedy podpłyniemy bliżej.

Zdażyła już umieścić strzałkę w atlatlu i trzymała go w gotowości. Stała spokojnie, dostosowując się do kołysania łodzi. Hal uśmiechnął się. Przez kilka ostatnich tygodni nauczyła się utrzymywać równowagę na pokładzie. Nagle poczuł, że Zadymiarz się poruszył. Odwrócił się. Ingvar właśnie przesuwiał dźwignię, umieszczoną z tyłu wózka, na którym stała kusza. Wyszczrzył się od ucha do ucha.

– Poradzę sobie – powiedział. – Ty skup się na strzelaniu.

Hal kiwnął głową. Spojrzał na łódź piratów, coraz bardziej oddalającą się od „Czapli”. Obliczył w myślach kąty, prędkość i odległości i czekał na odpowiedni moment: kiedy przy kolejnym zwrocie znajdą się na linii, przecinającej trasę, po której poruszała się wroga łódź.

Musiał oszacować, w którym miejscu znajdzie się ona, kończąc zwrot. Wyobraził sobie ten punkt bez najmniejszego problemu, ten rodzaj wyobraźni miał we krwi. Odwrócił się

i zawołał:

– Przygotujcie się do zwrotu!

Edvin machnął ręką na znak, że go usłyszał. Stefan i Jesper kiwnęli głowami. Bliźniacy siedzieli w kucki przy szotach, w każdej chwili gotowi przystąpić do akcji. Hal jeszcze raz sprawdził pozycję łodzi pirackiej. Była już bardzo blisko statków handlowych. Znów pomyślał, że ma tylko jedną szansę i odsunął rodzące się wątpliwości.

– Zwrot! – krzyknął. Widział, jak doskonale poradził sobie Edvin poprzednim razem i uznał, że nie musi wydawać kolejnych rozkazów. Chłopcy idealnie wykonali całą sekwencję. Dziób „Czapli” skręcił w prawo, mierząc w punkt, który zobaczył Hal w swojej głowie – punkt, w którym przetnie drogę barkasowi. Gdy nabrali prędkości, Hal stwierdził, że wyliczył wszystko naprawdę idealnie. A najlepsze, że piraci, przekonani, iż „Czapla” popłynęła w drugą stronę, w ogóle nie zwracali na nich uwagi. Wszyscy wpatrywali się w najbliższy statek handlowy, tłusty, powolny, z trudem pracy przed siebie, niczym kura ścigana przez lisa.

– Jeszcze nie strzelaj – powiedział Hal do Lydii. – Na razie nas nie zauważyli.

Kiwnęła głową. „Czapla” pomknęła przed siebie, gładko tnąc dziobem fale, i błyskawicznie dogoniła barkas.

– Trochę w lewo – polecił Ingvarowi i poczuł, jak wielka kusza obraca się pod jego stopami. Nie musiał mierzyć precyzyjnie, miał strzelać z bliska. Zakręcił korbą i ustawił kuszę nieco pod kątem w dół. Zamierzał podpłynąć jeszcze bliżej i trafić pociskiem w pokład.

– Zobaczyli nas – powiedziała Lydia. W tym samym momencie Hal usłyszał świst. Nie widział lecącej strzałki, ale usłyszał jęk agonii. Kiedy „Czapla” ustawiła się pod kątem, barkas znalazł się po ich lewej stronie.

– Jeszcze trochę w lewo, Ingvarze – polecił. – Dobrze. Tak trzymaj.

Kolejna strzałka poleciała w kierunku piratów. Kolejny okrzyk bólu. Byli coraz bliżej. Obie łodzie dzieliło teraz zaledwie dziesięć metrów. Sternik, nie spuszczając ich z oka, zaczął kierować barkas w prawo, w nadziei, że ucieknie. To był błąd. Gdyby skręcił w lewo, „Czapla” musiałaby wykonać zwrot, a w tym przypadku Edvin zdążył zauważyć manewr i również skręcił. Kiedy zmienił się kąt, Ulf i Wulf odpowiednio ustawili żagiel.

Hal wstrzymał oddech. Dziób „Czapli” uniósł się nieznacznie na drobnej fali. Gdy poczuł, że osiągnęli jej grzbiet, skierował kuszę maksymalnie w dół i pociągnął.

Nastąpiło zwykłe BAM, pocisk wyleciał z cięciwy, kuszą rzuciło do przodu, a potem do tyłu, gdy skórzane paski zamortyzowały siłę odrzutu. Ciężki pocisk wleciał między piratów, a potem walnął w pokład.

Trafił w łączenie między dwiema klepkami, zmiażdżył jedną, a drugą wyrwał z ramy. W dnie łodzi powstała ziejąca dziura o długości metra i szerokości trzydziestu centymetrów.

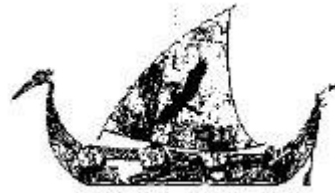
Woda zaczęła wlewać się do środka, piraci gorączkowo próbowali ją powstrzymać, zatykając dziurę koszulami i kurtkami. Wciskając ubrania w dziurę, niechcący osłabiali drugą uszkodzoną kłepkę, która się całkiem rozpadła, a dziura zrobiła się dwa razy większa. Łódź szybko brała wodę. Niektórzy członkowie załogi zorientowali się, że nadchodzi nieuchronny koniec i zaczęli skakać do rzeki. Po chwili na pokładzie tonącej łodzi zostało tylko pięciu piratów – byli to zapewne ci, którzy nie potrafili pływać.

– Odplywamy! – zawołał Hal do Edvina. Gdy oddalali się od wraku, zobaczył, że Mannoc i jego ludzie zdołali pokonać piratów. Barkas tonął.

Hal spojrzął na trzecią łódź. Thorn i Stig siedzieli na rufie, machając radośnie. Poza nimi na pokładzie nie było nikogo. Za to w wodzie kąpał się chyba z tuzin piratów, czepiając się kurczowo burt.

– Wygląda na to, że mieli dzisiaj pecha – stwierdził.

– Wracamy po Stiga i Thorna.



ROZDZIAŁ 30



Zrobiło się późno, do zachodu słońca zostały dwie godziny. Hal postanowił, że noc spędzą w mieście Drogha, do którego zmierzały statki kupieckie, a do Raguzy wyruszą następnego dnia. Pożegnał się z nadzieją, że dogonią „Kruka”, nim ten dotrze do pirackiej twierdzy.

– Musimy wymyślić inny plan – powiedział do Thorny, który zgodził się z nim i stwierdził:

– I tak mieliśmy marne szanse, by dogonić ich na rzece. Możemy przynajmniej spędzić noc w przyzwoitych warunkach i pomyśleć tymczasem, co dalej.

Mannoc zaprosił ich, by dołączyli do floty. Podpłynęli do „Morskiego Jastrzębia” na krótką wojenną naradę. Mannoc bardzo dziękował im za pomoc.

– Gdyby nie wy, straciłbym kolejne dwa statki. Szyprowie też zdają sobie z tego sprawę. Nie zdziwcie się, jeśli zechcą uczić to dziś wieczorem.

Hal wskazał na wraki dwóch barkasów. Piraci nadal trzymali się ich kurczowo.

– Co z nimi zrobimy? – zapytał.

Mannoc wzruszył ramionami.

– Nic. Większość dotarła na brzeg, nie złapiemy ich. A tymi – tu wskazał na rozbitków – niech zajmie się rzeka. Drużyny zostały rozbite, straciły łodzie. Przez kilka miesięcy nie będą nikomu zagrażać. A ja nie zamierzam ich ratować.

Hal pomyślał, że poza tym naraziliby się na niebezpieczeństwo, gdyby zabrali piratów na pokład. Było ich co najmniej piętnastu.

– Jest jeszcze coś – dodał Mannoc. – Nikt nie powiedział, że to jest nasze ostatnie spotkanie z piratami. Za zakrętem może czekać kolejna banda. Kilku ludzi musiałoby pilnować tych rozbitków, a nie mogę pozwolić sobie na uszczuplenie oddziału, jeśli istnieje ryzyko, że znów będziemy musieli stanąć do walki.

Hal kiwnął głową. Sześciu ludzi Mannoca odniosło poważne rany. Prawdopodobnie dlatego właśnie Mannoc zaproponował, by „Czapla” do nich dołączyła.

Na szczęście nie spotkały ich kolejne niemiłe niespodzianki i dotarli do miasta tuż przed zapadnięciem zmroku.

Drogha był to piękny, dobrze utrzymany port. Przy nabrzeżu stało mnóstwo okrętów i łodzi. Na rozkaz Mannoca „Czapla” i „Morski Jastrząb” puściły statki kupieckie przodem. Mannoc wskazał Halowi puste miejsce przy nabrzeżu. „Czapla” popłynęła za „Morskim Jastrzębiem” i zacumowała obok.

Teraz, kiedy nie groził im kolejny atak, Thorn odwiązał maczugę i zastąpił ją drewnianym hakiem.

– Od razu lepiej. – Zgiął łokieć i pomachał protezą. – Po kilku godzinach ta maczuga zaczyna robić się trochę ciężka.

Obie załogi zaczęły zbierać sprzęt, zwijać żagle i przeglądać broń. Lydia sprawdziła

zapas strzałek do atlatlu. Sporo ich zużyła przez ostatnie dni, zostało tylko dwanaście.

– Trzeba będzie dorobić – mruknęła do siebie.

Stig obejrzał dokładnie topór. W ferworze walki walnął nim o żelazne okucie tarczy jednego z piratów. Na ostrzu widniało szerokie zadraśnięcie. Stig usiadł z westchnieniem, wyjął ostrzałkę i zaczął szlifować topór, by przywrócić mu pożądaną ostrość. Thorn z uznaniem kiwnął głową. Dobry wojownik nigdy nie zostawia takich rzeczy na później, zawsze dba o broń. Wprawdzie na jego maczudze w kilku miejscach widniały zadrapania, lecz nie umniejszało to jej skuteczności.

Pół godziny później Mannoc podszedł do burty i zawołał:

– Mogę wejść na pokład?

Hal uśmiechnął się i zapraszająco machnął ręką. Mannocowi towarzyszyło trzech innych mężczyzn, nieco starszych od niego. Hal ocenił, że mogą mieć około czterdziestki. Ich ubrania były poplamione smołą, długie włosy zebrali w kucyki. Mieli twarde dłonie, wyraźnie noszące ślady ciężkiej pracy. „Marynarze”, pomyślał. Emanowali autorytetem i na pewno nie byli zwykłymi członkami załogi. Ich ubrania, choć poplamione smołą, odznaczały się pięknym krojem i jakością materiałów, nie były to tradycyjne proste stroje z surowej wełny, jakie nosili zwykli marynarze. W uszach dwóch z nich połyskiwały złote kolczyki.

Hal domyślił się, kim są, jeszcze zanim Mannoc zdążył ich przedstawić. Byli to szyprowie z trzech kupieckich statków, którym „Czapla” pomogła tego popołudnia. Weszli na pokład, poruszali się lekko, dostosowując ruchy do kołysania łodzi. Podobnie jak wcześniej Mannoc, zdziwili się na widok młodego skirla i członków jego załogi.

– Przecież to chłopcy – wyrwało się jednemu z nich. Zaczerwienił się, wyraźnie zakłopotany. Mannoc szybko załagodził sytuację, by nikt nie poczuł się urażony.

– Możliwe, że wyglądają jak chłopcy – powiedział – ale walczą jak mężczyźni. Szczególnie ten tutaj. – Wskazał na Stiga, który spłonął rumieńcem. Thorn uchwycił spojrzenie Mannoca i niemal niedostrzegalnie kiwnął głową. „Dobre posunięcie”, mówiła jego mina.

– Halu – podjął Mannoc, kładąc rękę na ramieniu młodego skirla i popychając go lekko do przodu – ci ludzie to szyprowie ze statków, które dzisiaj uratowałeś. Algon, Freyth i Crenna.

Po kolei kiwali głowami, a potem wystąpili naprzód i wyciągnęli dłonie do Hala. Uścisnął je i poczuł, że rzeczywiście są szorstkie i twarde.

– Miło mi – powiedział i zrobiło mu się trochę głupio. Nie był pewien, jak powinien się zachować. Może należałoby rzucić coś w stylu: „Hej, bracia, wzniesmy dzbany”. Tylko że wtedy poczułby się chyba jeszcze bardziej głupio. Na szczęście szyprom chyba nie robiło to różnicy.

– Świetnie się spisaliście, młody Halu – powiedział Crenna, który wyglądał na najstarszego z całej trójki. Zawahał się, po czym dodał: – Mam nadzieję, że nie gniewasz się za to określenie?

– Ależ skąd – odparł Hal i uśmiechnął się szeroko. – W końcu jestem młody, nie da się ukryć.

– Naprawdę dobrze się spisaliście – wtrącił Algon. – Niezależnie od tego, w jakim jesteście wieku. – Dwaj pozostali zamruczeli zgodnie. Przez chwilę w milczeniu uśmiechali się do Hala i pozostałych, kiwając głowami. W końcu odezwał się Mannoc:

– Algonie, chyba chciałeś wspomnieć o czymś jeszcze?

Algon zrobił zdziwioną minę, a potem sięgnął za pazuchę i wyjął skórzaną sakwę.

– Aaa, właśnie. Cóż, chłopaki, chyba uratowaliście nam dzisiaj tyłki.

– I nie tylko tyłki – wtrącił Freyth. – Również cały ładunek.

– Właśnie. – Algon podał Halowi sakwę. – Więc chyba jesteśmy wam winni za eskortę. To taka sama suma, jaką zapłaciliśmy Mannocowi.

– Czyli pięć procent wartości naszych towarów – dodał Crenna. – Po trochu od każdego z nas. Proszę.

Algon jeszcze raz wyciągnął sakiewkę w stronę Hala, a Hal, nieco zaskoczony, przyjął ją z zakłopotaniem.

– Cóż, jesteście wam bardzo wdzięczni – powiedział – ale nie wydaje mi się, że należy nam się taka sama suma, jak Mannocowi. W końcu on eskortował was przez całą drogę, a my tylko zainterweniowaliśmy.

– .kiedy znaleźliśmy się prawdziwych tarapatkach – dokończył za niego Freyth. – Weź te pieniądze, Hala. Mannoc nic na tym nie stracił. Zasłużyliście na nie, co do tego nie ma wątpliwości.

Hal zerknął na Mannoca, który stał za plecami szyprów. Kiwnął lekko głową.

– Freyth ma rację – powiedział. – Zasłużyliście na te pieniądze. Szczerze mówiąc, chciałem zaproponować wam, byście dołączyli do nas i również zajęli się eskortowaniem statków. Moglibyście sporo zarobić. Szczególnie dzięki tej kuszy, którą zamontowaliście na łodzi. Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widziałem.

Hal położył sakiewkę obok steru i zrobił przepraszający gest.

– Doceniam twoją propozycję – odparł. – I wszyscy pozostali z pewnością również. Ale mamy kilka spraw do załatwienia.

– No tak. Zovac – przypomniał sobie Mannoc. – Cóż, życzę wam szczęścia. Bardzo bym się ucieszył, gdyby przeklęty czarny okręt więcej nie pojawił się na tej rzece. Ale skoro nie chcecie dołączyć do nas na stałe, to może przynajmniej dziś wieczorem poświętujemy razem? Czujcie się zaproszeni.

Hal popatrzył po twarzach towarzyszy. Wszyscy zdawali się bardzo pozytywnie nastawieni do tej propozycji.

– Skoro tak stawiasz sprawę, to bardzo chętnie – przyjął zaproszenie.



Wieczorem zebrali się w jednej z tawern, bardzo przyjemnym miejscu, nieco oddalonym od niezbyt zachęcających lokali, stłoczonych na nabrzeżu. Mannoc zamówił dla nich osobne pomieszczenie, dużą, nisko sklepioną salę z paleniskiem przy jednej ze ścian. Czaple, szyprówie, Mannoc i jego pierwszy oficer rozsiedli się dokoła ogromnego stołu. Nad ogniem piekły się już kaczki, lśniące od tłuszczu, który z sykiem kapał na węgle. Wszystkim zaczęło burczeć w brzuchach, ale wtedy zjawił się właściciel tawerny – z dwiema wielkimi zapiekankami z dziczyzny. Mięso kryło się pod warstewką cienkiego złocistego ciasta. Kiedy Mannoc zaczął je kroić, dokoła rozeszła się rozkoszna woń, chyba jeszcze rozkoszniejsza niż zapach piekących się kaczek. Biesiadnicy rzucili się z zapałem na te wspaniałości i po chwili z zapiekanek zostały tylko okruchy i plama sosu.

Na stole stanęły misy gotowanych warzyw, półmiski z kawkami i pieczony świński udziec, pokryty kruchą, chrupiącą skórką. Podano też ziemniaki, pieczone w mundurkach w żarze. Z wierzchu skórka była czarna, lecz kiedy się ją zdjęło, ukazywał się kruchy i wilgotny środek. Stig nałożył sobie na talerz całą górę ziemniaków, ponacinał je i nałożył na wierzch masła.

– To jest życie! – wykrzyknął. Pozostali zgodnie zamruczeli.

– Przykro mi to mówić – oznajmił Stefan – ale wolę to niż twoją kuchnię, Edwinie. Edvin popatrzył na niego, a potem odpowiedział z kamienną twarzą:

– Mnie również przykro to mówić, ale dzielam twoje zdanie.

Rozmowy ucichły, wszyscy skupili całą uwagę na jedzeniu. Hal poparzył na obficie zastawiony stół i zwrócił się do Mannoca:

– Jesteś pewien, że możesz sobie pozwolić na taką rozrzutność? Wygląda to wszystko dość kosztownie. – Hal wiedział, co mówi, jego matka prowadziła jądłodajnię w Hallasholm.

Mannoc uśmiechnął się szeroko.

– Owszem, mogę. Dostajemy zapłatę zależnie od rezultatu. Gdyby piraci zabrali kupcom towary, nic byśmy nie dostali. Więc uczta jest tego warta. – Urwał i spojrzał na Hala, lekko przechylając głowę na bok. – Chciałbym, żebyście jeszcze rozważyli moją propozycję. Trudno znaleźć dobrych wojowników, myślę, że stworzylibyśmy świetną drużynę.

Hal pochylił głowę w podzięce za komplement.

– Żałuję, że nie możemy do was dołączyć – odparł – ale musimy wyrównać rachunki z Zavakiem. Może później, kiedy już się z tym uporamy.

– Ach, Zovac. To mi o czymś przypomniało. – Mannoc przywołał kelnera. – Sprawdź, czy Doric już wrócił, dobrze? Jeśli tak, przekaż mu zaproszenie do naszego stołu.

– Doric? A kto to? – zapytał Hal.

– To kapitan innego okrętu, który również zajmuje się konwojowaniem statków kupieckich. Eskortował flotę do Raguzy, miał wrócić dzisiaj wieczorem. Może wie coś o „Kruku”.

Minęło kilka minut i drzwi znów się otworzyły. Do środka wszedł kelner, a za nim ciemnowłosy barczysty człowiek. Jego twarz przecinała długa blizna. Miał na sobie kolczugę i pas z bronią, u którego wisiał potężny miecz i ciężki sztylet. Jedzenie już się skończyło, w pomieszczeniu znów panował gwar rozmów. Mężczyzna rozejrzał się dokoła, na widok Mannoca uśmiechnął się i ruszył w jego stronę.

– Oto Doric – powiedział Mannoc do Hala. – Zobaczymy, czy ma jakieś wieści o „Kruku”.

Przedstawił ich sobie i zapytał, jak przebiegła podróż. Doric wzruszył ramionami.

– Spokojnie – odparł. – Eskorta składała się z czterech okrętów, nie licząc mojego, więc te męty z Raguzy nawet nie próbowały się do nas zbliżyć.

Mannoc spojrzał na Hala i wyjaśnił:

– Zawsze zapewniamy mocną eskortę statkom, które mijają po drodze Raguzę. Dlatego właśnie byłem dzisiaj sam. – Znów zwrócił się do Dorica. – Znaleźliśmy się w niezłych tarapatkach. Zaatakowała nas cała piracka flota. Hal przyszedł nam z pomocą, wraz ze swymi ludźmi zatopił dwa barkasy.

Doric spojrzał na Hala z zainteresowaniem. Wcześniej prawie nie zwracał uwagi na młodego człowieka.

– Dobra robota – rzucił, mierząc go wzrokiem. „Młodziak”, pomyślał, „ale wygląda na pewnego siebie. Chyba zna własną wartość”.

– Chodzi o to – podjął Mannoc – że Hal ściga „Kruka”. Widziałeś go może dzisiaj?

– Okręt Zavaca? – Doric skrzywił się. – A jakże, widziałem. Płynął sobie po rzece i szukał ofiary. Ale kiedy Zovac zobaczył, że prócz mojego okrętu w konwoju płyną jeszcze cztery, prędko się zmył. Podwinął ogon pod siebie i wrócił do Raguzy.

Halowi zrzęda mina.

– A więc już dotarł do Raguzy?

Doric przytaknął.

– Zgadza się. I niełatwo będzie go stamtąd wywabić. – Popatrzył dokoła i policzył członków drużyny Czapli. – W porcie cumuje kilkadziesiąt okrętów, w większości pirackich. Trochę was mało, jeśli zamierzacie z nimi walczyć.

Ale w głowie Hala zaczął rodzić się pewien pomysł. Zdał sobie sprawę, że przez całe popołudnie krążył on gdzieś na obrzeżach jego świadomości, od chwili, kiedy zrozumiał, że Zovac prawdopodobnie dotrze do Raguzy przed nimi. Teraz pomysł zaczął przybierać konkretny kształt.

– Może nie będziemy z nimi walczyć – powiedział z namysłem. – Może powinniśmy się do nich przyłączyć.

– Przyłączyć? – powtórzył Doric, a Mannoc zmarszczył brwi, nie mniej zdumiony. Hal uśmiechnął się.

– Właśnie tak. Zostaniemy piratami.



ROZDZIAŁ 31



Hal nie zdradził niczego więcej ze swego planu. Na razie był to dość nieokreślony pomysł i chciał dopracować szczegóły, zanim przedyskutuje go z członkami drużyny. Przez resztę wieczoru wypytywał Mannoca o Raguzę: kto zawiaduje portem, w jaki sposób okręty dostają pozwolenie na wejście do niego i gwarancję bezpieczeństwa, jakie prawa panują w mieście i o wszelkie inne sprawy, które przychodziły mu do głowy. Chciał stworzyć sobie jak najpełniejszy obraz pirackiej twierdzy. Później, kiedy wrócili już na pokład „Czapli”, długie godziny spędził, siedząc na dziobie, wygodnie wsparty plecami o Zadymiarza. Patrzył, jak księżyc wędruje po niebie, jak gwiazdy powoli kroczą pośród nocy w swej majestatycznej procesji.

W końcu plan był gotowy. Ziewnął, otulił się baraním futrem aż po uszy, naciągnął czapkę na czoło i zasnął.

Obudził się przemarznięty i zeszywniały i poczuł wspaniały zapach kawy. Otworzył jedno oko. Edvin pochylał się nad nim, kusząco podtykając mu kubek pod nos.

– Skąd wzięłeś kawę? – spytał zaspanym głosem. Wziął kubek do rąk i upił pierwszy łyk, przymykając oczy z rozkoszy. Edvin uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Freyth przewoził spory ładunek na swoim statku – odparł. – Nalegał, żebyśmy wzięli sobie kilka kilogramów. Oczywiście, odmówiłem. Najpierw. A potem z wdzięcznością przyjąłem tę hojną propozycję.

– Na uszy Lorgana, ale to dobre – powiedział Hal. Kawa, którą kupili w Limmat była, delikatnie mówiąc, średniej jakości. Ta miała bogaty mocny smak. A najważniejsze, że była świeżo zmielona. Upił kolejny łyk i poczuł, jak gorący płyn wypełnia jego ciało, przeganiając sztywność z mięśni.

Pozostali członkowie drużyny również zaczęli budzić się ze snu, wstawali z posłań i przeciągali się. Ponieważ łódź stała bezpiecznie zacumowana w porcie, Edvin rozpałił na pokładzie niewielki ogień – było to coś w rodzaju grilla, warstwa węgla leżała na płaskiej skrzynce, wypełnionej mokrym piaskiem. Woń kawy, skwierczenie boczku i jajek na wielkiej patelni mile łechtaly nozdrza i wyrwały wszystkich ze snu.

– Nic nie budzi dorastającego chłopca tak skutecznie jak zapach jedzenia – stwierdził Thorn. Popatrzył z zaciekawieniem na Hala. – Chyba za bardzo nie pospałeś? Coś cię dręczy?

– Można tak powiedzieć. Zastanawiałem się, jak postąpić w obecnej sytuacji. Chyba już wiem, jak dostaniemy się do Raguzy, tak by nie narazić się na atak mieszkańców miasta.

Lydia, która właśnie podeszła do nich, usłyszawszy ostatnie słowa, zapytała:

– To o tym mówiłeś wczoraj wieczorem? Kiedy powiedziałeś, że zostaniemy piratami?

– Yyy... tak – odparł Hal, trochę sztywno. Miał nadzieję, że przedstawi swój plan, odpowiednio stopniując napięcie. A Lydia musiała wszystko zepsuć. „Dziewczyny za nic nie mają wycucia dramatyzmu”, pomyślał. „Nic dziwnego, że tylko mężczyźni zajmują się opowiadaniem sag.”

Thorn mimo wszystko zainteresował się pomysłem, bez względu na brakujący dramatyzm.

– A jak to zrobimy? – zapytał.

W odpowiedzi Hal wskazał na „Morskiego Jastrzębia”, który łagodnie kołysał się obok na falach.

– Myślałem o podstępie, którego użył Zovac, by dostać się do Limmat. Sądzę, że moglibyśmy wziąć z niego przykład. Jeśli pojawimy się w porcie, udając, że uciekamy przed „Morskim Jastrzębiem”, istnieje spore prawdopodobieństwo, że wezmą nas za piratów.

Lydia zmarszczyła brwi.

– Zovac raczej nie nabierze się na taki numer – zauważyła. – Rozpozna „Czapłę”. Widział ją.

– Właśnie o to chodzi – odparł Hal. – Nie musimy przekonywać Zovaca. Musimy przekonać człowieka, który rządzi Raguzą. Mannoc opowiadał mi, że nosi on jakiś dziwny tytuł, kropajo czy jakoś tak. Powiemy, że Zovac wynajął nas do ataku na Limmat, a potem zostawił na pastwę losu. Nas i „Raję”. To zapewni nam wiarygodność w razie gdyby Zovac próbował wszystkiemu zaprzeczać. Każdy uzna, że to nic dziwnego, skoro nas zdradził i zostawił na pewną śmierć.

Thorn przejechał palcem wskazującym i kciukiem po podbródku. Po namyśle stwierdził:

– To niegłupi pomysł. Oczywiście, wszystko zależy od tego, czy uda nam się przedstawić temu przywódcy naszą wersję historii, zanim Zovac przedstawi mu swoją.

Hal wzruszył ramionami.

– Owszem, ale to nie jest konieczny warunek. Tak czy inaczej, najważniejsze, byśmy znaleźli się w porcie, wtedy będziemy mogli dostać się na „Kruka” i odzyskać Andomal.

– A jak zamierzasz tego dokonać? – zapytała Lydia.

Hal znów wzruszył ramionami.

– Tego jeszcze nie przemyślałem – przyznał. Zamyślił się. Nagle stwierdził: – Szkoda, że nie mamy paru szmaragdów z Limmat.

Thorn przechylił głowę w bok.

– A czemu?

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem o tym z Mannokiem. W Raguzie obowiązuje następujący system: każdy okręt oddaje dziesięć procent łupów radzie miejskiej. W ten sposób kupuje się gwarancję bezpieczeństwa. To znaczy, że Zovac będzie musiał oddać część skradzionych szmaragdów. Gdybyśmy i my je mieli, wzmocniłoby to naszą wiarygodność i przekonało ich, że rzeczywiście byliśmy z Zovakiem w Limmat. W końcu szmaragdy nie są zbyt często spotykane.

Lydia głośno odchrząknęła. Wszyscy spojrzeli na nią. Na jej twarzy ukazał się uśmiech.

– O co chodzi? – zapytał Hal. Lydia opanowała się jakoś i powiedziała:

– Pamiętasz to zawiniątko, które dałam ci, kiedy wypłynęliśmy z Limmat? Schowałeś je do sejfu.

Hal przytaknął.

– Owszem. Co z nim? Przypuszczam, że to jakieś wartościowe przedmioty, należące do ciebie.

– W tym zawiniątku jest osiem limmatańskich szmaragdów – oznajmiła Lydia.

Z rozkoszą patrzyła, jak jej słuchaczom opadają szczęki.

– A... jak je zdobyłaś, można wiedzieć? – wydukał Hal.

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu je wzięłam. Leżały w budynku rady miejskiej. To była ostatnia partia,

dostarczona z kopalni. Ale Zvac je przeoczył. Cóż, bardzo się spieszył, biedak. Nikt nie zwrócił na nie uwagi. Leżały w lnianym woreczku na stole w poczekalni. Zajrzałam do środka, zobaczyłam je i stwierdziłam, że zasłużyliście na nagrodę za uratowanie miasta. Stwierdziłam też, że Barat na pewno wam nie zapłaci. Więc... zabrałam je i tyle.

– Ukradłaś szmaragdy? – zapytał Hal, a Lydia zaszurała stopami, nie patrząc mu w oczy.

– No... uwolniłam je. W imię słusznej sprawy.

Thorn zaśmiał się donośnie.

– Ej, dziewczyno – powiedział – ty naprawdę jesteś aniołem.

Lydia zaczerwieniła się ze złości.

– Mówiłam, żebyś mnie tak nie nazywał, staruszkule – odparła z ostrzegawczym błyskiem w oczach. Thorn patrzył na nią z uśmiechem i ani trochę się nie bał. Lydia w końcu odwróciła wzrok i potrząsnęła głową. „Jest niereformowalny”, pomyślała – nie pierwszy raz.

– Kiedy je pokażemy i zechcemy nimi zapłacić, stanie się oczywiste, że pochodzą z tego samego miejsca, co szmaragdy, którymi płacił Zvac. – Lydia rozłożyła dłonie, kierując je wnętrzem do góry.

– I wszyscy pomyślą, że dla niego pracowaliśmy – odparł Hal. – Doskonale! To jest warte straty nawet wszystkich kamieni!

– Nie spieszmy się – wtrącił Thorn. – Ci, którzy rządzą Raguzą, z pewnością nie oczekują, że oddamy im wszystko, co mamy. W końcu piraci bynajmniej nie słyną z hojności.

– Inaczej nie byliby piratami – dorzuciła Lydia z uśmiechem.

Hal dopił kawę, podniósł się, ziewnął i przeciągnął. Odniósł pusty kubek, a potem popatrzył, co dzieje się na pokładzie „Morskiego Jastrzębia”. Została tam niewielka grupka, pełniąca wartę, większość rozeszła się do domów. Mannoca nie było widać, ale uprzedził, że zjawi się w porcie przed południem.

Hal i Stig przez kolejne dwie godziny robili przegląd sprzętu, sprawdzali żagle, maszty, liny i takielunek, szukając rzeczy, wymagających naprawy. Wreszcie, po kilku tygodniach, znaleźli wolną chwilę, by się tym zająć. Po chwili wszyscy członkowie drużyny splatali liny, smarowali bloki i smołowali sztagi.

Kiedy Hal poprzedniego dnia wypuszczał pocisk, zauważył, że przy odrzucie kuszą szarpnęło jakoś inaczej niż zwykle, jakby przesunęła się mocniej w jedną stronę.

Teraz zdjął brezent i pochylił się, by przyjrzeć się paskom, które miały za zadanie amortyzować siłę odrzutu. Nie sprawdzał ich od bitwy w Limmat. Pasek z prawej strony przetarł się lekko w miejscu, gdzie dotykał ramy kuszy. Drewniana konstrukcja miała ostre brzegi, a pasek ocierał się o nie przy każdym wystrzale. Pasek zrobił się cieńszy, a jednocześnie wydłużył się nieco i dlatego właśnie Zadymiarz przesunął się mocniej w jedną stronę.

Hal wyjął komplet narzędzi, wziął do ręki strug i zaczął wygładzać ostry drewniany kant, aż ten wyokrąglął. Potem dodatkowo przetarł go pumeksem. Ingvar przyglądał się wszystkiemu, gotów w każdej chwili służyć pomocą. Hal uśmiechnął się do siebie. Ingvar czuł się szczególnie związany z Zadymiarzem. Tylko on miał tyle siły, by w pojedynkę naciągać ciężką i ładować pociski. Przez całe życie lekceważony, teraz wreszcie mógł poczuć się ważny, jako jedyna osoba w całej drużynie, która mogła wykonać tak istotne zadanie. Bardzo go to cieszyło.

– Jak rana? – zapytał Hal, nie odrywając się od pracy. Ingvar przyłożył rękę do boku i nacisnął.

– Znacznie lepiej. Za dzień czy dwa powinienem być jak nowy.

– Świetnie. Bo za dzień czy dwa być może będziesz mi potrzebny. – Hal pochylił się i uważnie obejrzał pasek. Z namysłem zagryzł wargi. Wyglądał całkiem porządnie.

– Szarpnij, tylko mocno – poprosił Ingvara.

Ingvar szarpnął i obaj jeszcze raz obejrżeli pasek.

– Chyba może być – stwierdził Ingvar, a Hal przytaknął zgodnym mruknięciem.

– Natłuszczę go, żeby się tak szybko nie wycierał.

Potem naciągnął równo oba paski, zebrał narzędzia, podniósł się i jeszcze raz spojrzął na „Morskiego Jastrzębia”. Tym razem dostrzegł na pokładzie Mannoca, który właśnie oglądał zniszczony forsztak i rozmawiał z pierwszym oficerem o koniecznych naprawach. W kadłubie tu i tam widać było nacięcia, z których wyzierało surowe drewno – w miejscach, gdzie trafiły pirackie włócznie i topory. Uszkodzenia te w żaden sposób nie mogły zaważyć na sprawności okrętu, ale Hal wiedział, że tak dumny kapitan jak Mannoc nie znieśie podobnego widoku. Po chwili zagonił całą załogę do pracy i kazał im przetrzeć piaskiem i połatać ślady walki.

Mannoc podniósł głowę i napotkał spojrzenie Hala. Uśmiechnął się i pomachał. Hal podszedł do lewej burty i wszedł na nadburcie, przytrzymując się sztagu. Był świeżo nasmołowany i Hal czuł, jak lepka maź, wciąż jeszcze ciepława, przykleja mu się do palców. Z roztargnieniem wytarł ręce o spodnie. Uśmiechnął się na myśl, jak zareagowałaby na to jego matka. Wskazał na pokład „Morskiego Jastrzębia” i wykazując się dobrymi manierami, zapytał:

– Mogę?

Mannoc kiwnął głową i zapraszająco machnął ręką, a kiedy Hal lekko zeskoczył na pokład, podszedł i podał mu rękę na powitanie.

– O co chciałeś zapytać? – rzucił wesoło.

– O Zavaca i Raguzę – odparł Hal.

Uśmiech na twarzy Mannoca trochę zrzędł.

– Ach, tak – powiedział. – A co dokładnie chciałbyś wiedzieć?

– Spotkałeś go już wcześniej, prawda?

Mannoc przytaknął.

– Nie raz. Niestety, nigdy nie udało mi się go dopaść. Jego okręt był szybszy od mojego, zawsze zdążył zwiać do Raguzy.

– A więc w Raguzie znają „Morskiego Jastrzębia”? To znaczy, chodzi mi o to, czy by go rozpoznali.

Mannoc uśmiechnął się ponuro.

– O, z pewnością. Pomijając Zavaca, przez te lata narobiliśmy sporo kłopotów mieszkańcom Raguzy. – Urwał i popatrzył na Hala, sprytnie mrużąc oczy. – Przypuszczam, że to ma coś wspólnego z pytaniami, które zadawałeś mi wczoraj wieczorem?

Hal przytaknął.

– Z tego, co mówiłeś, wnioskuję, że najważniejszą osobą w mieście jest ten korpale... – zawahał się, a Mannoc powiedział:

– Korpajlo. Tak. Rada miejska nosi nazwę Korpajlo, co znaczy „krąg”. Nazwali się tak, ponieważ spotykają się w okrągłej sali i siedzą przy okrągłym stole. Ma to oznaczać, że wszyscy członkowie rady są sobie równi, za wyjątkiem korpajlo, przewodniczącego. Wybiera go rada na okres czterech lat i jego słowo stanowi prawo. – Zmarszczył brwi i po namyśle dodał: – Obecnie jest nim człowiek imieniem Mihaly. Wybrano go dwa lata temu. Kiedyś był kapitanem pirackiego okrętu i może być bardzo niebezpieczny dla każdego, kto próbuje mu się przeciwstawić. To okrutny człowiek, pozbawiony litości, rządzi radą żelazną ręką, nie uznaje żadnych dyskusji. – Mannoc uśmiechnął się ironicznie. – Jego imię oznacza „bliski bogom”. Chyba wziął to dosłownie. Wierzy, że posiada równą im moc.

Hal słuchał tego ze zmarszczonymi brwiami.

– Skoro korpajlo ma władzę absolutną, to jaki jest sens istnienia rady?

Mannoc kiwnął głową.

– Dobrze pytanie. Członkowie rady wykonują jego polecenia. Sami nie posiadają władzy. Ale mają wielki wpływ na to, co dzieje się w mieście. Poza tym wyłącznie członkowie rady wybierani są na urząd korpajja.

– Aha. Teraz rozumiem. Więc jeśli przekonam Mihalya, że jesteśmy piratami, nikt nie odważy się z nim polemizować, nawet Zovac?

– Tak przypuszczam. W końcu Zovac nie jest członkiem Korpalu. Ale jak zamierzasz przekonać Mihalya?

– Mam taki pomysł: będziesz gonił nas swoim okrętem, a wtedy wpuszczą nas do portu. Mannoc przez chwilę rozważał jego słowa, po czym kiwnął głową.

– Tak. Powinno się udać. To dobry pomysł.

– Nie mój – przyznał Hal. – Ukradłem go Zovacowi. Powiem Mahalyowi, że Zovac wynajął nas do ataku na Limmat, a potem zostawił nas na pastwę losu, podobnie jak „Raję”.

Mannoc zdążył poznać szczegóły wydarzeń, które rozegrały się w Limmat. Hal opowiedział mu o wszystkim poprzedniego wieczoru.

– Jeśli wspomnisz o „Rai”, wydasz się bardziej wiarygodny. To był dobrze znany okręt. Tylko pamiętaj, jeśli Mihaly nie uwierzy w twoją historię, znajdziecie się w prawdziwych tarapatach. A ja nie będę mógł w żaden sposób wam pomóc.

– Mamy coś, co pomoże nam go przekonać – odparł Hal, a kiedy Mannoc spojrział na niego pytająco, wyjaśnił: – Zabraliśmy z Limmat trochę szmaragdów, zamierzamy go przekupić.

Mannoc wysunął dolną wargę i pokiwał głową.

– Tak. To powinno zadziałać.

– Zastanawiam się nad czymś jeszcze. Myślisz, że twoi kupcy mieliby coś przeciwko, gdybym zwrócił im pieniądze i zamienił je na towary?

Mannoc po namyśle potrząsnął głową.

– Sądzę, że będą zachwyceni – odparł. – Wyliczyli zapłatę na podstawie cen rynkowych. Jeśli zapłacą wam towarem, tylko na tym zyskają. Ale jaki jest tego cel?

– Jeśli będziemy mieć ze sobą jakiś ładunek, możemy wymyślić historię, że napadliśmy na statek kupiecki, jeden z tych, które eskortowałeś. I że potem zjawiliśmy się i zaczęliśmy nas ścigać. To doda nam wiarygodności.

Mannoc popatrzył na niego z rosnącym podziwem. „Młody nieźle kombinuje”, pomyślał. „Ubezpiecza się ze wszystkich stron”. Nagle coś jeszcze przyszło mu do głowy. Był to drobny szczegół, a właśnie zaczął sobie uświadamiać, że drobne szczegóły czynią dużą różnicę.

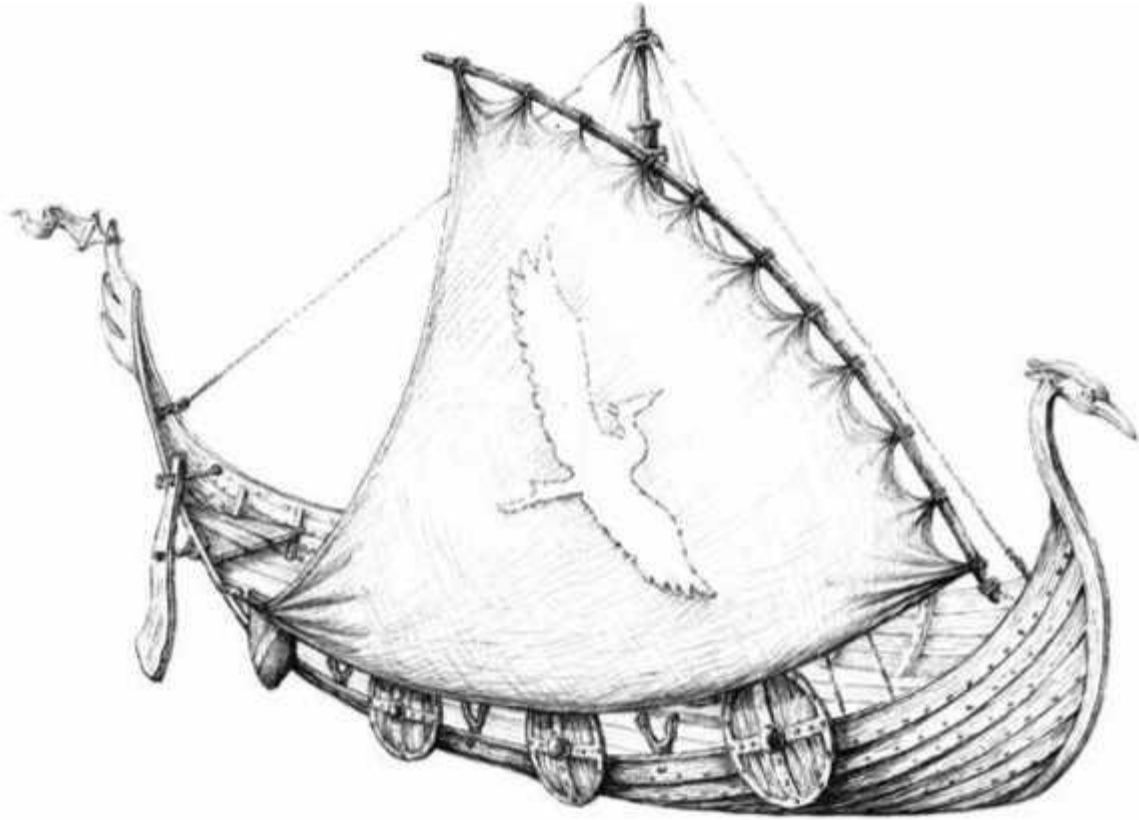
– Potrzebna wam czarna bandera. Wszystkie pirackie okręty taką mają. Czarna flaga z waszym emblematem.

Hal uśmiechnął się.

– Edvin się tym zajmie. Jeśli niczego innego nie wymyśli, to zrobi ją na drutach.



CZEŚĆ DRUGA



POJEDYNEK

ROZDZIAŁ 32



Mihaly, korpajło pirackiej twierdzy Raguzy, szybkim i stanowczym krokiem przechadzał się wzdłuż nabrzeża, jak to miał w zwyczaju robić niemal każdego dnia. Jego sekretarz, Hugo, truchtał z tyłu, z trudem utrzymując tempo.

Mihaly ciemnymi oczami wodził dokoła, przyglądał się moło i kei, wypatrywał nowych okrętów i sprawdzał te, które jego zdaniem już za długo stały w porcie. Opłata w wysokości jednej dziesiątej łupów pozwalała cumować w Raguzie przez miesiąc. Później okręt mógł albo opuścić port, albo wnieść kolejną opłatę, tym razem mniejszą, w wysokości jednej dwudziestej łupów.

Zatrzymał spojrzenie na okręcie, zacumowanym przy kamiennym nabrzeżu. Wyróżniał się on niebieską barwą kadłuba i malunkiem oczu na dziobie. Kapitan zauważył korpajło i wesoło zawołał na powitanie:

– Dzień dobry! Piękny mamy poranek!

Mihaly uśmiechnął się i pomachał mężczyźnie.

– A owszem, Drakisie! – Potem odwrócił się do sekretarza. Uśmiech momentalnie znikł z jego twarzy. – Jak długo stoją w porcie? – zapytał.

Hugo zaczął przeglądać rejestr, który zawsze nosił przy sobie, pełen nazw okrętów i dat ich przybycia do portu.

– Niech no spojrzę... „Błękitny Płomień”... „Błękitny Płomień”... – mrucał, przewracając kartki tak szybko, jak tylko potrafił. Mihaly spojrzał na niego i pstryknął palcami.

– Szybciej, do licha.

Hugo wreszcie znalazł odpowiednią stronę.

– Tak, korpajło. A! Jest. Przybyli cztery tygodnie i dwa dni temu. Czyli przekroczyli termin – powiedział.

Mihaly spojrzał na niego.

– Tego nie musiałeś dodawać. Myślisz, że jestem niedorozwinięty? Wyślij potem do nich strażnika po zapłatę.

– Tak jest, korpajło – powiedział Hugo i narysował znaczek obok nazwy okrętu.

Mihaly przystanął, wsparł się rękami pod boki i objął wzrokiem port, pełen łodzi i okrętów. Ze wszystkich stron otaczały go wzgórza, na których wznosiły się eleganckie, malowane na biało budynki.

– Jacyś nowi? – zapytał, a Hugo potrząsnął głową.

– Po „Kruku” nikt się nie zjawił – odparł, bacznie przyglądając się swemu panu.

Uśmiech wykrzywił smagłą twarz Mihalya.

– A nasz przyjaciel Zovac gdzie zacumował?

Tym razem Hugo nie musiał zaglądać do rejestru. Wskazał na jedną z mniejszych zatoczek na końcu portu.

– Kazałeś mu zacumować w Zatoce Kozłego Łba – przypomniał.

– Odpowiednie miejsce dla takiego jak on. – Mihaly przysłonił oczy i spojrzał we wskazanym kierunku.

Jednakże z tego miejsca nie mógł dojrzeć okrętu, cypel zasłaniał widok na zatoczkę.

– Nie ufam temu człowiekowi – powiedział cicho. – To kłamca i oszust.

Hugo wzruszył ramionami.

– W końcu to pirat – stwierdził bez namysłu i nagle pobladł, bo uświadomił sobie swój błąd. Mihaly utkwił w nim spojrzenie ciemnych oczu. Hugo miał wrażenie, że wwiercają mu się w mózg.

– Ja też kiedyś byłem piratem – przypomniał mu. Hugo cofnął się i wyjąkał:

– Cóż, tak, korpajlo... Nie chciałem... To znaczy, nie było moim zamiarem...

Mihaly machnął ręką z niesmakiem.

– Przymknij jadaczkę! Chciałem powiedzieć, że Zovac ma brzydki zwyczaj oszukiwania swych pobratymców. A powinno panować między nami zaufanie. Jeśli nie będziemy trzymać się razem, jeśli nie możemy sobie wierzyć, staniemy się łatwym łupem. Właśnie dlatego Raguzza jest takim potężnym i niezdobytym portem. Trzymamy się razem i nawzajem się wspieramy.

„I ściągamy spory haracz z każdego okrętu, który chce wpłynąć do portu”, dodał Hugo w myślach. Był jednak na tyle rozsądny, że zachował te refleksje dla siebie. W milczeniu pokiwał głową.

Mihaly stał na szeroko rozstawionych nogach, w pozycji godnej doświadczonego żeglarza. Miał smagłą skórę, czarne krótko przycięte włosy, gęste brwi i ciemnobrązowe, niemal czarne oczy. Jego twarz osmagały słońce, wiatr i słona woda. Był krępowy i nieco poniżej średniego wzrostu; żeby sobie to zrekompensować, nosił długie do kolan buty na obcasach. U szerokiego pasa wisiały dwa ciężkie sztylety i długa wygięta szabla. W latach, gdy uprawiał piracki proceder, doskonale poznał wschodnie wybrzeża Morza Spokojnego, zapędzał się aż na Morze Rostowskie i przez Kanał Assarański na Morze Krwiste.

Od jego ostatniej wyprawy minęło już wiele lat i zaczął grubieć w talii. Ale nadal potrafił zadawać błyskawiczne ciosy mieczem bądź jednym ze swych sztyletów – albo pięścią. I Hugo doskonale o tym wiedział. Z Mihalyem nie było żartów.

Korpajlo odchrząknął. Na myśl o Zovac i jego okręcie humor mu się popsuł. Czuł, że Madziar coś przed nim ukrywa, że zapłacił znacznie mniej, niż powinien. Nie umiał jednak tego dowieść. Odwrócił się na pięcie i spojrzał na miasto. Hugo pomyślał, że Mihaly potrafi poruszać się jak błyskawica.

– Dobrze! Wracamy do...

– Widzę żagiel! Dwa okręty!

Okrzyk dobiegł z drewnianej platformy obserwacyjnej, wzniesionej na końcu kei. Strażnik wyciągał rękę w stronę morza. Mihaly pobiegł po kamienistym nabrzeżu do miejsca, gdzie zataczało miękki łuk w stronę wąskiego wejścia do portu. Hugo pospieszył za nim.

Po obu stronach wejścia pokazali się strażnicy i rozległo się bicie bębnow. Uzbrojeni mężczyźni ustawili się wzdłuż nabrzeża. Łucznicy po obu stronach zajęli pozycje i naciągnęli łuki.

Mihaly i Hugo dobiegli do końca molo. Przywódca straży na widok korpajlo zasalutował.

– Dwa okręty – powiedział, uprzedzając pytanie Mihalya. – Zmierzają w stronę portu.

W szybkim tempie.

Strażnik stał na platformie, pochylony nad specjalną tubą, ustawioną na obrotowym podwyższeniu. Tuba ta miała za zadanie ograniczyć patrzącemu widok i skupić jego wzrok na określonym punkcie.

– Ten drugi to „Morski Jastrząb”! – zawołał.

Mihaly drgnął, usłyszawszy tę nazwę. Nienawidził „Morskiego Jastrzębia” i jego

kapitana, Mannoca. Przez niego stracił w ciągu ostatnich lat spore dochody. Od kiedy Mihaly nie pływał sam po morzach, miał udział w łupach, przywożonych przez inne okręty. Mannoc spalił i zatopił ich stanowczo zbyt wiele.

– Jesteś pewien? – krzyknął. Strażnik wyprostował się i spojrzał na krępą postać, stojącą na molo.

– Jestem pewien – odparł. – Ten wieprz gonił nas przez trzy dni. Potem nas dopadł i zatopił „Naskę”. Ledwo uszedłem z życiem. Wszędzie bym go rozpoznał.

– A ten drugi?

– Jakiś mniejszy okręt. Wygląda na to, że „Morski Jastrząb” ich goni, ale dają sobie radę. Ma dziwne ożaglowanie. Podobne do tych, których używają na okrętach, pływających po Morzu Krwistym. Dwa trójkątne żagle.

Mihaly wszedł kilka stopni po drabinie, wiodącej na platformę, aż jego oczom ukazały się oba okręty. A więc strażnik miał rację. Rzeczywiście, tym drugim okrętem był „Morski Jastrząb” i bez wątplenia gonił mniejszą jednostkę.

– Widzę czarną banderę – dodał strażnik. Nie musiał tłumaczyć, o który okręt chodzi. „Morski Jastrząb” nigdy nie wywiesiłby takiej flagi. To był uniwersalny znak korsarzy – bo taką właśnie nazwę stanowczo wołał Mihaly od nazwy „piraci”.

Nagle pierwszy z okrętów zrobił zwrot, kierując się pod wiatr – i w kierunku wejścia do portu. Dzięki specyficznemu ożaglowaniu mógł ostrzyć bliżej linii wiatru niż „Morski Jastrząb” ze swoim prostokątnym żaglem.

„Gdybym kiedykolwiek miał wrócić na morze, to zbudowałbym okręt z takim ożaglowaniem”, pomyślał Mihaly.

Stopniowo odległość między okrętami rosła. Mihaly miał wrażenie, że „Morski Jastrząb” zaczyna się poddawać, choć wiedział, że to tylko złudzenie. Na dziobie stała grupka mężczyzn, uzbrojonych w łuki i ślących strzały za uciekającą ofiarą. Ale niewielki okręt znalazł się poza ich zasięgiem, strzały wpadały do wody, rozbryzgując pianę kilwateru. Kilku piratów stanęło na rufie, machali i wyzywali swych prześladowców.

Kilkaset metrów od wejścia do portu Mannoc uznał swą porażkę i zawrócił. Z pewnością nie miał ochoty znaleźć się w zasięgu strzał łuczników, czekających po obu stronach wejścia. Mannoc wiedział z doświadczenia, że nie należy za bardzo się do nich zbliżać.

– Co rozkażesz, panie? – zapytał dowódca.

Mihaly po chwili namysłu odpowiedział:

– Wyślijcie eskortę, dwa barkasy.

Dowódca zasalutował i wydał ludziom rozkazy.

– I miejcie oko na „Morskiego Jastrzębia”. Niewykluczone, że Mannoc zechce jeszcze spróbować szczęścia.

Nie wykluczał, że kiedy ścigany okręt opuści żagle i załoga siądzie do wiosł, by wpłynąć do portu, Mannoc jeszcze raz spróbuje go dopaść. Dlatego Mihaly rozkazał, by po nowo przybyłych wypłynęły dwa barkasy. Były to łodzie przeznaczone właśnie na takie okazje, zawsze gotowe przystąpić do akcji. Załoga każdej z nich składała się z dwudziestu uzbrojonych mężczyzn – kiedy Mannoc ich zobaczy, z pewnością uzna, że lepiej jednak trzymać się na bezpieczną odległość.

Teraz, kiedy okręt był już blisko, Mihaly dostrzegł, że cały kadłub jeży się od strzał, a żagiel jest w kilku miejscach dziurawy. Wszystko wskazywało na to, że pościg trwał długo, i że Mannoc zdołał podpłynąć bardzo blisko do ściganego okrętu. Mihaly wyraźnie widział już czarną banderę, ozdobioną wizerunkiem łba ptaka o długim dziobie. Sternik pozdrowił załogi barkasów. Podziurawiony żagiel zjechał w dół i został zwinięty. Wzdłuż obu burt pokazały się rzędy wiosł.

Mihaly jeszcze raz spojrział na „Morskiego Jastrzębia”, lecz ten znajdował się już daleko na środku rzeki. Tutaj, niedaleko ujścia do Morza Spokojnego, szerokość koryta wynosiła pięć kilometrów, może nawet więcej. W czasie przypływu woda robiła się słona. „Morski Jastrząb” był już tylko małym białym żagielkiem pośród błękitu rzeki. Już nie stanowił zagrożenia.

Mihaly wskazał kciukiem niewielki okręt, który właśnie zmierzał do portu między dwoma smukłymi drapieżnymi barkasami.

– Wskaż im miejsce, a potem przyślij do mnie – rozkazał.

– Tak jest, panie – odparł dowódca. – Przy nabrzeżu? Czy w zatoce?

Mihaly posłał mu groźne spojrzenie.

– Czy ja wyglądam jak ktoś, kto zajmuje się takimi sprawami? – warknął, a dowódca zaczął tłumaczyć się pospiesznie:

– Wybacz, panie. Wszystkiego przypilnuję. Przypomniał sobie – stanowczo zbyt późno – że nie należy zawracać korpajlo głowy podobnymi drobiazgami. No, chyba że chodziło o opłaty. W takich przypadkach Mihaly był bardzo skrupulatny.

– Przyprowadź ich kapitana za jakąś godzinę – rzucił, odwracając się. – Pod strażą, póki nie dowiemy się, kto to jest.

– Rozkaz – odpowiedział prędko dowódca. Już myślał o tym, co musi zrobić. Wyznaczy im miejsce przy nabrzeżu. Gdyby kazał im zacumować w zatoce, zbyt długo by to wszystko trwało, bo potem musiałby jeszcze znaleźć jakąś łódkę, by dowieźć nią kapitana do portu i na czas dostarczyć do gabinetu Mihalya.

Sierżant odprowadził wzrokiem krępą postać korpajlo, który kroczył przed siebie rozkołysanym krokiem marynarza. Z tyłu jak zwykle podskakiwał Hugo, z trudem dotrzymując mu kroku.

– Łuuu! – westchnął. – Zawsze przyjemnie z nim pogawędzić, co?

– Zamknij się! – warknął jego zwierzchnik, robiąc prawą ręką taki gest, jakby coś ucinał.

– Ma słuch jak jastrząb. Słyszy wszystko, co się mówi.

Nie wiedział wprawdzie, czy jastrząb ma dobry słuch czy nie. Ale w tym momencie żadne lepsze porównanie nie przyszło mu do głowy.



ROZDZIAŁ 33



To już zaczyna być nudne – powiedział Stig, kiedy ruszyli przed siebie, on, Thorn i Hal, w asyście sierżanta i oddziału uzbrojonych żołnierzy. Thorn spojrział na niego z zaciekawieniem.

– Co takiego? – zapytał.

– Wygląda na to, że za każdym razem, kiedy trafiamy do portu, jakaś rządząca nim nadęta miernota, która tylko marzy o tym, by złupić nas do gołej skóry, wysyła po nas całą armię. To bardzo nużące.

– Tak to już jest – odparł Thorn. – Mieszkańcy miast, leżących wzdłuż takiej rzeki jak ta, czekają na pieniądze. Zresztą, jeśli obcy okręt zawija do Hallasholm, też musi wnieść opłatę.

– I uważałbym na określenia typu „nadęta miernota” – ostrzegł Hal, tłumiąc głos. – Z tego, co słyszałem, ten cały korpajło może być bardzo niebezpieczny, więc lepiej go nie drażnić.

Stig prychnął wzgardliwie. Przyznał jednak, że rzeczywiście lepiej nie stosować tego typu komentarzy wobec lokalnych watazków.

Port otaczały strome wzgórza, usiane wznoszącymi się tarasowo, oślepiająco białymi budynkami. Wspinali się wąską krętą uliczką, a kiedy znaleźli się wyżej, Hal odwrócił się i powiódł wzrokiem dokoła. W dole leżał port, maszty okrętów przypominały las bezlistnych, pozbawionych gałęzi drzew. Oprócz okrętów, cumujących w samym porcie – mogło być ich około trzydziestu – znajdowały się tam również mniejsze jednostki: łodzie rybackie, barki i barkasy, podobne do tych dwóch, które eskortowały „Czapłę” do portu. Większość budynków była pomalowana na białą i zwieńczona dachami z pomarańczowej terakoty.

Sierżant popędził ich niecierpliwie, Hal odwrócił się i ruszył dalej krętą uliczką.

Na samym szczycie stał duży trzypiętrowy budynek, zajmujący całą jedną stronę niewielkiego placu. Z przodu ciągnął się rząd arkad, tworzących podcienia. Ten budynek, rzecz jasna, również był pomalowany na białą. Powyżej arkad widniały trzy rzędy łukowatych okien. Z lewej strony wносиła się okrągła wieża, dwa razy wyższa od głównego budynku. Sierżant wskazał na wieżę i ruszył przodem.

– Korpajło – mruknął Hal. Jego towarzysze zerknęli nań z zaciekawieniem. – Rada miasta nazywa się Korpajło, co znaczy „okrąg” – wyjaśnił. – Spotykają się w okrągłym pomieszczeniu, przypuszczam, że właśnie w tej wieży.

Sierżant zaprowadził ich do środka i ruszył schodami, wijącymi się wzdłuż ściany. Na pierwszym piętrze całą przestrzeń zajmowało jedno otwarte pomieszczenie, pośrodku stał okrągły stół i piętnaście krzeseł. Hal domyślił się, że jest to sala, w której odbywają się posiedzenia Korpajła. Drugie piętro było podzielone na mniejsze pomieszczenia. Połowę przestrzeni zajmował półokrągły przedpokój, skromnie umeblowany drewnianymi krzesłami i ławkami, zapewne przeznaczonymi dla petentów, czekających, aż ktoś wyjrzy i zaprosi ich do środka. Sierżant bez wahania podszedł do drzwi i zapukał.

Przez chwilę nic się nie działo, ale w końcu jakiś zachrypnięty głos zawołał, że mają

wejść. Sierżant otworzył drzwi i puścił Skandian przodem. Wraz ze swymi żołnierzami ustawił się za ich plecami, wzdłuż ściany.

Gabinet Mihalya zasadniczo różnił się od skromnie wyposażonej poczekalni. Najważniejszym meblem było ogromne biurko, Mihaly zasiadał za nim na krześle o wysokim oparciu, ozdobionym kunsztownymi rzeźbieniami. W pokoju stało kilka podobnych, lecz mniejszych krzeseł, obitych tapicerką w żywych kolorach. Drewno, ciemne i błyszczące, wyglądało tak, jakby ktoś regularnie je polerował. Pod ścianami ustawiono też drewniane skrzynie. Biurko Mihalya stało przy półokrągłej ścianie. Przez duże łukowate okno, pozbawione ozdób, widać było pomarańczowe dachy i połyskliwy błękit zatoki w oddali.

Na ścianach wisiały bogate kobierce, poczesne miejsce zajmował obraz, przedstawiający dwumasztowiec.

Hal przyjrzał mu się z profesjonalnym zainteresowaniem i stwierdził, że artysta nie miał pojęcia o konstrukcji okrętów. Gdyby ktoś rozmieścił maszty w ten sposób, wiatr nie mógłby wypełnić przedniego żagla.

Nad biurkiem wisiała szeroka haftowana tkanina, wykończona frędzlami, przymocowana do drewnianego kołka. Poruszała się powoli w tył i w przód, wywołując przyjemny powiew. Stig zastanawiał się, co ją wprawia w ruch. Potem zauważył przyczepiony do niej cienki sznurek, przechodzący przez otwór w ścianie. Zapewne po drugiej stronie stał służący i pociągał za sznurek, tak że ciężka tkanina poruszała się nieustannie w przód i w tył.

Był to bez wątpienia pokój bogatego i potężnego człowieka. W porównaniu z nim gabinet Doutro w Bayrath musiał wydać się mały, niechlujny i niezbyt imponujący.

– Usiądźcie – odezwał się Mihaly i machnął ręką w stronę trzech krzeseł, stojących po drugiej stronie biurka. Hal pomyślał, że bynajmniej nie zabrzmiało to jak zaproszenie, lecz jak rozkaz. Przypuszczał, że podobnie będzie wyglądała cała rozmowa. Czaple zajęły miejsca, Thorn pośrodku, Hal po prawej stronie, a Stig po lewej. Ustalili, że Thorn jak zwykle będzie grał rolę kapitana.

– A więc, kim jesteście? Skąd przybywacie? I czego chcecie? – Mihaly wystrzelił serię pytań. Thorn odpowiedział spokojnie:

– Jesteśmy Skandianami. Pochodzimy z Hallasholm na wybrzeżu Morza Białych Sztormów, ale już od dłuższego czasu jesteśmy na wyprawie, plądrowaliśmy wschodnie i południowe wybrzeża, potem popłynęliśmy Danem. Szukamy schronienia w Raguzie. Słyszeliśmy, że to miejsce przyjazne takim jak my.

– Piratom, chcesz powiedzieć? – Mihaly zarezerwować termin „korsarz” dla siebie. Ale tym nowym chyba nie robiło to różnicy.

Thorn wzruszył ramionami.

– Skoro tak chcesz nas nazywać.

Mihaly na chwilę wpił w niego wzrok, a potem przeniósł spojrzenie na dwóch młodzieńców, siedzących obok niego. Zauważył, że cała trojka ma na głowach identyczne wełniane czapki.

– Kim są ci dwaj? – warknął.

– To sternik i bosman – odparł Thorn, wskazując odpowiednio na Hala i Stiga. Mihaly znów spojrzał na Thorna.

– Trochę młodzi, co? – stwierdził i uśmiechnął się drwiąco.

Thorn nie zamierzał się obrażać.

– Nikogo lepszego nie znalazłem – odparł obojętnie.

– Niezbyt wielu doświadczonych żeglarzy chce służyć jednorękiemu kapitanowi – dodał, podnosząc drewnianą protezę. – Ale ci młodzieńcy dobrze sobie radzą. Wytrenowałem ich

i nauczyłem walczyć.

– Tak powiadasz – rzucił Mihaly, znów z drwiną w głosie.

– Tak powiadam – odparł Thorn, nadal obojętnym i spokojnym tonem. Jednocześnie wpatrywał się w korpalko nieporuszonym spojrzeniem. Ten w końcu kiwnął głową i odwrócił wzrok. Pomyślał, że to nie jest człowiek, który łatwo daje się zastraszyć. Poczul coś na kształt szacunku dla jednorękiego nieznanego. Mihaly wolał robić interesy z ludźmi szczerymi i bezpośrednimi – czyli zupełnie innymi od Zavaca, jak dodał kwaśno w myślach.

Spojrzał na papiery, leżące na biurku, zebrał myśli i podniósł wzrok.

– A więc szukacie wsparcia Korpalku – powiedział.

Thorn lekko zmarszczył brwi, udając, że nie rozumie.

– Korpalku?

Mihaly zrobił niecierpliwy gest.

– Rady miejskiej Raguzy. Taką nosi nazwę. Może przed przyjazdem do nas należało zebrać trochę podstawowych informacji.

– Trochę nam się spieszyło – odparł Thorn, a Mihaly uśmiechnął się krzywo.

– Widziałem.

Thorn gniewnie potrząsnął głową.

– Dziesięć kilometrów stąd napadliśmy na statek kupiecki. Właśnie przenosiliśmy towary na naszą łódź, kiedy zza zakrętu wychynął ten przeklęty okręt. Mało brakowało, a by nas dopadł.

– „Morski Jastrząb” – wtrącił Mihaly.

Thorn wzruszył ramionami, nadal miał gniewną minę.

– Tak się nazywa? Nie wiedziałem. Mieli nad nami przewagę liczebną, więc zabraliśmy, ile się dało i zaczęliśmy uciekać. Postanowiliśmy poszukać schronienia w tym porcie, słyszałem o nim wcześniej.

Mihaly rozparł się wygodnie na swoim krześle. Po namyśle zapytał:

– Znacie panujące tu zasady?

Thorn przytaknął.

– Płacimy dziesięć procent od łupów, a wy zapewniacie nam bezpieczeństwo.

– Zgadza się. Na miesiąc.

– Mamy ze sobą wyroby skórzane, trochę oliwy najwyższej jakości i tuzin bel szlachetnego jedwabiu. Z radością oddam wam z tego dziesięć procent.

Zaczekał, aż Mihaly zanotuje wszystko na papierze długim pawim piórem. Potem pochylił się do przodu.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedział. – Słyszałem, że niejaki Zavac zmierzał w tę stronę. Jeśli tu jest, chciałbym z nim porozmawiać.

Mihaly wyraźnie zainteresował ten temat.

– Zavac? – rzucił od niechcienia. – Możliwe, że tu jest. A o czym chciałbyś z nim porozmawiać?

Wyczuwał, że ci twardzi ludzie Północy i ugrzeczniony przypoehlebny Zavac nie pałają do siebie zbyt dużą sympatią. Pomyślał, że mógłby wykorzystać konflikt, istniejący między nimi do własnych interesów. Zwykle potrafił czerpać zyski z tego typu sytuacji.

Thorn popatrzył mu prosto w oczy i odparł:

– Chciałbym porozmawiać z nim o tym, że zamierzam go zabić.

Mihaly zrobił władczy gest.

– Walki w naszym mieście są zabronione – powiedział automatycznie. – Inaczej cały system padłby w ciągu kilku tygodni i nastalaby anarchia. Jeżeli macie coś do załatwienia między sobą, musicie rozwiązać ten problem gdzie indziej.

Thorn skinął głową.

– Rozumiem, słuszne podejście.

Mihaly jednak chciał dowiedzieć się czegoś więcej.

– Za co chcesz go zabić?

– Zdradził nas. Najął naszą drużynę do ataku na Limmat. Słyszałeś o tym?

Mihaly wzruszył ramionami.

– Owszem – odparł i Thorn podjął, nie kryjąc gniewu:

– Dołączyliśmy więc do Zavaca, my i jeszcze jeden okręt, „Raja”.

Mihaly był wyraźnie zaintrygowany.

– Okręt Nagya? Zastanawialiśmy się, co się z nim stało.

– Już go nie ma. Limmat okazało się twardszym orzechem do zgryzienia, niż przedstawił to Zavac. W dodatku mieszkańcom miasta pomogli Skandianie, którzy przybyli wilczym okrętem zaraz po nas. Prawdopodobnie mieliśmy szansę na wygraną. Ale w chwili, kiedy zaczęliśmy zdobywać przewagę, Zavac po prostu zwiął i zostawił nas na pastwę losu. Straciliśmy „Raję” i prawie wszystkich członków jej załogi. Ocalał tylko Rikard, pierwszy oficer. Zabraliśmy go na pokład.

Mihaly zmarszczył brwi.

– Przyplłynął z wami? – zapytał prędko. – Może potwierdzić waszą historię?

Thorn ze smutkiem potrząsnął głową.

– Niestety. Został zamordowany w mieście o nazwie Krall. Którejś nocy poszedł do tawerny i więcej go nie zobaczyliśmy.

Thorn i Hal dokładnie przećwiczyli całą tę opowieść poprzedniego dnia. Uznali, że domieszkają do niej elementy prawdziwych wydarzeń, dzięki czemu wyda się ona bardziej prawdopodobna, szczególnie, jeżeli wieści o wydarzeniach, które rozegrały się w Krall, zdążyły dotrzeć do Raguzy. A jeśli nawet Mihaly nie słyszał o morderstwie, zapewne znał Rikarda przynajmniej ze słyszenia, co również mogło dodać wiarygodności ich historii.

Hal uznał, że nadszedł odpowiedni moment, by wyciągnąć asa z rękawa.

– Ale mamy coś innego na potwierdzenie prawdziwości naszych słów – wtrącił.

Korpajlo spojrział na Hala.

– A cóż to takiego? – zapytał niespiesznie.

W odpowiedzi Thorn sięgnął za pazuchę i wyjął niewielką sakiewkę z niegarbowanej skóry, położył ją na stole i rozwiązał. Mihaly pochylił się. Oczy mu zabłyśły, kiedy osiem szmaragdów potoczyło się po gładkim blacie.

– Mówiłem ci o towarach z kupieckiego statku – podjął Thorn – ale jest jeszcze to. Nasza część łupów z Limmat. Oczywiście, należy ci się dziesięć procent.

Mihaly sięgnął przez stół, wziął do ręki jeden z kamieni i uniósł go do światła.

– Piękny. Niezwykły kolor – powiedział cicho. – Nigdy wcześniej takiego nie widziałem.

Hal i Thorn wymienili ukradkowe spojrzenia. Potem Thorn stwierdził z zaskoczeniem w głosie:

– Ależ musiałeś wcześniej widzieć takie szmaragdy. – A kiedy Mihaly popatrzył na niego, marszcząc brwi, dodał: – Zavac nie zapłacił ci dziesięciu procent od swojej partii? Miał tego cztery razy więcej, niż my.

Mihaly odłożył szmaragd na stół. Wreszcie wszystkie elementy układanki trafiły na miejsce. Od razu podejrzewał, że Zavac coś przed nim ukrywa i próbuje go oszukać. A ci Skandianie właśnie to potwierdzili.

– Nie – odparł spokojnie. – Nigdy o niczym takim nie wspominał. – Spojrział na sierżanta, stojącego w gotowości pod ścianą. – Przyprowadź do mnie dowódcę. Muszę zamienić kilka słów

z naszym przyjacielem Zavakiem.

ROZDZIAŁ 34



Zavac właśnie odpoczywał na pokładzie „Kruka” w fotelu z płótna i drewna, rozkoszując się zachodem słońca.

Noclegi w Raguzie były kosztowne, właściciele lokali chętnie zdierali skórę z przyjezdnych. Dlatego prawie wszyscy woleli nocować na pokładzie. Ludzie Zavaca dla ochrony przed niepogodą rozpięli coś w rodzaju namiotu, zajmującego dwie trzecie długości kadłuba. Większość okrętów, stojących w porcie, radziła sobie w podobny sposób. Członkowie załogi rozłożyli posłania pod daszkiem. Zavac, rzecz jasna, miał swoją prywatną kajutę pod pokładem.

Usłyszał jakieś kroki i podniósł wzrok.

Vargas biegł wzdłuż molo, czerwony z wysiłku. Plamy potu znaczyły jego koszulę. Widać przebył już kawał drogi. Zavac pomyślał kwaśno, że nic dziwnego, Zatoka Koźlego Łba znajdowała się w sporej odległości praktycznie od wszystkiego.

Vargas wskoczył na pokład i pospieszył w stronę Zavaca. Ten pochylił się, ciekaw, co jest przyczyną jego wzburzenia.

– Oni tu są! – wykrzyknął Vargas, nie tracąc czasu na żadne wstępy. Zavac kiwnął głową.

– Tak? – powiedział sarkastycznym tonem. – Niesamowite.

Vargas popatrzył na kapitana. „Zaraz będziesz gadał inaczej”, pomyślał. Był zły na siebie, że zaczął tak niefortunnie i naraził się na szyderstwa Zavaca.

– Skandianie – wyjaśnił. – Są w Raguzie.

Z twarzy Zavaca natychmiast znikł wzgardliwy wyraz. Zavac zmarszczył brwi i poczerwieniał z gniewu.

– Tutaj? Gdzie? Co tu robią?

Vargas wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, co tu robią, ale widziałem ich łódź w porcie.

– Chcesz powiedzieć, że zostali zatrzymani? Że łódź skonfiskowano? – powiedział Zavac, czepiając się resztek nadziei. Ale Vargas potrząsnął głową.

– Nie wygląda na to. Jak już powiedziałem, zacumowali przy nabrzeżu. Nie zauważyłem, żeby stały tam jakieś straże. Wszyscy zajmowali się swoimi sprawami, jak gdyby nigdy nic.

Zavac opadł ciężko na oparcie krzesła, wsparł brodę na rękę. Myślał gorączkowo. Jak oni zdołali wpłynąć do portu? Jakim cudem wydostali się z Bayrath? Zaklął w myślach. Zapłacił gatmeisterowi sporą sumę, żeby wsadził ich do więzienia, a potem powiesił. I nagle znaleźli się w Raguzie. Przysiągł sobie, że zabije Doutro za tę zdradę. Na pewno otworzył im zaporę, inaczej nie wydostaliby się z Bayrath.

Z zamyślenia wyrwało go miarowe postukiwanie ciężkich butów. Podniósł wzrok i zobaczył dowódcę gwardii Korpalu i oddział, złożony z pół tuzina uzbrojonych żołnierzy, szybkim krokiem przemierzających drewniane molo.

Nietrudno było zgadnąć, co jest ich celem. Dowódca wyraźnie patrzył na „Kruka”. Zavac

powoli podniósł się z krzesła. Po chwili żołnierze dotarli do miejsca, gdzie cumował okręt, ustawili się wzdłuż molo, twarzami do „Kruka”. Dowódca zszedł na pokład po drabinie, przyczepionej do molo. To było poważne naruszenie zasad etykiety. Przyjęło się, że należy zapytać o pozwolenie, zanim wejdzie się na pokład czyjegoś okrętu. Oczywiście, nie dotyczyło to różnych nieprzyjemnych sytuacji urzędowych. Dowódca rozejrzał się dokoła, zobaczył Zavaca i Vargasa i ruszył w ich stronę. Zavac wyszedł mu na spotkanie z wymuszonym uśmiechem na ustach.

– Dzień dobry – powiedział miękko. – W czym mogę pomóc?

Dowódca zignorował uśmiech i zapytał obcesowo:

– Ty jesteś Zavac?

Zavac przytaknął, wciąż uśmiechnięty, choć bynajmniej nie było mu zbyt wesoło.

Zachowanie dowódcy bardzo go irytowało.

– Jestem Zavac – odparł. – Kapitan tego okrętu – dodał z naciskiem. W końcu kapitanowi należy się jakiś szacunek. Ale na dowódcy nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Wskazał kciukiem za siebie.

– Masz pójść ze mną – oznajmił. – Korpajlo chce z tobą porozmawiać.

Zavac uniósł brwi.

– Doprawdy? A na jaki temat?

– Nie wiem. Idziemy. Teraz. – Odwrócił się i jeszcze raz wskazał kciukiem drabinę.

Zavac pomyślał, że korpajlo najwyraźniej nie chodzi o przyjacielską pogawędkę. Dowódca może i nie znał szczegółów sprawy, ale na pewno wiedział, że dla Zavaca nie będzie to miła rozmowa. Zavac wzruszył ramionami, by pokazać, jakim jest dobrotliwym i łagodnym człowiekiem.

Zwrócił się do Vargasa:

– Wygląda na to, że korpajlo chce się z nami spotkać... – zaczął, ale dowódca przerwał mu:

– Tylko z tobą. Masz iść sam.

Zavac zaklął pod nosem. Wolałby wziąć kogoś ze sobą. Nigdy nie wiadomo, świadek zawsze może się przydać, szczególnie kiedy rozmawia się z korpajlem, który bywa taki władczy i apodyktyczny. Zavac ukrył jednak wściekłość i posłusznie podszedł do drabiny. Przystanął i jeszcze zawołał przez ramię:

– Powiedz Andrasowi, że wrócę za. – Urwał i zapytał dowódcę: – Jak długo to potrwa?

Kapitan wzruszył ramionami.

– A skąd mam wiedzieć?

Zavaca bardzo niepokoiło to obcesowe zachowanie. Najwyraźniej Mihaly coś do niego miał. Myślał gorączkowo, co to może być. Miał niemiłe przeczucie, że prawdopodobnie chodzi o szmaragdy, które przed nim ukrył. Teraz uświadomił sobie, że chyba popełnił błąd.

Przez chwilę zastanawiał się, czy wezwanie na rozmowę może mieć coś wspólnego z przybyciem Skandian do Raguzy, ale szybko odsunął od siebie tę myśl. Nie widział związku między tymi sprawami. Najprawdopodobniej któryś z członków załogi wygadał się w tawernie i ktoś go podsłuchał.

Szybko przemierzał wąskie uliczki, starając się dotrzymać kroku dowódcy. Pozostali żołnierze otaczali go ścisłym kręgiem, uniemożliwiając wszelkie próby ucieczki. Przechodnie spoglądali z zaciekawieniem na grupkę, maszerującą ulicami Raguzy. Wojskowe buty ciężko uderzały o bruk.

Po dwudziestu minutach dotarli do budynku rady. Zavac ruszył na piętro. Kiedy wszedł do gabinetu, Mihaly podniósł wzrok znad papierów. Spojrzenie miał wrogie, nieruchome. Nieprzyjemna cisza zawisła w powietrzu.

– Chciałeś mnie widzieć, korpajjo? – odezwał się w końcu Zovac. Wiedział, że te słowa były zupełnie niepotrzebne. Oczywiście, że korpajjo chciał się z nim widzieć. Ściągnął go tutaj w asyście żołnierzy. Mihaly nie raczył odpowiedzieć na pytanie.

– Jesteś kłamcą – powiedział bez ogródek. – Kłamcą i oszustem.

Zovac pomyślał, że na razie, nim nie dowie się czegoś więcej, lepiej się nie odzywać. Nie miał pojęcia, o czym mówi Mihaly, zapewnianie o własnej niewinności mogłoby mu raczej zaszkodzić niż pomóc.

Ku jego zaskoczeniu Mihaly nie podjął tematu, tylko dał znak jednemu z żołnierzy i nakazał:

– Wprowadź ich z powrotem.

Żołnierz podszedł do drzwi i otworzył je.

ROZDZIAŁ 35



Zavac aż się cofnął, kiedy ujrzał trzech Skandian. Byli ostatnimi osobami, które spodziewał się tu zastać. Ale oni bynajmniej nie wyglądali na zaskoczonych jego widokiem. Jeden z młodzieńców, wysoki i barczysty, skoczył w stronę Zavaca.

– Ty tchórze! – krzyknął. – Zabiję cię!

Dwaj strażnicy zasłi mu drogę i powstrzymali go. Głos Mihalya był niczym cięcie biczem.

– Wystarczy! Nie życzę sobie żadnych awantur!

Stig poddał się niechętnie i strażnicy puścili go – ale na wszelki wypadek trzymali się w pobliżu.

Zavac oskarżycielskim gestem wyciągnął palec w stronę Skandian.

– Aresztuj tych ludzi! Wtrąć ich do więzienia! – zawołał łamiącym się głosem. – To nasi wrogowie!

– Twoi wrogowie, chciałeś powiedzieć – odezwał się sarkastycznie najstarszy ze Skandian. – Zostawiłeś nas na pastwę losu, zdrajco. Skazałeś na pewną śmierć. Nas i załogę „Rai”.

– „Rai”? – powtórzył Zavac, zaskoczony tą linią ataku. – A co z „Rają”?

Wcześniej nie wspominał korpajlo ani słowem o najeździe na Limmat. Teraz, kiedy Thorn wspominał „Raję”, zdradził go wyraz twarzy. Opanował się szybko, ale było za późno. Korpajlo zdążył zauważyć jego reakcję.

– Ci ludzie walczyli przeciwko mnie! – zwrócił się do korpajlo. – Najechałem ich stolicę, Hallasholm, a oni udali się w pościg za mną. To wrogowie! – powtórzył.

Mihaly przyglądał mu się chodno.

– Najechałeś Hallasholm? W takim razie, gdzie są łupy?

Zavac bezradnie rozłożył ręce.

– Sprzedałem prawie wszystko! Musieliśmy uzupełnić zapasy. A niewiele to wszystko było warte. Dzikusy z północy uważają, że wełna, baranina i solone ryby to bezcenne skarby – dodał złośliwie.

Mihaly poparzył na niego. Sam potrafił świetnie oszukiwać i chwalił się, że zawsze potrafi rozpoznać, kiedy ktoś próbuje go okłamać. W głosie Zavaca pobrzmiwała desperacka nuta, wskazująca aż nazbyt wyraźnie, że nie mówi on prawdy.

– A co z tym najeźdem, kiedy to, jak twierdzą, ich zdradziłeś? – zapytał, pozornie obojętnie.

– Nic o tym nie wiem! – odparł bez namysłu Zavac. Otrząsnął się już z szoku, którego doznał na widok Skandian. Rzucił im wzgardliwe spojrzenie i powiedział stanowczo: – Nigdy nie byłem w żadnym Limmat.

Korpajlo milczał. Spojrzał na Skandian, a potem na Zavaca.

– A czy ktoś mówił o Limmat? – powiedział łagodnie.

Zavac poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Już wiedział, że popełnił poważny błąd.

– Ty! – powiedział, desperacko próbując się ratować. Ale korpajło powoli pokręcił głową.

– Nie, nieprawda. Ani ja, ani oni. Specjalnie uprzedziłem ich, by nie wymieniali nazwy miasta. Dlatego bardzo mnie zastanawia, czemu ty to zrobiłeś.

Zavac nic nie powiedział. Bo cóż miał powiedzieć? Zdawał sobie sprawę, że od początku znalazł się w bardzo niekorzystnej sytuacji. Skandianie rozmawiali z Mihalyem przed nim, przedstawili mu swoją wersję wydarzeń, sprytnie mieszając fakty z kłamstwami, by uczynić ją bardziej wiarygodną. Pomyślał, że może jednak uda mu się jakoś wykręcić. Może potrafiłby dowiedzieć, że Skandianie są ich wrogami – nie tylko jego, ale całej Raguzy i jej mieszkańców.

Ale Mihaly miał dla niego kolejną niemiłą niespodziankę. Sięgnął do kieszeni i rzucił coś na stół. Przedmiot potoczył się po blacie i zatrzymał. Zavac nie mógł oderwać od niego oczu.

Wyjątkowy odcień zieleni nie pozostawiał wątpliwości – to był szmaragd z Limmat. Nigdzie indziej nie występowały kamienie o barwie tak głębokiej.

Otworzył usta, lecz nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Skąd Mihaly wziął jeden z tych bajecznych kamieni? To musiał być jeden z pięćdziesięciu szmaragdów, które leżały schowane na pokładzie „Kruka”. Tylko jak trafił w ręce Mihalya? Zavac nie musiał długo czekać na odpowiedź.

– Tym szmaragdem Skandianie opłacili dziesięcioprocentowy podatek od łupów. Kolor jest bardzo charakterystyczny. Nigdy wcześniej takiego nie spotkałem. – Urwał, oderwał ciemne, niemal czarne oczy od kamienia i przewiercił nimi Zavaca niczym parą świrdrów. – A ty? – zapytał. – Skandianie powiedzieli, że to część łupu, który zdobyli w Limmat. I że ty masz o wiele więcej podobnych kamyków.

– Nie! Ja... też nigdy wcześniej nie widziałem takich szmaragdów. Ja... – Spojrzał na Skandian. Na twarzach dwóch młodszych widniał grymas nienawiści i pogardy. A na twarzy tego starszego, jednorękiego obszarpańca, uśmiech. Uśmiech okrutny, pozbawiony humoru, pozbawiony litości. Zavac zbyt późno uświadomił sobie, że ukrywając szmaragdy i oszukując korpajło, uczynił sobie z niego wroga i tylko wzmocnił wiarygodność przedstawionej przez Skandian wersji wydarzeń.

Mihaly przyglądał mu się przez kilka sekund, potem odwrócił się do dowódcy straży, stojącego pod ścianą ze swymi ludźmi.

– Kapitanie – powiedział Mihaly – zaprowadź swych ludzi z powrotem do „Kruka”. Weźcie łomy i topory i szukajcie tak długo, aż znajdziecie ukryte szmaragdy. Na pewno gdzieś tam są, prawdopodobnie w jakimś sprytnym schowku. Jeżeli będziecie musieli w tym celu rozwalić cały okręt, proszę bardzo. To, co zostanie, odholujcie do portu i spalcie.

– Tak jest! – odparł dowódca, po czym odwrócił się do swych ludzi.

– Żołnierze... – zaczął, ale powstrzymał go desperacki okrzyk Zavaca.

– Nie! To niepotrzebne! Powiem, gdzie są. – Pomyślał, że już lepiej stracić szmaragdy niż okręt.

Mihaly podniósł rękę, dając znak dowódcy. Popatrzył z zainteresowaniem na Zavaca.

– Na rufie, pod pokładem, mam prywatną kajutę. W grodzi jest taka deska z owalnym sękiem. Kiedy się nań naciśnie, deska odskoczy. Z tyłu za deską leżą szmaragdy.

– Ile? – zapytał Mihaly.

Ramiona Zavaca opadły.

– Pięćdziesiąt dwa – odparł.

Korpajło odchylił się na krześle, ponury uśmiech wykrzywił jego usta.

– W takim razie zabieram połowę – oznajmił. – Gdybyś od razu mi o nich powiedział, wziąłbym tylko pięć. Teraz jednak zapłacisz pięć razy tyle, za to, że próbowałeś mnie oszukać. –

Dał znak dowódcy. – Znajdź je i przynieś tutaj.

Dowódca zasalutował i wyprowadził oddział z gabinetu. Zovac odwrócił się i wypluł cały jad na Skandian:

– Strzeżcie się, świnie, i lepiej nie łażcie nigdzie po nocy! Poderżnę wam gardła, przysięgam!

Ku jego zaskoczeniu zareagował ten drobny młodzieniec. Zrobił krok w stronę Zovaca, który cofnął się mimowolnie, widząc zimną nienawiść w jego oczach.

– Tylko spróbuj, tchórzliwy śmieciu – powiedział. – Jeśli masz odwagę sam się tym zająć, chętnie zatopię miecz w twoich flakach.

– Dosyć tego! – krzyknął Mihaly i walnął otwartą dłonią w stół, aż echo poszło. – Nie życzę sobie żadnych burd. Odpowiadam za porządek w tym mieście. Jeśli któryś z was spróbuje go zakłócić, każę was ukrzyżować. Zrozumiano?

Ani Skandianie, ani Zovac nie odpowiedzieli. Zovac pomyślał, że korpajlo musi być naprawdę wściekły. Normalnie karano bójką natychmiastowym wydaleniem z miasta, a nie śmiercią.

– ZROZUMIANO? – powtórzył Mihaly. Jego słowa odbiły się echem od pomalowanych na biało ścian. Raguza, pełna piratów, złodziei i morderców była niczym beczka prochu. Gdyby przyzwolił na bójkę, mógłby szybko stracić kontrolę nad miastem. Nastalby chaos, być może w zamieszkach ucierpiałyby zabudowania portowe. Tym razem wszyscy zamruczeli zgodnie w odpowiedzi. Mihaly wziął głęboki wdech i powiedział: – Jeśli nie, to biada wam.

Kapitan wrócił po godzinie. Miał ze sobą sporej wielkości worek. Podał go Mihalyowi. Ten rozwiązał worek i wysypał na stół lśniące kamienie. Westchnął z zadowoleniem.

– Znalazłeś coś jeszcze? – zapytał z roztargnieniem, wodząc wskazującym palcem po kamieniach. Kapitan wrzucił ramionami.

– Taką wielką żółtą kulę w skórzanej sakiewce. Wyglądała jak zrobiona ze szkła czy czegoś podobnego. Zupełnie bez wartości. Zostawiłem ją tam.

Mihaly, Zovac i kapitan wpatrywali się w lśniące szmaragdy. Żaden z nich nie zauważył, jak Skandianie wymieniają między sobą ukradkowe spojrzenia.

ROZDZIAŁ 36



Hal pomyślał, że Raguzza to bardzo przyjemne miasto. Ulice były czyste, budynki piękne i dobrze utrzymane. Wokół portu toczyło się intensywne życie.

Wszędzie widział mnóstwo przyjemnych tawern i doskonałych jadłodajni, serwujących jedzenie z przeróżnych zakątków świata. Oczywiście, bliżej portu spotykało się więcej zwykłych spelun i brudnych hałaśliwych barów – jak w każdym mieście portowym. Ale kiedy tylko opuściło się nabrzeże, poziom lokali od razu się poprawiał. Nie brakowało nawet zadbanej gospód, oferujących miejsca do spania, lecz wysokie ceny sprawiały, że przyjezdni rzadko decydowali się na taki luksus.

Hal pomyślał, że pieniądze potrafią zdziałać prawdziwe cuda. A w Raguzie pieniędzy nie brakowało – choć nieco przygnębiała myśl o tym, skąd one się biorą.

Hal, Stig, Lydia i Jesper siedzieli za stołem w jednej z jadłodajni. Właśnie uporali się z wyśmienitym obiadem: delikatną, pyszną mątwą smażoną w panierce z bułki tartej, z solą i pieprzem. Było to kosztowne danie, głównie ze względu na sporą ilość pieprzu – jedną z najdroższych przypraw w tej części świata. Okazało się jednak warte ceny. Podano do niego sałatkę z kwaskowym sosem, zaostrzającym apetyt i idealnie dopełniającym ostry smak ryby.

Thorn nie przyłączył się do uczty.

– Prześpię się na pokładzie – zdecydował.

Pozostali członkowie załogi również korzystali z uroków miasta. Hal, pamiętając pogróżki Zavaca, przestrzegł ich, by trzymali się razem. Nie sądził, by ktokolwiek miał ochotę zaatakować grupę, w której znajdował się potężny Ingvar. W Raguzie panowała zasada, że nie nosi się broni na ulicach. Nie dotyczyło to jednak skandyjskich saks ani wielkiej dębowej maczugi, którą posługiwał się Ingvar.

Ale Hal i jego towarzysze nie poszli do miasta tylko po to, by przyjemnie spędzić wieczór. Wcześniej, kiedy tylko zapadł zmrok, wyruszyli do Zatoki Koźlego Łba, gdzie, jak wiedzieli, cumował „Kruk”. Przycupnęli na sąsiednim moło, za stołem desek i starych lin, i bacznie obserwowali okręt.

Lub ściśle rzecz biorąc, Jesper obserwował okręt.

A teraz czekali na jego opinię. Stig jak zwykle pierwszy zaczął się niecierpliwić.

– No i co? Myślisz, że ci się uda? Zdołasz wemknąć się na pokład i ukraść Andomal?

Hal rozejrzał się dokoła, zaniepokojony, i dał Stigowi znak, by ten mówił ciszej.

Przyjaciel wzruszył ramionami z przeproszającą miną. Jesper nie od razu odpowiedział. Myślał o tym przez całą drogę z Zatoki Koźlego Łba.

– Nie wiem. Będzie ciężko. Jesteście pewni, że Andomal znajduje się na pokładzie?

– A czy tracilibyśmy całą godzinę na obserwację „Kruka”, gdybyśmy nie byli pewni? – zapytał Stig.

– Ciszej – Lydia położyła rękę na jego lewym ramieniu. – Nigdy nie wiadomo, kto może nas usłyszeć. Lepiej nie wymieniać żadnych nazw, jasne?

Zarumienił się, uświadomiwszy sobie swój błąd. Zrobił niepewny gest – prawą ręką. Lewej, której dotykała Lydia, nie zamierzał ruszać.

– Jasne, jasne. Przepraszam – odparł. – Po prostu irytuje mnie, kiedy pomyślę, że tak mało brakuje, byśmy odzyskali sami-wiecie-co.

– A więc to pewne? – powtórzył Jesper.

– Całkowicie albo i bardziej – odpowiedział Hal. – Dowódca mówił, że znalazł kulę z żółtego szkła. Cóż innego mogłoby to być?

Jesper wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może kula z żółtego szkła? – Na widok zbolalej miny Hala dodał pospiesznie: – Wybacz. Pewnie masz rację.

– Wiemy też, gdzie to ukryli. Zavac sam powiedział, że schowek znajduje się w jego kajucie na rufie okrętu. Trzeba tylko wśliznąć się tam i znaleźć nasz skarb. Dziecinna zabawa.

– Widać znasz jakieś bardzo źle wychowane dzieci, skoro tak to nazywasz – stwierdził Jesper.

Hal zrobił przeproszający gest.

– Dobrze, może trochę wszystko uprościłem. Ale.

– Trochę? Chcesz, bym wśliznął się na ich okręt, tak żeby mnie nie zauważyli, dostał się do kajuty Zavaca, tak żeby mnie nie zauważyli, zabrał Andomal i wymknął się z powrotem, tak żeby mnie nie zauważyli.

Podczas tej tyrady Hal kręcił się niespokojnie na swoim miejscu. Pomyślał, że Jesper stanowczo przesadza.

– Myślałem, że jesteś dobry w tego typu akcjach – powiedział.

Jesper prychnął drwiąco.

– Nikt nie jest aż tak dobry w tego typu akcjach – odparł. – Okręt cumuje przy molo. Molo jest dobrze oświetlone, ale niezbyt dobrze pilnowane. To oznacza, że być może zdołam niezauważenie dobiec do okrętu.

– No, to chyba w porządku? – stwierdziła Lydia. Jesper posłał jej miażdżące spojrzenie.

– Problem zaczyna się w chwili, kiedy będę chciał przedostać się z molo na okręt. Może zwróciłaś uwagę, Lydio, co się dzieje, kiedy ktoś wchodzi na pokład?

Potrząsnęła głową i dała znak, by jej to wyjaśnił. I tak zrobił, akcentując każde słowo z emfazą.

– Okręt zaczyna się ruszać. Szczególnie, jeśli akurat cumuje, a na wodzie nie ma fali. Buja się.

Lydia wzruszyła ramionami.

– Tak, ale... chyba nie tak znowu bardzo?

– Nie musi bardzo. Ci ludzie to żeglarze, doświadczeni żeglarze. Wiedzą, w jaki sposób buja się okręt, kiedy ktoś wchodzi na pokład.

Lydia zmarszczyła brwi.

– A nie mógłbyś wejść na pokład, tak żeby się nie bujał?

Jesper odchylił się na krześle, przez chwilę przyglądał się Lydii i w końcu zapytał Hala:

– Może ty masz ochotę udzielić odpowiedzi?

Hal podniósł rękę w pojednawczym geście. Widział, że reakcja Jespera zirytowała Lydię, podobnie jak Jespera zirytowało pytanie Lydii.

– To niemożliwe, Lydio. Teraz, kiedy wiedzą, że jesteśmy w Raguzie, na pewno zachowują czujność. Nic dziwnego. Gdybyśmy poczuli w środku nocy, że „Czapla” nagle zaczyna się kołysać, też byśmy to zauważyli i od razu wiedzielibyśmy, co się dzieje. – Zamyślił się na chwilę, a potem spojrzał na Jespera. – A może dostałbyś się na pokład przez dziób albo

przez rufę? Jeśli będziesz stawiał kroki pośrodku, okręt nie powinien się kołysać.

– Może i nie – zgodził się Jesper z wahaniem. – Tylko jak mam, według ciebie, dostać się na pokład przez rufę? Musiałbym skoczyć z molo, a to z pewnością wprawiłoby okręt w ruch.

– Pomyślałem, że mógłbyś spróbować od strony portu, nie molo. Gdybyś popłynął.

Więcej nie zdołał powiedzieć, bo Jesper przerwał mu stanowczo:

– Przestań! Ja nie pływam, zapomniałeś?

– Nie, ale gdybyś podryfował.

– Już to przerabialiśmy, na plaży w Limmat, prawda?

O mało mnie nie utopiłeś.

– Ale tym razem bym ci towarzyszył.

– Tamtym razem też mi towarzyszyłeś! Mało brakowało, a byś się utopił. I załatwił mnie przy okazji. Przykro mi, Halu, ale nie mam ochoty dryfować dokoła portu w środku nocy. –

Popatrzył na Hala i zauważył, że jest on skłonny porzucić ten pomysł. Dorzucił ostatni argument: – Zresztą, założmy, że udało mi się wejść przez rufę na pokład i okręt nie zaczął się kołysać. Ale cały ociekam wodą. Myślisz, że nie narobię hałasu?

– Chyba masz rację – powiedział Hal niechętnie. Ale Jesper dopiero się rozgrzewał.

– A nawet gdybym jednak dostał się na pokład niezauważenie, to ilu ludzi liczy załoga „Kruka”? Pięćdziesięciu? Nawet gdyby połowa przebywała w tym czasie na brzegu, musiałbym przemknąć obok dwudziestu-trzydziestu tych, którzy zostali na pokładzie, i odnaleźć wejście do kajuty Zavaca. Dostać się do środka, licząc na to, że akurat go tam nie ma. A potem przerobić to wszystko jeszcze raz w drodze powrotnej. Przykro mi, Halu, to raczej niemożliwe.

Przez chwilę siedzieli, nic nie mówiąc, wpatrzeni w resztki jedzenia na stole. Potem przyszedł kelner i posprzątał, a oni nadal siedzieli w milczeniu, rozmyślając nad słowami Jespera. Kelner spojrział na nich z zaciekawieniem, znikł na chwilę i wrócił z rachunkiem.

Zapłacił Hal. Sprzedał jeden ze zdobytych szmaragdów kupcowi w mieście, by zdobyć środki na utrzymanie. Dość zaskakujące, biorąc pod uwagę, że przebywali w mieście pirackim – kupiec zaoferował im naprawdę uczciwą cenę.

A może, jak pomyślał później Hal, wcale nie było to takie zaskakujące. Oszukiwanie ludzi, którzy zarabiają na życie, mordując i grabiąc, to raczej niezbyt rozsądna strategia handlowa.

Wyszli z jadłodajni na szeroką, jasno oświetloną ulicę, prowadzącą do portu. Przez chwilę stali w miejscu, niezdecydowani. Potem Hal przerwał ciężącą wszystkim ciszę.

– Chyba trzeba wymyślić jakiś inny sposób.

Jesper przygarbił się i wsunął ręce za pasek.

– Przepraszam. Po prostu nie sądzę, bym potrafił tego dokonać.

Hal klepnął go w plecy.

– Nie twoja wina. Wymyślimy inny plan.

Ruszyli w kierunku portu. Po pięćdziesięciu metrach minęli z lewej strony ciemną wąską uliczkę. Lydia przystanęła i przekrzywiła głowę na bok.

– Co to było? – zapytała. Chłopcy spojrzeli na nią ze zdumieniem.

– Ale co? – spytał Stig. Lydia uniosła rękę na znak, by byli cicho. Tym razem wszyscy to usłyszeli. Jakiś głos, dochodzący z głębi uliczki, słaby i piskliwy.

– Hal! Pomo... – Urwał się gwałtownie, jakby czyjaś dłoń nagle zatkała usta wołającego o pomoc człowieka.

– To Edwin? – zapytał Jesper. Głos był słaby i zmieniony, ale do kogokolwiek należał, ten ktoś wzywał Hala na pomoc. Na pewno któryś z członków załogi. Wszyscy jednocześnie podjęli tę samą decyzję.

– Idziemy! – rzucił Hal i ruszył pierwszy w wąską uliczkę. Przez kontrast z jasno oświetloną główną ulicą panująca tam ciemność wydała im się czarna jak smoła, lecz po minucie czy dwóch oczy przyzwyczaiły się do niej. Przebiegli jeszcze kawałek w głąb uliczki. Nikt więcej się nie odezwał. Napastnicy uciszyli Edvina – jeżeli to rzeczywiście był Edvin. Halowi zaschło w ustach. Gorączkowo zastanawiał się, co spotkało jego towarzysza.

Stig, który przejął prowadzenie, nagle wydał gniewny okrzyk. Usłyszeli, jak zderzył się z czymś i zatoczył do tyłu. Hal zmrużył oczy. Uliczka kończyła się ślepo. Stig wpadł prosto na mur, wznoszący się na jej końcu. Teraz masował rozcięcie na czole, klnąc cicho. Hal sięgnął do pochwy z saksą.

– Nie podoba mi się to – powiedział. Bo już domyślił się, że padli ofiarą podstępny. Źle zrobili, że wbiegli w ciemną czeluść uliczki, nie wiedząc, kto lub co może tam na nich czekać. – Trzymajmy się razem – powiedział. Wszyscy instynktownie zbili się w gromadkę. Stig przestał kłać. Starł krew, spływającą mu do oczu i ostrożnie wyciągnął saksę. Stłumiony dźwięk stali, ocierającej się o skórę i wełnę zabrzmiał dziwnie kojąco.

Zawrócili. Wylot uliczki był teraz niewidoczny. Mniej więcej pośrodku zaułek zakręcał gwałtownie. Ale nagle snop światła rozjaśnił ciemność, jakieś dwadzieścia metrów dalej. To otworzyły się drzwi w jednym z budynków.

Ze środka wydostał się jednak nie tylko jaskrawy promień światła. Kilka ciemnych postaci wyszło na ulicę i ruszyło w ich stronę. Ich kontury rysowały się na żółtym tle. Byli uzbrojeni.

– To chyba nie był Edvin – stwierdził Hal.

– Wszyscy pod ścianę. – Głos Stiga brzmiał całkowicie spokojnie. Hal pomyślał, że Stig zawsze jest w najlepszej formie, kiedy dochodzi do tego typu akcji. Hal i Jesper wyciągnęli saksy. Lydia już trzymała w pogotowiu długi ostry sztylet. Przezornie cofnęli się pod mur, aż poczuli za plecami dotyk szorstkiej cegły. Hal pomyślał, że przynajmniej nie grozi im atak od tyłu.

Ale właściwie wystarczył ten groźący z przodu. Teraz wyraźniej zarysowały się sylwetki mężczyzn, zmierzających w ich kierunku. Mieli miecze, pałki i topory. Czaple, uzbrojone jedynie w noże, znajdowały się w bardzo niekorzystnej sytuacji.

– A więc to tyle na temat zakazu noszenia broni w mieście – mruknął cierpko Jesper. – Zawsze wiedziałem, że jeśli będę przestrzegał prawa, któregoś dnia może się to dla mnie źle skończyć.



ROZDZIAŁ 37



Stig, mrużąc oczy, przyglądał się napastnikom. Od razu przejął dowodzenie, nawet się nad tym nie zastanawiając. W końcu na walkach znał się najlepiej z nich wszystkich. Był też wyższy, silniejszy i szybszy od Hala i Jespera. Naturalne, że to on poprowadzi akcję.

Mężczyźni przystanęli, niezdecydowani. Znajdowali się zaledwie kilka metrów od nich. Stig domyślał się, co kombinują. Jak to pospolite rzezimieszki, czekali, aż ktoś przejmie dowodzenie, podejmie jakąś decyzję. Przypomniał sobie, co powiedział mu Thorn podczas jednego z prywatnych treningów.

Uprzedź napastnika. Przejmij inicjatywę. Jeśli będziesz czekał, aż to on cię zaatakuje, oddasz mu panowanie nad sytuacją.

Tych ośmiu jakoś nie mogło się zdecydować, kto zaczyna. Stig zdecydował więc za nich. Z głośnym wrzaskiem, który odbił się od kamiennych murów, rzucił się na najbliższego z mężczyzn, zamierzając się na niego saksą.

Była to ciężka i bardzo ostra broń, przypominała raczej krótki miecz niż nóż. Bandzior, zobaczywszy zarys sylwetki Stiga w ciemności, instynktownie uniósł miecz, by sparować cios. Ostrza zderzyły się z brzękiem. Saksa zjechała wzdłuż klingi, aż do jelca. Pozostali napastnicy mimowolnie cofnęli się, zaskoczeni atakiem. Żaden z nich nie spodziewał się, że jeden człowiek zaatakuje grupę, złożoną z ośmiu mężczyzn.

Stig liczył właśnie na ten element zaskoczenia. Blokując miecz saksą, lewą ręką chwycił prawą rękę przeciwnika i wykręcił ją do dołu, jednocześnie wyginając nadgarstek w tył. Mężczyzna zawył z bólu i nieumyślnie pochylił się do przodu, by zmniejszyć siłę nacisku. W tym momencie Stig walnął go głową prosto w twarz i ponownie wykręcił mu nadgarstek.

Miecz z brzękiem uderzył o ziemię. Stig przyłożył ramię do piersi mężczyzny i pchnął go na stojących z tyłu dwóch kompanów, potem pochylił się i podniósł miecz.

Cała akcja trwała nie więcej niż dwie sekundy.

Stig cofnął się, wymachując przed sobą mieczem, który poruszał się jak atakujący wąż. Zbiry nie bardzo wiedziały, co zrobić. Gra przybrała niespodziewany obrót. Mieli przecież zaatakować czterech nieuzbrojonych niedorostków. A teraz jeden z nich trzymał w dłoni miecz i wyglądało na to, że potrafi doskonale nim się posługiwać. I chociaż wiedzieli, że jeden człowiek nie ma szans przeciwko siedmiu napastnikom, to wiedzieli również, że któryś z nich może odnieść rany czy nawet ponieść śmierć. Żaden z nich się do tego nie kwapił.

Potem Vargas – jeden z pozostałych siedmiu – przejął kontrolę nad grupą. Jego schrypnięty głos ciął niczym bicz.

– Ruszać się! To tylko jeden mężczyzna. A właściwie chłopak. Zaatakujmy go z trzech stron i wykończmy! – Stig wyczuł poruszenie wśród napastników. Vargas wydał rozkaz: – Bierzcie go!

Siedmiu mężczyzn – Vargas trzymał się przezornie z tyłu – skoczyło do przodu, ustawiając się w półkole. Pierwszy zrobił zaledwie dwa kroki, gdy Stig machnął mieczem. Zbir

złapał się za pierś z bardzo zaskoczoną miną, a potem osunął się na kolana. Ale Stig już na niego nie patrzył. Wiedział, że ten jeden cios wystarczy. Teraz zakręcił mieczem w powietrzu i trafił tego po lewej stronie. Mężczyzna sparował cios, ale pod wpływem siły uderzenia poleciał w tył.

Stig, wiedząc, że unieszkodliwił go na kilka sekund, zadał błyskawiczny cios i trafił w ramię kolejnego z napastników. Mężczyzna rozwarł rękę, maczuga wyśliznęła się z niej i z hukiem upadła na bruk. Kolejny zbir zaatakował Stiga z prawej strony, wyciągnął krótki oszczep, gotując się do rzutu. Kiedy się zamierzał, poczuł gwałtowny ból w nodze – to Lydia zatopiła w niej swój sztylet.

Wśród napastników powstało zamieszanie, wchodzili sobie w drogę, popychali się, bardzo ułatwiając zadanie Stigowi, który walił mieczem w każdego, kto podszedł na odpowiednią odległość. Hal i Jesper trzymali się z tyłu, nie wtrącając się do walki, ale gotowi w razie czego osłaniać Stiga, tak jak przed chwilą zrobiła to Lydia. Hal bacznie obserwował przyjaciela. Wiedział, że w końcu jego siły się wyczerpią. Nie mógł bez końca utrzymywać takiego tempa. Uważnie wypatrywał oznak zmęczenia, gotów w każdej chwili przejąć miecz i kontynuować walkę.

Ale nie było to potrzebne.

Nagle w ciemnej uliczce rozległ się straszliwy dźwięk – ryk wściekłości, rzędzy krwi i nieopanowanego gniewu. Z cienia za plecami pięciu zbirów wychyliła potężna postać. Vargas, stojący z tyłu, odwrócił się, by sprawdzić, co się dzieje. Rozległo się przerażające chrupnięcie, gdy trafił go cios potężnej maczugi. Osunął się na bruk, kompletnie zaskoczony.

Thorn nie zatrzymał się, torował sobie drogę, wymachując swą potężną protezą na wszystkie strony, miażdżąc żebra, czaszki i ramiona. Ludzie Vargasa padali na ziemię niczym kręgle.

I przez cały czas wydawał z siebie ten mrozący krew w żyłach okrzyk wojenny.

Stig cofnął się, uśmiechnął szeroko i wsparł miecz o ziemię, kładąc obie dłonie na rękojeści. Teraz, kiedy Thorn wkroczył między zbirów niczym taran, nie był już potrzebny. Jeden z mężczyzn zdołał się wymknąć i zaczął zwiewać, jakby gonił go jakiś potwór z zaświatów. Thorn wymierzył kolejny cios. Napastnik, schwytyany w kleszcze między Thornem a swymi czterema towarzyszami, stanął twarzą w twarz ze Skadianinem, ogarniętym bitewnym szałem, i wyciągnął przed siebie ciężki buzdygan.

Kiedy Hal wspominał później tę chwilę, mógłby przysiąc, że widział, jak oczy Thornia rozjarzyły się czerwonym blaskiem. Jednoręki obszarpaniec, zmieniony w berserkera, straszliwą maszyną do zabijania, prawym prostym trafił przerażonego zbira prosto w pierś. Ten zatoczył się do tyłu. Hal i Lydia przezornie odsunęli się na bok. Mężczyzna przeleciał między nimi i walnął w ścianę, wydając przy tym bardzo nieprzyjemny dźwięk, a potem osunął się na ziemię.

– Hej, Thorn – powiedział Stig, przerywając ciszę. – Jak miło cię widzieć. – Wypuścił z ręki miecz, który brzęknął o bruk.

Thorn oddychał głęboko. Szał bitewny powoli go opuszczał. Nagle uświadomił sobie, że nadal stoi na przygiętych nogach, gotów do kolejnego ataku. Wyprostował się.

– Dobra robota, Stigu – powiedział cicho.

Hal wystąpił do przodu.

– Skąd ty się tu wzięłeś? Śledziłeś nas czy co?

Thorn kiwnął głową.

– Owszem. Tak przypuszczałem, że ta świnia Zovac może wymyślić coś podobnego.

Zapędzić was w ślepią uliczkę.

Lydia uśmiechnęła się.

– Bardzo nędzny żarcik językowy – stwierdziła, Thorn zaś przepaszająco kiwnął głową.

– Miałem na was oko od chwili, gdy zeszlście z pokładu i udaliście się do miasta. Niestety, musiałem trzymać się daleko z tyłu, żebyście mnie nie zauważyli. Nie widziałem, jak skręciliście w ten zaułek. Dopiero po chwili to sobie uświadomiłem i zawróciłem.

– Ale Stig powstrzymał ich do twojego przybycia – powiedział Hal i klepnął przyjaciela po ramieniu. – Dobra robota.

– Popieram – powiedziała Lydia. – To było niesamowite, kiedy zabrałeś miecz pierwszemu napastnikowi.

Stig zarumienił się z zadowoleniem. Poczul na sobie pełen uznania wzrok Thorn'a. Wzruszył ramionami.

– Och, ktoś musiał zacząć. Jak powiada Thorn, zrób pierwszy ruch, i zrób to szybko. Ja... – Nagle urwał. W alei rozległ się tupot ciężkich kroków, światło zamigotało na murach. A potem zza zakrętu wychynął oddział, złożony z pięciu żołnierzy i ich dowódcy. Wszyscy przystanęli i utkwili wzrok w Skandianach.

– Co tu się dzieje? Doniesiono nam o bójce – powiedział dowódca. Dwaj jego ludzie trzymali w rękach pochodnie, ich blask oświetlił scenę jatki: nieprzytomnych mężczyzn, leżących na bruku, pośród rozrzuconej dokoła broni. – I nie da się ukryć, że to prawda. Nie wiecie, że korpajło zakazał walk w granicach miasta?

Hal wystąpił naprzód.

– Ci ludzie nas zaatakowali. Było ich ośmiu, jeden uciekł. Musieliśmy się bronić. Jak widzicie, nie mamy broni, w dodatku ich było więcej.

Thorn jakby mimochodem opuścił prawe ramię. Dowódca powiódł wzrokiem po stojącej przed nim grupie i zobaczył czterech młodych ludzi, którzy mieli przy sobie jedynie noże – nic nadzwyczajnego, żeglarze zawsze noszą noże przy sobie. Za to na ziemi, obok siedmiu nieprzytomnych mężczyzn, leżały rozrzucone pałki, miecze i włócznie. Dowódca zmarszczył brwi.

– Jak zdołaliście...? – zaczął, a Hal wszedł mu w słowo i wskazał na Stiga.

– Mój przyjaciel odebrał miecz pierwszemu z nich. A potem, kiedy nas zaatakowali, Thorn usłyszał hałas i zaskoczył ich od tyłu. – Potrzęsnał lekceważąco głową. – Nie byli to szczególnie sprawni wojownicy.

– Najwyraźniej – przyznał dowódca i również potrzęsnał głową, spojrzawszy na rozciągnięte na bruku nieprzytomne ciała. – Dlaczego was zaatakowali? – zapytał.

– Jesteśmy z łodzi o nazwie „Czapla”. Pokłóciliśmy się dzisiaj z Zavakiem, kapitanem „Kruka”. W gabinecie korpajło. On może to potwierdzić. Założę się, że ci ludzie są z „Kruka”, Zavac przysłał ich, żeby nas zabili.

– Możesz tego dowieść? Rozpoznajesz kóregoś z nich?

Jeden z żołnierzy, trzymających pochodnię, przyglądał się nieprzytomnym zbirom. Kiedy dotarł do Vargasa, opuścił pochodnię i skierował światło na jego twarz.

– Ten żyje – powiedział.

Kiedy żołnierz chciał zabrać pochodnię, Thorn zrobił krok w przód, powstrzymał go i spojrzał na nieprzytomnego Madziara. Był pewien, że już gdzieś go widział. Po chwili sobie przypomniał – Tego znam. Był w tawernie w Krall – oznajmił, spoglądając na Hala. – Jestem prawie pewien, że należy do załogi Zavaca.

Dowódca zagryzł wąsy i zamyślił się. Był skłonny uwierzyć Halowi. Mało prawdopodobne, by starszy mężczyzna i czworo niedorostków zaatakowało grupę siedmiu czy ośmiu uzbrojonych mężczyzn, wyglądających na doświadczonych wojowników. Słyszał też, że Zavac popadł w niełaskę u korpajło. W końcu podjął decyzję.

– Dobrze. Wracajcie na pokład. A jutro rano o dziesiątej stawcie się w budynku Korpalu.

Korpaljo na pewno zechce przeprowadzić dochodzenie w tej sprawie. Jeśli uzna, że to ludzie Zavaca zaczęli bójkę, poniosą karę.

– Zwrócił się do jednego z żołnierzy: – Przyrowadź posiłki i posprzątajcie tutaj. Zmarłych zanieście do kostnicy, żywych do szpitala. Tylko pilnujcie ich.

Cofnął się i odsunął hełm z czoła, wciąż zastanawiając się, co tak naprawdę tu się wydarzyło. Jak tych pięciu zdołało załatwić całą gromadę napastników? Jeszcze raz spojrzął na młodych Skandian. Ten wysoki wyglądał na dobrego wojownika, lecz dwaj pozostali byli niżsi i drobniejsi. Każdy z piratów przewyższał ich wzrostem i krzepą. W dodatku czwartą osobą w grupie była dziewczyna. Pomyślał, że z niej na pewno nie ma żadnego pożytku podczas bójki. Nie wiedział, jak bardzo się pomylił.

Co do tego starszego człowieka, to dopiero teraz zauważył, że ma on protezę zamiast prawego ramienia. Nie widział szcegółów, ale zauważył połysk drewna, kiedy padł nań migotliwy blask pochodni. Nordyk trzymał ramię przyciśnięte do boku, jakby chciał je ukryć. Zapewne czuł się zakłopotany, kiedy ludzie mu się przyglądali. Jednóręki mężczyzna i czwórka dzieciaków. Widać cuda się zdarzają.

Niepojęte. Ale nie płacono mu za rozwiązywanie zagadek. Zdecydował, że pozostawi śledztwo korpaljo.

– Skończyłeś z nami? – zapytał Hal.

Dowódca z roztargnieniem kiwnął głową.

– Tak. Tak. Możecie iść. Tylko macie zjawić się jutro na spotkanie i nawet nie próbujcie opuszczać miasta. Na wszelki wypadek postawię strażę przy waszej łodzi.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Hal. Dowódca rzucił mu ironiczne spojrzenie.

– Jasne, że nie – powiedział. – Ale i tak to zrobię. I pamiętajcie, łodzie strażników patrolują port dzień i noc.

Hal skinął głową. Nie zamierzał opuszczać Raguzy. Dał znak przyjaciółom i cała piątka ruszyła w kierunku portu.

– A jeśli się okaże, że oni nie byli z załogi Zavaca? – spytał Jesper. Hal spojrzął na niego.

– Oni byli z załogi Zavaca – odparł ponuro.



ROZDZIAŁ 38



Dowody przeciwko Zavacowi były przytłaczające. Oczywiście, zaklinał się na przeróżnych bogów – tak naprawdę nie był zbyt wiernym wyznawcą żadnego z nich – że nic nie wie na temat wczorajszej bójki. Ale dwaj strażnicy, pełniący wartę w Zatoce Koźlego Łba rozpoznali Vargasa i kilku innych członków załogi „Kruka”.

Zavac jednak nadal upierał się, że jest niewinny. A te dowody to zwykle poszlaki. Kluczowy moment nastąpił, kiedy jeden z ocalałych w bójce ludzi, który dostał gwarancję bezpieczeństwa, jeśli zechce zeznawać, powiedział, że to Zavac kazał jemu i pozostałym zaatakować Skandian i zabić ich.

Po tym zeznaniu Mihaly przyjrzał się Zavacowi i Skandianom. Było dla niego oczywiste, że to madziarski kapitan ponosi winę za całe zajście. Ale gdyby ci przekłęci Skandianie trzymali się z daleka od Raguzy, gdyby nie przyплыnęli tu, by wyrównać rachunki, nie doszłoby do zakłócenia spokoju.

Nie umniejszało to jednak winy Zavaca. Należało go ukarać. I nie działał na jego korzyść fakt, że oszukał korpajlo, ukrył przed nim szmaragdy i próbował wymigać się od zapłaty haraczu. Poza wszystkim Mihaly po prostu go nie lubił. Zavac był podstępny i niegodny zaufania. Mihaly nie miał wątpliwości, że postąpił dokładnie tak, jak twierdzili Skandianie: zostawił swych towarzyszy w Limmat i porzucił „Raję” na pastwę losu.

– Masz czterdzieści osiem godzin – oznajmił, rzucając Zavacowi lodowate spojrzenie.

Madziar odchylił się na krześle. Wiedział, o czym mówi Mihaly, ale udawał ignorancję, z nadzieją, że może korpajlo jednak zmieni zdanie.

– Czterdzieści osiem godzin? Ale na co? – zapytał.

– Na opuszczenie Raguzy. Zostajecie wydaleny z miasta. Ty, twój okręt i cała załoga.

Znasz zasady, więc ani słowa. To wszystko.

Zavac otworzył usta i wskazał na Hala i pozostałych Skandian, którzy również siedzieli przy ogromnym biurku Mihalya – w pewnej odległości od Zavaca.

– A co z nimi? – spytał.

Korpajlo popatrzył na Skandian i odparł:

– Zostają. To ty ponosisz winę za całe zajście. Ale jeśli usłyszę o kolejnym incydencie z ich udziałem, również zostaną wydaleny.

W oczach Zavaca pojawił się chytry błysk.

– W takim razie spodziewam się, że oddasz mi opłatę portową – oznajmił buńczucznie. – Zapłaciłem za cały miesiąc, a minął niecały tydzień. A tak naprawdę – dodał – zapłaciłem znacznie wyższą stawkę niż powszechnie obowiązująca. Żądam, byś zwrócił mi moje szmaragdy.

– Żądanie odrzucone – odparł Mihaly i zaśmiał się glucho. – Okłamałeś mnie. Próbowałeś mnie oszukać. A potem złamałeś podstawowe zasady, obowiązujące w tym mieście. Zaatakowałeś inną załogę. Tym, którzy łamią prawo, nie zwraca się kosztów, i dobrze o tym wiesz.

Zavac zwrócił wściekle spojrzenie na Hala i jego towarzyszy.

– To wasza wina – warknął. – Zabiję was za to. Wszystkich po kolei!

Hal nic nie powiedział. Lydia natomiast wychyliła się ze swego siedzenia, by móc spojrzeć w ziejące jadem oczy Zavaca.

– Właśnie takie zachowanie to główny powód twoich kłopotów – powiedziała łagodnym głosem. – Naprawdę tak ciężko przychodzi ci skojarzyć skutek z przyczyną?

Thorn zaśmiał się krótko. Nawet kąciki usta Mihalya drgnęły w lekkim uśmiechu.

Zavac wymierzył w Lydię palec wskazujący.

– A ty umrzesz pierwsza, dziewczyno – wypluł z siebie.

Lydia uniosła jedną brew.

– Oj, już się boję – odparła spokojnie. – Poślesz za mną następną bandę zbirów, czy wolisz zrobić to osobiście? – Jej oczy były lodowate. Przez cały czas pamiętała o swoim dziadku, którego bezlitośnie zabili w Limmat ludzie Zavaca. – Bo tylko czekam, aż spróbujesz. Tylko na to czekam.

Zavac nic nie wiedział o tej dziewczynie. Przyglądał się jej niepewnie. Zauważył, że przebiera palcami po rękonożki sztyletu, przytroczonego do pasa. Poczuł się trochę dziwnie. Coś mu podpowiadało, że tej osoby lepiej się wystrzegać. Odwrócił wzrok. Mihaly, który uważnie przyglądał się całemu incydentowi, potrząsnął głową z pogardą i powiedział:

– Tak jak myślałem. Nawet dziewczyna umie cię pokonać. Jesteś nie tylko kłamcą i oszustem, lecz również tchórzem. Z przyjemnością się ciebie pozbędę.

– Nie sądzę go zbyt surowo – wtrącił Thorn z krzywym uśmiechem. – To nie jest zwykła dziewczyna. Powtarzam chłopakom, że to nasz anioł stróż.

– Zamknij się, staruszkę – warknęła Lydia odruchowo. Thorn wyszczerzył się szeroko. Mihaly nie podzielał jego wesołości.

– Doskonale – powiedział. – Wszystko postanowione. Zavac, ty i...

– Chwileczkę – przerwał mu Hal i stanowczo potrząsnął głową. – To nie wystarczy. Mihaly spojrzał na niego, jedną brew uniosł ironicznie.

– Nie wystarczy? – powtórzył. – Czego dokładnie nie wystarczy?

– Nie wystarczy wydaląc go z miasta. To niewystarczająca kara. Próbował nas zabić.

I porzucił nas w Limmat...

– Nadal zamierzasz rozpowszechniać to kłamstwo? – warknął Zavac.

Hal spojrział mu prosto w oczy.

– Przez ciebie zginęli nasi przyjaciele. Próbowaleś nas zabić, opuszczając Limmat.

A wczoraj wieczorem próbowałeś znowu. – Hal ponownie zwrócił się do korpajlo, czerwony ze złości. – Wydalenie go z miasta to za mało. Zasłużył na cięższą karę. Jest nam to winien.

Zdał sobie jednak sprawę, że źle odczytał motywy, kierujące Mihalyem. Korpajlo nie cierpiał Zavaca i nie wierzył mu. Nie znaczyło to jednak, że stoi po stronie drużyny Czaplí. Nie interesowała go sprawiedliwość, chciał jedynie pozbyć się Zavaca z miasta. Teraz pojawiła się doskonała okazja, by wydaląc z Raguzy tego awanturnika, który próbował go oszukać. Korpajlo zdobył szmaragdy. Nic więcej go nie interesowało. Pochylił się do przodu.

– To sprawa między wami – uznał. – Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic więcej do powiedzenia. Zavac ma opuścić miasto. Ty możesz zostać albo nie, twój wybór.

Właśnie ten problem nurtował Hala. Wreszcie udało im się dogonić Zavaca. Gdyby teraz odpłynął, istniało niebezpieczeństwo, że znów im się wymknie. Miał czterdzieści osiem godzin na opuszczenie portu. Hal zauważył, że wiatr zwykle cichnie koło północy i zrywa się znowu o świcie. Gdyby Zavac wypłynął w nocy, mogliby go stracić.

„Kruk” napędzany siłą wioseł był szybszy od „Czaplí”. Przy bezwietrznej pogodzie nie

będą mogli postawić żagli i nigdy nie zdołają go dogonić. I nie wiadomo, dokąd się uda – na południe, na Morze Spokojne czy Morze Rostowskie. Poza tym Zavec pewnie znał dziesiątki miejsc, w których można się skryć. A oni nie znali tej części świata. Hal nie mógł do tego dopuścić, nie po tym wszystkim, co przeszli. Widział, jak Andomal wymyka mu się z rąk, choć byli tak blisko odzyskania go. Myślał gorączkowo. Mihaly chciał tylko pozbyć się Zavaca, nie interesowała go sprawiedliwość, której domagał się Hal. Zanim zdążył przemówić, Mihaly zwrócił się do Thorny:

– Chwila. Kto tu rządzi? Ty jesteś kapitanem czy ten chłopak?

Thorn uśmiechnął się.

– W gruncie rzeczy chłopak – odparł. – Ja jestem od noszenia ciężkich bagaży.

Mihaly jeszcze mocniej ściągnął brwi.

– Ale twierdziłeś, że...

Thorn uniósł rękę.

– Wcale nie. Założyłeś, że to ja jestem kapitanem i zawsze zwracałeś się z pytaniami do mnie.

Mihaly odchylił się na oparcie. Próbował przypomnieć sobie ich wcześniejsze rozmowy i uświadomił sobie, że ten obszarpaniec ma rację. Rzeczywiście, uznał go za kapitana, jako że był najstarszy z załogi. Thorn nigdy nie twierdził, że jest kapitanem, ale też nigdy nie próbował wyprowadzić go z błędu. Spojrzał na niego ze złością.

– Porozmawiamy później na ten temat – warknął. – Nie lubię, kiedy ktoś mnie oszukuje.

Przez ten czas Hal wciąż myślał gorączkowo. Doszedł do wniosku, że Mihaly uwielbia kontrolować wszystko dokoła, manipulować ludźmi dla własnych korzyści i obserwować, jak na to zareagują. Mógł z przyjemnością przysłuchiwać się cudzym dysputom, o ile nie zagrażało to jego własnym interesom. Hal uznał, że potrafi wykorzystać tę skłonność i teraz postanowił zaryzykować, w nadziei, że się nie pomylił.

– Chcę pojedynku – oznajmił.

Mihaly spojrział na niego z zaskoczeniem.

– Pojedynku?

– Z Zavakiem. Wyzywam go na pojedynek.

– Co takiego? – wykrzyknął Zavec. – Wciąż masz mleko pod nosem! Załatwię cię w dwie minuty.

– Proszę bardzo, spróbuj.

Thorn pochylił się do przodu, zasłaniając Halowi widok na Zavaca.

– Hal, poczekaj. Pomyśl o... – zaczął. Thorn wiedział, że Hal potrafi dobrze władać mieczem, nawet bardzo dobrze. W końcu sam go uczył. Kapitan „Czapli” był młody i szybki. Ale Zavec był prawdziwym rzeźmieszką. Zabijał wcześniej nie raz i zrobiłby to znów bez wahania – a w przypadku walki jeden na jednego miałby ogromną przewagę. Gdyby spotkali się na polu bitewnym, ich szanse byłyby mniej więcej wyrównane. Ale w pojedynku, wymagającym zimnej krwi, szala zwycięstwa szybko przechyliłaby się na korzyść Zavaca.

– Wyzwał mnie! A więc walczmy! – powiedział prędko Zavec. Ten smarkaty Skandianin ciągle wchodził mu w drogę. Teraz pojawiła się szansa na rewanż. Spojrzał na Hala. – Jestem do usług, chłopcze!

– Nie! – wykrzyknął Thorn desperacko. – On.

– Cisza! – Mihaly wałnął otwartą dłońią w stół. Wszyscy zwrócili na niego spojrzenia.

W zamyśleniu potarł podbródek. Szybko powiódł spojrzeniem od jednego do drugiego, dokonał oceny. Jeden młody i wściekły, drugi zimny i szydery.

Pojedynek. Przyjemna rozrywka. I okazja do zarobku. Sam nie zamierzał obstawiać

zakładów, ale kontrolować zakłady, owszem, i pobrać sowitą prowizję. Tak, taki pojedynek mógłby stać się wielkim wydarzeniem. Zachichotał pod nosem, uświadomiwszy sobie, że mógłby przecież zarobić również na biletach. Chyba każdy żeglarz chętnie zapłaci, by zobaczyć, jak jego kompani walczą na śmierć i życie.

Burdy i morderstwa w bocznych uliczkach to jedna sprawa, natomiast prawdziwy legalny pojedynek – coś zupełnie innego. W sumie bardzo spodobał mu się ten pomysł. Nagle coś jeszcze przyszło mu do głowy. Chłopak pozwolił, by ten starszy Skandianin występował w jego imieniu. Mihaly nadal nie mógł pogodzić się z faktem, że został niecnie oszukany. Zdecydował, że tym razem nie ma mowy o czymś podobnym.

– Jedna sprawa – zaczął, unosząc palec wskazujący. – Jeśli pozwolę na pojedynek, obaj musicie wziąć w nim udział osobiście. – Tu utkwił w Halu bazylijskawe spojrzenie. – To nie jest żaden dwór królewski. Uczestnicy pojedynku nie mogą wyznaczyć zastępców. Skoro kogoś wyzywasz, walcz sam.

– On nie wyz... – próbował wtrącić Thorn, ale Hal przerwał mu szybko:

– Owszem, wyzywam! I sam stanę do walki.

Zavac spojrział na niego. Młody, niedoświadczony, czerwony ze złości. Miał wypisane na twarzy słowo „ofiara”.

– Przyjmuję – powiedział z okrutnym uśmiechem.

Thorn odchylił się na krześle. Nie mogli się wycofać.

Nie mógł tego zmienić. Wiedział, że Mihaly nie pozwoli Halowi zrezygnować, nawet gdyby jemu udało się go przekonać. Korpajlo chciał dać im nauczkę za to, że go nabrali i pozwolili mu wierzyć, że to Thorn jest kapitanem „Czapli”. Usłyszał, jak Stig klnie pod nosem. Lydia spojrzała na Hala rozwartymi szeroko oczami. Hal zaś patrzył prosto przed siebie, z uporem unosząc podbródek, dumnie wyprostowany.

– W takim razie ustalone – powiedział Mihaly aksamitnym głosem. Im dłużej myślał o pojedynku, tym bardziej podobał mu się ten pomysł. Młody Skandianin niemal na pewno zginie. Mihaly wiedział, że Zavac jest doświadczonym i przebiegłym wojownikiem. Skandianie dostaną nauczkę. A Zavac tak czy inaczej będzie musiał opuścić Raguzę, zgodnie z wcześniejszym postanowieniem. Jednym słowem, same korzyści.

– Jesteście pokrzywdzoną stroną – zwrócił się do Skandian. – To oznacza, że macie prawo wybrać rodzaj broni. Co to będzie? Miecze? Topory? Noże?

„Noże”, dodał w myślach z nadzieją. Bezwiednie pocierał ręce z podekscytowania.

W przypadku walki na miecze czy topory jeden szczęśliwy cios mógł w ciągu kilku sekund zakończyć całą zabawę. Walka na noże zwykle trwała dłużej, a to odpowiadało temperamentowi mieszkańców Raguzy.

„Miecze”, pomyślał Thorn. „Hal jest dobry w walce na miecze, mógłbym jeszcze z nim popracować i przygotować go na spotkanie z tą podstępą zmiją.”

I wtedy Hal znów wszystkich zaskoczył.

– Okręty.



ROZDZIAŁ 39



Okręty? – wykrzyknęli jednocześnie Thorn i Zovac. Thorn zmarszczył brwi i spojrzał na Hala.

– O czym ty mówisz?

Hal spokojnie odpowiedział na jego spojrzenie.

– Okręty – powtórzył. – Jestem w każdej chwili gotów postawić na moją łódź przeciwko jego czarnej łajbie. I moją załogę przeciwko tej bandzie tchórzy. – Nagle zawahał się, bo dopiero teraz coś sobie uświadomił. Spojrzał na Stiga. – O ile się zgodzicie, ty i cała reszta.

Na twarzy Stiga pojawił się szeroki uśmiech.

– Ja w to wchodzę – odparł. – I mówię też w imieniu pozostałych. Wszyscy w to wchodzimy.

– Ja też – dodała prędko Lydia.

– I ja, rzecz jasna. Jestem z wami! – powiedział Thorn stanowczo.

Hal uśmiechnął się do niego.

– Wiedziałem.

– Ale czy na pewno to przemyślałeś? – zapytał Thorn.

Hal przytaknął.

– Tak. Zwykle w takich wypadkach długo rozważam za i przeciw.

– A nie zapomniałeś o żadnym drobnym szczególe? – spytał złośliwie Stig.

Hal spojrzał na niego z powagą.

– Nie. Tym razem nie. – Wziął głęboki wdech i nagle ogarnął go lęk, że może jednak coś mu umknęło. Niczego nie mógł sobie przypomnieć, ale jak miał sobie przypomnieć, jeśli rzeczywiście o tym czymś zapomniał?

Mihaly wywrócił oczami. Pomyślał, że to wszystko robi się nużące.

– Skoro skończyliście wyznawać sobie gorącą przyjaźń, to może czas ustalić jakieś konkrety? – Spojrzał na Zavaca. – Podoba ci się ten pomysł? Walka na okręty?

Zovac uśmiechnął się.

– Nawet bardzo mi się podoba – odparł. „Kruk” był prawie dwa razy większy od „Czapli”, załoga liczyła niemal cztery razy więcej członków. Jego zdaniem Hal sam włożył szyję w pętlę. Własną szyję i wszystkich swoich towarzyszy. A on, Zovac, trzymał za koniec sznura. – Szczerze mówiąc, nie mogę się doczekać, kiedy pošlę jego łódeczkę na dno morza.

W wyobraźni już widział, jak „Kruk” z ogłuszającym trzaskiem przecina taranem kadłub „Czapli”, jak przez otwór wdziera się woda.

– W takim razie pozostało jeszcze ustalić czas – powiedział Mihaly.

Hal odparł pospiesznie:

– Pojutrze, o poranku.

O tej porze wiał rześki wiatr. Później, jak zaobserwował, wraz ze wzrostem temperatury, siła wiatru słabła.

Zavac wzruszył ramionami. W końcu nic nie wiedział na temat możliwości „Czapli”.

– Nie mam zastrzeżeń – odparł.

Mihaly zapisał to w papierach i zatarł ręce. „Pojedynek między okrętami”, pomyślał.

„Fascynujące.” Widział „Czapłę” i wiedział, że jest znacznie mniejsza niż okręt Zavaca.

Jednakże młody Skandianin sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie. Może chował jakiegoś asa w rękawie. Mihaly zdawał sobie sprawę, że takie wydarzenie wzbudzi wielkie zainteresowanie wśród mieszkańców Raguzy i wszystkich pirackich załóg, które akurat cumowały w porcie. Cieszył się, że Hal wyznaczył taki termin, dzięki temu miał czas, by rozreklamować wydarzenie i ustawić budy.

– Pojedynek musi odbyć się w takim miejscu, by można obserwować go z portu – powiedział. – Nie więcej niż dwa-trzy kilometry od brzegu.

Zavac i Hal kiwnęli głowami.

– Każę wyznaczyć bojami teren pojedynku. Kwadrat o długości boku... powiedzmy trzech kilometrów. Będziecie walczyć w jego granicach – dodał, a oni znów zgodnie przytaknęli.

„Rób sobie, co chcesz”, pomyślał Hal. „Jeśli tylko nadarzy się okazja, żeby zatopić okręt Zavaca, i tak popłynę tam, gdzie mi się podoba.” Zerknął na Madziara i odniósł wrażenie, że ten pomyślał dokładnie o tym samym.

– Doskonale – powiedział Mihaly z uśmiechem. Humor znacznie mu się poprawił.

– Jeszcze jedna sprawa – odezwał się Zavac. – Jeśli wygram, czy odwołasz rozkaz wydalenia nas z miasta? Dzięki pojedynekowi konflikt zostanie rozwiązany, nie będzie więcej żadnych awantur między nami.

Korpajlo wysunął dolną wargę i zamyślił się. Thorn zarechotał. Mihaly spojrzał na niego i zapytał:

– Co cię tak bawi?

Thorn wzruszył ramionami.

– To przypomina mi klasyczny przepis na gulasz z niedźwiedzia – odparł. Mihaly zmarszczył brwi, więc wyjaśnił: – Zaczyna się on tak: Najpierw zabij dużego niedźwiedzia. – Spojrzał na Zavaca, mrużąc oczy. – Najpierw musisz zatopić „Czapłę”. A to może okazać się trochę trudniejsze, niż sądzisz.

Stig i Lydia też zaczęli się śmiać. Zavac pomyślał, że wyglądają na bardzo pewnych siebie. Zwrócił też uwagę na zdeterminowany wyraz twarzy Hala.

– Chyba zaryzykuję – rzucił z szyderczym uśmieszkiem.



– A więc jaki masz plan? – zapytał Stig, kiedy znaleźli się na pokładzie „Czapli”.

Pozostali członkowie załogi siedzieli już w kręgu na rufie łodzi.

Kiedy wrócili ze spotkania z korpajlo, wszyscy otoczyli ich, spragnieni wieści. Hal już otworzył usta, lecz Stig uniósł rękę.

– Pozwól. – W skrócie opowiedział, co się wydarzyło, na końcu wspomniał o czekającym ich wyzwaniu.

– Lydia i ja w to wchodzimy – oznajmił. – A wy?

Nikt nawet się nie zawahał. Wszyscy odpowiedzieli zgodnym pomrukiem. Hal tylko potrząsnął głową. Ingvar ubrał w słowa to, o czym każdy myślał:

– W końcu, niezależnie od tego, co na ten temat sądzi Erak, jesteśmy drużyną Czapli, prawda? Razem możemy dokonać wszystkiego, co nam się tylko zamarzy.

Kiedy piraci skradli Andomal, Erak, oberjarl Skandii, rozkazał, by wszelkie wzmianki

o drużynie Czapli wykreślono z ksiąg, zgromadzonych w Wielkiej Hali w Hallasholm. Nadal dręczyło ich wspomnienie tej hańby. Kiedy Ingvar skończył mówić, wszyscy zamruczeli zgodnie.

Hal zebrał myśli, by odpowiedzieć na pytanie Stiga. Wszyscy pochylili się do przodu, zaintrygowani. Thorn jak zwykle stał z boku, oparty niedbale o stewę. Był szanowanym wojownikiem. Nie zdziwiłby się, gdyby młodzi członkowie drużyny zwrócili się do niego o radę. Ale to Hal był skirlem, a Thorn nie chciał podważać jego autorytetu. Poza tym zdawał sobie sprawę, że Hal potrafi lepiej myśleć i planować, niż on. Zawsze miał ciekawe pomysły. Plany Thorna zaś zwykle ograniczały się do tego, jak by tu dopaść wroga i mu przywalić.

– Pamiętajmy – powiedział Hal po chwili – że naszym głównym celem jest odzyskać Andomal.

– Może waszym – przerwała mu Lydia. – Bo mnie zależy przede wszystkim na tym, żeby posłać Zvacowi strzałę prosto w serce.

Jesper uśmiechnął się krzywo.

– Nie wiem, czy jest w co – stwierdził.

– Żaden z nas z pewnością nie przeszkodzi ci w osiągnięciu tego celu – Hal skinął głową w stronę Lydii. – Będziemy dożgonnie wdzięczni. A im szybciej tego dokonasz, tym lepiej. Oczywiście, podczas starcia posłużymy się Zadymiarzem. – Tu wskazał na potężną kuszę, stojącą na dziobie i przykrytą płócienną płachtą. – O ile mi wiadomo, Zvac nie ma pojęcia o jego istnieniu. Nigdy nie widział go w akcji.

– Ale mógł wspomnieć o nim któryś z ludzi Zvacca – zauważyła Lydia, marszcząc brwi. Hal potrząsnął głową.

– Większość tych, którzy walczyli na wieżach, zginęła bądź trafiła do więzienia. Tylko oni mogliby powiedzieć coś na ten temat.

– No i jeszcze ci przy bramie wschodniej – przypomniał mu Stig.

Przez tę bramę Czaple przypuściły atak na miasto. Hal jednak znów potrząsnął głową.

– Ich oddział się rozproszył. A nawet gdyby któryś wrócił na pokład „Kruka”, to i tak żaden z nich nie miał okazji poznać prawdziwych możliwości Zadymiarza. – Stig kiwnął głową, a Hal podjął: – Tak więc zamierzam za jego pomocą unieszkodliwić „Kruka”. – Zobaczył, że pozostali ściągnęli brwi i zastanawiają się, jak dokładnie zamierza tego dokonać, więc wyjaśnił: – Będę celował w najważniejsze punkty, takie jak ster czy miejsca, w których są przywiązane główne sztagi. Jeśli trafię, maszt straci mocną podporę, może nawet uda nam się go zwalić.

– To by było coś – przyznał Stefan.

Hal kiwnął głową.

– Oczywiście, zamierzam z pomocą Zadymiarza zredukować także ich przewagę liczebną. – Spojrzał na Lydię. – Liczę na twoje wsparcie.

– Jasne.

– Ingvarze, jak twoja rana? – zapytał Hal. Potężny chłopak był nieodzowną częścią tego planu. Ingvar pomacał swój bok, po czym skinął głową.

– W porządku. Trochę pobolewa, ale dam radę.

– Świetnie. Bo mam dla ciebie nowe zadanie. Kiedy trochę popsujemy „Kruka” i jak mam nadzieję, pozbawimy go masztu, dokonamy abordażu.

– Czy to aby rozsądne? – zapytał Ulf.

– Ani trochę. – Hal uśmiechnął się.

Wulf wyjątkowo nie skomentował słów brata, co wskazywało na to, jak poważnie wszyscy podeszli do tematu.

Hal podjął:

– Ale musimy to zrobić, jeśli chcemy odzyskać Andomal.
– Załoga Zavaca liczy pięćdziesięciu ludzi – zauważył Stig. – Czy przypadkiem nie porywasz się z motyką na słońce?

Hal potrzęsął głową.

– Od początku wiedzieliśmy, że mają nad nami przewagę liczebną. Ale pomyśl. Cały czas powtarzamy z przyzwyczajenia, że załoga Zavaca liczy pięćdziesięciu ludzi. Ale kilku stracił w Limmat, dziesięciu, może nawet więcej, kto wie? A wczorajszej nocy kolejnych ośmiu. Ci, którzy nas zaatakowali, nie żyją albo są w szpitalu, albo w więzieniu. Tak więc teraz jest ich trochę mniej.

– Ale nadal nas jest mniej – zauważył Stefan.

– To prawda – przyznał Hal. – Ale to może podziałać na naszą korzyść. Nie będą spodziewać się abordażu.

Urwał, powiódł wzrokiem po twarzach swych towarzyszy. Wyglądało na to, że się z nim zgadzają. Załoga piratów liczyła około czterdziestu ludzi, z pewnością nie przyszłoby im do głowy, że drużyna „Czapli”, złożona z ośmiu czy dziewięciu członków, zechce dokonać abordażu. Atak poprowadzą Thorn i Stig – przerażające duo.

– Podpłyniemy od strony rufy. Użyjemy drapaczy. Thorn i Stig wejdą pierwsi, Ulf i Wulf będą ich osłaniać.

– Raczej Wulf i Ulf – poprawił go jeden z bliźniaków, zapewne Wulf.

Hal uśmiechnął się.

– Ponieważ i tak nikt nie potrafi was rozróżnić – powiedział – możecie ustalić to między sobą.

– W takim razie Ulf i Wulf – powiedział Ulf. A może był to Wulf. Hal pamiętał, że lubią zamieniać się miejscami, tylko po to, by narobić trochę zamieszania.

– Nieważne – stwierdził, ucinając dyskusję, bo Wulf, a może Ulf, już otworzył usta. – Dobrze. Pozostali ruszą za nimi. Uformujecie klin i zepchniecie piratów na dziób. – Spojrzał na Thorną. W sprawach, dotyczących strategii wojennej lubił zwracać się do niego o radę. – Co o tym sądzisz? – zapytał.

Thorn powoli pokiwał głową.

– Nie widzę żadnego problemu. Zawsze łatwiej przeprowadzić taki atak na ograniczonej przestrzeni, tak jak w tym przypadku na pokładzie okrętu. Przewaga liczebna wroga może okazać się słabym punktem. Będą wpadać na siebie i nawzajem wlażać sobie w drogę.

– A co ze mną, Halu? – spytała cicho Lydia.

– Wiesz, że najlepiej wykorzystasz swoje możliwości, strzelając z pokładu „Czapli” – odparł Hal. – Z daleka będziesz mogła wyłuskać każdego Madziara, który wyda ci się niebezpieczny. W ten sposób lepiej nam się przysłużysz, niż biorąc bezpośredni udział w bitwie.

Kiwnęła głową. Przyznała mu rację. Atlatl, którym posługiwała się z taką zręcznością, mógł znacząco przyczynić się do zwycięstwa. Poza tym w bezpośrednim starciu, pośród szalejących toporów w dłoniach Thorną, Stiga i bliźniaków, pewnie i tak nie miałyby okazji posłużyć się sztyletem.

– A co ze mną? – zapytał Ingvar. Zabrzmiało to trochę smętnie. Zdawał sobie sprawę, że kiepski wzrok nie jest atutem w bezpośrednim starciu z wrogiem. Niechcący mógłby trafić nieodpowiednią osobę albo wymierzyć cios nie w tym momencie co trzeba. Ku jego zaskoczeniu, Hal odparł:

– Również weźmiesz udział w abordażu. Kiedy oni będą walczyć z piratami i odwrócą ich uwagę, ty zatopisz okręt. – Niektórzy z zaciekawieniem podnieśli głowy. Na twarzy Ingvara pojawił się szeroki uśmiech. – Przygotuj sobie najcięższą siekierę czy młot, jakie uda ci się

znaleźć – podjął Hal. – Kiedy tylko znajdziesz się na pokładzie „Kruka”, od razu przystąp do akcji. Wal, gdzie popadnie, w kadłub, w gródź wodoszczelną. We wszystko, na co tylko padnie twój wzrok.

– Mój wzrok nie jest zbyt dobry, pamiętaj – zauważył Ingvar. Hal musiał przyznać mu rację.

– W takim razie wal we wszystko, czego tylko zdołasz osiągnąć. Burty, ławki, dno. Rozwal wszystko. Rozwal na miazgę.

– W tym czasie, jak przypuszczam, ty pójdziesz po Andomal – powiedział Thorn.

Hal przytaknął.

– Wiemy, gdzie jest schowany. Dlatego właśnie chcę dokonać abordażu od strony rufy. Kiedy zapędzicie piratów na dziób, udam się do kajuty Zavaca i zabiorę Andomal. Lydio, mam nadzieję, że zajmiesz się tymi, którzy zdołają wymknąć się Stigowi i Thornowi.

Lydia skinęła głową. Stig zrobił obrażoną minę, a Thorn prychnął wzgardliwie, po czym stwierdził:

– To raczej nie będziesz miała zbyt wiele do roboty.

Hal odchylił się do tyłu i powiódł wzrokiem po zdeterminowanych twarzach towarzyszy. Po to przebyli całą tę drogę. Po to ścigali Zavaca przez całe Morze Białych Sztormów. Po to zniszczyli wieże strażnicze u wejścia do portu Limmat i zaatakowali wschodnią bramę. Po to stawili czoło przerażającemu Dzikemu Bystrzu. To była ich szansa na odzyskanie normalnego życia. Godności. Dobrego imienia.

Czuł, że powinien powiedzieć coś porywającego, co przydałoby wszystkim otuchy i odwagi przed czekającym ich wyzwaniem.

Ale niestety, nic sensownego nie przyszło mu do głowy.



ROZDZIAŁ 40



W noc poprzedzającą pojedynek Hal długo nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, słuchając dobiegających go dźwięków, typowych dla każdego portu: chlupotania wody o kadłub, poskrzypywania odbijaczy, gdy jakaś fala pchnęła „Czapkę” na molo, od czasu do czasu plusku, kiedy rzuciła się jakaś ryba i wesołych, często pijanych głosów żeglarzy, wracających na okręt z którejś z tawern na nabrzeżu.

Trochę po północy niemal wszystkie odgłosy ucichły. Potem, na kilka godzin przed świtem, Hal poczuł, że łódź poruszyła się lekko. A więc zrywał się wiatr. Przez cały czas martwił się, że akurat tego dnia jak na złość będzie bezwietrznie. Przynajmniej jeden problem mieli z głowy.

Musiał tylko wymyślić, jak w dziewięcioro pokonać czterdziestu piratów. Setki razy przerabiał w myślach taktykę. Wreszcie uspokoił się, że nie przegapił żadnego szczegółu, przewrócił się na drugi bok i podciągnął koc pod brodę, chroniąc się przed chłodem poranka. Pomyślał, że przynajmniej zbliża się finał całej sprawy. Tak czy tak, wreszcie będą to mieli za sobą. Albo odzyskają Andomal, albo zginą.

Ta myśl w dziwny sposób go uspokoiła i w końcu zasnął.

Około siódmej obudziła go krzątanka na pokładzie. Edvin właśnie rozpałał ogień. Posłał bliźniaków do pobliskiej piekarni po świeży chleb. Duma mistrza kuchni nie pozwalała mu podać czerstwego chleba w tak ważnym dniu.

Okazało się, że ma dla nich jeszcze jedną niespodziankę. Poprzedniego wieczoru zebrał wszystkie wełniane czapki, które zrobił dla członków drużyny. Kiedy zasiedli dokoła ogniska, z rozkoszą wciągając w nozdrza zapach kiełbasek i słuchając, jak jajka smażą się na wielkiej patelni, wręczył im czapki z powrotem. Ale teraz na każdej widniał znaczek, zrobiony z kawałka materiału, przszyty na przedzie i przedstawiający czapkę w locie – była to ta sama figura, która zdobiła ich flagę. Wszyscy przyglądali się czapkom z zachwytem.

– Teraz wyglądamy jak prawdziwa drużyna! – stwierdził Jesper.

Ingvar popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Przecież jesteśmy prawdziwą drużyną – zauważył.

Jesper machnął ręką.

– Taa. Ale teraz to tak jakby... oficjalne. – Włożył czapkę, a pozostali poszli za jego przykładem. Hal uśmiechnął się szeroko, zadowolony, że jego drużyna ma teraz coś w rodzaju uniformu. Edvin wyjął ostatnią czapkę i podał ją Lydii.

– Teraz też należysz do załogi – powiedział po prostu. Szeroki uśmiech rozjaśnił zwykle poważną twarz Lydii. Włożyła czapkę i popatrzyła dokoła.

– Jak wyglądam? – zapytała.

– Chyba tak jakby pasuje – odparł Thorn cicho, a chłopcy zamruczeli zgodnie.

Lydia zarumieniła się, a potem potrząsnęła głową. „Thorn bywa taki irytujący”, pomyślała. „A potem, kiedy najmniej się tego spodziewasz, nagle potrafi powiedzieć coś

miłego.”

Zjawili się Ulf i Wulf z bochenkami świeżego, jeszcze ciepłego chleba i Edvin zaczął szykować śniadanie. Kiedy wszyscy usiedli na pokładzie i zaczęli jeść, bliźniacy przekazali dobre wieści.

– Słyszeliśmy, że Zovac stracił więcej niż dziesięciu ludzi – powiedział Wulf.

– To znaczy, ja słyszałem – poprawił go Ulf. – I powtórzyłem tobie.

– Czyli ja też słyszałem. Kiedy mi powiedziałaś. Tak czy nie? – zapytał Wulf. Hal postanowił interweniować, nim dojdzie do kolejnej bitwy na słowa.

– Co dokładnie to oznacza? W jaki sposób ich stracił?

Ulf wzruszył ramionami.

– Wszyscy rozprawiali o tym w piekarni – zaczął, ale Wulf przerwał mu, widząc, że Hala i pozostałych interesują konkretne informacje, a nie opowieść o tym, co się wydarzyło w piekarni.

– Wygląda na to, że dziesięciu członków jego załogi powiedziało, że nie zamierzają brać udziału w pojedynku. Podobno stwierdzili, że nie po to zaciągali się na okręt, żeby teraz bić się ze skandyjskimi wojownikami. – Urwał i spojrzał z uśmiechem na przyjaciół. – I co wy na to? Uważają nas za wojowników.

– Jesteśmy wojownikami – powiedział Ulf. Brat spojrzał na niego.

– Wiem. Ale miło, kiedy inni zgadzają się z...

– DOSYĆ TEGO! – wrzasnął Hal. – Jak zareagował, kiedy powiedzieli mu, że nie będą walczyć?

Bliźniacy spojrzeli na siebie, niepewni, co powiedzieć. W końcu jeden z nich postanowił zaryzykować – Hal, rzecz jasna, nie był pewien który. Kilka razy zamieniali się miejscami i stracił orientację.

– Zovac powiedział, że w takim razie mają opuścić jego okręt. I tak też zrobili – wyjaśnił Ulf. Albo Wulf. Hal potrząsnął głową, a potem spojrzał z uśmiechem na Thornę.

– Coraz lepsze wieści – stwierdził.

Thorn kiwnął głową.

– Tak. Teraz jest tylko trzech na jednego.

Stig wyszczerzył się szeroko.

– Szanse prawie wyrównane. Uczciwa walka.

– A propos – wtrącił Hal. – Zastanawiałem się, jak przeprowadzimy atak.

Wszyscy otoczyli go ciaśniejszym kręgiem. Ich twarze spoważniały.

– Przypuszczam, że Zovac zastosuje tę samą taktykę co zawsze, czyli będzie próbował nas staranować lub zaczepić drapaczami i dokonać abordażu. Będzie dążył do bezpośredniego starcia. – Hal spojrzał na Thornę. – Jak sądzisz? – Thorn zawsze prowadził ich podczas walki i Hal chciał poznać jego zdanie na ten temat.

Stary wilk morski skinął głową.

– Nie sądzę, by nagle chcieli zmienić taktykę. Na okrętach zawsze walczy się w ten sposób. Aż do naszych czasów okręt służył wyłącznie jako środek transportu dla wojowników. Jesteś pierwszą znaną mi osobą, która wymyśliła, że broń może stanowić jego integralną część – powiedział.

Hal ucieszył się, że doświadczony wojownik z nim się zgodził.

– To znaczy, że mamy największe szanse, jeśli będziemy trzymać się na pewną odległość i załatwimy ich za pomocą Zadymiarza. I atlatlu – dodał, spoglądając na Lydię.

– To nowy styl walki – podjął. – Nie sądzę, by Zovac był przygotowany na coś takiego, to chyba będzie dla niego kompletna niespodzianka.

– I to bardzo nieprzyjemna – rzucił Jesper z krzywym uśmiechem. Niektórzy zaśmiali się cicho, ale Hal zachował powagę.

– Oby – powiedział do Jespera. – Mamy największe szanse, jeżeli wykorzystamy szybkość i zwrotność „Czapli”. O tych jej zaletach Zovac również nie zdążył się przekonać. Spotkaliśmy się wprawdzie pod Limmat, kiedy odpłynął w swoją stronę, ale to trochę za mało. – Popatrzył na bliźniaków, potem na Stefana i Jespera. – To oznacza, że podnoszenie i ustawianie żagli musi przebiegać bez zarzutu. Nie możemy pozwolić sobie na błąd. Musimy podpłynąć blisko, choć nie tak blisko, jak chciałby Zovac. Tak więc wy czterej musicie dać z siebie wszystko.

Pokiwali głowami, nagle poważni. Hal spojrzął na Ulfa i Wulfa.

– To oznacza: żadnych kłótni. Jasne?

Ulf i Wulf wymienili spojrzenia, po czym odpowiedzieli chórem:

– Możesz na nas liczyć, Halu.

Trochę go zaskoczyło, że wypowiedzieli dokładnie te same słowa dokładnie w tym samym momencie. „Bliźniaki”, pomyślał. „Cóż my o nich wiemy?”

– Użyjemy płonących pocisków? – zapytał Ingvar. Podczas ataku na Limmat strzelali z Zadymiarza pociskami, których końce wcześniej obwiązali namoczonymi w oleju szmatkami i podpalili.

Ale Hal potrząsnął głową.

– Myślałem o tym. Ale łodzią będzie trzęsło i kołysało. Nie chcę ryzykować i rozpalać ognia na pokładzie. Poza tym, jeśli popełnimy błąd i Zovac zdoła do nas podpłynąć, możemy znaleźć się w prawdziwych tarapatach. To nieco inna sytuacja niż w Limmat. Za duże ryzyko.

– Co za ulga – stwierdził Thorn. Jak każdy doświadczony żeglarz, dostawał dreszczy na samą myśl o rozpalaniu ognia na pokładzie.

– Chyba mamy gości – zauważył Stig, spoglądając na molo.

Pozostali pobiegli za jego wzrokiem. Rzeczywiście, w ich stronę zmierzało trzech żołnierzy w fioletowo-zielonych uniformach, barwach korpajlo. Jeden z nich kroczył na przedzie. Rodzaj zbroi i broni świadczył o randze oficerskiej. Zatrzymał się koło „Czapli” i spojrzął na nich.

– Wy jesteście tymi Skandianami? – zapytał, choć chyba było to oczywiste.

Hal podszedł do burty, zadarł głowę – molo znajdowało się jakiś metr wyżej od nadburcia – i spojrzął na oficera.

– Zgadza się – odparł. – Chcecie wejść na pokład?

Oficer potrząsnął głową. Spojrzął z niesmakiem na niewielki okręciak. Nie lubił chodzić po rzeczach, które się kołyszą, a widział, że pokład wznosi się i opada na drobnych falach, marszczących wody portu.

– To niepotrzebne. Mam przekazać wam warunki, na których odbędzie się pojedynek. To wszystko.

Hal dał mu znak, by mówił dalej.

– W takim razie posłuchajmy – powiedział.

Oficer sięgnął za pazuchę i wyjął kartkę papieru. Studiował ją przez kilka sekund, a potem oznajmił:

– Wieje wiatr z północnego wschodu. Korpajlo Mihaly kazał za pomocą boi wyznaczyć teren pojedynku poza obszarem portu, w zatoce. Oba okręty mają zacząć od półwiatru. – Zmarszczył brwi. Nie znał się na żegludze i nie do końca rozumiał, co to znaczy. Zauważył jednak, że młodzi Skandianie pokiwali głowami. Uznał, że niczego nie pokręcił. – Korpajlo zdecydował o pozycji okrętów losowo. Wy zaczynacie od zachodniego krańca wyznaczonego

kwadratu, Madziarowie od wschodniego. Popłyniecie pod eskortą jednego z naszych barkasów, drugi będzie stał na kotwicy w miejscu, gdzie macie zacząć. W sumie pojedynk będą monitorować cztery barkasy.

„I niby po co nam one?”, pomyślał Thorn. Owszem, mogły się przydać do wyznaczenia pozycji startowych, ale jaką niby rolę mogłyby odegrać w czasie bitwy? Najwidoczniej ich zadaniem było po prostu dać Mihalyowi fałszywe poczucie kontroli.

– O dziewiątej przyplynie po was barkas – dodał oficer. Jego ton wskazywał na to, że powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. – Jakies pytania?

Hal wzruszył ramionami.

– Chyba wszystko jasne. – Spojrzał na Thorna. – A jak ty uważasz?

Thorn skrzywił się.

– Jasne jak słońce.

Hal znów zwrócił spojrzenie na oficera.

– Nie mamy pytań – stwierdził. Mężczyzna zwinął papier i włożył go za pazuchę. Dał krótki rozkaz żołnierzom i już miał odmaszerować, ale Jesper go zatrzymał.

– Ja mam pytanie – powiedział. – Nie zamierzasz życzyć nam szczęścia?

Oficer zeszywniał.

– Postawiłem dziesięć koron na Madziarów. Za was płacą trzy do jednego – powiedział, a potem odwrócił się i odmaszerował.

Jesper spojrział na przyjaciół i wyduł wargi.

– Hm, zabrzmiało to niezbyt zachęcająco.



ROZDZIAŁ 41



Tuż przed dziewiątą, zjawił się barkas, który miał eskortować ich na miejsce.

Był niemal tej samej długości co „Czapla” i miał liczną załogę. Nie posiadał masztu ani takielunku, za to przy każdej z burt znajdowało się po sześć wiosel. Prócz dwunastu wiosłarzy na pokładzie stłoczyło się jeszcze ośmiu innych mężczyzn, wszyscy uzbrojeni, w hełmach i kolczugach. Zrównawszy się z „Czaplą”, barkas zakołysał się na falach, poddał powiewom wiatru i zaczął dryfować w ich kierunku. Kiedy obie jednostki dzieliła odległość zaledwie czterech czy pięciu metrów, sternik przyłożył dłoń do ust i zwołał:

– Hej, wy na pokładzie „Czapli”! Gotowi?!

Byli gotowi od co najmniej pół godziny. Cały niepotrzebny sprzęt zostawili na molo. Musieli jeszcze tylko odwiązać cumy. Stig spojrział na Hala, stojącego przy sterze. Hal kiwnął głową, a Stig krzyknął w odpowiedzi:

– Gotowi!

– To płyncie za nami! Zachowajcie odległość dziesięciu metrów. – Sternik zwrócił się do swoich ludzi i zaczął wydawać rozkazy. Wiosła wysunęły się do przodu, opuściły i zanurzyły w wodzie.

Tymczasem Stig wyskoczył na molo, odcumował i znów zeskoczył lekko na pokład.

– Wiosła chwyć! – zawołał Hal cicho i wszyscy wyciągnęli wiosła nad powierzchnię wody. Dwaj wiosłarze, siedzący na przedzie przy lewej burcie, zaczęli odpychać łódź od mola. Dziób skręcił w stronę wyjścia z portu. Stig usiadł na swoim miejscu i wyciągnął wiosło. Napotkał spojrzenie Hala i zawołał:

– Cała naprzód! Raz... raz... raz.

Wyzначył powolny rytm i „Czapla” oderwała się od mola i ruszyła wąskim farwaterem w stronę kanału, prowadzącego na morze. Hal jak zwykle poczuł dreszcz podekscytowania, gdy ster ożył w jego rękach i fale zaczęły z pluskiem rozbijać się o burty. Ale jego żołądek zacisnął się w twardy supeł – jak zawsze tuż przed akcją.

Powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy. Były blade i zdeterminowane. A więc nie tylko on się denerwował. Jedyne Thorn, stojący jak zwykle koło koferdamu, w swym ciężkim rogatym hełmie, wyglądał na całkowicie obojętnego. Hal zauważył, że doganiają barkas. Odczekał, aż dzieliło ich tylko dziesięć metrów i zawołał do Stiga:

– Zwolnijcie trochę.

W gardle mu zaschło, głos był stłumiony i brzmiał bardziej piskliwie, niż Hal by sobie tego życzył. Miał nadzieję, że pozostali niczego nie zauważyli. Mina Stiga w każdym razie na to nie wskazywała. Zaczął znów nadawać rytm, tym razem wolniejszy. Łódź płynęła za barkasem, zachowując stałą odległość.

– Dobrze – powiedział Hal. Tylko jedno słowo, bo nie ufał swojemu głosowi. Obliznął wyschnięte wargi i nerwowo przełknął ślinę.

Wy płynęli na wody kanału, wiodącego ku morzu. Po obu stronach mijali okręty,

widzowie tłoczyli się przy burtach. Pojedynek okrętów wzbudził wielkie zainteresowanie wśród mieszkańców Raguzy. Niektórzy pozdrawiali ich i życzyli zwycięstwa. Hal domyślał się, że to ci, którzy postawili na „Czapłę”, zapewne licząc na sporą wygraną, skoro płacono trzy do jednego. Ze smutkiem musiał stwierdzić, że nie ma ich zbyt wielu. Większość żeglarzy tylko patrzyła w milczeniu, kiedy ich mijali.

Tak jak Hal wcześniej postanowił, na razie nie podnosili żagli, ponieważ wzdłuż obu brzegów kanału stało mnóstwo okrętów i było tam naprawdę wąsko. Dopiero kiedy wypłyną z portu, każe postawić żagiel i pozwoli członkom załogi trochę odetchnąć.

Płynęli dalej. Dzwon na wieży wybił dziewięć razy. Hal spojrzął na wskaźnik wiatru. Wiało z północnego wschodu. Hal pomyślał, że to dla nich bardzo korzystne. Wiatr miał odpowiednią siłę, na tyle dużą, że mogli w pełni wykorzystać możliwości „Czapli”, ale nie aż tak wielką, by musieli obawiać się jakichkolwiek komplikacji. W górze wznosiło się czyste błękitne niebo, płynęły po nim tylko pojedyncze obłoczki.

„Idealny dzień na pojedynek”, pomyślał. Napotkał spojrzenie Thorny, który kiwnął głową dla dodania mu otuchy. Hal czuł jednak, że coś jest nie tak. Przyjrzał się uważnie Thornowi i stwierdził ze zdumieniem, że nosi on protezę w kształcie haka, a nie swoją maczugę, której zwykle używał w starciu z wrogiem. Hal wskazał na nią i pytająco przechylił głowę na bok. Thorn spojrzął na swe ramię, a potem podszedł do Hala.

– Na maczudze zrobiło się brzydkie pęknięcie – wyjaśnił. – Zauważyłem to dopiero dzisiaj rano, kiedy się szykowałem. Pewnie stało się to tamtego wieczoru, kiedy zaatakowali was ludzie Zavaca.

– Trzeba było powiedzieć. Mogłem ją naprawić – powiedział Hal, ale Thorn potrząsnął głową.

– Nie było czasu. Żaden problem. Mam miecz, będę walczył lewą ręką. W szczypcach mogę trzymać tarczę.

– Skoro tak mówisz – odparł Hal z powątpiewaniem. Miał nadzieję, że to nie jest jakiś zły znak. Thorn chyba odgadł jego myśli, bo uśmiechnął się i zapewnił go:

– Tak mówię. To nie będzie pierwszy raz.

Hal również zmusił się do uśmiechu.

– Słyszałem.

Thorn kiwnął głową w rogatym hełmie, po czym wrócił na swoje stałe miejsce przy koferdanie. Płetwa była podniesiona. Postanowili, że opuszczą ją, kiedy postawią żagiel.

– Halo – rzucił Stig. – Patrzcie, kto płynie za nami.

Hal odwrócił się. Dwieście metrów dalej widniał na wodzie czarny kształt „Kruka”, również płynącego w asyście barkasu. Dostrzegł biały wir u dziobu, w miejscu, gdzie znajdował się taran, tuż pod powierzchnią wody.

Supel w żołądku zacisnął się jeszcze odrobinę mocniej. Skierował wzrok w stronę dziobu. Jesper zapatrzył się na wrogi okręt i przeoczył jedno pociągnięcie wiosłem. Łódź zachwiała się, więc Hal przesunął lekko ster, by naprawić ten błąd. Spojrzął na Jespera, lecz nie zdążył nic powiedzieć, uprzedził go Stig.

– Uważaj, co robisz! – wychrypiał. Jesper zaczerwienił się, mruknął coś na przeprosiny i pochylił się nad wiosłem, unikając wzroku skirla i pierwszego oficera. Halowi zrobiło się ciepło na sercu. Stig idealnie sprawdzał się jako pierwszy oficer. Zawsze wylapywał najdrobniejsze błędy członków załogi, Halowi zostawiał zajmowanie się poważniejszymi problemami. I w każdej chwili mógł zastąpić go przy sterze. Hal spojrzął w jego stronę, by podziękować, ale Stig na niego nie patrzył. Potem stwierdził, że właściwie jest to niepotrzebne. Stig wykonywał swoją pracę. Nie oczekiwał podziękowań.

Zbliżali się do wyjścia z portu, szerokości dwudziestu metrów, wyznaczonego przez dwa kamienne mola. Po lewej stronie wznosiła się drewniana wieża strażnicza. Powiewała na niej wielka niebiesko-czerwona flaga. Był pewien, że wcześniej jej tam nie widział.

Spojrzał z zaciekawieniem, ale zaraz skupił całą uwagę na wyjściu z portu. Miejsca było dosyć, ale Hal już miał w wyobraźni straszliwą wizję, jak to źle ocenia odległość i „Czapla” ociera się smukłą burtą o szorstką kamienną ścianę.

Jednakże wpłynęli na otwarte wody gładko i bez przeszkód. Wiatr przybrał na sile. Wskaźnik ustawił się całkowicie poziomo.

Hal powiódł wzrokiem dokoła.

Raguzę wzniesiono u ujścia rzeki Dan, nad wielką zatoką, będącą częścią Morza Spokojnego. Powierzchnię wody marszczyła lekka fala. Hal poczuł, jak „Czapla” wznosi się na niej: przez chwilę pokład jakby ściślej przylegał do podeszew jego butów, by po chwili opaść z powrotem. Uwielbiał to uczucie. Chyba po raz tysięczny pomyślał, że w takich chwilach łódź wydaje się żywym stworzeniem.

Barkas zatoczył łuk i skierował się dziobem w ich stronę.

– Zwolnijcie – polecił. Stig powtórzył rozkaz, tak by wszyscy członkowie załogi mogli go wyraźnie usłyszeć. Wyciągnęli wiosła z wody, ustawili je równolegle do jej powierzchni i wsparli się na nich. Barkas skierował się w stronę portu. Od „Czapli” dzieliła go długość wiosła. Sternik przyłożył do ust zwinięte w trąbkę dłonie.

– Hej tam, na pokładzie! Widzicie ten barkas z niebieską flagą?

Wyciągnął rękę, a Hal podszedł do burty. Jakies dwa kilometry od brzegu widniał ciemny kształt, powyżej coś migotało na niebiesko.

– Widzę – odparł.

– W tym miejscu zaczynacie. „Kruk” zacznie z miejsca obok łodzi z czerwoną flagą.

Wskazał drugi barkas, stojący jakies sto metrów dalej. Hal kiwnął głową w milczeniu.

Sternik podjął:

– Zaczynacie, kiedy opuszczą flagę na wieży strażniczej. Zrozumiano?

– Zrozumiano! – zawołał Hal w odpowiedzi. Znów zirytował go piskliwy ton własnego głosu. „Uspokój się”, powiedział sobie w duchu. Teraz już wiedział, po co wywieszono tę czerwono-niebieską flagę. Sternik ponownie wskazała na pierwszy barkas.

– Pojedynek rozpocznie się za pół godziny – krzyknął. – Lepiej zajmijcie pozycję startową.

Sternik rzucił polecenie swoim ludziom, którzy zanurzyli wiosła w wodzie i łódź miękko ruszyła przed siebie, w kierunku portu. Hal sięgnął po trzydziestominutową klepsydrę i odwrócił ją. Ziarenka zaczęły przesypywać się z górnego naczynia do dolnego.

– Miło, że życzył nam szczęścia – rzucił Hal.

Stig skrzywił się i stwierdził:

– Pewnie on też postawił na „Kruka”.

– W takim razie przegra! – krzyknęła Lydia ze swego miejsca na dziobie. Ingvar zamruczał zgodnie z głębi potężnej piersi.

Hal wziął wdech. Mieli wiatr z prawej strony.

– Wciągnąć wiosła – zawołał. Jak zwykle, rozległo się charakterystyczne klekotanie.

Potem chłopcy zajęli swe zwykłe pozycje przy fałach i szotach.

– Jesper, Stefan, lewy żagiel w górę!

Rozległ się pisk i grzechot fałów, przechodzących przez bloki. Lewa rejka podniosła się, żagiel poszybował do góry. Rejka wskoczyła na miejsce. Ulf i Wulf nie czekali na polecenie, już byli na swoich miejscach przy szotach.

Łódź jakby zawahała się przez sekundę czy dwie, ale kiedy bliźniacy ściągnęli szoty, żagiel załopotał na wietrze i z głośnym „łump” wypełnił się powietrzem, „Czapla” pomknęła lekko przed siebie, dowodząc, że jest godna swego imienia.

– Płetwa! – zawołał Hal do Thorny, a ten opuścił płetwę, przesuując ją przez otwór w koferdamie. Hal poczuł, jak łódź stawia większy opór, dryf został zredukowany praktycznie do zera. Spojrzał w stronę rufy. Połyskujące niebieskie wody przecinał równy biały kilwater. A dalej unosił się na wodzie czarny kształt „Kruka”.

– Poluzujcie trochę szoty! – zawołał. – Na razie nie ma co pokazywać im naszych możliwości.

Ulf i Wulf poluzowali żagiel i „Czapla” wytraciła prędkość. Ale i tak dotarła do barkasu z niebieską flagą w ciągu zaledwie kilku minut. Hal spojrzął na klepsydrę. Zaledwie niecała połowa zdążyła przesypać się do dolnego naczynia. Kiedy minęli barkas, zrobił zwrot i ustawił „Czaple” równoległe do niego, dziobem w stronę Raguzy.

Potem Hal kazał opuścić żagiel i zaczęli dryfować.

Pomyślał, że najgorsze jest czekanie. Supeł w brzuchu zacisnął się jeszcze mocniej. Powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy. Większość była ponura i zacięta. Stig starał się robić obojętną minę, ale Hal widział, jak bębni palcami po stylisku topora, leżącego obok w gotowości. Chciał powiedzieć coś, co dodałoby im otuchy i zmniejszyło zdenerwowanie. Tak postąpiłby dobry skirl. Niestety, nie potrafił wymyślić niczego sensownego, poza tym wiedział, że gdyby się odezwał, zawiodłyby go wysuszone usta i zaciśnięte gardło, pewnie znów wydobyłby z siebie tylko słaby pisk.

Niezbyt budujący dźwięk.

Cisza przedłużała się. Hal znów spojrzął na klepsydrę. Ziarenka zdawały się spadać nieskończenie powoli. Przeniósł wzrok na wieżę strażniczą. Czy flaga się poruszyła? Tak mu się zdawało, ale zaraz uświadomił sobie, że po prostu opadła na chwilę, kiedy ustał wiatr. Teraz znowu zaczął wiać. Na obu molach było aż czarno od drobnych ludzkich figurek. „Publiczność”, pomyślał. Większość tych ludzi nie wierzyła w zwycięstwo „Czapli”.

Jego palce rozwierały się i zaciskały na gładkim rumplu. „No, dalej. Miejmy to już za sobą.”

– Widzisz ten hełm?

Pytanie Thorny całkowicie go zaskoczyło. Opuścił on swe miejsce przy koferdamie i stanął pośrodku. Wskazywał na potężny rogaty hełm – tak bardzo cenione przez Skandian nakrycie głowy.

– Mam go od prawie trzydziestu lat. Zawsze nosiłem go podczas wypraw. Podczas bitew. Widział więcej niż niejeden wojownik. Setki razy ratował mi życie. Zawsze nosiłem go z dumą. To odwieczny symbol skandyjskiego wojownika. – Wszyscy przysłuchiwali się temu z uwagą. Thorn podszedł do lewej burty i zdjął hełm. – Ale już go więcej nie chcę.

Wszyscy wstrzymali oddech, kiedy Thorn wziął zamach lewą ręką i rzucił hełm wysoko w powietrze, aż ten zatoczył luk i zaczął opadać, wirując powoli. Śledzili uważnie jego lot. Ze wszystkich ust wyrwał się cichy okrzyk zdumienia, kiedy hełm uderzył w powierzchnię wody i do góry bryzgnęła biała piana – dziwne, nie aż tak wysoko, jak się tego spodziewali. Potem zwrócili spojrzenia na Thorny. Miał na głowie czarną wełnianą czapkę, ozdobioną białą figurką czapli.

– Teraz wybieram ten symbol. Symbol drużyny Czapli. Żaden stary zdezelowany nocnik z rogami nie może się z nim równać.

Zapadła cisza. Po chwili wszyscy zaczęli wiwatować. Thorn szczyrzył się od ucha do ucha, z dumą pokazując na swoją czapkę, taką samą, jakie mieli na głowie pozostali członkowie

drużyny, i przechadzając się po pokładzie. Hal również wznosił radosne okrzyki i poczuł, że supeł, ściskający mu żołądek, niepostrzeżenie znikł. Czuł się rozluźniony, pewny siebie i gotów stawić czoło każdemu wyzwaniu. Powiódł wzrokiem po roześmianych twarzach przyjaciół. Wiedział, że czują to samo.

„Thornie, jesteś geniuszem”, pomyślał.

Potem Thorn wskazał na wejście do portu i stwierdził wesoło:

– Impreza się zaczyna.

Czerwono-niebieska flaga właśnie zjeżdżała w dół. A więc nadszedł czas rozpoczęcia pojedynku.



ROZDZIAŁ 42



Wśród załogi przeszedł szmer podekscytowania.

Jesper i Stefan podeszli do falów i już mieli podnieść żagiel, kiedy Hal uniósł rękę i powiedział:

– Zaczekajcie. Chcę zobaczyć, co zamierza Zovac. „Czapla” podskoczyła lekko na fali. Nagle ukazał się trójkątny żagiel „Kruka”. Rozwinął się, opadł, a po chwili, kiedy załoga ściągnęła szoty, wypełnił się wiatrem i czarny okręt pomknął przed siebie, kierując się prosto na nich.

Hal kiwnął głową. Tak jak się tego spodziewał, Zovac nie zamierzał tracić czasu na żadne subtelności i wyrafinowane manewry. Mierzył prosto na nich, najwyraźniej zamierzał podpłynąć jak najbliżej, walnąć w nich taranem i dokonać abordażu. Hal czuł, że wszyscy członkowie załogi czekają na jego polecenia. Jakąś częścią umysłu uświadomił sobie, że teraz, kiedy skończyło się czekanie, ogarnął go wielki spokój. Odchrząknął dla pewności, że tym razem nie wyda z siebie żenującego pisku.

– Prawy żagiel – polecił. Z zadowoleniem stwierdził, że głos zabrzmiał całkiem normalnie.

Rejka podniosła się gładko. Żagiel wypełnił się i „Czapla” znów ożyła, nabrała tempa i zostawiając barkas z tyłu, zaczęła pruć fale. Początkowe ciężkie pum-pum-pum drobnych fal, bijących o burty zmieniło się w jeden ciągły syk.

Hal pochylił się, bo żagiel zasłaniał mu widok na „Kruka”. Ten mierzył dziobem prosto w „Czapłę”, ale z powodu płaskiej stępki dryfował z wiatrem. Gdyby potrafił utrzymać kurs, płynąłby bardziej w prawo. Jeżeli Zovac chciał przeciąć im drogę, powinien mocniej ostrzyć. Ale zgodnie z tym, co Hal podejrzewał od czasu, gdy widział, jak Zovac prowadził swój okręt podczas ucieczki z Limmat, nie był on zbyt dobrym sternikiem. Brakowało mu tego, co miał Hal – instynktownego wyczucia prędkości i odległości.

„Czapla” zaś, dzięki płetwie, która nadawała jej większą stabilność, właściwie w ogóle nie dryfowała. To nie odpowiadało planom Hala. Przesunął ster. Łódź skrzyła lekko w prawo, skierowała się w stronę czarnego okrętu. Hal chciał ustawić ją na kursie równoległym do kursu „Kruka”, po jego prawej stronie.

– Ingvar! Ładuj Zadymiarza! – krzyknął. Nie lubił, kiedy cięciwa czekała naciągnięta zbyt długo, ale czuł, że już nadszedł odpowiedni moment. Ingvar pomachał do niego i podszedł do maszyny, chwycił bliźniacze dźwignie i odciągnął je. Potem umieścił pocisk w szczelinie i dał znak, że jest gotów.

– Stig! – zawołał Hal. Stig wstał ze swego miejsca na ławce i podszedł do niego, gotów przejąć ster.

– Chcę podpłynąć do nich od prawej strony. Będą próbowali nas staranować. Skręć w ostatniej chwili, potem zatoczmy koło i zajdziemy ich od rufy. Kieruj się na ich prawą burtę – powiedział Hal. Zadymiarz mógł obrócić się tylko o czterdzieści pięć stopni w prawo lub w lewo,

tak więc, by wymierzyć w „Kruka”, musieli odpowiednio się ustawić.

Stig skinął głową i zmarszczył brwi w skupieniu. Postanowił, że zostawi Halowi wyliczenia co do tego pierwszego zwrotu. Wymagał on wielkiej precyzji, a Hal był w tym znacznie lepszy niż on.

Wszyscy czekali w napięciu na swoich stanowiskach. Thorn stał w gotowości tuż za masztem, dzierżąc wielką okrągłą tarczę. Lydia przyczała się na dziobie. Atlatl trzymała w dłoni, strzałka już tkwiła w szczelinie. Nagle Hal usłyszał jakiś nowy dźwięk. To członkowie załogi „Kruka”, który szybko zbliżał się w ich stronę, wykrzykiwali do nich pogrożki i obelgi. Hal przyjrzał im się uważnie. Dwóch trzymało w dłoniach krótkie łuki. Pozostali byli uzbrojeni we włócznie, miecze i maczugi.

– Lydio! – zawołał. – Mają dwóch łuczników.

Skinęła głową, nie odwracając się. Nie odrywała wzroku od „Kruka”.

– Zaraz nie będą mieć – odparła. Thorn zaśmiał się. Na chwilę oderwała wzrok od wrogiego okrętu i spojrzała na starego wilka morskiego. Potem znów skupiła uwagę na „Kruku”.

– Czekaj! – krzyknął Hal. – Robimy zwrot i podpływamy od rufy.

Lydia uniosła rękę na znak, że usłyszała.

Jeden z łuczników wymierzył w ich stronę. Ale albo był zbyt podekscytowany, albo nie wziął pod uwagę kołysania okrętu na fali. A może po prostu nie umiał zbyt dobrze strzelać. Tak czy inaczej, strzała spadła o wiele za daleko. Drugi łucznik wypuścił swoją zaraz po nim. Ta zagrzecotała o kadłub.

– Są blisko – stwierdził Stig. Głos miał zduszony, oczy utkwiał w białym wirze wody, kipiącym wokół tarana. Hal nic nie powiedział. Gdyby zrobił zwrot zbyt wcześnie, istniało niebezpieczeństwo, że Zovac zdąży im się wymknąć i będą musieli powtórzyć wszystko od nowa. Chciał, żeby Zovac zrobił taki sam zwrot i popłynął za nim, póki nie zorientuje się, jak niesamowicie zwrotna i szybka jest „Czapla”.

Z drugiej strony, jeśli skręca za późno, „Kruk” wbije taran w kadłub „Czapli” i będzie po wszystkim.

– Ulf i Wulf, przygotujcie się! – zawołał. Mieli za zadanie odpowiednio ustawić żagle, kiedy on zacznie robić zwrot. Ulf pomachał do niego. A może Wulf. Na tę myśl uśmiechnął się do siebie, mimo powagi sytuacji.

Teraz!

Skręcił w lewo. Szoty zaskrzypiały w blokach, gdy bliźniacy wybrali żagiel. „Czapla” zareagowała momentalnie i oddaliła się od „Kruka”. Tak jak Hal miał nadzieję, Zovac próbował wykonać taki sam zwrot, by znów wycelować w nich taranem.

– Robimy zwrot! – krzyknął i skierował „Czaple” znowu w prawo. Jeden z żagli zjechał w dół, a drugi poszybował w górę. Przepłynęli tuż obok dziobu „Kruka”, przecinając mu drogę. Teraz dziób „Czapli” mierzył prosto w „Kruka”. Mierzył weń również Zadymiarz.

– Przejmij ster! – krzyknął Hal do Stiga, a kiedy ten spełnił polecenie, pobiegł na dziób i usiadł na swoim miejscu z tyłu Zadymiarza. Ingvar już czekał koło dźwigni, służącej do przesuwania maszty. Hal spojrzał przez celownik. „Kruk” znajdował się zaledwie czterdzieści metrów dalej. Wymierzył w grupę mężczyzn, stojących na dziobie, którzy odwrócili się i zapatrzyli na łódź, mknącą w ich kierunku. Przez chwilę Hal miał nadzieję, że uda mu się wycelować w Zavaca, lecz, niestety, zasłoniła go ostro wygięta w górę rufa, tak że tylko głowa wystawała. Stanowczo za mały cel.

– W lewo – polecił Ingvarowi. – Dobrze. Dobrze.

BUM!

Zadymiarz podskoczył gwałtownie. Pocisk wyleciał z kuszy i wpadł między mężczyzn,

stojących w ciasnej grupce na dziobie okrętu. Ingvar już ładował kolejny. Hal usłyszał głuchy dźwięk – Thorn przyjął na tarczę uderzenie strzały.

A potem rozległo się flik-psss. To Lydia wypuściła strzałkę z atlatlu. Jeden z łuczników padł.

Hal obrał nowy cel. Pierwszy pocisk zabił bądź zranił co najmniej czterech ludzi. Teraz postanowił wycelować w burtę, w miejsce, gdzie przymocowany był do niej takielunek.

Maszt podtrzymały trzy szoty – grube liny, przywiązane do nadburcia. Wydał rozkaz Ingvarowi, a potem obniżył celownik, nakierował go na środkową linę i zwolnił cięciwę.

BUM!

Za wysoko. Pocisk ledwie musnął cel, odbił się od nadburcia i poszybował wysoko do góry, nie czyniąc żadnej szkody.

Flik-psss! Flik-psss!

Lydia posłała kolejne dwie strzałki. I kolejnych dwóch Madziarów padło na pokład. Nagle część ich kompanów jakby straciła bojowy zapał i cofnęła się, szukając schronienia między ławkami wioślarskimi.

Hal jeszcze raz wymierzył w grubą smołowaną linę, dokładnie w miejsce wiązania.

– W prawo... jeszcze trochę... dosyć... – Zakręcił korbą. Przednia część kuszy obniżyła się, celownik znalazł się tuż poniżej bloczku, w którym tkwiła lina. Hal poczuł, jak łódź unosi się na fali i pociągnął spust. Nastąpiła sekunda przerwy, a potem...

BUM!

W tym momencie od „Kruka” dzieliło ich zaledwie dwadzieścia metrów. Zobaczył, jak pocisk trafia w nadburcie, dokładnie w tym miejscu, w które wymierzył. Odłamki drewna poleciały na wszystkie strony. Środkowa lina wyrwała się z bloczku i poleciała do góry, tworząc kształt litery S i ciągnąc za sobą kawałek drewna z rozbitego nadburcia.

Czaple zaczęły wiwatować. Ale Hal już wydawał kolejne rozkazy Stigowi. Znaleźli się niebezpiecznie blisko „Kruka”.

– Odpływamy!

Poczuł ulgę, kiedy „Czapla” skręciła i oddaliła się od czarnego okrętu. Z pokładu dobiegły ostrzegawcze okrzyki. Jesper wyciągnął rękę przed siebie i zawołał:

– Maszt znikł!

Rzeczywiście. Brak jednego z trzech szotów okazał się katastrofalny w skutkach, szczególnie że wiatr wcale nie stracił na sile. Maszt przechylił się na bok. Wtedy drugi szot pękł z głośnym trzaskiem. Drzewce osunęło się i zawisło metr nad pokładem, a potem walnęło w lewą burtę, ciągnąc za sobą żagiel i takielunek.

Pod ich ciężarem „Kruk” przechylił się gwałtownie. Madziarowie rzucili się odrąbywać liny, płótno i drzewce masztu. Na chwilę zostali unieszkodliwieni. A kiedy „Kruk” przechylił się na jedną stronę, prawa burta wynurzyła się wyżej nad powierzchnię. Stanowiła teraz doskonały cel.

Hal głosem łamiącym się z podekscytowania przekazał rozkazy Stigowi.

– Zawracaj! – krzyknął, robiąc ręką kółko w powietrzu. – Podpływamy bliżej!

Stig kiwnął głową i przesunął ster. „Czapla” zatoczyła łuk. Chłopcy zaczęli wiwatować, pokazując sobie uszkodzony czarny okręt. Hal krzyknął:

– Zamknąć się! Zamknąć się i wracać na stanowiska! Musimy ich wykończyć, zanim uprzętną bałagan.

Pospiesznie, nieco zawstydzeni, wrócili na miejsca. Stig zatoczył pełne koło, tak że „Czapla” znów wymierzyła dziobem w „Kruka”.

Hal usiadł na swoim miejscu z tyłu kuszy. Ingvar już załadował następny pocisk.

Wyszczeryli się do siebie, a Ingvar pogładził drewniane łoże kuszy.

– Nasz stary dobry Zadymiarz – mruknął.

Zavac zobaczył z pokładu „Kruka”, jak „Czapla” zatacza krąg i szykuje się do kolejnego ataku. Wydawał rozkazy ludziom, którzy odcinali splątane liny, rąbali potrzaskane deski i odsuwali na bok ciężkie zwoje płótna. „Czapla” znajdowała się w odległości stu metrów, gdy zobaczył, jak z maszyny na dziobie wylatuje kolejny pocisk. Po chwili Zavac poczuł potężne uderzenie. Pocisk wywalił dziurę w prawej burcie, poniżej linii wody. Piraci zdołali sprzątnąć potrzaskane drewno i ciężkie płótno, okręt odzyskał równowagę.

– Do wiosła! – krzyknął Zavac. – Wyciągać wiosła!

Wszyscy rzucili się do ławek. „Czapla” znajdowała się pięćdziesiąt metrów dalej. Zavac widział jej kapitana, pochylonego nad gigantyczną kuszą.

Hal zauważył, że „Kruk” już nie przechyliła się na bok. Ocenił, że nim czarny okręt ruszy dalej, zdąży wystrzelić jeszcze raz. Wzdłuż burt już pokazały się długie drzewca wiosła.

Tym razem „Czapla” skierowała się w stronę „Kruka” pod ostrzejszym kątem. Hal doskonale widział Zavaca, stojącego przy sterze.

– W lewo! W lewo! Trochę w prawo! Starczy! – krzyczał do Ingvara, ustawiając celownik. Zavac spojrział w jego stronę, na przerażającą maszynę, mierzącą prosto w niego. Rozejrzał się desperacko, ale nie miał gdzie się schować.

Flik-psss!

Najwyraźniej Lydia wpadła na ten sam pomysł. Ale strzałka chybiła dosłownie o parę centymetrów. Pierwszy oficer, stojący obok Zavaca, zachwiał się i padł. Hal uśmiechnął się ponuro. Lydia rzadko chybiała. Tym razem nie miało to jednak znaczenia. Tym razem trzymał Zavaca na celowniku. Cel znajdował się zaledwie trzydzieści metrów dalej. Hal zwolnił spust.

BAM! TRACH!

Katastrofa!

Zadymiarz odskoczył do tyłu. W tym samym momencie urwał się jeden ze skórzanych pasków i wielka maszyna przechyliła się na bok, zsunęła z platformy i walnęła o pokład. W chwili, kiedy pocisk wyleciał w powietrze, Hal wyleciał ze swego siedzenia i również spadł na deski pokładu, przygnieciony gigantyczną maszyną. Na szczęście cały ciężar Zadymiarza wsparł się na lewej burcie, która wygięła się pod siłą uderzenia. Tylko dzięki temu Hal nie został zmiażdżony i nie odniósł poważnych ran.

Ale szczęście sprzyjało mu tylko przez chwilę. Bo nagle maszyna osunęła się i przygniotła go. Dostał się w pułapkę, zakleszczony między Zadymiarzem a deskami pokładu.



ROZDZIAŁ 43



Mówią, że katastrofa to wynik serii drobnych pomyłek czy porażek, następujących tuż po sobie.

Kiedy Zadymiarz przygniótł Hala, Stig, któremu żagiel zasłaniał widok, pochylił się, by sprawdzić, co się stało. Ingvar już podnosił machinę, wołając Hala, by dał znak życia. Thorn i Lydia trzymali Hala za ramiona, gotowi wyciągnąć go, kiedy tylko Ingvar uwolni dolną część jego ciała.

Stig, zaintrygowany tym, co się dzieje na dziobie, wypuścił rumpel. I nie zauważył niespodziewanej fali, wywołanej nagłym mocniejszym powiewem.

Wiatr uderzył w nich i zaczął spychać na bok, coraz bliżej uszkodzonego okrętu Madziarów. Nagle jeden z piratów dostrzegł, że mogą to wykorzystać.

– Zahaczcie ją! – krzyknął do swoich towarzyszy, którzy rzucili się do wiosła.

A wiosła „Kruka” nie były zwyczajnymi wiosłami. Wyposażono je w pewien dodatkowy element pomysłu Zavaca: żelazny hak, wbity na końcu drzewca, kilka centymetrów nad piórem. Bardzo przydatne narzędzie w takich sytuacjach jak ta teraz. Czterech ludzi natychmiast wyciągnęło wiosła w stronę „Czapli”, zaczepiło hakami o nadburcie i zaczęło ciągnąć. Potem wsparli się na wiosłach całym ciężarem ciał, by je unieruchomić, tworząc w ten sposób prowizoryczny pomost. W mgnieniu oka wbiegło na niego czterech innych członków załogi. Ćwiczyli tę akcję wiele razy. Poruszali się bokiem, każdy z nich balansował na dwóch wiosłach jednocześnie, prędko posuwając się w stronę łodzi wrogów.

Bliźniacy pierwsi zorientowali się w sytuacji. Puścili szoty, chwycili za broń i ruszyli w stronę pirata, wchodzącego na lewą burtę „Czapli”. Ale nie musieli interweniować – niespodziewanie żagiel, poruszony powiewem wiatru, trafił go w twarz. Mężczyzna zachwiał się na pomoście z wiosła i spadł z krzykiem w spienione wody między burtami „Kruka” i „Czapli”.

Trzej następni unieśli ciężkie płótno, pchnęli Ulfa i Wulfa i zeskoczyli na pokład. Pozostali już ustawili się przy burcie „Kruka”, czekając na swoją kolej.

Stig krzyknął do Edvina, by przejął ster, choć akurat w tym momencie tak naprawdę nie było to potrzebne. Chwycił topór i tarczę, po czym z ogłuszającym wrzaskiem rzucił się na jednego z mężczyzn, którzy przyparli Ulfa i Wulfa do masztu. Mężczyzna osunął się na pokład, ale oto kolejni biegli już po pomoście z wiosła.

Hal, wreszcie wolny, podniósł się i dobył miecza, a potem razem z Thornem rzucili się na piratów.

Zrobił unik przed ciosem włóczni. Madziar momentalnie stracił równowagę i zachwiał się na pomoście z wiosła, który ugiął się pod jego ciężarem. Hal wymierzył mu prędko cios w udo. Madziar wypuścił oszczep, chwycił się za nogę i spadł do morza.

Teraz Thorn i Stig jednocześnie ruszyli na dwóch innych Madziarów, którzy właśnie zeskoczyli na pokład. Miecz Thorna zatoczył śmiertelny krąg, po czym zaatakował niczym wąż i kolejny pirat poległ. Jego towarzysz na próżno próbował zablokować małą metalową tarczą

topór Stiga, który spadł na niego z góry.

Lydia, dostrzegłszy, że trzech kolejni piraci balansują na prowizorycznym pomoście, chwyciła wiosło i podała je Ingvarowi.

– Za mną! – krzyknęła, złapała go za ramię i pociągnęła w stronę burty.

Madziarowie zawahali się. Thorn i Stig zostawili bliźniakom ostatniego, któremu udało się dostać na pokład i stanęli obok mostku z wiosł. Hal cofnął się, by zrobić im miejsce. Piraci zatrzymali się w bezpiecznej odległości, z dala od śmiertelnej broni Skandian i przez chwilę oceniali sytuację.

Nie byli jednak całkiem bezpieczni. Lydia wskazała na nich i krzyknęła do Ingvara:

– Tam! Tam są!

Potężny chłopak zmrużył oczy. Trzej Madziarowie byli dla niego tylko niewyraźnymi plamami. Ale skoro Lydia powiedziała, że to wrogowie, niczego więcej nie musiał wiedzieć. Ze straszliwym okrzykiem zamachnął się wiosłem i walnął w piratów, którzy stracili równowagę. Jeden spadł na pokład „Kruka” z połamanymi żebrami, pozostali dwaj do morza. Jeden wychylił się na chwilę, łapiąc powietrze i młócąc wodę rękami, ale ciężka kolczuga i tarcza wciągnęły go pod powierzchnię.

Ingvar zapytał Lydii:

– Jeszcze?

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Chyba załatwiłeś wszystkich.

Stig nadal wymachiwał toporem. Czterema ciosami, zadanymi jeden po drugim, porąbał wiosła, łączące „Kruka” z „Czaplą”. Lydia wzięła wiosło, wsparła je o kadłub „Kruka”, a koniec drzewca włożyła w ręce Ingvara.

– Odepchnij! – krzyknęła. Ingvar wsparł się całym ciężarem ciała na wiosło – Lydia pomagała w miarę swych skromnych możliwości – i pchnął, aż „Czapla” oddaliła się od czarnego okrętu.

– Podnieście żagiel! – krzyknął Hal, gdy odległość między nimi się zwiększyła. Ulf i Wulf rzucili broń na pokład i pobiegli do szotów. Wybrali je i żagiel wydał się na wietrze. „Czapla” szybko oddalała się od „Kruka”. Edvin bacznie śledził sytuację i przesunął odpowiednio ster, tak by „Czapla” nie uderzyła rufą w swego przeciwnika. Jeden z Madziarów wszedł na nadburcie i zamierzył się włócznią. Ale nim zdążył ją rzucić, jedna ze strzałek Lydii trafiła go w bok i z cichym jękiem padł na pokład.

Nabrali prędkości i zostawili „Kruka” daleko za sobą. Hal schował miecz i obejrzał się za siebie. Wiosła wzdłuż obu burt „Kruka” pracowały, choć ubył czterech członków załogi. Zaważka kazał dwóm wiosłarzom przesiąść się na prawą stronę, by wyrównać dysproporcje. Wiosła wznosiły się i opadały rytmicznie niczym skrzydła ptaka. Czarny okręt pomknął za „Czaplą”.

Ingvar i Lydia zaczęli sprzątać, przywiązali Zadymiarza, by nie majtał się po pokładzie i nie narobił kolejnych szkód. Ingvar spojrzał ze smutkiem na rozbitą machinę.

– Bardzo źle to wygląda? – zapytał.

Lydia poklepała go po ramieniu.

– Hal go naprawi – odparła.

Ingvar potrząsnął głową.

– Ale nie dzisiaj.

Hal, Thorn i Stig, którzy zebrali się na rufie – Hal znów przejął ster – właśnie dyskutowali, co zrobić w tej sytuacji. Edvin, który z ulgą oddał mu obowiązki sternika, opatrywał Wulfa, rannego w łydkę.

– Zadymiarz jest do niczego – stwierdził Hal. – Więcej nie postrzelamy. Musimy walczyć

z nimi bezpośrednio.

Stig uśmiechnął się ponuro.

– Ale i tak zdążyliśmy porządnie ich uszkodzić – stwierdził. – Pokonamy piratów w taki czy inny sposób.

– Nadal mają nad nami przewagę liczebną – zauważył Thorn. – Jak chcesz do nich podpłynąć, kiedy nie mamy Zadymiarza do pomocy?

Hal popatrzył na niego, potem jeszcze raz za siebie. „Kruk” gonił ich, przecinając łuk, który przed chwilą zatoczyli. Pchany siłą wioseł, nabrał prędkości i zwrotności, na krótkim odcinku mógł niemal dorównać „Czapli”. Hal wyraźnie widział sylwetkę Zavaca, stojącego u steru.

– Zrobimy tak, by mu się zdawało, że to jego pomysł – powiedział.

Jeszcze raz sprawdził pozycję „Kruka”. Piracki okręt wyraźnie zamierzał przeciąć im drogę. Na razie powoli ich doganiał, ale Hal wiedział, że kiedy wioślarze się zmęczą, może się to zmienić.

– Ulf! Wulf! – krzyknął. – Luzujcie żagle, ale powoli, stopniowo. Chcę zwolnić, ale tak, by Zavac nie zorientował się, że to specjalnie.

Bliźniacy pomachali na znak, że zrozumieli. Bardzo powoli zaczęli luzować szoty. Hal poczuł, że łódź wytraca prędkość.

– Starczy! – zawołał. – Tak trzymajcie.

Znów spojrzął na „Kruka”. Był teraz bliżej. Zavac, nauczony doświadczeniem, skierował okręt tak, by przeciął on trasę „Czapli”.

Hal już miał plan, jak dodatkowo osłabić piracki okręt. Wymagało to doskonałej koordynacji ze strony jego samego, Stefana, Jespera i bliźniaków. Ale byli w jednej załodze od kilku miesięcy, zdążyli się zgrać. Hal był pewien, że jego plan się uda.

Na ich korzyść działało kilka czynników. Zavac przeważnie atakował powolne statki kupieckie. Poza jednym spotkaniem koło Limmat nie miał okazji poznać możliwości „Czapli”. A w dzisiejszej bitwie do tej pory główną rolę odegrała niszcząca siła Zadymiarza, nie szybkość i zwrotność, cechujące ich łódź.

Drugim czynnikiem, który mógł okazać się dla nich korzystny, był fakt, że Zavac, podobnie jak większość kapitanów, pływających na okrętach wyposażonych w prostokątny żagiel, wolał przy zmianie kierunku robić zwrot przez rufę, nie przez sztag. Zwrot przez rufę trwał dłużej, zwrot przez sztag, czyli przecięcie linii wiatru dziobem, krócej, ale też wiązał się z większym ryzykiem. Hal nie przypuszczał, żeby Zavac wybrał tę drugą opcję.

A to mogło oznaczać jego zgubę.



ROZDZIAŁ 44



„Kruk” powoli ich doganiał. Hal obserwował go, mrużąc oczy, i liczył uderzenia wiosel, walących w powierzchnię wody.

– Tym razem nie oszukują – stwierdził. – Płyną najszybciej, jak potrafią.

Piraci, kiedy zamierzali staranować jakiś statek, często podpływali do niego, nie rozwijając pełnej prędkości, by w ostatniej chwili, gdy już znalazł się w odległości trzydziestu-czterdziestu metrów, nagle przyspieszył. Zamac jednak tym razem nie uciekł się do takiego podstępu. Utrzymał maksymalną prędkość, wioslarze dawali z siebie wszystko. Hal widział ich teraz wyraźnie. Na miejscu dwóch wiosel, które zniszczył Stig, po – jawiły się nowe. Widocznie Zamac trzymał na pokładzie zapasowe.

– Jaki masz plan? – zapytał Thorn. Hal oblizał wargi i jeszcze raz spojrzął na czarny okręt, ocenił jego prędkość i obliczył, ile czasu zostało do chwili, gdy „Kruk” ich dogoni. Zerknął na wskaźnik wiatru. Wiatr nadal wiał prosto w prawą burtę.

– Udam, że skręcam w lewo – odparł. – Chcę, żeby Zamac pomyślał, że zamierzam zrobić zwrot przez rufę.

– A dlaczego sądzisz, że tak pomyśli? – spytał Thorn, marszcząc brwi.

– Bo każdy by tak pomyślał. Jeśli będziemy mieć szczęście, wykona taki sam zwrot.

Zwrot przez rufę polegał na przecięciu linii wiatru rufą, tak że wiatr przez cały czas wiał od tyłu. Ten sposób preferowano w przypadku okrętów, wyposażonych w prostokątny żagiel. Żaden rozsądny kapitan takiego okrętu nie przeciąłby linii wiatru dziobem, ponieważ wtedy na żagiel, takielunek i maszt działałaby zbyt wielka siła. W najlepszym przypadku okręt zatrzymałby się w trakcie robienia zwrotu. W najgorszym mógłby stracić maszt.

Ale „Czapla” dzięki swoim trójkątnym żaglom i smukłej budowie potrafiła z łatwością wykonać taki manewr. Hal liczył na to, że w ferworze walki Zamac o tym nie pomyśli.

– Na pewno nie spodziewa się, że zrobimy zwrot przez sztag – powiedział. – Zaskoczmy go.

„Przynajmniej taką mam nadzieję”, dodał w myślach.

– Przygotujcie broń – polecił. Lydia już czekała na dziobie, wspierając się jedną ręką o forsztag. Kiedy ją zawołał, odwróciła się z pytającą miną.

– Podpłyniemy bardzo blisko, od ich prawej burty – powiedział. – Zrób, co w twojej mocy.

Skinęła głową i sprawdziła strzałki w kołczanie. Zostało jeszcze dziewięć. Hal już miał krzyknąć do Jespera, Stefana i bliźniaków, żeby przygotowali się do szybkiej akcji, ale uznał, że to niepotrzebne. Wiedział, że są gotowi. Czekali w napięciu na stanowiskach, nie odrywając wzroku od czarnego okrętu, który zbliżał się do nich od tyłu.

Wiosła biły o wodę, aż piana pryskała. Złowrogi taran był coraz bliżej.

Hal przesunął rumpel i „Czapla” zaczęła skręcać w lewo. Spojrzął przez ramię. „Kruk” zawahał się, a potem również zaczął skręcać, by przeciąć „Czapli” drogę.

„Teraz”, pomyślał.

– Robimy zwrot! – krzyknął i zdecydowanym ruchem przesunął rumpel w drugą stronę. „Czapla” skręciła łagodnie w przeciwnym kierunku. Jesper i Stefan opuścili lewą rejkę i żagiel. Oba żagle były połączone blokiem, tak że kiedy jeden zjeżdżał w dół, drugi się podnosił.

„Czapla” przecięła linię wiatru, weszła na nowy kurs i pomknęła w stronę „Kruka”.

Wszystko to wydarzyło się bardzo szybko i kompletnie zaskoczyło piratów. Zавac mógłby uratować sytuację, gdyby kazał wioślarzom po jednej stronie wiosłować w przód, a tym po drugiej w tył, choć wówczas „Kruk” wyhamowałby, na chwilę niemal by się zatrzymał. W zamieszaniu Zавac, nie tracąc czasu na wydawanie koniecznych rozkazów, zareagował instynktownie: przesunął ster, kierując „Kruka” w prawo.

Teraz „Kruk” i „Czapla” płynęły zwrócone dziobami do siebie, równoległym kursem. Zавac próbował skręcić i zaatakować Skandian taranem, ale „Czapla” znów mu umknęła i znów ustawiła się równolegle do niego. Jeden z piratów padł, trafiony strzałą z atlatlu Lydii. Pozostali przywarli do burt i pochowali głowy. „Kruk” i „Czapla” miały minąć się w odległości około dziesięciu metrów.

Tylko że w ostatniej chwili Hal przekręcił ster i skierował dziób swej łodzi w stronę kadłuba pirackiego okrętu, mierząc w punkt kilka metrów od dziobu.

– Tak trzymajcie! – krzyknął, po czym znów ustawił „Czapkę” równolegle do „Kruka”, z tym że teraz odległość między nimi wynosiła zaledwie kilka metrów. Było to tak niespodziewane, że madziarscy wioślarze nie zdążyli zareagować. Dziób „Czapli” niczym gigantyczne ostrze otarł się o prawą burtę, miażdżąc wiosła, które uderzały wioślarzy z taką siłą, że wylatywali z ławek.

Powietrze wypełniło się krzykami rannych i trzaskiem drewna.

A potem „Czapla” oddaliła się nieco i jeszcze raz ustawiła się pod wiatr.

Na pokładzie czarnego okrętu zapanował chaos. „Kruk” mógł tylko dryfować bezradnie. Z niemal wszystkich wiosłach po stronie sterburty zostały tylko drzazgi. Powoli Madziarowie dochodzili do siebie. Czterech już nie podniosło się z pokładu: dwaj zwijali się z bólu, dwaj stracili przytomność.

Jeden z piratów wstał, oszołomiony, potrząsnął głową, podniósł wzrok i zamarł w przerażeniu. Okazało się bowiem, że skandyjska łódź znowu zatoczyła koło i znowu zbliża się do nich, tym razem od strony rufy. Dojrzał, że na dziobie czekają dwaj wojownicy, którzy podczas próby abordażu stali na pierwszej linii obrony: potargany starszy mężczyzna i barczysty młodzieniec, uzbrojony w topór.

– Uwaga! Wracają! – krzyknął, dosłownie na ułamek sekundy przedtem, jak dziób „Czapli” – najmocniejsza część jej kadłuba – walnął w burtę „Kruka” – odpowiednio, jego najsłabszą część.

Trzy klepki wgniotły się z głuchym trzaskiem. Siła uderzenia zwała Madziarów z nóg.

Stig i Thorn rzucili się na nich, wydając dzikie wojenne okrzyki. Walili w każdego, kto próbował stawiać opór, dosłownie wyrąbywali sobie drogę między zdezorientowanymi piratami. Za nimi kroczyli Ulf i Wulf, również wrzeszcząc co sił w płucach i wymachując toporami, które świszczą złowrogo, młóćąc powietrze, i miażdżyły tarcze przeciwników. Piraci padali na wszystkie strony niczym szmaciane laleczki.

Stefan, Edvin i Jesper zaczęli drapacze o burtę „Kruka”, po czym przeskoczyli na pokład, dołączając do prowadzących atak towarzyszy. Lydia przyglądała się przez chwilę, jak spychają piratów coraz dalej w stronę dziobu. Potem zawołała do Ingvara, który czekał w gotowości, dzierżąc w ręku wielki topór:

– Twoja kolej!

Wzięła go za rękę, a on niezgrabnie przelazł na pokład pirackiego okrętu. Rozejrzął się dokoła, zebrał w sobie i zaczął walić toporem w deski pokładu. Dokoła jego stóp pokazała się woda. Następnie jego ofiarą padła gródź wodoszczelna – miała ona za zadanie utrzymywać okręt na powierzchni w razie, gdyby zaczął nabierać wody. Kilka konkretnych ciosów toporem załatwiło sprawę. Gdyby teraz „Kruk” nabrał wody, od razu by zatonął. Lydia, zadowolona, że Ingvar tak świetnie się spisuje, przeszła na dziób „Czapli” i zaczęła szukać wzrokiem celu. Znow rozległo się śmiercionośne flik-psss! i Madziarowie zaczęli padać jeden po drugim.

Jeden z Madziarów, walczący z Ulfem, przyjął cios jego topora na tarczę, po czym ciął go mieczem w ramię. Ulf zatoczył się do tyłu. Ze złością spojrzął na płytką ranę. Nim zdążył się zrewanżować, Wulf z wściekłością rzucił się na pirata, wymachując toporem. Madziar znow sparował cios i znow machnął mieczem, który trafił Wulfa dokładnie w tym samym miejscu, co jego brata. Trysnęła krew. Bliźniacy utkwili w piracie wściekle spojrzenia. Nagle Thorn walnął go w głowę, hełm pękł, a mężczyzna osunął się na pokład.

– Może wreszcie weźmiecie się do roboty? – rzucił szorstko i bliźniacy wrócili do walki, krwawiąc po równo z bliźniaczych ran.

Hal odczekał, aż Czaple zagonią Madziarów na dziób, a potem wdrapał się na nadburcie i zeskoczył na pokład „Kruka”, ledwo unikając bliskiego spotkania z rozszalałym Ingvarem, który zapamiętał się w swej roli.

– Uważaj! – krzyknął i kucnął, kiedy gigantyczny topór świsnął mu tuż koło ucha.

– Wybacz – mruknął Ingvar. Zdążył zauważyć, że czarne czapki, które nosili wszyscy członkowie drużyny, są bardzo pomocne w bitwie. Dzięki nim potrafił odróżnić swoich od wroga i nie atakował przyjaciół. Ale niestety, niewiele mogły pomóc, kiedy ktoś znajdował się za jego plecami, tak jak przed chwilą Hal.

Hal potrząsnął głową i pobiegł przed siebie, szukając wzrokiem wejścia do kajuty Zavaca. Otworzył klapę i wśliznął się do środka. Pomieszczenie było tak niskie, że nie dało się wyprostować pleców, mogło mieć najwyżej jakieś półtora metra. Woda sięgała mu już do kostek, jej poziom rósł z każdą minutą. „Dzieło Ingvara”, pomyślał.

Ruszył dalej, schylony i przelazł przez pryczę, pamiętając, co mówił oficer. Szmaragdy leżały w specjalnym schowku, nie miał czasu teraz ich szukać. Ale Andomal – wielka kula z żółtego szkła, jak opisał go oficer – znajdował się na widoku. Przez środek pomieszczenia biegła drewniana ścianka. Kiedy oczy Hala przyzwyczaiły się do półmroku, zobaczył rząd półek we wnęce, umieszczonych pod kątem, tak by leżące na nich przedmioty nie spadały przy każdym gwałtowniejszym ruchu okrętu. Zobaczył niewielką szkatułkę i trochę ubrań. Kiedy zajrzał do trzeciej dziupli, serce podskoczyło mu w piersi. Leżał tam duży skórzany worek. Hal sięgnął do środka i wyjął go. Drżącymi palcami rozwiązał rzemyk.

Andomal zajaśniał przed jego oczami ciepłym głębokim blaskiem, pochwycił stłumione światło – choć Hal miał wrażenie, że tak naprawdę dobywa się ono z wnętrza bursztynu. Zawiązał worek z powrotem i przyczepił sobie do pasa. Przez ten czas poziom wody wzrósł o kilka centymetrów. Nagle zauważył też, że okręt przechylił się mocno w prawo. „Czas stąd zmykać”, pomyślał. Odwrócił się do wyjścia.

W tym samym momencie do środka wśliznął się jakiś człowiek. W zębach trzymał długi sztylet.

Był to Zavac.

ROZDZIAŁ 45



Zavac, który przez cały czas trzymał się z tyłu, gdy Skandianie spychali jego ludzi coraz dalej na dziób, zauważył, jak Hal przebiegł przez pokład i schował się między ławkami.

Od razu domyślił się, czego szuka młody Skandianin. Pamiętał, że on i jego towarzysze słyszeli, jak człowiek Mihalya opisywał miejsce, w którym znalazł szmaragdy. Przy okazji wspomniął wtedy również o „dużej kuli z żółtego szkła”.

Zavaca ogarnęła wściekłość. Przeklęty smarkacz i ten jego koleżka, jednoręki obwieś. Co i rusz wchodzili mu w drogę. To przez nich przegrał w Limmat. To oni przyszli na pomoc wilczemu okrętowi, który zaatakował, uciekając z miasta. I przez nich stracił połowę szmaragdów.

A teraz zniszczyli jego okręt. Nie miał co do tego wątpliwości. Tamten wielkolud jak obłąkaniec walił swoim wielkim toporem dokoła, podziurawił deski poszycia i zniszczył gródź wodoszczelną. Zavac wiedział, że to koniec „Kruka”.

A teraz ten przeklęty chłopak – Zavac próbował przypomnieć sobie jego imię – Hal, tak, Hal poszedł do jego kajuty, by zabrać z niej największy skarb Skandian i wrócić do domu w blasku chwały.

Zavac warknął gniewnie. Potem rozejrzał się dokoła. Jego ludziom szło stanowczo nie najlepiej. Niektórzy nawet skakali do wody i dryfowali, czepiając się kawałków wiosł czy desek, z nadzieją, że przyplynie im z pomocą stojący opodal barkas. Pokład był zasłany ciałami martwych i rannych – wszyscy należeli do jego załogi. Wiedział, że to tylko kwestia minut, reszta za chwilę się podda.

Oczy zasnuła mu czerwona mgła. Rozejrzał się dokoła i stwierdził, że wszyscy Skandianie są zajęci. Przemknął do lewej burty i przykucnął między ławkami. Niczym wąż niezauważenie przeczołgał się w stronę rufy. Kiedy dotarł do kłapy, stanowiącej wejście do kajuty, wyjął długi sztylet, wsadził go sobie między zęby i wśliznął się do środka. Na jego twarzy malował się wściekły obłąkańczy uśmiech.



– Ty! – krzyknął Hal na widok Madziara. Zavac wyjął sztylet spomiędzy zębów. Uśmiechnął się okrutnie, gdy Hal zaczął szukać saksy. Niestety, w tej pozycji nie mógł do niej sięgnąć.

Wtedy Zavac rzucił się do przodu, mierząc ostrzem w jego gardło.

Hal, unieruchomiony w ciasnej przestrzeni, przygniety ciałem Zavaca, znalazł się w pułapce. Rozpaczliwie próbował dosięgnąć dłoni, trzymającą sztylet. W końcu zdołał chwycić Zavaca za nadgarstek. Ale worek z Andomalem, który przywiązał sobie do ręki, zakołysał się przy tym i uderzył go w czoło. Pociemniało mu w oczach. Poczuł, jak ostrze zbliża się do jego gardła, gdy Zavac przycisnął się do niego całym ciężarem ciała.

Wolną ręką trzymając Madziara za nadgarstek, zdołał odsunąć sztylet na kilka centymetrów. Ale teraz Zavac położył na rękojeści również lewą dłoń.

Powoli, powoli ostrze coraz bardziej się zbliżało. Hal walczył desperacko, próbując odepchnąć Zavaca. Ten jednak był cięższy i mocniej zbudowany, a w tym małym pomieszczeniu liczyła się tylko siła i ciężar. Hal usłyszał chłopotanie wody – wlewała się przez potężne dziury, które wywalił Ingvar w poszyciu okrętu.

„Jeśli zaraz się stąd nie wydostanę, utonę”, pomyślał. A potem zachichotał, bo uświadomił sobie, że przecież już wcześniej będzie martwy.

Twarz Zavaca znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy. Czuł gorący oddech na policzkach.

– Bawi cię to, tak? – warknął Zavac. – Już nie żyjesz, wieprzu.

I nagle zadał cios, wkładając w to wszystkie swoje siły. Hal zdołał tylko przesunąć się nieco w bok. Sztylet drasnął go w szyję. Z rany popłynęła gorąca krew.

Dziwne, ale w ogóle nie czuł bólu. Ostrze sztyletu utkwilo w podłódze, Zavac szarpał się, próbując je wyciągnąć.

Hal jak przez mgłę usłyszał czyjeś krzyki, potem Stig zawołał, że się wycofują. Okręt poruszył się gwałtownie i przechylił jeszcze mocniej. Dzięki temu Zavac mimowolnie zmienił pozycję i Hal obrócił się na bok. Tymczasem jednak Zavac wyrwał nóż i zaatakował jeszcze raz. Hal znowu chwycił go za rękę obiema dłońmi i próbował odepchnąć ostrze – na próżno.

Zavac znów przycisnął go całym ciężarem ciała i śmiertelny pojedynek zaczął się na nowo. Zavac pchał sztylet z całej siły, a Hal z całej siły próbował go powstrzymać.

Tym razem jednak stwierdził, już na granicy przytomności, że mu się nie uda. Tym razem Zavac wbije mu sztylet w gardło. Zebrał wszystkie siły, jeszcze raz spróbował go odepchnąć. Bez skutku. Sztylet ani drgnął. A potem zaczął powoli zjeżdżać w dół. Hal słyszał, jak Zavac jęczy z wysiłku, czuł jego oddech na twarzy i wiedział, że to koniec. Nic więcej nie mógł zrobić.

„Nie chcę umrzeć tu w ciemnościach”, pomyślał. Zdawało mu się, że śmierć byłaby lżejsza, gdyby w chwili jej nadejścia mógł widzieć słońce.

I nagle w jego polu widzenia znalazł się jakiś osobliwy przedmiot. Kawałek wypolerowanego drewna, podwójny hak, tworzący jednocześnie szczypcę. Wyglądało to dziwnie znajomo. Szczypcę otworzyły się niczym szpony i zaraz zamknęły z powrotem – na dłoni Zavaca, trzymającej sztylet. Madziar zrobił zdziwioną minę i podniósł wzrok. Przestał napierać na Hala całym ciężarem ciała. Hal odetchnął. A potem zza ramienia Zavaca wychynęła brodata twarz Thorny, który chwycił rzynek przy protezie i zawiązał go ciasno dokoła nadgarstka Madziara.

– Jak miło znów cię widzieć – powiedział.

A potem ścisnął szczypcę trochę mocniej. I jeszcze mocniej. I jeszcze odrobinę.

Zavac wrzasnął boleśnie, gdy szczypcę ścisnęły jego nadgarstek niczym imadło. Drobne kości zaczęły trzaskać. Thorn nie ustępował. Sztylet wysunął się z dłoni Zavaca i wpadł z pluskiem do wody, zalewającej podłogę. Madziar odrzucił głowę do tyłu i znów wrzasnął z bólu.

Thorn odepchnął go na bok, uwalniając Hala z pułapki.

– Uciekaj stąd – powiedział i Hal niezgrabnie zaczął przesuwając się na plecach w stronę klapy, z trudem torując sobie drogę przez ciasne pomieszczenie. W końcu wylazł na pokład. I aż drgnął, zaskoczony. „Kruk” już w jakichś dwóch trzecich znajdował się pod powierzchnią wody, jeszcze tylko rufa wystawała nad powierzchnię – mocno przechylona w prawo.

Hal podniósł się z trudem. Na pokładzie nie było nikogo. Ludzie Zavaca albo opuścili okręt, albo leżeli martwi bądź ranni. Towarzysze Hala stali już bezpiecznie na pokładzie

„Czapli”, wołając do niego. Pochylił się i wsparł na wiosła, by odzyskać oddech. Nagle Stig przeskoczył na pokład „Kruka” i ruszył w jego stronę, chwycił go pod ramiona i pociągnął za sobą. Hal zaczął stawiać opór.

– Thorn tam został!

– Poradzi sobie – odparł Stig i znów zaczął ciągnąć Hala, częściowo niosąc go, do burty, przy której czekała „Czapla”. Pomocne ręce wyciągnęły się w ich stronę. Skórzana torba objęła się o bok Hala. „Krukiem” znów szarpnęło gwałtownie.

– Thorn! – krzyknął desperacko.

A Thorn właśnie uśmiechał się do Zavaca, patrząc na jego twarz, wściekłą i wykrzywioną z bólu. Lewą ręką zaczął odwiązywać pasek, którym proteza była przymocowana do ramienia.

– Chciałeś zasztyletować chłopaka? – rzucił takim tonem, jakby prowadził uprzejmą konwersację. Jednocześnie wysunął prawe ramię ze skórzanej kieszonki na końcu protezy. Szczypcy nadal zaciskały się wokół nadgarstka Zavaca, który wił się z bólu. Thorn dostrzegł ramię w kształcie litery V w dnie okrętu. Chwycił nadgarstek Madziara lewą ręką i wykręcił, jednocześnie wsuwając jego rękę w wąski otwór. Potem odgiął protezę, tak że zaklinowała się w ramie. Zavac był w pułapce.

– Dobry kapitan zawsze idzie na dno ze swoim okrętem. Nigdy nie jest za późno, ty też masz jeszcze szansę zostać dobrym kapitanem – powiedział Thorn. A potem wyczołgał się z kajuty i pobiegł przez pokład, już bardzo mocno przechylony na prawą stronę.

– Odetnijcie liny! – krzyknął, przeskakując na pokład „Czapli”. Ulf przeciął toporem liny, którymi związali „Czapkę” z „Krukiem”. Ich łodzią, nagle uwolnioną od ciężaru tonącego okrętu, szarpnęło do tyłu.

Zaczęli dryfować. Rufa „Kruka” wystawała nad wodą jeszcze przez jakąś minutę czy dwie, unoszona przez zebrane pod spodem powietrze.

Na powierzchni ukazała się wielka bańka. Czarny okręt zaczął tonąć. Usłyszeli jeszcze jeden przeciągły krzyk, który najpierw przybrał na sile, po czym nagle się urwał.

A potem po „Kruku” już nic nie zostało.

– No to pa – powiedziała Lydia z kamienną twarzą.

ROZDZIAŁ 46



Oberjarl Erak każdego ranka udawał się do portu i patrzył na morze. Po jakichś piętnastu minutach wracał do Wielkiej Hali. Oczywiście, ludzie zwrócili uwagę na ten nowy zwyczaj, nikt jednak tego nie komentował. No, za wyjątkiem Svengala, jego starego przyjaciela.

– O co chodzi z tymi porannymi spacerkami, wodzu? – zapytał któregoś dnia i uśmiechnął się od ucha do ucha.

Erak udał, że nie widzi tego komicznego grymasu, wykrzywającego pospolitą twarz Svengala, i odparł szorstko:

– Potrzebuję ruchu. Przybieram na wadze, spaceruje dobrze mi robią.

– W takim razie – naciskał Svengal – dlaczego nie chodzisz w góry? To znacznie lepsze ćwiczenie. Pobudza krążenie. Zmusza mięśnie nóg do wysiłku. Nawet nie zauważysz, kiedy oponka zniknie.

Oberjarl popatrzył na niego w milczeniu, a potem odparł:

– Wolę widok na morze.

Svengal kiwnął głową. Doskonale wiedział, dlaczego Erak każdego ranka chodzi do portu.

A tego dnia postanowił mu towarzyszyć. Minęli skutnię Andersa. Poprzedniego dnia zakończyła się w niej naprawa „Wilczego Wichru”. Kiedy Zovac staranował okręt podczas ucieczki z Limmat, Svengal prowizorycznie załatał dziury i popłynął do domu, na miejscu zaś oddał okręt w ręce profesjonalisty.

– „Wilczy Wicher” dobrze wygląda – rzucił Svengal. – Właściwie nie widać, w którym miejscu wałnął taran.

Erak prychnął.

– Na dziobie jest paskudnie wgnieciona klepka. Zamalowali ją tylko.

Svengal uniósł brew.

– Yhm. Niechętnie o tym wspominał, ale to się stało dwa lata temu, kiedy przywaliłeś w keję.

Erak spojrzał na niego.

– Ja nie wałę w keję – powiedział. Svengal wzruszył ramionami.

– Jasne, że nie. Pomyliło mi się. To keja przywaliła w okręt. Teraz mi się przypomniało, normalnie zeskoczyła z palowania i brutalnie was zaatakowała. Straszne są te keje. W ogóle nie można im ufać.

– Czy ty czasami przymykasz gębę? – spytał Erak.

Svengal przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Zdarza się – stwierdził i wyszczerzył się szeroko.

Erak prychnął.

– Nigdy bym nie przypuszczał.

Ruszyli kamiennym molo w stronę wejścia do portu. Erak przystanął, wsparł się na

sięgającym mu pasa polerze i zapatrzył się na morze, przesuając wzrokiem z lewej strony w prawą. Na wodzie unosiło się kilka niewielkich łodzi rybackich, prawdopodobnie zmierzały w stronę Ławicy Lokiego. W stronę portu płynął statek kupiecki, ciężki od towarów. I to wszystko.

Erak westchnął bezwiednie. Svengal położył mu rękę na ramieniu.

– Którego dnia wrócą – powiedział. Jego głos tym razem nie brzmiał żartobliwie. Erak zrobił zdumioną minę.

– O kim ty mówisz? – zapytał.

Svengal kiwnął głową, jakby chciał przyznać, że popełnił błąd.

– Nie mam pojęcia.

Przez kolejnych dziesięć minut wpatrywali się w ocean, a potem Erak odwrócił się i ruszył z powrotem do Wielkiej Hali. A Svengal za nim. Nagle, kiedy dotarli do wejścia na molo, z wieży strażniczej rozległ się okrzyk:

– Żagiel na południowym wschodzie!

Erak przystanął i słuchał uważnie, nadal odwrócony twarzą w stronę ładu. Dowódca straży krzyknął do młodego żołnierza na wieży:

– Jakieś konkrety poproszę. Co to jest?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem młodzieniec odpowiedział z wyraźnym zdumieniem:

– Nie... jestem pewien. Wygląda jakoś... dziwnie. Żagiel jest jakby... no... trójkątny.

Erak i Svengal odwrócili się powoli i ruszyli z powrotem, stawiając kroki coraz szybciej i szybciej. Gdy dotarli do krańca molo, okręt było już widać nie tylko z wieży.

Był niewielki, wyposażony w trójkątny żagiel, przypominający skrzydło ptaka. Poruszał się z dużą prędkością, zdawał się wręcz frunąć. U dziobu wznosiły się pióropusze spienionej wody. Po chwili zobaczyli czarną flagę, ozdobioną białą sylwetką czapli. Nie było najmniejszych wątpliwości. Erak chwycił jednego ze strażników za ramię.

– Biegnij co sił w nogach i powiedz Karinie żonie Mikkela, że jej syn wrócił. A potem rozgłoś po całym mieście: „Czapla” właśnie wpływa do portu Hallasholm.

Młody człowiek natychmiast pobiegł w kierunku zabudowań. Ciężkie buty zabiły o kamienne molo. Erak i Svengal, przysłaniając oczy, patrzyli, jak łódź wykonuje płynny zwrot. Jeden z żagli zjechał w dół, a drugi pojechał w górę. Potem „Czapla” skierowała się prosto do wejścia do portu.

– Dobry jest – mruknął Erak.

Svengal spojrzał na niego.

– Nawet lepszy.

Erak nie od razu odpowiedział. Nadal nie odrywał wzroku od łodzi, wracającej do rodzimego portu. W końcu kiwnął głową. Po chwili stwierdził:

– Cieszę się, że „Wilczy Wicher” nadal stoi w szkodni. Nie chciałbym, żeby znów doznał uszkodzeń.

Wieści szybko rozeszły się pod mieście i na nabrzeże zaczęły ściągać tłumy. Erak powiódł dokoła wzrokiem i zobaczył, że Karina, matka Hala, próbuje przebić się przez ciżbę. Spojrzał surowo na ludzi, którzy nieświadomie blokowali przejście drobnej kobiecie.

– Przepuście Karinę albo każę przynieść mój topór – ostrzegł. Tłum natychmiast się rozstał. Karina, zdyszana, bo biegła przez całą drogę z jadłodajni, zapytała:

– To naprawdę oni?

Erak wskazał na łódź, która zbliżała się do portu.

– Znasz kogoś innego, kto potrafi tak sterować łodzią? Łzy napłynęły jej do oczu. Otarła je rogiem fartucha.

Erak taktownie odwrócił się w drugą stronę. A potem ktoś zaczął wiwatować, a pozostali szybko do niego dołączyli. Cały port rozbrzmiał wesołymi okrzykami, a przerażone mewy zerwały się do lotu i uniosły nad głowami ludzi, skrzecząc na nich gniewnie.

Przybyli rodzice pozostałych chłopców, jako pierwsza – matka Stiga. Tym razem tłum rozsądnie rozstąpił się przed nimi. Ustawili się w pierwszym rzędzie, popatrzyli na siebie z uśmiechem, a potem utkwili spojrzenia w zbliżającą się łódź.

„Czapla” niczym strzała wpadła przez wejście do portu, wciąż z postawionym żaglem. Wiwaty umilkły, bo wszyscy wstrzymali oddech, pewni, że łódź za chwilę rozbije się o kamienne molo. Ale nagle wykonała zgrabny zwrot i ustawiła się pod wiatr. Żagiel zjechał w dół. Po kilku metrach łódź zatrzymała się, kołysana falami własnego kilwateru.

Wszyscy naraz wydali westchnienie ulgi.

Lekki wiatr spychał „Czapłę” w stronę nabrzeża, gdzie zawsze cumował okręt Eraka.

– Bezcelny smarkacz – mruknął oberjarl, gdy łódź się zatrzymała.

Potem podszedł na skraj molo i spojrzał w dół. Pierwszą osobą, którą zobaczył, był niesławny Thorn. Wyglądał tak samo niechlujnie jak zwykle. W dodatku zgubił protezę. Wyszczерzył się szeroko. Erak udawał, że go nie widzi. Pomyślał, że Thorn za nic nie ma wyczucia sytuacji.

Potem Hal unieruchomił rumpel i wskoczył na reling. W rękę trzymał skórzany worek. Podniósł go wysoko i zawołał głośno i wyraźnie:

– Oberjarlu! Przywieźliśmy Andoma!

Erak popatrzył w niebo, a potem na młode twarze członków drużyny Czapli. Trochę pozuł brodę, poprawił pas.

– Aha – powiedział. – No to wyskakujcie.



EPILOG



Choć Hallasholm zasłużyło się w dziejach wieloma wspaniałymi imprezami, uroczystości z okazji powrotu „Czapli” miały na długo zapisać się pamięci mieszkańców miasta.

Lydia nie wróciła do Limmat. Kiedy Hal jeszcze na morzu zaproponował, że odwiozą ją do domu, uśmiechnęła się krzywo i potrząsnęła głową.

– Barat raczej nie byłby zachwycony. W końcu zostawiłam go i związałam – odparła, po czym zarumieniła się lekko i dodała: – Poza tym ukradłam prawdziwą fortunę.

– W takim razie płyn z nami do Hallasholm. Należysz teraz do drużyny. – Wszystkie Czaple zareagowały bardzo entuzjastycznie i zaczęły zapewniać Lydię, że jest mile widziana w Hallasholm.

– Myślicie, że polubię to miejsce?

Hal uśmiechnął się.

– Wydaje mi się, że tak. A to miejsce z pewnością pokocha ciebie.

I rzeczywiście tak się stało. Matka Hala, wiedząc z doświadczenia, jak trudne bywa życie cudzoziemki w nowym miejscu, natychmiast wzięła pod swoje skrzydła smukłą dziewczę o oliwkowej skórze. Kiedy Erak oznajmił, że z okazji powrotu drużyny odbędzie się wielka uczta, Lydia zareagowała w sposób zupełnie do niej niepodobny.

– Impreza? Ale ja nie mam co na siebie włożyć!

Chłopcy popatrzyli na siebie ze zdumieniem. Z tej strony jej nie znali. Karina jednak poklepała Lydię po rękę i powiedziała uspokajająco:

– Nie martw się. Mam dla ciebie coś odpowiedniego. Powinno pasować idealnie.

Karina nie przesadziła ani trochę. Kiedy wieczorem Lydia zjawiła się w Wielkiej Hali, miała na sobie zieloną suknię z miękkiej cieniutkiej wełenki. Prosty elegancki krój doskonale podkreślał atuty jej szczupłej figury. Długie czarne włosy, starannie wyszczotkowane i związane z tyłu zieloną wstążką, lśniły w świetle pochodni. Hal zrobił krok w tył i udał zaskoczenie.

– Ło, Lyd! – wykrzyknął z szerokim uśmiechem. – Ależ ty jesteś piękna!

– Dopiero zauważyłeś? – zapytał Stig, nie odrywając od Lydii wzroku.

Lydia zarumieniła się lekko, niepewna, co powiedzieć. Na szczęście Ingvar rozwiązał ten problem.

– Nawet ja to widzę! – stwierdził. – I zamawiam pierwszy taniec!

Być może Ingvar sprawiał wrażenie lekko flegmatycznego, ale, jak właśnie dowiódł, jego umysł pracował szybko i bez zarzutu. Lydia uśmiechnęła się do niego. A potem pozostali członkowie drużyny zaczęli przekrzykiwać się jeden przez drugiego, również domagając się obietnicy tańca z Lydią.

– Po kolei! – uciszył ich Hal, unosząc ręce. – Najpierw musimy przedstawić Lydię oberjarłowi.

Wziął ją za rękę i poprowadził przez zatłoczoną salę aż do podwyższenia, na którym

siedział oberjarl. Erak spojrział z zainteresowaniem na piękną dziewczynę, stojącą między Halem i Stigiem. Podniósł się ze swego wielkiego rzeźbionego krzesła i zapytał:

– A cóż to za cudowne zjawisko?

– Oberjarlu – zaczął Hal donośnym głosem, który docierał do wszystkich zakątków sali – oto nowa członkini naszej drużyny. Ma na imię Lydia. Dowiodła swej odwagi i lojalności, to dzięki niej wydostaliśmy się z więzienia w Bayrath.

– Poza tym – wtrącił Stig pospiesznie, by nie pozostać w tyle – jest wspaniałą wojowniczką. Doskonale posługuje się atlatem, wystrzelona przez nią strzałka trafia komara prosto w oko. Załatwiła co najmniej tuzin zbirów Zavaca, kiedy walczyliśmy z nimi, by odzyskać Andomal.

Wśród zebranych przeszedł pomruk zainteresowania. Ludzie zaczęli się tłoczyć, wszyscy chcieli przyjrzeć się niesamowitej dziewczynie, którą tak wychwalali Hal i Stig. A większość mężczyzn, kiedy już się przyjrzało, ogarniała nieodparta ochota, by przyjrzeć się uważniej.

Lydia nie знаła się na dworskich manierach, więc tylko skinęła lekko głową, ale Erakowi w zupełności to wystarczyło. Skandianie byli bardzo egalitarni i nieszczerólnie przejmowali się formami. Erak zrobił krok w przód, ujął dłoń Lydii, pochylił się i lekko przycisnął do niej usta. Potem wyprostował się i nie wypuszczając jej ręki, powiedział do Stiga i Hala:

– A w dodatku jak wygląda. Ani chybi, anioł!

Lydia uśmiechnęła się i znów pochyliła głowę.

– Bardzo dziękuję, oberjarlu. To było bardzo miłe.

Thorn nie krył oburzenia.

– „Bardzo dziękuję, oberjarlu”? – wykrzyknął z niedowierzaniem. – „Bardzo dziękuję, oberjarlu”? A ja co jestem, truchło wieloryba? Za każdym razem, kiedy mówię coś takiego, słyszę w odpowiedzi: „Zamknij się, staruszu”. „Bardzo dziękuję, oberjarlu”? Brak mi słów! – I rzeczywiście, już nic więcej nie powiedział.

Erak popatrzył na niego z wyższością.

– Thornie, to kwestia uroka osobistego. Niektórzy go mają. Inni nie.

– A niektórzy mają gramatykę bynajmniej nie w małym palcu – rzucił Edvin do stojącego obok Stefana.

Oberjarl odparował:

– Ty zaś najwyraźniej jesteś jednym z tych *innych*.

Lydia uśmiechnęła się jeszcze bardziej promiennie.

Spojrzała na Thorna, który mruczał coś pod nosem, cały czerwony, i posłała mu oczko.

A potem zaczęła się zabawa. Ingvar stanowczym ruchem odsunął swych towarzyszy na bok i upomniał się u Lydii o obiecany taniec. Od tej chwili Lydia przechodziła z rąk do rąk. Halowi udało się zatańczyć z nią tylko raz, Stigowi również, i zaraz porwał ją kolejny zapalony tancerz. W pewnym momencie zauważyła z rozbawieniem i chyba lekkim ukłuciem zazdrości, że Halem i Stigiem bardzo interesują się dwie lokalne panny, brunetka i blondynka.

Na rożnach piekły się barany i świniaki, tłuszcz skwierczał na węglach. Służący kroili grube plastry soczystego mięsa. Na półmiskach piętrzyły się góry pieczonych warzyw, beczki piwa i wina czekały na amatorów mocniejszych trunków. Hallasholm hucznie witało powrót bohaterów.

Erak wygłosił krótką mowę powitalną. Oznajmił, że odzyskanie Andomala zmyło wszystkie dawne przewiny Czapli. Nazwa drużyny powróci do archiwów, zostanie jej również przywrócone zwycięstwo w zawodach. Tłum zaczął wiwatować radośnie.

Erak zaproponował również, że dostaną z powrotem rogate hełmy, ale Hal uśmiechnął się i podziękował. Wskazał na wełniane czapki i powiedział:

– Teraz mamy nasze własne nakrycia głowy.

Erak przyjrzał się bliżej i stwierdził:

– Sprytne. Mógłbym też taką dostać?

Hal uśmiechnął się.

– Porozmawiam z Edvinem.

Potem Jesper i Stefan wdrapali się na stół, stojący pośrodku sali. Ponieważ panował gwar, Jesper dał znak Ingvarowi, który wziął głęboki wdech i wrzasnął co sił w płucach:

– CISZA!

Cisza zapadła momentalnie. Wszystkie oczy zwróciły się na dwóch młodzieńców, stojących na stole – lekko przygarbionych, ponieważ sufit w Wielkiej Hali był dość niski.

– Wiele osób prosiło, byśmy opowiedzieli, co dokładnie wydarzyło się podczas naszej niezwyklej podróży – zaczął Stefan. Odpowiedziały mu zachęcające okrzyki. Uniósł rękę, znów prosząc o ciszę.

– Tak więc napisaliśmy sagę – powiedział Jesper. – Nosi ona tytuł „Saga o Hалу i drużynie Czapli”.

– O, Gorlogu, na pomoc – mruknął Hal.

– Chcemy ją usłyszeć! – krzyknął jakiś rozentuzjasmowany człowiek.

Jesper zwrócił na niego litościwe spojrzenie.

– Yhm... właśnie po to sterczymy na tym stole, gdybyś jeszcze się nie zorientował.

Z różnych stron dobiegły zachęcające okrzyki. Skandianie uwielbiali dobrą zabawę. Kochali jedzenie i mocne trunki. Czasami lubili też komuś przyłożyć. Ale najbardziej ze wszystkiego na świecie kochali sagi. A im bardziej autor koloryzował, przechwalał się i bezwstydnie przekręcał fakty, tym lepiej.

– Dobra! – wrzasnął Stefan i wszyscy zamilkli. – Najpierw odśpiewamy refren. Potem możecie śpiewać go razem z nami. I niech ktoś mi poda lutnię czy harfę, coś w tym stylu.

Wręczono mu niewielką harfę. Uderzył w struny i zaczęli śpiewać – zresztą w tonacji zupełnie innej od tej, którą przed chwilą podał.

Hej, Czaple! Hej, Czaple!

Hej, dzielne mężne Czaple!

Hej, ludzie, czy wy wiecie?

Najlepsza banda na świecie.

Hal ze smutkiem potrząsnął głową.

– Na pazury Orloga! – powiedział.

Erak, który stał obok niego, zmarszczył brwi, wyraźnie zniesmaczony tym brakiem kulturalnej oglądy.

– Co z tobą? – zapytał. – Przecież są świetni.

A potem zaczął wymachiwać do rytmu swoim kuflem, przy okazji chlapiąc piwem na wszystkich w promieniu dwóch metrów. Jesper i Stefan podjęli:

Raz Erak, Skandii oberjarl, na Czaple się pogniewał,

„Skreślam was”, rzecze. „Czapla? Ptak? W Skandii takiego nie ma.”

Wszyscy spojrzeli na Eraka, potrząsając pięściami i zawołali:

– Uuuuuu!

W odpowiedzi również potrząsnął pięścią, zatapiając kilku kolejnych nieszczęśników, stojących w pobliżu.

– Zasłużyli! – ryknął. Ale śmiał się. Skandianie uwielbiali, kiedy wspomina się o nich w sagach, a on nie należał do wyjątków. Chłopcy podjęli:

„Zabieram oręż wasz, poza tym oddacie łódź swą mnie”.

Lecz Hal, kapitan Czapli, rzekł: „No way, i nie ludź się”.

– Hura! – zakrzyknął tłum. Hal ukrył twarz w dłoniach.

– Wiem, że dalej będzie jeszcze gorzej – mruknął. – Po prostu wiem.

Dołączył do nich Thorn Potężny, bo przejął się ich losem.

I odplynęli z Hallasholm tuż pod Eraka nosem.

Tym razem Erak zmarszczył, nomen omen, nos. Ta część jego ciała miała dość okazałe rozmiary i nie lubił, kiedy ktoś mu o tym przypominał.

Svengal mało nie udusił się ze śmiechu.

– Miejsca mieli dosyć!

A potem wszyscy zaśpiewali chóralnie, aż ściany zadrżały, a naczynia zaczęły brzęczeć na stołach.

Hej, Czaple! Hej, Czaple!

Hej, dzielne mężne Czaple!

Hej, ludzie, czy wy wiecie?

Najlepsza banda na świecie.

Jesper i Stefan rozpoczęli drugą zwrotkę:

Raz z morza Hal wylowił łowczynię imieniem Lydia.

„Witaj na Czapli. Napij się, a potem jeść dam ci ja”.

– Co? – Hal spojrzał na Eraka i potrząsnął głową. – „Lydia” i „ci ja”? Co to za rym?

– Zamknij się! – odparł Erak. – Nie potrafiłbyś rozpoznać dobrej poezji, nawet gdyby nadepnęła ci na stopę.

„Piraci źli”, tak rzecze Lydia, „napadli miasto Limmat”.

Hal strzelił z Zadymiarza, zwiewali, aż się kurzyło.

Teraz, kiedy nikt więcej nie wspominał o jego nosie, saga znów zaczęła mu się podobać.

Znów hala rozbrzmiała chórem setek głosów, które wyśpiewały refren – straszliwie przy tym fałszując – a potem Jesper i Stefan przeszli do kolejnej zwrotki.

Ścigali „Kruka” przez morze, potem rzeką zwaną Dan.

Gdy Zavac chciał ich zatrzymać, Lydia zepsuła ten plan.

– Hura! – zakrzyknął znowu tłum. Wszyscy wzniesli naczynia z napitkiem, szczerząc się do dziewczyny w zielonej sukni. Skandianie uwielbiali, kiedy w sadze pojawiała się jakaś dzielna bohaterka – szczególnie jeśli w dodatku była obdarzona taką urodą.

Splynęli Dzikim Bystrzem, co liczy metrów chyba sto,

A potem zatopili pirackich statków tuzin, o!

– Dwa! Dwa statki! A właściwie łodzie! – powiedział Hal, oburzony tymi strasznymi przechwałkami. Chór znów odśpiewał refren, a Erak spojrzał z politowaniem na Hala.

– Pewnie gdybyś tam był, inaczej byś gadał – stwierdził.

Hal rozłożył ramiona w geście bezsilnej rozpacz.

– Byłem tam! To wcale tak nie wyglądało.

Erak jednak nie odpowiedział, już słuchał następnej zwrotki.

Dotarli do Raguzy. Hal rzekł – ma chłopak tupet:

„Nareszcie dorwiemy Zavaca, skopimy mu...”

– Uwaga! – wrzasnął Svengal, przerywając im w ostatniej chwili. Wiedział, że na sali obecna jest pewna dama o bardzo przyjemnej powierzchowności, która od jakiegoś czasu czytywała mu poezje miłosne. Nie chciał, by jej subtelne uszka zwiędły od niecenzuralnego słownictwa. Stefan i Jesper przerwali, naradzili się pospiesznie, po czym odśpiewali wersję poprawioną:

„Nareszcie dorwiemy Zavaca, zaraz będzie trupem”.

Zerknęli pytająco na Svengala, który łaskawie kiwnął głową.

Hal Zavaca wyzwał. Na morzu bitwa się odbyła.

„Czapla” wyszła z niej zwycięsko, „Kruk” zaś pod wodą pływa.

Tłum znów zaczął wiwatować. Hal porzucił wszelkie próby protestów przeciwko fałszowaniu historii.

Erak był zachwycony, jego kufel pusty, a stojący najbliżej biesiadnicy całkowicie przemoczeni.

Ale zanim na dno poszedł, Andomal odzyskali,

Popłynęli do domu, Erakowi go oddali.

I znów rozległy się wiwaty, którym przewodził rozentuzjasmowany oberjarl. Potem jeszcze raz wybrzmiał refren. Hal jak zwykle potrząsnął głową, a potem przyłączył się do chóru.

– Niech im będzie – stwierdził. – W prawdziwą wersję i tak nikt by nie uwierzył.

Hej, Czaple! Hej, Czaple!

Hej, dzielne mężne Czaple!

Hej, ludzie, czy wy wiecie?

Najlepsza banda na świecie.

Kiedy Stefan i Jesper zeskoczyli ze stołu, wszyscy zaczęli cisnąć się dokoła, poklepywać ich po plecach i wychwalać wspaniałą twórczość. Erak potrząsnął głową z rozanieloną miną.

– Oto prawdziwa poezja! – wykrzyknął. Potem zajrzał do kufła i zmarszczył brwi. – Kto wypił moje piwo?

– I poszedł po dolewkę.

Tej nocy zdarzyło się coś jeszcze, co mieszkańcy Hallasholm mieli zapamiętać na długo. Kiedy Czaple biesiadowały w najlepsze, odbierając życzenia i słowa podziwu, jedna osoba przyglądała im się spode łba.

Tursgud nienawidził Czapli, od chwili gdy wygrały one zawody drużyn. Miał też wielki żal do Eraka, że kiedy ukarał Czaple, nie ogłosił drużyny Tursguda zwycięską. Teraz patrzył ze skrzywioną miną, jak wszyscy poklepują bohaterów po plecach i mówią im różne miłe rzeczy. W końcu nie wytrzymał. Podniósł się, utworował sobie drogę przez tłum i podszedł do Hala, przybierając wojowniczą postawę.

– A więc wróciłeś – powiedział. Nie zabrzmiało to zbyt sympatycznie.

Hal zmierzył go wzrokiem. Nie chciał psuć miłej atmosfery.

– Dobry wieczór, Tursgudzie – rzucił obojętnie. Wszyscy członkowie drużyny spięli się w oczekiwaniu ataku. Tursgud popatrzył na nich ze wzgardliwym uśmiechem.

– Wróciłeś ze swoją bandą kłamców i oszustów – powiedział. Na widok Lydii dodał, niezbyt rozsądnie: – O, i przywiozłeś pomywaczkę do jadłodajni mamusi.

Hal i Stig odsunęli krzesła i już mieli wstać, ale powstrzymała ich para ciężkich pięści, które spoczęły na ich ramionach. Hal podniósł wzrok, zaskoczony, i zobaczył Ingvara, który stał tuż za jego plecami i mrużąc oczy, wpatrywał się w Tursguda.

– Chętnie się tym zajmę – powiedział, podszedł do Tursguda i pochylił się nieco do przodu, wciąż mrużąc oczy. Tursgud zareagował agresywnie. A nie powinien był tego robić.

– Na co się gapisz, ślepy krecie? – zapytał z pogardą.

Ingvar nie odpowiedział. Przez chwilę przyglądał się skirlowi drużyny Rekinów, potem wziął głęboki wdech i pamiętając rady Thorny, zamknął oczy. Bo oczami wyobraźni widział Tursguda bardzo wyraźnie. I czuł, że wciąż stoi on w tym samym miejscu.

– Zasnąłeś czy jak? – warknął Tursgud. – Na twoim miejscu...

Nigdy nie dokończył tego zdania. Masywna łapa Ingvara, zwinięta w pięść, zadała bowiem potężny cios i z hukiem trafiła go w szczękę. Tursgud poleciał do tyłu, wpadł na stół,

przewrócił go i sam osunął się na ziemię między potłuczone talerze i resztki jedzenia.

– Bardzo ładnie, Ingvarze – mruknął Thorn, a Ingvar spokojnie wrócił na swoje miejsce.

Jak już wspomniano, Skandianie kochali dobre jedzenie, dobre trunki, dobre sagi i dobre bójki. A kiedy dobra bójka trwa tyle co jeden perfekcyjnie wymierzony cios pięścią, zostaje więcej czasu na dobre jedzenie i dobre trunki.

I lepiej już być nie może.

Później Karina zabrała Lydię do domu i zaprowadziła ją do pokoju. Hal i reszta nadal świętowali, ale Lydia miała zdecydowanie dosyć. Zwykła przebywać samotnie w lesie i tłum szybko ją zmęczył.

Karina krzątała się po pokoju, pościeliła łóżko i przycięła knot w lampie. Lydia zdążyła już przebrać się w koszulę nocną z delikatnego płótna. Przyglądała się kobiecie, która właśnie poprawiała poduszkę. Pomyślała, że jest naprawdę piękna.

Karina uniosła wzrok.

– Masz bardzo poważną minę – powiedziała z uśmiechem.

Lydia zawahała się, a potem odparła:

– Nie chciałabym cię urazić, Karino, ale chyba nie powinnam tu mieszkać. Z tobą i Halem, znaczy.

Karina, wciąż uśmiechnięta, przysiadła na brzegu łóżka i ujęła dłonie dziewczyny.

– Rozumiem – powiedziała. – Znam pewną sympatyczną wdowę. Jej córka niedawno wyszła za mąż i wyprowadziła się. Towarzystwo dobrze by jej zrobiło. Myślę, że ją polubisz. Mam ją zapytać?

Lydia kiwnęła głową, wpatrzona w swoje dłonie.

– Tak, bardzo proszę. – Czuła, że jest winna wyjaśnienie i dodała: – Chodzi o to, że Hal... i Stig... no wiesz... – Urwała, niepewna, jak to ująć. Karina delikatnie ścisnęła jej dłonie.

– Sprawy się komplikują, kiedy w życiu dziewczyny zjawia się dwóch atrakcyjnych mężczyzn naraz, prawda? – Potem dodała miękko: – Wiem, jak to jest.

W jej głosie zabrzmiała tęsknota. Lydia podniosła wzrok. Karina patrzyła przed siebie z rozmarzeniem, jakby wspominała jakieś wydarzenia z dalekiej przeszłości. Potem potrząsnęła głową, odsuwając wspomnienia, i uśmiechnęła się.

– Mogę dać ci jedną radę?

Lydia skinęła głową.

– Bardzo proszę.

– Nie spiesz się. Masz tylko szesnaście lat, na razie nie musisz wybierać. Po za tym nie wiadomo, kto jeszcze zjawi się w twoim życiu.

Powiedziała to z bólem. Od razu polubiła Lydię i chętnie widziałaby ją jako przyszłą synową. Ale nie chciała wywierać na nią nacisku. Lydia musiała sama zdecydować. Znalazła się całkiem sama pośród obcych, dopiero co przybyła do skandyjskiego miasta. Nie wyszłoby jej na dobre, gdyby dokonała pochopnego wyboru, tylko po to, by znaleźć oparcie w kimś, kogo już знаła.

– Nie musisz wybierać ani jutro, ani pojutrze. Poczekaj, aż będziesz gotowa.

Lydia spojrzała jej prosto w oczy, szczerze i gorące.

– Dziękuję – powiedziała. Karina uśmiechnęła się.

– Poza tym dobrze im zrobi, jak trochę potrzymasz ich w niepewności.

